

# Antologia SF

## Różni

### Książka II z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Antologia opowiadań „SF” pisarzy polskich

Wizje alternatywne 2

pod redakcją Wojtka Sedeńki

*Jacek Dukaj*

# Ziemia Chrystusa

Wyszedłszy z dżungli na plażę, mężczyzna zatrzymał się. W dżungli panował plamisty półmrok, miejscami cień głębszy od ciemności księżycowych nocy, i oczy blondyna, nagle zaatakowane igłami promieni wysoko stojącego słońca, oślepyły; stał i potrząsał głową, póki nie odzyskał wzroku. Wreszcie białe plamy rozplynęły się; nasunął głębiej na oczy jasny kapelusz, rozejrzał się, zaklął melancholijnie — i ruszył na południe.

Ocean szumiał leniwie, raz głośniejsz, raz ciszej, w rytm podnoszących się i gasnących fal.

W ciągu dziesięciu minut marszu blondyn minął sześcioro wczasowiczów. Przyglądali mu się zdziwieni: na całych siedemdziesięciu milionach hektarów należących do konsorcjum *Paradise* ludzi noszących ubrania można było policzyć na palcach jednej ręki — a on miał na sobie czarne spodnie, ciemną koszulę, nawet krawat. Kochająca się w cieniu drzew para ujrawszy go, zaczęła się dziko śmiać; rechotali tak, póki nie stracili tchu. Zignorował ich.

Minąwszy niewielki cypel, skręcił na południowy zachód; wzdłuż głębokiego łuku zatoki zmierzał ku drugiemu, przeciwległemu cypłowi. Przyspieszył, rozciągnął usta w mimowolnym uśmiechu ulgi: już rozpoznał rysy twarzy nagiego mężczyzny rozciągniętego leniwie pod nadbrzeżną skarżą.

Gdy blondyn zatrzymał się tuż przy jego głowie, przy wleczony przezeń cień padł na twarz śpiącego.

W zasięgu wzroku, prócz nich, nie było nikogo: dżungla, plaża, ocean, niebo, słońce. Fascynujący, odległy i głęboki poszum ścigających się fal. Usypiający koncert porażonej zakłębieniem niezrozumienia przyrody — nic więcej.

Blondyn na moment odgiął rondo kapelusza i wytarł rękawem zroszone potem czoło. Odetchnął. Po czym kucnął i potrząsnął ramieniem śpiącego.

Obudzony niechętnie uniósł lewą powiekę.

— Czego? — wymamrotał.

— Señor Praduiga?

— Czego?

— Lopez Praduiga?

— A jeśli tak, to co? Strzeli mi pan w łeb? Kim pan w ogóle jest?

— Przyszyła mnie Dunlong, jestem z Ziemi Stalina, pan zapomniał telefonu.

— Odczep się pan, w tyłek miałem sobie go wetknąć? Czy też kisić się tak we własnym pocie?

— Lopez obrzucił mężczyznę spojrzeniem pełnym obrzydzenia — A w ogóle to dałem sobie urlop. Tego panu Dunlong nie powiedział?

— Ja nic nie wiem. Mam tylko pana zawiadomić, że Dunlong prosi pana o jak najszybsze przybycie.

— Wracam za miesiąc. I trzy... cztery dni... Który dzisiaj jest?

— Jak najszybsze, to znaczy natychmiastowe.

— Aha. Do widzenia. Nie zasłaniaj mi pan słońca, ja się opalam.

— Powtarzam...

— Według kontraktu mam prawo do urlopu. Niech Dunlong mi tu...

Blondyn przerwał mu. — Pan nie rozumie. Pan Dunlong prosi pana o powrót. Gdyby to było proste polecenie, posłużylibyśmy się kimś z obsługi Raju. A ja pana proszę.

Lopez wolno wstał. Był mężczyzną wzrostu doskonale średniego i doskonale średniej tuszy i mógłby uchodzić za przeciętnego, trzydziestokilkuletniego biznesmena, gdyby nie wspaniała koordynacja ruchów, gracia zawodowego szermierza oraz dziwnie spokojne spojrzenie, wzrok prawie senny.

Chwilę trawił słowa blondyna.

— Legitymacja — rzucił.

Wysłannik Dunlonga wyjął ją z tylnej kieszeni spodni i niechętnie podał Lopezowi. Była to gruba, niewielka karta ze zdjęciem blondyna, kodami identyfikacyjnymi (DNA, profilu głosu, siatkówki oka), danymi osobowymi właściciela (nazywał się Ulrich K.G. Tysler), opatrzona emblematem departamentu wkomponowanym w uniwersalne, zaakceptowane przez *UEO* logo niepodległej Ziemi z dodatkiem *Stalin's Earth, K. T. O. G.* Na odwrocie znajdowała się płytką kontrolna. Lopez odblokował ją i oddał legitymację Tyslerowi.

Ten westchnąwszy, przycisnął do płytki kciuk — choć po prawdzie równie dobrze mógłby to być którykolwiek inny palec, dowolny kawałek ciała: dla sprawdzenia genotypu każda komórka jest dobra — płytką pożerała nabłonek, linie papilarne można wszak zmieniać jak kolor oczu, a samego siebie nie podmienisz.

Alarm nie włączył się.

— Aleś pan strachliwy.

— Mam nadzieję, że to nie jest fałszywka; nie ma tu nigdzie żadnego terminalu, na którym mógłbym ją sprawdzić.

— Paranoja.

— Dobrze o tym wiem. — Praduiga odwrócił wzrok i zaczął wypatrywać czegoś na oceanie. — A teraz powie mi pan, czego to właściwie Dunlong chce ode mnie.

Ulrich zdjął kapelusz i zaczął się nim wachlować.

— Nie wiem.

— Nie poinformował pana, cóż to za argument mnie przekona? Zapomniał go pan?

— Nie zapomniałem. Powiedziałem już: on pana prosi.

— Tak, to istotnie niezwykle... No dobrze, a panu nic nie obięło się o uszy?

— Panie, plotki mam tu powtarzać? Idzie pan czy nie?

— Niby z jakiego powodu?

Ulrich westchnął do nieba. — Tak myślałem.

— Tak pan myślał? A co, znamy się skądś?

— Nie, nie. Celiński to przewidział. Tu mi kaktus, powiedział, jak on na to pójdzie.

Lopez oderwał wzrok od oceanu. — Celiński?

— Czeka w helikopterze przy Bramie. Mamy zabukowany przerzut na czternastą czterdzieści. — Tysler nagle zaniepokoił się. — Zegar, czas — rzucił.

— Dwunasta pięćdziesiąt dwie — poinformował go zegarek.

— Cholera.

— Celiński. — Lopez pokręcił głową. — Co w tym robi Zwrotnicowy ze Zwiadu? — spytał, bardziej samego siebie.

Tyslerowi ręka omdlała i przełożył kapelusz do lewej.

— Dunlong go wysłał, w nadziei, że pana przekona. Kumpel kumpla.

Lopez doznał objawienia. — Jest Nić?

— Co?

— Złapaliście Nić?

— Mówiłem, nie będę tu powtarzał plotek. Nie chcę wylądować w Piekło.

Lopez uśmiechnął się i pokręcił głową. — A za jaką to plotkę można wylądować w Piekło? Nić złapali.

Ulrich jęknął. — Człowieku, miejże litość! Powiedz, żebym się odwalił i kończmy to. Roztapiam się! Cóż tam widzisz w tej wodzie?!

— Czego nie widzę — zaakcentował Praduiga. — Masz pan szczęście, jakby tu była, prędzej wyprałaby ze mnie flaki... — Skrzywił się porozumiewawczo. — Może popłynęła za cypel. Jazda, zmywamy się stąd, zanim wróci.

Ulrich z ulgą wypuścił powietrze z płuc, włożył kapelusz i powtórnie się uśmiechnął — uśmiechem męczennika. — No. To już. Zejście do tuneli jest na północy. Mam nadzieję, że nie północny cypel miał pan na myśli.

— Ślepy nie jestem. Pozostawiał pan ślady jak ranny żółw. Lopez wyminął Tyslera i ruszył wstecz po tych śladach.

Ulrich ponownie jęknął i truchtem podbiegł do niego — Praduiga narzucił straszliwe tempo.

Po minięciu cypla dostrzegli kołyszący się w oddali na falach kuter straży przybrzeżnej Imperium Azteckiego. Korzystając z gwarantowanej przez konsorcjum słonecznej pogody, żołnierze Syna Bogów opalali się na pokładzie, przyglądając się z zaciekawieniem owym tajemniczym nadludziom, za odezwanie się do których, uśmiechnięcie — prawo karze śmiercią.

Praduiga i Tysler w dziesięć minut dotarli do sztucznej ścieżki, wcinającej się w dżunglę gładkim łukiem. Ścieżką, już osłonięci od straszliwie palącego słońca, doszli do zejścia do stacji sieci podziemnych kolejek Raju, które stanowiły jedyny dostępny na jego terenie środek komunikacji — każdy inny zburzyłby tę niemal czarodziejską wizję beczasowej krainy szczęścia i spokoju. W końcu dojechali do Bramy, gdzie Lopez złożył w przechowalni swoje rzeczy. Czekał już tam na nich śmigłowiec.

Kwadrans potem znajdowali się już w powietrzu, w drodze do Tenochtitlan.

— Panie majorze.

— Taa?

— Linainen.

— Przełącz.

W miniaturowych słuchawkach majora, ukrytych w jego małżowinach usznych, zaszemrał głos porucznika Linainena: — Wszystko obsadzone. Trzymamy wąż i zbocza, nikt niczego nie zauważył.

Nie odrywając wzroku od układu trójwymiarowych projekcji, przedstawiających pod różnymi kątami i w różny sposób rozpościerającą się niżej, zalesioną kotlinkę, major rzucił od niechcenia: — A jak Carterczy? —

— Jak to oni. W końcu co yantscharzy, to yantscharzy. — Linainen zaśmiał się, powtórzywszy stary slogan reklamowy.

— Gdyby coś się zaczęło, natychmiast meldować.

— Ta jest.

Major strzelił palcami i sierżant—łączeniowiec przerwał połączenie.

Nad kotliną leniwie wstawał szary świt.

Major podszedł do skarpy zamykającej od północy półkę skalną, na której mieścił się punkt dowodzenia. Był on zamaskowany jednostronnymi holografikami przedstawiającymi tę samą wiszącą nad przepaścią półkę i nagą ścianę za nią, puste i nietknięte przez człowieka, lecz przesunięte w przód o sześć metrów, co z odległości pół mili było właściwie nie do dostrzeżenia – chyba że ktoś wycelowałby w to miejsce laserowy dalmierz bądź przyjrzał się mu okiem analizatora KTZ, jednakże podobnego sprzętu demajaska partyzantka antykomunistyczna nie posiadała. Poza tym maskowanie było doskonałe, pochłaniano nawet ciepło ciał ludzkich ukrytych za holografikami, maszyny na jego miejsce emitowały sztuczne, znikome ciepło skały, oszukując w ten sposób satelity i wprowadzając w błąd ewentualnych dociekliwych obserwatorów wyposażonych w gogle wychytujące promienie podczerwone. To również był zbytek ostrożności — partyzanci wszak nie mieli dostępu do tak wyrafinowanej techniki, nie dysponowali żadnym kosmodromem, z którego mogliby wysłać na orbitę własne sputniki. Zresztą i tak huntery Sojuszu natychmiast by je strąciły.

I właśnie z uwagi na owe huntery, aż nazbyt sprawne zabytki okresu zimnej wojny — „niech je szlag”, klął w myślach major — przerzut Skalpela musiał nastąpić w ostatniej chwili, zgrane musiało być to co do sekundy. Ostatnią rzeczą, jakiej Dunlong i rząd Ziemi Stalina sobie życzyli, było dozbrajanie tych, których zamierzali podbić — jeśli by bowiem Skalpel został trafiony przez jakiś orbitujący myśliwiec, niechybnie do tego właśnie doprowadziłaby analiza jego szczątków przeprowadzona przez naukowców Sojuszu. Czas rozpoczęcia akcji ustalono z góry i atakujący musieli się do niego dostosować, nie wchodziły w grę żadne korekty: Skalpel miał zostać wystrzelony na tutejszą orbitę o szóstej siedemnaście i pięć sekund; trochę późno, lecz ani jedna z trzech stalińskich orbitalnych Katapult nie przechodziła wcześniej nad analogicznym obszarem Ziemi



Stalina. Major odczytał czas: piąta pięćdziesiąt siedem. Jeszcze dwadzieścia minut. Nie lubił akcji o tak napiętym harmonogramie.

Kotlina miała kształt zbliżony do elipsy zorientowanej południkowo, o krótszej średnicy bliskiej trzem kilometrom, dłuższej — dwa razy większej. Porastał ją gęsty, zbity las, puszcza prawie; teren był tam mocno pofałdowany, poryty pomniejszych jarami i wąwozami, w których szemrały kręte strumienie spływające do dość sporej rzeczki, opuszczającej nieckę wąwozem południowo—wschodnim. Ponadto z kotliny wyjść można było na zachód, przez niską przełęcz oraz wspinając się po północnym zboczu, które jako jedyne nie było morderczo strome.

Major mruknął hasło i mikroprocesor szkieł kontaktowych pokrywających jego gałki oczne strzyknął rozkazami zbitymi w elektromagnetyczne impulsy: wzrok mężczyzny natychmiast wyostrzył się nieludzko. Major rozpoczął powolną lustrację kotliny; wypatrywał jakichkolwiek oznak nienaturalnego ożywienia w obozie partyzantów.

Jego ubioru maskującego nie przyozdabiały żadne znaki identyfikacyjne ani oznaczenia stopnia, podobnie było z resztą żołnierzy — mogli służyć w armii każdego tutejszego kraju. Bardzo skrupulatnie skontrolowano ich ekwipunek w poszukiwaniu zbędnych przedmiotów, które — w wypadku klęski — mogłyby dać do myślenia partyzantom czy też za dużo powiedzieć jajogłowym Sojuszu. Odrzucono nawet jednego Carterczyka z racji niezwykle skomplikowanych operacji, jakie przeszedł po zranieniu w którejś z wcześniejszych batalii — ślady owych operacji pozostały w jego ciele i na pewno wprawiłyby w zdumienie przeprowadzających jego sekcję demajskich patologów.

— Majorze Crueth?

— O co chodzi, Fauers?

— Pozostało dziesięć minut do wyjścia Skalpela. Trzeba wysłać potwierdzenie.

— Potwierdzam. Od tej chwili zabraniam używać także laserów komunikacyjnych.

Crueth przeniósł wzrok na zachodni stok. Przełęcz obsadzał oddział porucznika Łęczyńskiego (pięciu technicznych plus pluton Carterczyków pod dowództwem sierżanta Murphy'ego). Mieli tam trzy TZ-16 oraz dwa niskoenergetyczne lasery snajperskie — oprócz, rzecz jasna, podstawowego uzbrojenia yantscharów. Ze wszystkich trzech zajętych przez ludzi Cruetha był to punkt najtrudniejszy do obrony. Przełęcz niska, szeroka, las sięgający grani z obu stron. Zdecydowano się więc na wysadzenie zbocza w powietrze: po prostu spłynie ono, wraz z lasem, w kotlinę — potem każdy wspinający się będzie widoczny jak na dłoni. Z kolei oddział porucznika Linainena (trzy drużyny, czterech technicznych) miał za zadanie zamknięcie partyzantom drogi ucieczki przez grań północną. Stok ów był od dwóch trzecich wysokości pozbawiony roślinności: sucha, kamienista pochyłość. Natomiast Carterczykami obsadzającymi wąwóz południowo—wschodni dowodził sam major. Wąwóz teoretycznie był łatwy do obrony — lecz stanowił główne i najczęściej używane przez partyzantów wejście do kotliny i po ataku Skalpela to właśnie nim będzie się próbowała wydostać z piekła większość z nich. Major nie zamierzał ryzykować: ściągnął z Ziemi Stalina Cerbera-1200 — samobieżną, obdarzoną sztuczną inteligencją śmierć. Półtoratonowa bestia zdolna była w pojedynkę zatrzymać szturm kompanii czołgów starej generacji. Ten cud techniki mordy i zniszczenia skonstruowano na Ziemi Hanta, Musslijczycy sprzedali Ziemi Stalina tysiąc jego sztuk, jako bonus do tajemnicy wszczepu mózgowego, za prawo do eksploatacji przez pół wieku stalinowego Charona. Crueth oceniał, iż sama ta maszyna zdoła spokojnie utrzymać wąwóz, na wszelki wypadek jednak obsadził zbocza czterema drużynami, piąta zaś, w charakterze ostatniego zabezpieczenia, usadowiła się za tezetką u przeciwległego jego wylotu. Major Crueth był człowiekiem systematycznym, dokładnym, pedantem niemalże, potrafił zabić za głupotę i niedopatrzienia wystawiające na niepotrzebne ryzyko życie jego ludzi. Żołnierze, którymi dowodził, wiedzieli o tym (sam postarał się,

by wiedzieli) i dawało im to specyficzne poczucie bezpieczeństwa. Crueth zastępował im prawo i bogów — on był sprawiedliwością świata, który sprawiedliwy nie jest, jeśli nie musi.

— Pięć minut, sir.

Wytepienie partyzantów — od dziesiątków lat soli w oku Sojuszu — stanowiło niejako gest dobrej woli, a zarazem demonstrację siły Stalińczyków. Pertraktacje znajdowały się na etapie zdzierania masek — Sojusz wciąż jeszcze nie wiedział, z kim właściwie rozmawia. Według ocen specjalistów, całkowite przejęcie władzy winno nastąpić najwyżej za półtora roku. Było to tempo doprawdy rekordowe. Dla porównania: Musslijczycy Ziemię Sto podbijali prawie dwanaście lat, a nadal mówiło się o jakichś powstaniach czy zorganizowanym podziemiu. Ziemia Demajskiego stanowiła łup o tyle łatwy, iż panował na niej ustrój totalitarny, który jest wręcz stworzony dla zakulisowych podbojów, jako że z założenia utrzymuje naród w stanie permanentnego podboju, a więc jedyne, co zdobywca musi uczynić, to zmienić kilku ludzi na szczycie, tych, którzy dzierżą w swych rękach władzę absolutną, a którzy już i tak stanowią dla ludu ciemną tajemnicę. Gdy po powrocie pierwszych Zwiadowców z dopiero co odkrytej Ziemi Demajskiego rozeszła się wieść, iż komuniści zdążyli już zapanować tam nad całym globem, świętowano w wydziale przez kilka dni.

Według analiz przedstawionych przez Biuro Zwrotnic, Ziemia Demajskiego była efektem dosyć późnego rozgałęzienia: w roku 1901 pewien Murzyn z jednego z plemion Afryki Środkowej umarł tam minutę wcześniej, niż powinien. (Normę stanowiła, rzecz jasna, historia Ziemi Stalina). Głębszych, subtelniejszych i bardziej szczegółowych praprzyczyn nie doszukano się, zresztą nie były one aż takie ważne. W każdym razie w wyniku owej przyspieszonej śmierci, czterdzieści lat później Związek Radziecki, którego przywódcą był rzeczony Anatolij Demajski (ojciec Polak, matka Ukrainka) — bynajmniej nie ufający ślepo zapewnieniom Hitlera — sam napadł i zdruzgotał Trzecią Rzeszę, wskutek czego jego strefa wpływów sięgnęła Atlantyku. I właśnie Sowietci, nie USA, zyskali dostęp do umysłów większości największych fizyków pracujących dla Niemców — stanowiło to zresztą również pochodną szczególnej, długofalowej polityki Demajskiego w kwestii nauki i naukowców. Nie było Hiroszimy, Nagasaki, nie było i Jałty — był za to szkocki pogrom i Traktat Tananariwiański. W roku 1961 już tylko podbita przez cesarską Japonię Australia nie znajdowała się pod panowaniem Nieomylnych. Teraz major Crueth miał za zadanie zlikwidować ostatnie gniazda oporu; Stalińczycy chcieli przejąć całą Ziemię za jednym zamachem.

Faktem dość zastanawiającym było, iż Josif Wissarionowicz Dżugaszwili *vel* Józef Stalin został władcą rosyjskiego imperium tylko na jednej z dotychczas odkrytych Ziem, na Ziemi Stalina właśnie — stąd też jej nazwa. Na wszystkich innych jakieś wcześniejsze odgałęzienie (śmierć tego Murzyna, dajmy na to) wykluczało tę ewentualność. Długi czas trwały dyskusje, czy nazywanie Ziemi imieniem największego zbrodniarza w jej dziejach nie jest rzeczą co najmniej niesmaczną. Lecz konwencja *UE* nie pozostawiała wyboru: to ten człowiek stanowił podstawowy wyróżnik. (Drugim zastanawiającym faktem był procent Ziem, których podstawowymi wyróżnikami byli podobni ludobójcy — sięgał on siedemdziesięciu). Ostatecznie zaakceptowano tę nazwę: pomimo wszystko Stalin był już jedynie papierową przeszłością. Podobnie niewiele osób protestowałoby przeciwko nazwaniu Ziemi imieniem Nerona — już śmiano się z pożaru Rzymu. Historia nie jest dobra ani zła — historia po prostu jest.

Zdobycie przez Ziemię Stalina dostępu do tego świata, do którego podboju właśnie przyczyniał się Crueth, stanowiło niewątpliwie wielki sukces Katapulciarzy. Ziemia Stalina nie była bynajmniej Ziemią najbogatszą z wszystkich czterech Ziem niepodległych, chociaż to na niej skonstruowano pierwszą Katapultę, i to ona (przez głupotę swych przywódców) zdradziła za darmo sekret maszyny odkrytym na początku światom równoległym — tracąc w ten sposób jedyną przewagę, jaką

dysponowała. Nie była również potęgą kolonialną: podbiła wszystkiego trzy Ziemie, z czego jedna przechodziła właśnie okres wtórnego średniowiecza, na drugiej po zagładzie atomowej tylko wiatr hulał pod czarnym niebem zasnutym obłokami radioaktywnego pyłu; jedynie Ziemia O’Liete’a była coś warta, jej naukowcy w niektórych dziedzinach przegonili naukowców stalińskich, a złoża ropy mieli tam wciąż obfite. Prawdę mówiąc, to Ziemia Stalina była biedna — na pewno w porównaniu z takimi mocarstwami jak Ziemia Mussli czy Tera. Stalińscy na gwałt potrzebowali nowych technologii, ropy, złóż rud, taniej siły roboczej, przestrzeni życiowej i żyznych ziem. Groził im głód, groził kryzys, groziła nagła inwazja z innych światów. Jedyńm ratunkiem zdawała się — znowu — Katapulta; marzyła im się taka Ziemia Cartera czy Hanta. To była loteria. Układ sił mógł się bardzo szybko zmienić.

Dlatego też utrzymując w tajemnicy fakt zdobycia Ziemi Demajskiego, sprytnie to wykorzystując — mogli tak wiele zyskać.

Crueth zastanawiał się, ile naprawdę Ziem zostało dotąd odkrytych: każdy wszak rozumował w ten sposób.

Sierżant Fauers podszedł do majora, podał mu maskę przeciwgazową wraz z niewielką butlą z powietrzem i zameldował:

— Odliczamy od trzydziestu.

Crueth skinął głową, wyłączył wzmocnienie szkiele i założył maskę oraz czarne gogle.

Skalpel został katapultowany dokładnie o oznaczonym czasie. Zgodnie z planem ustabilizował swój lot, wszedł na orbitę stacjonarną i przesłał na powierzchnię sygnał READY.

— Start — mruknął major, a Fauers „klepnął” w niematerialny klawisz widmowego terminalu i w kotlinę uderzył grom.

Główny poziom bazy partyzantów mieścił się osiem metrów pod powierzchnią gruntu; mogliby się tam bronić dość długo. Jej zniszczenie było podstawowym zadaniem Skalpela. Straszliwej mocy promień jego lasera ciął ziemię jak masło; mknął szybko i pewnie, po spirali, ku środkowi celu. W pięć sekund przebył całą zaprogramowaną drogę, po czym w tytanowej kuli satelity nastąpiła implozja, błysnęły na moment jego dysze i, posłuszny autodestrukcyjnemu algorytmowi, Skalpel runął w atmosferę, spalając się do nierozpoznawalnych szczątków.

Podziemna baza partyzantów już nie istniała; wyżej, na powierzchni ziemi, szalał pożar. Niecka zaczynała się zmieniać w szalone inferno.

Major pozwolił, by ogień rozprzestrzenił się na prawie całą kotlinę, po czym wydał rozkaz: — Tlenówka.

Grzmotnęło i parabolicznym torem wspiał się w błękit cygarowaty pocisk. Po chwili eksplodował: na niebie jęła się w błyskawicznym tempie rozrastać tłusta chmura. Major odkręcił zawór butli z powietrzem.

Pożar zgasł w ciągu kilku minut: chmura — złowrogi ciemny stwór rozpełzły po nieboskłonie — piła tlen, wysysała go spod siebie, jak wampir krew z ofiary.

Zanim zdążyła się nasycić, Crueth rozkazał wystrzelić następny pocisk.

I następny.

I następny.

Po kwadransie mruknął:

— Powinni już się zorientować, że to się nie skończy.

Obliczał, iż w maski i butle z powietrzem wyposażonych było nie więcej, jak czterystu–pięciuset partyzantów. Część z nich zginęła w bazie. Jednak i tak pozostaje znacząca siła. Crueth sądził, iż pojawiwszy, że chmura tlenowa tak szybko nie zniknie, rzucą się w panice do wyjść z kotliny, nie

bardzo nawet myśląc o uzbrojeniu — był jednak z urodzenia i wychowania pesymistą, przygotował się więc na regularny szturm.

Gdzieś na północy rozległ się huk.

W tej samej chwili sierżant Fauers zameldował: — Idą na przełęcz.

I po chwili: — Stok północny, sir.

Taką kolejność prognozował komputer — ze względu na odległości. Czterdzieści sekund później mieli się pojawić pierwsi uciekinierzy, którzy wybrali drogę przez wąwóz.

Crueth przeszedł na wschodnią stronę półki.

Pojawili się.

Poukrywani za osobistymi holografikami Carterczycy rozpoczęli nieregularny, spokojny ostrzał — wynurzające się z lasu sylwetki padały już po kilku krokach. Strzałów słyszeć nie było: Steirlsony posiadały wbudowane tłumiki próżniowe, był to ostatni model, dopiero co wypuszczony przez hantyjską spółkę *Steirl & Son* — pracowała ona wyłącznie „na zamówienia” Carterczyków, co od dawna stanowiło przedmiot sporu pomiędzy nimi a Musslijczykami. Komputery celownicze karabinków przesyłały przetworzone obrazy celu szkłom kontaktowym pokrywającym oczy żołnierzy: każde ich spojrzenie stanowiło dla owych komputerów rozkaz. Żaden partyzant nie przeszedł więcej jak dziesięć metrów.

Potem nagle w wąwóz wbiegło kilkudziesięciu uzbrojonych, ostrzeliwujących się chaotycznie Demajczyków. Cerber uznał, iż czas wkroczyć do akcji. Rozległo się stłumione *strfurrrrch!* — i partyzanci opadli powoli na ziemię w postaci rzadkiego, czerwonego deszczu krwi, kości i mięsa.

— Jak idzie Łęczyńskiemu? — spytał Crueth Fauersa.

— Popisuje się. Odczekał i przysypał tym zboczem kilkunastu skubańców.

— Ale kłopotów nie ma?

— Niee.

Niewidoczny Cerber posłużył się tym razem niewielkiej mocy laserem: niewidzialna dla człowieka igła wypaliła w czołach atakujących mikroskopijne dziurki; potknęli się dziwnie i upadli.

Carterczycy zintensyfikowali ostrzał.

Z północy dobiegł przeciągły, wibrujący grzmot.

— Co jest?

— To Linainen, panie majorze. Demajczycy wyciągnęli skądś wyrzutnie rakiet ziemia–ziemia.

— O kurwa. Daj mi go.

W uszach Cruetha zaszemrał głos porucznika; w tle trzaskała broń maszynowa partyzantów, coś huczało.

— Co tam się dzieje, Linainen?

— Te sukinsyny miały tu gdzieś tajny arsenał. Walą do nas zza załomu.

— Poradzisz sobie?

— Nam krzywdy nie robią, a sami na zbocze i tak wyjść nie mogą, bo yantscharzy ich zetną. Pięć... trzy minuty i poduszają się jak nic.

Siedem minut później strzały na wszystkich trzech przejściach ostatecznie ustały.

Crueth odczekał chwilę, polecił wystrzelić jeszcze jedną tlenówkę i wydał rozkaz powrotu.

Najpierw do jaskini wycofać się miał kilkuosobowy „sztab” majora wraz z paroma skrzynkami sprzętu. Jaskinia sięgała jakieś dwadzieścia metrów w głąb skały za półką; obszar przerzutowy — kula o promieniu dwóch i pół metra, której rzutem na skalne podłoże było koło oparte na jej średnicy, odznaczające się jaśniejszym kolorem, albowiem liczba dotychczasowych przerzutów była nieparzysta — umiejscowiony był dokładnie na środku groty, aby uniknąć, w razie przypadkowych

odchyłów, wbicia jakiegoś nieszczęśnika w ścianę. Od siódmej trzydzieści pięć, co pół minuty, Katapulta umieszczona w tym samym miejscu na Ziemi Stalina dokonywała kontrolnych przerzutów.

Po rozkazie Cruetha szeregowy Loon pobiegł w głąb jaskini, wyjął wcześniej już przygotowany na plastikowej tabliczce harmonogram powrotu (oznaczony symbolem A—I; istniało dwanaście jego wariantów), odczekał, aż koło piasku zniknie, położył tabliczkę na polu przerzutowym i szybko odskoczył — szeregowy Loon bał się Katapult. Potem dał znak przygotowanym już do powrotu technikom; podeszli doń, a on porozmieszczał ich wokół koła, by mogli na nie wejść maksymalnie szybko — taka była procedura.

Z powrotem zmaterializował się piasek, harmonogram zniknął. Loon zanotował czas; minutę od pojawienia się potwierdzenia rozpocznie się seria przerzutów — co dziewięćdziesiąt sekund jeden.

I znów — zniknęło koło piasku, powróciła skała. Stał na niej zielony ostrosłup.

— Okay, włączyć — zakomenderował Loon i technicy, wraz z całym swym elektronicznym złomem, weszli na pole Katapulty.

To samo działo się w podobnych punktach przerzutowych przy północnym zboczu i zachodniej przełęczy.

Major Crueth, stojąc przy wejściu do jaskini, obserwował sprawne wycofywanie się z wąwozu drużyn Carterczyków. Ci słynni żołnierze w swym pełnym rynsztunku prawie już nie przypominali ludzi, może tylko liczbą kończyn i ogólnym zarysem sylwetki. Dwie godziny zabierało im samo ubranie się, przygotowanie do akcji. Najpierw, na gołe ciało, wdziewali lekki, przezroczysty kombinezon — wyrafinowany produkt hantyjskiej biotechnologii, utrzymujący stałą wilgotność, temperaturę, zamykający wszelkie rany, zatrzymujący upływ krwi. Na to szły skomplikowane zespoły wzmacniaczy ruchów, stanowiących zarazem dodatkowe ochraniacze. Potem właściwe pancerze. Na to — strój maskujący. Na to uzbrojenie: podstawowe, pomocnicze, setka innych bajerów; na plecach, na wysokości nerek, niewielkich rozmiarów butla z powietrzem wystarczającym na tydzień forsownego marszu. Ubiór carterskich żołnierzy był hermetyczny, chronił również przed potężną dawką promieniowania. Buty — wysokie, ciężkie — stanowiły część kombinezonu; dłonie pokrywały grube rękawice, zaopatrzone w wiele niedostrzegalnych gołym okiem mechanizmów, które dla Cruetha były już lekką przesadą (na przykład taki punktowy laser oświetlający). Głowę okrywał jajowaty hełm powleczonej kapturem kombinezonu maskującego. Górna część twarzy ukryta była za gładką bulwą lustrzanej osłony, która kryła również systemy celownicze — ich ostatnią warstwą były owe szkła kontaktowe: yantschar mógł patrzeć na pole bitwy na dziesiątki różnych sposobów, z których ludzki wcale nie znajdował się na pierwszym miejscu. Dolna część twarzy przesłonięta była maską przeciwgazową z dodatkową osłoną, zwykle bowiem owa maska stanowiła najslabszy punkt — wybiegał z niej wąż prowadzący do butli z powietrzem, niewidoczny pod kombinezonem. Ani jeden skrawek ciała nie pozostawał odkryty. Gdyby sto, sto pięćdziesiąt lat temu pojawiły się w jakimś mieście Ziemi Stalina podobne stwory — ludzie wialiby od nich z krzykiem.

Powszechnie sądzi się — i słusznie — że żołnierz najemny, walczący za pieniądze czy też z innych powodów, z których najważniejszym nie jest uwarunkowanie kulturowe oraz osobisty stosunek do sprawy, za którą się bije, jest nic nie wart w porównaniu z żołnierzem armii regularnej. Yantscharzy byli jednakże kimś w rodzaju nowożytnych Szwajcarów — właściwie jedyny eksportowy towar Ziemi Cartera stanowili najemnicy.

Ziemia ta została odkryta przez Terajczyków. Ich Zwiadowcy szybko zorientowali się w tamtejszych wypaczeniach historii: za prezydentury Cartera (bardzo prawdopodobne, że i z jego winy) rozpętała się trzecia wojna światowa, w której poszły w ruch atomówki, wskutek czego nastąpiło jeśli nie cofnięcie się w rozwoju, to w każdym razie silne jego zahamowanie: rozpad

państw, wszelkich dawnych struktur, ogólny chaos, powszechna wojna. Zwierzęta normalne walczyły ze zwierzętami zmutowanymi, zwierzęta zmutowane z ludźmi, ci z własnymi mutantami, a ludzie mutanci z maszynami — i wszyscy między sobą. Walka, przetrwanie — być doskonałym wojownikiem, oto cel. Każde kolejne pokolenie Carterczyków było w tym lepsze.

Terajczycy popełnili zasadniczy błąd w ocenie. Ich analitycy stwierdzili, że świat, w którym panuje podobna anarchia i gdzie każdy bije się z każdym, jest bardzo łatwy do podbicia, a to chociażby na zasadzie wygrywania jednych przeciwko drugim, a także dlatego, iż Carterczycy, jeśli chodzi o technikę, pozostali ładnych parę dziesiątków lat w tyle, co — zwłaszcza w przypadku techniki wojskowej — stanowi straszliwy handicap.

Drogo kosztowała ich ta pomyłka. Yantscharzy po pierwszych klęskach szybko zjednoczyli się w obliczu wspólnego wroga, zaczęli zdobywać na nim broń, zdobyli także nierozważnie przerzuconą na ich Ziemię Katapultę i sami jęli gnębić Terajczyków. Następnie sprzymierzyli się z Musslijczykami, którzy już od dawna mieli chrapkę na Ziemię Hanta. Musslijczycy zaczęli dostarczać im nowoczesny oręż. Trzy miesiące później prezydent Ziemi Tera podpisał układ pokojowy. Carterczycy zachowali niepodległość, Ziemia Hanta przeszła pod protektorat musslijski, ponadto Terajczycy zobowiązani zostali do zapłacenia gigantycznej kontrybucji. W zamian zaś za dostawy Musslijczycy mieli zapewnioną pomoc carterskich najemników przy kolejnych podbojach. Z czasem najemnicy ci zyskali sobie sławę wojowników wręcz niepokonanych; oczywiście wiele w tym było mitu i reklamy — lecz także część prawdy.

Yantscharów można kupić całkowicie: na czas tej akcji zamontowano im ładunki wybuchowe, aby można było szybko zniszczyć ich ubiór i broń, gdyby zaszła taka konieczność, a pomimo wysiłków inżynierów istniała w owym wypadku zaledwie pięćdziesięcioprocentowa szansa przeżycia żołnierza. Ale yantscharzy i to mieli zapisane w kontraktach, podobnie jak przymusową, automatyczną amnezję w razie dostania się do niewoli.

Ostatnia wycofała się z wąwozu drużyna piąta, która w czasie wcześniejszych przerzutów przesunęła się ku kotlinie. Katapultowano ją w dwóch strzałach; potem ściągnięto Cerbera. W końcowym, parzystym strzale wrócić mieli major Crueth z szeregowym Loonem.

Zniknął Cerber, pojawiło się koło piasku (w istocie była to, rzecz jasna, półkula). Loon odchrząknął.

— Panie majorze.

— Tak, już idę.

Weszli w pole przerzutu.

— Powiecie mi, kiedy zostanie dziesięć sekund, Loon.

— Siedemdziesiąt... sześćdziesiąt osiem... Czekali.

— Dziesięć.

Crueth nacisnął guzik nadajnika.

W sześciu wbitych w ziemię w różnych punktach kotliny miniaturowych wyrzutniach nastąpiły wybuchy — pomknęły w niebo srebrne tuleje. Spadając po krótkich łukach, pozostawiały za sobą ledwie widoczne, rzadkie, białe obłoki. Wiatr szybko zmył je z błękitu.

Podobna procedura — albowiem powyższa operacja stanowiła przecież jedynie część większego przedsięwzięcia — stała się już standardem, było to obliczone na zrobienie wrażenia na „sprzymierzeńcach”. W pojemnikach, które eksplodowały nad kotliną, znajdował się pył radioaktywny. Według symulacji istniała możliwość, iż atak przeżyło kilku, kilkunastu partyzantów — nie sposób mieć pewność, gdy w grę wchodzi tak duży obszar i tak wiele zmieniających się czynników — na przykład ten arsenał przy północnym stoku: pojęcia o nim nie mieli. A więc ci,

k którzy przeżyli, mieli być odtąd żywym świadectwem siły, a przede wszystkim bezwzględności Stalińczyków — „Oto jak kończą nasi wrogowie!” Jeśliby knuli jakiś podstęp (a knują z pewnością), da to wiele do myślenia przywódcom Sojuszu. Te żyjące trupy porażone chorobą popromienną, błagające o śmierć.

Żadnego imperium nie zbudowano na miłosierdziu i dobroci.

— Już! krzyknął Loon, i nim przebrzmiał jego okrzyk, byli na Ziemi Stalina.

W wielkiej sztucznej grocie, wykutej w skale specjalnie dla potrzeb tej akcji (wszak w naturalnym swym stanie owo zbocze kotliny na Stalinie otwierało się identyczną jaskinią, co na Demajskim), jasno było jak w laboratorium; Crueth zamrugał, oślepiiony. Panował tu ów charakterystyczny dla operacji wojskowych rodzaj uporządkowanego chaosu, który tak fascynuje cywilów. Krzyżowały się komendy, ostrym głosem wypowiedane przez niezliczoną liczbę dowodzących, prawie każdy bowiem miał kogoś pod sobą; mruczały i warczały maszyny; Katapulta, wypełniająca swym metalowym cielskiem większą część grotu, z przeciągłym jękiem zatrzymywała rozpędzone w sobie mechanizmy. Wizualny rozgardiasz rzucał się w oczy — wydawało się, że to ich ktoś zaatakował, nie na odwrót.

Crueth zszedł z platformy przerzutowej po stromej pochylni; platformę stanowił walec o wysokości czterech metrów i średnicy ośmiu, wypełniony syntetycznym, dobrze ubitym piaskiem o owej osobliwej czerwonobrunatnej barwie, dobrze znanej wszystkim zwiadowcom, agentom i żołnierzom Korpusu.

Major dostrzegł Misińskiego rozmawiającego z jakimś yantscharem (Carterczyk, nadal w bojowym rynsztunku, stał tyłem do Katapulty, Misiński opierał się o skałę) i podszedł do nich.

— Misiński...

— O! — wpadł mu w słowo Misiński. — Jest pan major.

Carterczyk odwrócił się. Miał podniesioną lustrzaną przyłbicę i rozsunięte płytki systemów celowniczych. Crueth rozpoznał w nim sierżanta Murphy’ego, dowódcę przydzielonych do tej akcji najemników, i spytał:

— O co chodzi? — Spostrzegł manewr Misińskiego i warknął: — Misiński, mam z tobą do pogadania na temat tego twojego geniusza wywiadu.

— Dwóch moich ludzi zostało rannych — mruknął Murphy. — Lewa ręka, złamana kość; lewa noga, skręcona kostka.

— I co z tego?

— Forsę chcą mieć teraz.

— W kontrakcie termin wypłacania odszkodowań... Okay, będziesz miał te pieniądze.

Murphy skinął głową i nagle wyraz jego twarzy się zmienił. Crueth nie widział jego ust przesłoniętych maską, ale był pewien, że Carterczyk się uśmiecha.

— Zna pan ten kawał, panie majorze... — zaczął, przerzucając Steirlsona na plecy, gdzie czarne macki objęły go i wciągnęły w rozplaszczony na kombinezonie futerał.

— Nie teraz. — Crueth obrócił się za umykającym Misińskim — Misiński, wracasz tu!

Misiński wrócił i podając majorowi telefon, powiedział:

— Ktoś do pana.

Crueth spojrzał podejrzliwie na cywila, lecz telefon przyjął.

— Major Crueth.

— No, nareszcie.

— Meyer?

— A kto? Co za dupek twierdził, że cię nie ma?

— Bo mnie nie było. Ale że dupek, to prawda.

— Dunlong cię chce.

— Co to znaczy: chce? Zakochał się?

— Nie utrudniaj. Ma dla ciebie jakąś robotę.

— A czym ja się teraz według niego zajmuję? Jak posiadam zdolność rozmnażania się przez podział, to go powiadomię i wtedy nawet siedem robót naraz będę w stanie wykonywać. Na razie jestem człowiekiem.

Na Meyerze pozornie nie wywarła żadnego wrażenia ta, jak na Cruetha, wstrząsająco długa wypowiedź. — Zostałeś zdjęty. Misiński przejmie po tobie tę operację; część wojskowa właściwie się przecież już zakończyła. Dziś wieczorem masz się zgłosić w sto szesnastce.

— Że co?!

Meyer przezornie się wyłączył.

Crueth na moment przymknął oczy i zaklął.

Kiedy je otworzył, był już niemal spokojny.

— Misiński!



Piątą Aleją szła demonstracja związkowców. Demonstrowali przeciwko zatrudnianiu na Ziemi Stalina robotników z Ziemi O’Liete’a; ta nieprawdopodobnie tania siła robocza pozbawiała setek tysięcy niewykwalifikowanych Stalińczyków miejsc pracy, a ich rodziny jedynych źródeł utrzymania. Celiński wszedł do salonu AAA, by bezpiecznie przeczekać tu marsz. Gigafony przywódców ryczały ogłuszająco, niknął w tym hałasie nawet warkot kołujących wyżej bezzałogowych policyjnych śmigłowców: płaskich, wąskich maszyn o pokracznych, modliszkowatych sylwetkach, wyposażonych w autopiloty o symulowanej inteligencji. Natomiast na ziemi towarzyszył manifestacji oddział policji konnej. Celiński obserwował to obojętnie. Zebranie u Dunlonga miało się rozpocząć za godzinę. Wsiadłszy na La Guardię z wyczarowanego meksykańskiego Paragga, skierował się, podobnie jak Praduiga, prosto do swego domu; obaj, z racji zatrudnienia w takiej, a nie innej instytucji, mieli służbowe mieszkania na przedmieściach Nowego Jorku. Jednakże córka Celińskiego nie wróciła i Janusz miał jeszcze trochę wolnego czasu; zwolnił taksówkę, poszedł piechotą. Taksiarz, imigrant z Ziemi Mussli, okłął go gęsto w przedziwnym angielskim, owej niestrawnej musslijskiej jego mutacji, w uszach Stalińczyków brzmiącej niczym podwójnie zdegenerowany gangsterski slang. Dlaczego nowojorscy taryfiarze to zawsze muszą być obcokrajowcy z wadą wymowy?

W salonie AAA spotkał czarnoksiężnika z Ziemi Ziem, z którym podczas feralnego rekonesansu na tym wtórnie średniowiecznym świecie siedział w jednej celi, oczekując na proces przed trybunałem papieskim, a którego miał za zmarłego. Lecz nie tyle zaskoczył Celińskiego fakt, iż Vaudremaux żyje, co miejsce jego pobytu; wszak Ziemia Ziem, jednostronnie jawna kolonia Stalina, wciąż objęta była przez Piąty Departament pełną kwarantanną.

Podszedł, złapał czarnoksiężnika za ramię.

— Co ty tu robisz, u licha? — spytał w ziemickiej neolacinie.

Vaudremaux obejrzał się; rozpoznał Celińskiego i wyszczerzył zęby. Był w gustownym, ciemnym garniturze o terajskim kroju, długie, kruczoczarne włosy splecione miał w warkocz; na palcach pierścienie, w nosie kolczyk. Uścisnął mocno dłoń Janusza.

— Co za spotkanie!

— Ja myślę! Duch zmarłego z innego świata!

Vaudremaux zaśmiał się głośno; czwórka Murzynów studiujących kopię hantyjskiej wersji *Ostatniej wieczerzy* tamtejszego Leonarda da Vinci obejrzała się nań zgorziona. Celiński zerknął na zewnątrz: demonstracja już przeszła. Pociągnął czarnoksiężnika, wyszli na ulicę. Vaudremaux sięgnął do kieszeni i włożył na nos filtry powietrzne.

— Nie mogę się przyzwyczaić do tego smrodu — mruknął.

Skęcili, i za chwilę znowu. Janusz rozglądał się za jakąś małą, cichą kawiarenką. Przechodząc przez ulicę, lawirowali pomiędzy unieruchomionymi w korku samochodami; Celiński spostrzegł, jak niewiele z nich to wozy stalińskiej produkcji: parę mazd, fordów, nissanów — reszta to hantyjskie anaguy, denatrie, amuxy i sportowe coula’e; nawet żółto pomalowane taksówki były autami obcoziemnej produkcji. Mijany policjant wypisywał mandat źle zaparkowanemu amuxowi na

dyplomatycznych numerach, należącemu do carterskiego przedstawicielstwa.

— Samochody — parsknął Vaudremaux.

Weszli do „Nitico”, dwupiętrowej kafejki prowadzonej przez stare musslijskie małżeństwo; usiedli w kącie i zamówili *fautre mauchois*, specjalność zakładu. Celiński, który gustował w musslijskiej francuskiej kuchni, zachwalał potrawę czarnoksiężnikowi. Vaudremaux wyraził tymczasem swoje zdziwienie obserwowanym w Nowym Jorku przemierzaniem różnoziemnych kultur.

Janusz uśmiechnął się pod nosem.

— Mała Mussla rozrasta się jak rak. Pochłoneła już Małą Italię; była prawdziwa mafijna wojna, wyrzynali się dziesiątkami.

— Nie rozumiem, czemu na to pozwalacie. Celiński wzruszył ramionami.

— Takie prawo. Nikt nie protestuje w *UEO*, każdy się boi zamknięcia innych Ziemi. Otwarte, prywatne Katapulty są najlepszą gwarancją pokoju. Ty tego może nie rozumiesz, ale ten strach przed konfliktem międzyświatowym jest bardzo duży. W czasach wewnętrznej zimnej wojny powstrzymywała nas pewność samozagłady: jak już by ktoś zaczął, to koniec z całą planetą. Ale ze świata alternatywnego możesz spokojnie oklepać wodorówkami inną Ziemię, a sam jesteś bezpieczny; na dodatek technologia Katapult uniemożliwia zastosowanie jakiegokolwiek systemu obronnego. Kolonijne Ziemie nafaszerowane są więc Katapultami z wielomegatonowymi ładunkami umieszczonymi w ich polach przerutu, Katapultami zaprogramowanymi na automatyczne kontruderzenie w ojczyste Ziemie nieprzyjaciół, gdyby po naszej ojczystej Ziemi nic już nie pozostało i nie miał kto się mścić; wszechmożliwościowy holocaust na zasadzie odwetu martwej ręki. Wszyscy się boją. Tylko w strachu pokój.

Vaudremaux pokręcił głową.

Zadzwoił telefon Janusza. Zwrotnicowy wyjął go, rozłożył. Rozmowa była z Ziemi Tera: prowadzili ją krótkimi, urywanymi zdaniami. Uzyskanie ciągłej łączności pomiędzy dwoma równoległymi wszechświatami jest niemożliwe; a taka rwana, fragmentaryczna łączność stanowi efekt użycia małopolowych Katapult *AT&T* o wysokiej częstotliwości przerzutów terabajtowych nośników informacji, każdorazowo od nowa odczytywanych i zapisywanych. Z uwagi na energie, konieczne dla utrzymania Katapult w owym „cyklu rezonansowym”, telefoniczne rozmowy międzyświatowe były niezwykle drogie, raczej nie dzwoniono na inną Ziemię z błahych powodów.

— Co się stało? — spytał czarnoksiężnik znad parującej kawy, gdy Celiński już z powrotem złożył i schował aparat.

— Ambasada. Chcą mnie powołać na eksperta w sporze o piekielną Wenus. Nieważne. Słuchaj, Vaudremaux, ty mi jeszcze wciąż nie powiedziałeś, jakim cudem dostałeś się na Stalina.

— Ach, to prawdziwa historia miłosna. Jest w Zwiadzie niejaka Pauline von Kreuz. Znasz ją może?

— W Zwiadzie są tysiące ludzi.

— W każdym razie kochana Pauline nie mogła patrzeć, jak łamią mnie kołem: wzięła Cytadelę szturmem i uwolniła mnie.

— Sama jedna?

— No... ponoć przekabaciła dwóch yantscharów; myśleli, że taki jest rozkaz.

— Rany boskie... że też ja o tym nie słyszałem...!

— Usłyszysz, usłyszysz. Będzie proces, będą ją sądzić z tuzina paragrafów.

— A co z tobą? Jaki ty w ogóle masz status prawny? — A jak myślisz? Piąty Departament zaangażował mnie jako rzeczoznawcę, biegłego czy kogoś takiego... Nie mogli mnie odesłać, a nie zdecydowali się uspić. Mam paszport, jestem Stalińczykiem. No, Janusz — teraz my koledzy po

fachu. Gdzie to żarcie?

Celiński wciąż niedowierzająco kręcił głową.

— Przecież ta Pauline musiała kompletnie zidiociec! Wywalą ją na zbity pysk i wyślą do Piekła!

Wielka miłość, też coś. W życiu się już nie zobaczycie.

— Też tak myślę.

— Coś nie bardzo cię to martwi.

— To ona się zakochała, nie ja.

Zwrotnicowy spojrział uważnie na uśmiechniętego Vaudremaux.

— Przyznaj się — szepnął. — Jak tyś to zrobił?

— Ostatecznie jest się tym czarnoksiężnikiem, no nie?

Przyniesiono *fautre mauchois*. Zaczęli jeść.

Janusz popatrywał to na Vaudremaux, to przez okno, ponad gigantycznym korkiem samochodowym, na widmowe tablice informacyjne mdło rozjarzone przed ścianą przeciwnego budynku: wskaźnik Dow–Jonesa sinusoidował w okolicy linii wsparcia, staliński EPT (współczynnik wypadkowy kursów głównych walut danej Ziemi) dołował, musslijski natomiast nieubłaganie piął się wzwyż. „Mussla nas w końcu podbije gospodarczo”, westchnął Celiński w duchu, „nie będzie żadnej inwazji”.

— Powiedz mi — zagadnął pomiędzy jednym kęsem a drugim — jak ci się podoba ten świat? Co cię najbardziej zdziwiło?

— Mmm... nie jesteś specjalnie oryginalny, każdy mnie o to pyta.

— I co odpowiadasz?

— Różnie. Zależy, ile mam czasu.

— Teraz masz dosyć. Powiedz prawdę.

Czarnoksiężnik zamyślił się; przeżuając, grzebał machinalnie widelcem w talerzu. Spoglądał gdzieś w bok. Najwyraźniej mówienie prawdy nie należało do jego naturalnych odruchów. Celiński pamiętał z owej ciemnej, cuchnącej, zaszczurzonej celi inkwizycyjnych kazamatów zupełnie innego Vaudremaux. Ludzie się zmieniają, zazwyczaj na gorsze, ponieważ mało kto jest w ogóle w stanie sobie wyobrazić lepszą wersję siebie.

— Chodziłem po kościołach — zaczął czarnoksiężnik wolno i cicho. — Słuchałem mszy, obserwowałem ludzi, rozmawiałem z księżmi. Oglądałem telewizję. Grałem na komputerach, wchodziłem w *virtual reality*. Czytałem książki. Skleciło mi się takie hasło: Bóg wirtualny

— Co...?

— Słuchaj, słuchaj. — Popił wodą mineralną. — Ja jestem jak gdyby z przeszłości; ale znam przecież waszą historię.

Ja jestem z przeszłości, ze świata, którym kiedyś był Stalin, i widzę różnice. A pamiętaj, kto ci to mówi: heretyk na stos przeznaczony, sługa diabła. Więc ta różnica to jest Bóg wirtualny. Bóg chwilowy; istniejący jedynie w wybranych momentach, sytuacjach, miejscach. W straszliwym tempie postępuje u was atomizacja postrzegania świata. Niegdyś świat był całością i każdy jego element łączył się z wszystkimi innymi w złotych proporcjach, niezmienną równowagą filozofii bytu. Teraz widzenie świata rozszczepiło się: jeśli choroba, to mikroskopy, chemia, medycyna wyspecjalizowana; jeśli śmierć, narodziny — pstryk, wchodzimy w przestrzeń religijną — ewangelizacja telewizyjna, oto prawdy ostateczne z ust bohatera opery mydlanej; a jeśli miłość, to psychologia, podświadomość, Freud, i znowu inny świat, niekompatybilny z resztą. Nawet gorliwy katolik pomyśli o Bogu jako Bogu właśnie jedynie w kościele, na pogrzebie czy podczas teologicznej dyskusji bądź skłaniającej do podobnych refleksji lektury, choć to już rzadziej. Poza tym — Bóg jest

jedynie słowem, bladym skojarzeniem, postacią z mitologii stojącą na równi z bogami greckimi; widmem ze świata *virtual reality*. To jest Bóg wirtualny. Zamknięty w czysto sakralnym oprogramowaniu rzeczywistości. Na cmentarzu jesteś chrześcijanin, na giełdzie makler, w urzędach podatnik, na ulicy kierowca, w domu mąż; coraz mniej punktów wspólnych. Wasza kulturosfera rozszczepia się jak te światy alternatywne, odchodzi gałęziami w różnych kierunkach, potrzebujecie Katapulty, żeby przeskoczyć ze świata psychologii do świata religii. A ja pamiętam, znam średniowiecze. Znam czas, gdy świat był jednością. Ja jestem z tego czasu, z tego świata. Moja pamięć nie jest podzielona na sektory odczytywalne jedynie pojedynczo. Chciałem porozmawiać o ekonomii systemu kolonialnych Ziem w kontekście ostatniej encykliki papieża. Nie było z kim, ludzie nie pojmują, o czym mówię, w ekonomii nie ma Boga. — Vaudremaux odłożył sztućce, pochylił się nad blatem, po czym spytał w swym kalekim stalińskim angielskim: — Czy ty mnie słuchasz, czy ty mnie rozumiesz, Janusz?

— Późno już, muszę iść, Dunlong czeka.

— Pozwolicie panowie, że was sobie przedstawię. Pan Janusz Celiński i pan Lopez Praduiga się znają; to jest major Edwin Crueth z Korpusu.

Nikt nie powiedział „miło mi”.

Lopezowi nie spodobał się Crueth. Dostrzegał w tym prawie dwumetrowym, zawodowym żołnierzu niepokojącą symetrię siły ciała i woli. Lopez nie lubił takich ludzi. Nie potrafił nimi sterować. To go deprymowało.

Natomiast Celiński najwyraźniej nieźle się bawił. Pomrukując coś pod nosem, uśmiechnięty lekko, przyglądał się bezczelnie Cruethowi. Crueth odpowiadał mu uśmiechem zaskakująco szczerym.

Lopez odchrząknął.

— Nie chciałbym psuć ci zabawy, Johny, tak jak ty mi zepsułeś urlop, ale...

Dunlong zamachał rękoma.

— To był twój wybór.

— Nie powtarzaj mi tego, bo jeszcze zmienię zdanie.

— Ale też ty nie wypominaj mi rzeczy, których nie zrobiłem.

— Kusicielu. Specjalnie podesłałeś mi Celińskiego. Przez cały czas lotu do Tenochtitlan, a potem do Nowego Jorku, Celiński wymigiwał się od odpowiedzi, dlaczego to nie zabrał się razem z Ulrichem do przekonywania Lopeza i pozostał w helikopterze, choć Dunlong wydał mu tak wyraźne polecenie; Lopez podejrzewał, iż ze strachu przed Rosalie. Jednocześnie inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli Dunlong wysłał po niego Celińskiego właśnie w nadziei, iż Praduiga pomyśli to, co pomyślał? Jeśli to zmyłka, podstęp? Wszak gdyby nie mimochodem rzucona uwaga Ulricha, nigdy nie zgodziłby się na przerwanie dopiero co rozpoczętego urlopu. Ani Ulrich — ani Celiński — słowem się nie zająknęli o nowej Nici. Dyrektor Piątego Departamentu mógł to zaplanować, świadomie zagrać na przysłowiowej podejrzliwości Praduiga; trzecie dno? Może więc i Celiński celowo chciał odsunąć Lopeza od sprawy, w końcu Rosalie nie demon.

Głębokie i powikłane były intrygi Dunlonga.

— To zagranie poniżej pasa — ciągnął Lopez. — Ty wiedziałeś, że tylko jeden wniosek mogę z tego wysnuć. To nie fair.

Dyrektor się śmiał.

— O czym wy mówicie? — zirytował się Celiński.

— Nić — rzucił Lopez w przestrzeń.

— Nić — przyświadczył rozbawiony Dunlong.

Celińskiemu opadła szczęka.

— Nie wiedziałeś? — zdziwił się Praduiga.

— Nie wiedział — przyznał Dunlong. — Mógłby ci powiedzieć, zanim byś się zgodził, a tobie diabli wiedzą co chodzi po głowie.

— Myślałem, że to podstęp podwójny.

— Przecenisz mnie.

— W życiu mi się to nie zdarzyło.

— Zaraz, zaraz — włączył się Celiński. — Co z tą Nicją? Kiedy ją złapaliśmy?

— Miesiąc temu. Niecały.

Lopez uniósł brwi. — Trochę szybko jak na analizę. Zwrotnicowi sporządzili wykres? Drzewa?

— Po minie Janusza mogłeś się zorientować, że Zwrotnicowych jeszcze tam nie było — oznajmił

Dunlong, *de facto* znów wykręcając się od jednoznacznej odpowiedzi.

— Zwiadowcy? — indagował Lopez.

— Poniekąd.

— To „poniekąd” oznacza coś paskudnego.

— Masz rację.

— Może byś to wszystko opowiedział w jakimś porządku; ciągnę z ciebie, jak z jeńca.

Dunlong zapalił sobie cygaro i zaciągnął się głęboko.

Przyjął ich w saloniku przylegającym do głównej sali konferencyjnej. Było to niewielkie, ciemno wytapetowane pomieszczenie, wyposażone w sześć niskich foteli, o podłodze przykrytej ręcznej roboty dywanem z Ziemi Ziemi. Za oknem błyszczał w promieniach zachodzącego Słońca niebosiężny główny budynek Ministerstwa Kolonii; za nim, niewidoczne, wznosiły się wysokościowce Departamentów Trzeciego i Czwartego. Pierwszy i Drugi nie istniały, wchłonął je i przejął ich funkcje kierowany przez Johna C. Dunlonga Departament Piąty, aktualnie odpowiedzialny za odnajdywanie nowych Ziemi, zwiad, analizę historyczną i podbój — w istocie biurokratyczno—militarne imperium Dunlonga, tego nowożytnego Hoovera, posiadało większe prerogatywy niż niejeden ministerstwo, i wciąż się rozrastało.

W oddali, prawie na horyzoncie, lśnił toroidalny kompleks budynków *United Earths Organization*, wzniesiony w miejscu, które niegdyś zajmowała siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jego lokalizacja na Ziemi Stalina zaakceptowana została z racji jej „niewątpliwych zasług położonych na polu kontaktów z innymi światami”.

— Jak już powiedziałem, złapaliśmy tę Nicję miesiąc temu. Najpierw poszedł klasyczny zwiad automatyczny: sekundowe przerzuty maszyn badawczych. Zgodnie z procedurą, objęliśmy nimi obszar całego globu. Zestawienie wyników było obiecujące, jak zwykle. Atmosfera cudo, żadnych zanieczyszczeń, mówili autorzy raportu. Na co inni, że jak nie ma zanieczyszczeń, znaczy: nie ma tam ludzi albo nie wyleźli jeszcze z jaskiń. Zdjęcia nieba nie wykazały zmian w układzie gwiazd, co wyklucza odległe czasowo deformacje, nie zauważono też satelitów. I znowuż: jedni twierdzili, że tym lepiej, nie ma satelitów, to i kłopotów będzie mniej; a drudzy, że to skutek niedorozwoju umysłowego mieszkańców. Dokonywaliśmy pikosekundowych dwustrzałów nad nocną półkulą, z Katapult orbitujących, żeby zarejestrować światła domostw, jakichś większych skupisk, czy nawet ogniska. Efekt mierny: nie mamy pewności co do ich sztucznego pochodzenia. To był pierwszy etap, trwał dwa tygodnie — dostroiliśmy wówczas wszystkie Katapulty, są teraz bezpieczne jak liniowe.

Dunlong na chwilę przerwał, by artystycznie wydmuchnąć dym.

— Drugi etap to głęboka penetracja. Jak panowie się orientujecie, polega on na wysyłaniu na kilkunastominutowe zwiady samodzielnych decyzyjnie maszyn, których jedynym zadaniem jest jak najwięcej zobaczyć, usłyszeć i wywąchać. Z uwagi na brak satelitów postanowiliśmy wpierw puścić naszego niskoorbitalnego szperacza. Zwinęliśmy go wojskowym, wywiad używa tego malucha do rejestracji ruchów warg rozmówców, z których odtwarzają sobie potem treść rozmowy.

— Skoro to taki cud techniki, to, jak znam życie, coś musiało trzasnąć — zauważył Lopez.

Dunlong uśmiechnął się krzywo. — Gdzież te czasy łuku i strzały, a? Nie przerywaj mi z łaski

swojej.

— A co, nie mam racji?

— Rację masz. Powiniennem cię zatrudnić na pół etatu jako zawodowego pesymistę. Wysłać wysłaliśmy go, ale z powrotem ściągnęliśmy tylko próżnię.

— Nie będę złośliwy i nie spytam, ile coś takiego kosztuje.

— Jaki nie będziesz? Prosiłem cię: zamknij się, Lopez. — Dunlong rozgniół resztkę cygara. — Więc tak. Spróbowaliśmy z kolei satelitów ze zmienną asekuracją. W istocie był to powrót do etapu pierwszego. Katapulta, rozumiecie, strzelała tak szybko, żeby pomiędzy kolejnymi przerzutami przekaźnika nie mogło zajść nic nie kontrolowanego. Jednocześnie mieliśmy dzięki temu prawie bezpośrednią łączność ze szperaczem. To znaczy do czasu. Nagle łączność urwała się i w fazie powrotu asekurujący satelita przekazywał jedynie informację o braku informacji. Przy dwóch następnych próbach było tak samo; szperacze — jak kamień w wodę.

— Co bit, to zabit.

Dunlong spojrzał na Lopeza ponuro.

— Zrezygnowaliśmy z satelitów. Puściliśmy szperacze naziemne. Niektóre wracały, niektóre nie. Mamy bogaty bank danych na temat tamtejszej roślinności, zwierząt, i tak dalej. Wykluczaliśmy również istnienie tam jakichś śmiertelnych dla Stalińczyków mutacji wirusów. W ewolucji żadnych znacznych odchyłów.

— Ludzie? — spytał Celiński.

— Ani śladu.

— Ślad jest — zauważył Lopez. — Maszyny, które nie wróciły.

— Myślisz, że przerobili je na konserwy? — ironizował Celiński.

— He, kochany, te tak zwane naziemne szperacze to nie byle bydlaki. Takie czołgi w miniaturze; robią je na licencji Cerberów.

Major Crueth, najwyraźniej znudzony jałowym sporem Lopeza i Celińskiego, zwrócił się do Dunlonga: — Co z tymi Zwiadowcami?

— Jakimi Zwiadowcami? — Celiński nie zrozumiał.

— Tymi, co poniekąd — mruknął Praduiga.

— Wysłaliśmy ich siedmiu — rzekł Dunlong. — Po jednym z Los Angeles, Kairu, Berlina, Londynu i Ałma Aty i dwóch znad Zatoki Meksykańskiej. To jest trzeci etap. Właściwie nie powinniśmy do niego przechodzić, nie zaliczywszy poprzednich, ale nie było wyjścia; moja decyzja, ja się podpisałem.

— No i?

— Mhm... żaden nie wrócił.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Urodziwe córki wodzów autochtonów? — rzucił martwy żart Celiński.

— Chciałbym widzieć, Johny, jak się będziesz z tej indolencji tłumaczył przed Komisją.

— Nie twoje zmartwienie — odmamrotał twardo Dunlong.

— A owszem, mam wrażenie, że moje — natarł Praduiga. — Po pierwsze: ściągnąłeś tu, na równych prawach, wojskowego, specja od akcji w terenie — jak wnoszę z naszywek, z Korpusu Inwazyjnego. Po drugie: zupełnie niepotrzebnie zapewniłeś nas, że Katapulty wycelowane w tamtą Ziemię są teraz bezpieczne jak liniowe, o ile pamiętam. Nie podoba mi się ta kombinacja.

— Jestem pełen podziwu — mruknął Dyrektor, z miną całkowicie przeczącą wypowiedzanym słowom.

— Za to mi płacisz. Żebym się nie dał zwieść pozorom.

— Hej, zaraz. — Celiński zaczynał coś podejrzewać. — O co tu chodzi?

— To my mamy być następną porcją armatniego mięsa — wymamrotał tym swoim gładkim basem Crueth.

Zwrotnicowy wytrzeszczył oczy.

— Ty na mózg upadłeś, Dunlong, demencja starcza cię dopadła. Masz nas za samobójców?

Dyrektor Piątego Departamentu Ministerstwa Kolonii Ziemi Stalina uciekł spojrzeniem na sufit.

— Major Crueth samobójcą jest z zawodu. Ty, Janusz, jesteś samobójcą z natury; pamiętasz jak na Ziemi Ziemi grałeś w kości z inkwizytorem o własne życie?

— A ja? — spytał Lopez.

— Ty też się zgodzisz.

— Dlaczego?

— Mnie się pytasz? A dlaczego tu przyleciałeś? Moja intryga, a? Myślałeś, że to Nić — no i jest Nić. Więc co? Zrobisz mi na złość i wycofasz się?

— I ja ciebie przeceniam? Ja ciebie przeceniam?

— Taak; takie czasy, Lopez. W twoich aktach mam i to, o czym marzysz, i czego nienawidzisz; mam cię rozłożonego na słowa i procenty. Różni są specjaliści.



W zapadającym zmroku, w chłodnej ciszy wieczoru, trwał taniec cieni, cienie tańczyły w świętym obrządku, przywołując noc. Choreografem był wiatr, każde drzenie poruszonej przezeń gałęzi natychmiast odbijało się na powierzchni gruntu polany zmianą układu plam jasnych i ciemnych.

Powoli kontrast zmniejszał się. Ostatecznie zapanowała niepodzielnie gruboziarnista, mroczna szarość. Polana stała się jednym wielkim wypełnionym nocą naczyniem.

Lasek spał.

Nie ocknął się nawet wtedy, gdy w jego sercu pojawiło się obce ciało. Wyższe od krzaka, niższe od drzewa. Węższe od pnia, grubsze od gałęzi. Nieruchome. O nieregularnym zarysie. Człowiek. Stał i patrzył, słuchał. Nie drgnął przez prawie minutę: posąg nieomal. Raz wiatr załopotał połą jego płaszcza, rozwiął włosy, zafurkotał rękawami.

Potem człowiek zniknął.

Lasek spał.

Nie zbudził się i przy powtórnym wtargnięciu weń skrawka obcego świata. Tym razem było to pięć nieforemnych brył. Pięciu ludzi. Ramię w ramię, ustawieni w okrąg, twarzami na zewnątrz. Mężczyźni'. Długie płaszcze. Głowy odkryte. Ręce wolne. Stopy szeroko rozstawione dla utrzymania równowagi.

Jeden z nich poruszył wargami; żaden dźwięk się zza nich nie wydostał, lecz pozostała czwórka doskonale słyszała nie wypowiedane przezeń słowa. Mężczyźni wszczepione mieli w krtanie i języki urządzenia rozszyfrowujące z niemych ruchów organów mowy, co chce tym sposobem ich posiadacz powiedzieć, i transmitujące jego słowa, już jako zakodowaną zbitkę dźwięków, do „impulsowników” interlokutorów: miniaparatów przesyłających z kolei owe dźwięki bezpośrednio do ośrodków słuchu w mózgu, a to w postaci impulsów właśnie, przerzucanych na neurony. W programie każdej gadałki uwzględniony był indywidualny sposób mówienia jej posiadacza, tak iż mimo wszystko można było rozpoznać rozmówcę po głosie, chociaż głosu nie wydawał. Laryngofon ostatniej generacji: mówisz, ust nie otworzywszy, nikt nie jest w stanie poznać — nie podłączywszy się do gadałki — co takiego mówisz i czy w ogóle coś mówisz.

— Spokój — „powiedział” major Crueth. — Nikogo. Tam po prawej to lis.

Po czym wykonał jakiś dziwny ruch dłonią i zameldował:

— Crueth na Zapis. Jesteśmy. Bez kłopotów. Amen. Słowo „amen” stanowiło powszechnie używany w całym Korpusie Inwazyjnym kod zamykający; powoli przechodzono wyłącznie na niego i kody mu pokrewne, aby przy operacjach łączonych (które zdarzały się coraz częściej) czy innych przypadkach pokrywania się języków bitewnych nie występowały zakłócenia. W Korpusie służyli ludzie z setek krajów z trzech Ziem i nie wszędzie tak rozpowszechniony był zwrot *over* lub inne, już czysto idiomatyczne. Natomiast mitologia chrześcijańska znana była każdemu.

Miniaturowa maszynka rejestrująca (milimetr na milimetr na dwa), wbita w ziemię pod stopami mężczyzn, zapisała w swej pamięci wypowiedziane przez Cruetha słowa. Co dwie minuty — w dzień co dziesięć minut — półkula gleby należąca do obszaru objętego działaniem Katapulty będzie

wymieniana przez jej „strzał”, a w to miejsce pojawiać się będzie identyczny fragment polany, również wyposażony w rejestrator. W ten sposób łączność z Ziemią Stalina zostanie utrzymana, mimo iż obydwie wszechświaty nie posiadają przecież ani jednego punktu wspólnego. Zasięg gadałek był teoretycznie nieograniczony, wszystkie transmisje zaś szyfrowane systemem kodowanego przypadku.

— Lepiej się zmywajmy z tego lasu — mruknął Lopez.

— Gdzie znajdziesz lepszą kryjówkę? — leniwie zdziwił się Crueth.

— Niepokoi mnie to, że ci Zwiadowcy musieli podobnie myśleć.

— Nikogo w to miejsce nie przierzucano. — Costa del Sol było przeciętnie popularnym terenem przerzutowym; z jednej strony, z uwagi na jego atrakcyjność dla turystów, pozwalał na względnie szybkie wtopienie się w tłum jeszcze jednego cudzoziemca, z drugiej zaś, z racji bliskości Gibraltaru, bywał aż nazbyt często strefą zmilitaryzowaną.

— Chodzi mi o to, że Zwiadowcy na pewno rozumowali w sposób poprawny, podobnie jak ty. Tak jak ich nauczono. No i co z nich zostało?

— Nie — zdecydował Crueth. — Jestem odpowiedzialny za wasze bezpieczeństwo i w tym względzie ja podejmuję decyzje. Mówię: nie. Nie przekonałeś mnie. To, że przypuszczasz, iż fakt, że ich wyszkolenie mogło się przyczynić do niepowodzenia misji, nie oznacza, iż mam je teraz całkowicie zanegować. W większej części opiera się ono po prostu na zdrowym rozsądku. Nie zacznę robić głupot tylko dlatego, że ci, którym się nie powiodło, również głupot nie robili.

Było to jedno z najdłuższych przemówień majora Cruetha.

Praduiga wzruszył ramionami. — W każdym razie dziękuję za obszernie wyjaśnienia.

— Proszę nie oczekiwać kolejnych.

Odeszli z pola przerzutowego. Dwóch żołnierzy z Korpusu odzianych w podobne płaszcze, odsunęło się na rozkaz majora kilka metrów w lewo i prawo, i odtąd utrzymywali tę odległość. Sam Crueth lekko wyprzedził Praduigę i Celińskiego, przez co znaleźli się oni w środku trójkąta, którego wierzchołki stanowili wojskowi.

Lopeza już zaczynała drażnić ta tak ostentacyjna ochrona.

Przy północnym krańcu polany teren wznosił się, po czym stromo opadał ku strumieniowi. Na szczycie owego pagórka spoczywało kilka potężnych głazów porośniętych mchem, a miejscami i trawą. Kamienny parawan.

— Tutaj — zakomenderował Crueth.

Celiński i Praduiga skrzywili się jednocześnie, jak na rozkaz. Major dostrzegł te grymasy.

— Co znowu?

— Nic.

Zarządzenie Zwiadu nakazujące dokonywać przerzutów tuż za terminatorem, po ciemnej stronie, miało wielu przeciwników, nic lepszego jednakże jak dotąd nie wymyślono. Początkowo preferowano strzały w świt, lecz ułomność tej procedury, wykazana podczas penetracji Ziemi Ziem, spowodowała zmianę pory. Teraz przierzucano Zwiadowców wieczorem, dając im całą noc na rozpoznanie terenu i przygotowanie do wyprawy. Przerzuty w dzień wykluczono. Było to zarządzenie ze wszech miar rozsądne, jednakowoż Zwiadowcy klęli je regularnie: musieli przezeń nocować po podobnych tej leśnych dziurach.

Jeden z żołnierzy — sierżant Calver, jak go nazywał major — wspiął się na głazy i umieścił tam niewielki analizator KTZ, który miał za zadanie strzec ich „obozowiska”. Dane przezeń przekazywane pojawiały się na Indeksie Cruetha, ilekroć opuścił on lewą powiekę.

Major ustawił jeszcze miniprojektory holografiku maskującego, po czym, wraz ze swymi podwładnymi, rozpląnął się w ciemności.

Celiński westchnął i zablokował gadałkę na zamkniętą rozmowę z Praduigą.

— Słuchaj, Lopez, może mi wreszcie powiesz, dlaczego się zgodziłeś na ten idiotyzm. Dunlong ma w aktach jakiegoś haka na ciebie czy co?

Lopez spojrział nań jak na wariata.

— No powiedz — naciskał Celiński. — Dlaczego?

— Wiesz, czym ja się zajmuję? — spytał Praduiga po długiej chwili, zapaliwszy hantyjskiego bezdymnego; poczęstował papierosem Janusza, ale ten odmówił.

— Nie, dzięki. Mhm... psychologia, prawda?

— W dużym skrócie. Ty rozszyfrowujesz świat, ja rozszyfrowuję ludzi. Znając różnice pomiędzy naszą a ich Ziemią, określam różnice między nami a nimi. I na odwrót. Dlaczego ten człowiek poderżnął Zwiadowcy gardło? Bo nieszczęśnik usiadł w sanktuarium po jego lewej ręce ubrany na czarno. A dlaczego nie powinien? Bo ileś tam lat temu... i tak dalej. Rozumiesz? Rozkładam ludzi na czynniki pierwsze: na przeszłość, na to, co przeżyli i czego nawet ich przodkowie nie pamiętają. To się nazywa wpływ środowiska — ciągnął z goryczą Lopez — historii, kultury, obyczajów. Nie robisz czegoś, bo chcesz to zrobić, lecz dlatego, że tak chciała przeszłość, że w ten sposób ułożyły się w tobie wspomnienia, że tak zagrał na tobie świat. Determinizm, ot co. Gdybym jeszcze znał podkład genetyczny — a przecież każdy z nas jest jedynie odwzorowaniem, rozwinięciem swego DNA, niezależnie od tego czy potrafimy go odczytać czy nie — gdybym więc znał i ów podkład, całego człowieka miałbym już zamkniętego w ciągach rozkazów przeznaczenia. Nie mamy wolnej woli; tak samo nasze poczynania analizowano by jako efekty tego, co zapisano w naszych umysłach i komórkach naszego ciała, gdybyśmy to my byli obiektem inwazji. A ja robię to na obcych Ziemiach. Nie człowiek, lecz maszyna — poznając program, według którego działa, poznaję programistę: świat. — Lopez zaśmiał się do Księżyca, który na moment wypłynął zza chmur. — Sądysz, że kim ja jestem? Też marionetką. Sznurki; Dunlong pociągnął za odpowiednie i oto rezygnuję z urlopu, oto gnam na obce światy. Sądysz, że kim ty jesteś?

— Nie wiem. Człowiekiem, sobą, Januszem Celińskim. Tak myślę — odparł Janusz, absurdalnie ostrożny w obliczu takiego Lopeza.

— Aha. Ale dlaczego tak myślisz?

Celiński prychnął, mimo wszystko zirytowany.

— Nie powiedziałaś mi, czemu się zdecydowałeś na tę wyprawę — zmienił temat.

— Ja zdecydowałem?

— Nie wykręcaj się. To prymitywne tłumaczenia, tak usprawiedliwiają się przed sądem mordercy.

Lopez wzruszył ramionami.

— Nie, nie wiem, naprawdę. Może dlatego, że wciąż mam nadzieję, iż znajdę gdzieś taki cudowny, zwariowany świat, na którym człowiek byłby człowiekiem, a nie robotem; nie wiem. — Praduiga uśmiechnął się lekko, przekrzywił głowę, machinalnym ruchem schował do kieszeni dogaszony peta bezpopielnego papierosa; przymknął oczy, jakby upity krystalicznym nocnym powietrzem. — Ja w człowieka już po prostu nie wierzę.

- Co to?
- Komar, cholera.
- Myślałem, że rano komary nie gryzą.
- Pobożne życzenia.
- Śmierć komarom.
- Śmierć!

Plask.

Szli przez jedną z kamienistych równin Andaluzji, słońce malowało długie i głębokie ich cienie. Na Ziemi Stalina zieleniłyby się tutaj owe słynne hiszpańskie winnice — to jednak nie była Ziemia Stalina i nawet nie wiedzieli, czy ewentualni tuziemcy nazywają te tereny Andaluzją.

Ubiory, które mieli na sobie, chroniły od zimna i upału, licznych rodzajów promieniowania — mogły służyć setkom przeróżnych celów, tak zostały zaprojektowane, ich celem podstawowym jednakże było umożliwienie Zwiadowcom przystosowania się do jakiejkolwiek mody — czy jej braku — panującej na penetrowanej Ziemi. Z ich części można było uzyskać ponad trzysta kombinacji. Tymczasem jednak ta ich funkcja nie miała zastosowania: Crueth pokrył grupę ruchomym holografikiem. Nie zrobiłby tego, gdyby istniało uzasadnione przypuszczenie, że cywilizacja, którą mają szpiegować, może się na tym poznać — wówczas bowiem istotnie za nikogo innego, prócz szpiegów, nie mogliby ich wziąć.

— Na godzinie piątej, trzysta stóp nad ziemią, sześć kilometrów — zameldował nagle sierżant Ho, ponuroślepe bydlę o lekko orientalnych rysach, wyższe nawet od Cruetha. — Nie wiem, co to jest, sir — mówił, wyteżając swój sztucznie sokoli wzrok. — Nie widzę skrzydeł. Nie widzę śmigieł. Nie widzę dysz ani smugi odrzutu. Nie widzę ciepła żadnego systemu napędowego. Prędkość stała, w granicach półtora Macha. Minie nas w odległości czterech i dwie trzecie kilometra. Dokładne dane rzucam panu na Indeks.

Indeksem nazywali niematerialny, trójwymiarowy ekran, „unoszący” się przed ich oczyma, a istniejący tylko w ich umysłach, działający zaś na zasadzie analogicznej do zasady działania popularnych zegarków widmowych, również nieistniejących, zaledwie „symulowanych”, a w dowolnej postaci widzianych przez użytkownika, gdy tylko przymknął on lewe czy prawe oko.

Crueth dał znak, by grupa nie zatrzymywała się, ani nie zmieniała tempa.

— Nie rejestruję działania żadnych aktywnych systemów celowniczych — kontynuował Ho. — Albo nas nie zauważył, albo ignoruje, albo pozostaje przy systemach biernych.

Obiekt po chwili zniknął za horyzontem.

— Co to było, Crueth? — spytał Lopez.

— Słyszał pan — odmruknął major. — Linia była otwarta.

— Jakim cudem to leciało?

Crueth wzruszył ramionami — postrzegli ten gest jako nagłe wydęcie się jego płaszcza: utrzymywano szyk z dnia wczorajszego i major wyprzedzał Lopeza i Celińskiego o jakieś pięć

metrów.

— Antygravitacja? — rzucił Crueth. — Telekineza?

Celiński zaniepokoił się. — Antygravitacja, myśli pan?

Cholera... moment. Mam już symulację. — Przez nie w pełni ludzki mózg mknęły mu ciągi pojęć i obrazów, generowanych przez analityczne oprogramowanie wszczepki Zwrotnicowego, a niewyraźnych poza językową przestrzenią jej sztucznych myśli. — Znajomość antygravitacji implikuje parę innych rzeczy. Rzucam wam na Indeksy; widzicie: nie jest to wesołe. Proponowałbym zdjąć to holo: osiemdziesiąt siedem procent, że znają i to.

— Zdejmujemy — zgodził się Crueth i wyłączył system mimetyczny.

— A może to w ogóle nie są ludzie? — mruknął Calver. — Co, panie majorze?

— Tylko tego nam brakowało — wymamrotał Lopez. — Nie ludzie – to kto? Mrówki? Jakich rozmiarów było to latające pudło?

— Stodoły.

— Więc raczej nie mrówki — zauważył z przekąsem Celiński.

— Chyba że dwumetrowe — zaśmiał się bezdźwięcznie Calver.

— Upiorny żart — parsknął ubawiony Janusz.

Lopez, zdziwiony, zerknął nań; Celiński się uśmiechał, by nie pozwolić wypełznąć na twarz innemu grymasowi.

— Głupoty gadacie — warknął Crueth. — Wykresu ewolucyjnego nie widzieliście? Nie ma odchyłów.

Szli.

Wspiąwszy się na kolejny pagórek, Crueth zwolnił.

— Uwaga! — „krzyknął” przez gadałkę. — Człowiek. Mężczyzna. Lat piętnaście–osiemnaście. Leży na plecach, ręce pod głową. Prawdopodobnie śpi. Czterdzieści dwa metry, prosto naprzód. Lopez. Ty.

Praduiga zaczął się wspinać na pagórek.

— W co on jest ubrany? — dopytywał się Celiński. Lopez był już na szczycie i sam go poinformował: — Tunikowate szaro–białe giezło. — Po czym jął się w szybkim tempie przebierać, usiłując upodobnić swój ubiór do ubioru młodzieńca.

— Obstawić to — rozkazał tymczasem major.

Lopez powoli zszedł z pagórka i podszedł do leżącego. Gdy tylko się zatrzymał, chłopak otworzył oczy.

Klasycznym sposobem postępowania w tej sytuacji, polecanym przez wszystkie podręczniki Zwiadowców, było wyczekiwanie z uśmiechem na twarzy, aż tuziemiec odezwie się pierwszy — wówczas można było bez kłopotów przejść na język, którym ten się posługiwał, nie zdradzając się z własną niewiedzą w tym zakresie. Wszyscy Zwiadowcy, agenci, każdy, kogo w fazie zwiadu przierzucano na obcą Ziemię, wcześniej poddawany był procesowi hipnotycznej nauki ponad tysiąca podstawowych języków, dialektów i narzeczy, jakimi mogli się posługiwać jej mieszkańcy. To oczywiście nie załatwiało sprawy, nieraz bowiem, na światach „odchylonych” dawno temu, stykano się z językami na Ziemi Stalina po prostu nie istniejącymi, oryginalnymi lub też drastycznie odbiegającymi od stalinowej ich wersji — lecz były to przypadki stosunkowo rzadkie.

Lopez milczał.

Chłopak milczał.

Ukryci poza zasięgiem ich wzroku żołnierze i Celiński wsłuchiwali się w tę ciszę.

(— A jak on skoczy mu do gardła? — niepokoił się Janusz.

— To jest ryzyko — przyznał major.)

Chłopak spytał o coś.

— Klasyczny aramejski — zidentyfikował język Ho. — Pyta, czy Lopez czegoś nie chce — dodał, zupełnie niepotrzebnie zresztą, bo wszyscy w aramejskim byli podobnie biegli.

Praduiga zwilżył językiem wargi. Od ładnych parunastu godzin „mówił” jedynie za pośrednictwem gadałki, ani słowa tak naprawdę nie wypowiedział — i teraz na moment opanował go irracjonalny strach, iż nie będzie zdolny normalnie przemówić, że gadałka odjęła mu zdolność mowy.

Była to jednak zaledwie chwila.

— Witaj — powiedział.

Młodzieniec wstał, lekko się uklonił i odparł:

— Witaj. — W jego głosie dało się wyczuć zdziwienie.

Lopez potrząsnął opuszczoną dłonią dla odpędzenia pomniejszych demonów strachu. Zaczyna się. Zagadka w zagadce. To również był narkotyk, nałóg.

Postąpił zgodnie z zaleceniami podręczników, a także zgodnie z własnym doświadczeniem: od razu dał się poznać jako swego rodzaju dziwak, obcy — nie odpowiadając na powitalne, w gruncie rzeczy, jak mniemał, retoryczne pytanie młodzieńca, lecz tak poważnie go witając. Lepiej było od początku zadeklarować się jako cudzoziemiec niż, chcąc uchodzić za swojego, narazić się później na przeróżnego rodzaju podejrzenia. Lepiej nawet za wariata robić — wariatowi wszystko wolno.

Praduiga nie był Zwiadowcą i wyprawa do obcego świata na tak wczesnym etapie jego podboju i dla niego stanowiła nowość, zwykle sporządzał swe ekspertyzy — na ten czy inny temat — kiedy dana Ziemia znajdowała się już pod skrytym bądź jawnym panowaniem jego mocodawcy; był stremowany.

— Widzisz... jestem wędrowcem. Nie bardzo wiem, gdzie się znalazłem. To znaczy... co to za miejsce.

Śmiertelne zdumienie wykrzywiło twarz chłopaka. Lopez się zdenerwował. Nie oceniłby swego zachowania jako aż tak dziwnego.

— Jesteś obcy — stwierdził chłopak w dziwnym niemieckim.

(— Jakiś domorosły poliglota — zauważył z przekąsem Celiński.)

Niemiecki. O co tu chodzi? Praduidze przemknęło, czy aby jego ubiór nie jest przypadkiem właściwy dla tutejszych Niemców. A może jakaś wycieczka z Niemiec płącze się po okolicy i młodzieniec wziął go za jej zagubionego członka?

Na wszelki wypadek odpowiedział również po niemiecku: — Tak, jestem obcy.

Chłopak milczał, gapiąc się w bezruchu na Lopeza.

— Mógłbyś mnie poinformować, gdzie się znajduję? — spytał Praduiga, nadal trzymając się niemieckiego.

Na to twarz chłopaka zadrapał boleśnie pazur chorobliwego przerażenia.

— Ty nie jesteś..... — rzekł w narzeczu Indian Navaho; czwartego jego słowa Lopez właściwie nie zrozumiał. Było to jedno z owych dziwacznych, wieloznaczeniowych słów, w jakie obfitują stare języki społeczeństw przesiąkniętych magią i mistycyzmem, żyjących w czystej, naturalnej przyjaźni i nienawiści do swych bogów. Nikt, kto nie urodził się Navaho, nie pojmie w pełni tego narzecza. Co więc oznaczało słowo wypowiedziane przez młodzieńca? Pewien rodzaj skończoności, całości; także świętość i przeznaczenie; także wyższość, boskość; także dobro.

Ledwo zamknąwszy usta, chłopak zniknął.

Major z żołnierzami, a za nimi Celiński, wypadli z pagórka — obserwowali to zdarzenie

oczyma Lopeza, słuchali za pośrednictwem jego uszu i podobnie zaszokowało ich zniknięcie tubylca.

— Co to było? — zachłysnął się Celiński, rozglądając się wokół, jakby przekonany, iż chłopak wcale nie rozpląnął się w powietrzu, lecz tylko kryje się gdzieś — gdzie?

— Czy ja dobrze zrozumiałem? — pytał major. — Miał ci za złe, że nie jesteś świętym?

Ho z Calverem, przełączywszy się na zamkniętą linię, dyskutowali nad techniką dematerializacji nastolatka — jednocześnie lustrując swymi nieludzkimi ślepiami okolicę.

— Może to od początku był hologram?

— Widziałeś na Indeksie: major miał go na wszystkich systemach.

— Może jakaś nowa generacja hologramów... — rzucił Calver bez specjalnego przekonania.

— Prędzej teleportacja.

— I co jeszcze? Nie było ruchu powietrza. To już prędzej strzał Katapulty o zmiennokształtnym polu przerzutowym.

Lopez siedział na kamieniu i nie odzywał się. Celiński kręcił z niedowierzaniem głową.

— Naszła mnie taka myśl — mruknął po chwili. — A jeśli oni używają danego języka, tak jak my akcentu albo intonacji głosu? To znaczy... każdy język ma własną charakterystykę, jeden jest twardy, jeden subtelny... Może znają — niekoniecznie przez hipnozę — wszystkie języki i używają ich kombinacji dowolnie, w zależności od tego co i jak chcą przekazać.

— Taa, rozumiem — przytaknął Crueth. — Chociaż przy zastosowaniu takiej interlingwistycznej technologii na skalę ogólnoswiatową, bardziej prawdopodobne zdaje mi się wykształcenie jakiegoś amalgamatycznego, wspólnego metajęzyka. Ale nie jestem w tym specjalistą. Nieważne, to sprawa poboczna. Mnie niepokoi jego zniknięcie. Zastanawiam się, czy w tych okolicznościach...

Celiński spojrział pytająco na Praduigę. Praduiga wzruszył ramionami.

Major machnął ręką, zablokował gadałkę i rozpoczął składanie raportu, który zostanie zapisany w jednym z dwóch naprzemiennie pojawiających się w tym świecie rejestratorów. Gdy skończył, szczerknął „amen” i milisekundowy, nasycony informacją impuls pomknął ku odległemu o kilkanaście kilometrów laskowi oraz ukrytemu w nim polu przerzutów.

— Nic — zameldował Calver. — Nikogo tu nie ma. Crueth czekał.

— Idziemy — zdecydował wreszcie Lopez.

Po półgodzinie wyszli na płaską, porośniętą wysoką trawą równinę, z rozrzuconymi tu i ówdzie skupiskami niskopiennych drzew. W oddali majaczyła cienka, ciemna kreska, która mogła być drogą.

— Droga — potwierdził major. — Nie mogę zidentyfikować typu nawierzchni.

— Ktoś tam jest — dodał sierżant Ho. — Stoi na niej. Krzaki go zasłaniają, mam go na podczerwieni. Mężczyzna, średniego wzrostu. Nie porusza się. Co on tam robi?

— Odlewa się w te krzaki — mruknął Celiński, spoglądając w niebo, kryształowo błękitne błękitem ognistego lodu.

Przyspieszyli; sierżanci wysunęli się nieco naprzód. Sierżanci, Ho i Calver, byli rodowitymi Stalińczykami: choć dyskrecja i słowo Carterczyków stały się wręcz przysłowiowe, to na tak wczesnym etapie inwazji nie korzystano z najemników, podobnie jak i z obcoziemnych ekspertów. Ho i Calver, z racji częstego operowania na obcych Ziemiach w początkowym stadium ich podboju, musieli przejść także pełne przeszkolenie Zwiadowców — w istocie byli Zwiadowcami; na Ziemi Ziemi to przecież wyłącznie Korpus zajmował się zwiadem.

Drugi napotkany tubylec okazał się trzydziestokilkuletnim mężczyzną o ogniście rudych włosach, odzianym w szerokie spodnie i przedziwną bufiastą koszulę; po jego odzieniu, podobnie jak po ubiorze chłopca, nie sposób było wnioskować o ich pochodzeniu i użytej do ich wytworzenia technologii, jeśli w ogóle jakiegokolwiek użyto.

Mężczyzna czekał na nich.

— Witajcie — rzekł, kłaniając się lekko Lopezowi, choć towarzysze Stalińczyka byli dla niego niewidoczni i nie miał prawa ich wcześniej dostrzec.

Praduiga wszedł wolno na szosę. Tak w pierwszej chwili o niej pomyślał: szosa. Lecz szosa się pod nim ugięła, zapadł się w niej po kostki — i zrewidował swój pogląd: deptak do spacerów na bosaka.

— Wyjdźcie — rozkazał przez gadałkę.

— To nie jest dobry pomysł — oponował Crueth.

— Nie możecie się dalej kryć. Wyjdźcie.

Wyszli. Rudowłosa nie okazał zdziwienia.

— Skąd wiedziałeś, że przyjdziemy? — spytał Lopez, wciąż po aramejsku, ze swobodą sugerującą, iż zna się z rudym od lat — bo i tak zachowywał się rudy. Bardzo nienaturalnie to wyglądało w oczach Praduigi.

— Tak miało się stać — odparł tubylec w tutejszej łacinie.

— Powiedział ci ktoś?

— Nie.

— Otrzymałeś od kogoś wiadomość?

— Tak było mi przeznaczone. — Łacina. — To światło. — Staroegipski. „Światło” oznaczało tu również coś boskiego.

— Nie rozumiem cię, człowieku — rzucił Lopez po angielsku.

— Bardzo mi przykro. — Starogrecki. Rudy aż skręcił się ze zmartwienia.

Praduiga przyglądał mu się podejrziwie.

— Jak się nazywasz? — spytał Celiński, również po angielsku.

— Różnie.

— A na przykład? Jak my cię mamy nazywać?

— Ohlen — rzucił mężczyzna z wahaniem.

— Dlaczego używasz tylu języków? — spytał Lopez, akceptując pomysł Celińskiego, by ograniczyć się do angielskiego, skoro dla Ohlena nie ma to znaczenia, a oni w angielskim czują się najpewniej.

— Wy też.

— Skąd je wszystkie znasz? — nie ustępował Praduiga.

— Znam.

— Kto cię ich nauczył?

— Nikt. Mam je — odpowiedział rudy, tym razem w którymś z afrykańskich narzeczy, a Lopezowi już nie chciało się dochodzić, co oznacza stwierdzenie, iż on te języki ma. Przesłuchiwali tego Ohlena, niby podejrzanego w sprawie o morderstwo; co dziwniejsze, sam Ohlen zdawał się nie mieć nic przeciwko temu. Realność całej tej sytuacji bladła i bladła. Może będziemy zmuszeni go zabić, przemknęło Lopezowi.

— Gdzie my się właściwie znajdujemy? W jakim państwie?

— Państwie?

— Nie istnieje u was podział na państwa? — spytał Praduiga, całkowicie już rezygnując z udawania nawet cudzoziemca.

— Od ponad dwóch tysięcy lat — odparł Ohlen, ani trochę nie zdziwiony.

— Ale jakiś rząd macie.

— Nie, nie mamy żadnego rządu.



(— Cholera — mruknął przez gadałkę lekko zdezorientowany Lopez.)

Podstawową rzeczą, jakiej godni tego miana Zwiadowcy powinni się dowiedzieć, były kwestie podziału politycznego danej Ziemi oraz rządów na niej panujących. To winno stanowić dla Zwiadowcy sprawę pierwszoplanową. Zwiadowca bez przerwy musiał myśleć — i działać — mając na uwadze rychłą inwazję.

Procedura podboju Ziemi, na której nie istnieje jedno potężne mocarstwo ani nie ma silnej organizacji ponadpaństwowej, a zatem procedura stosowana w większości przypadków, choć skomplikowana, była już dość dokładnie opracowana, zresztą głównie metodą prób i błędów. Najpierw doprowadzano do zwycięstwa jednej ideologii (dobrze, gdy była ona zgodna z ideologią odkrywcy, aczkolwiek nie stanowiło to warunku *sine qua non*) i do ogólnoświatowego zjednoczenia na jej bazie, pod kontrolą już jedyne mocarstwa: zanikają wówczas granice, powstają struktury bardziej luźne. Konieczna jest unifikacja wartości kulturowych, historycznych, etycznych — to osłabia związek z danym krajem, a więc i z Ziemią w ogóle, osłabia również same te wartości. Potem powoli rozpoczyna się proces dyskredytowania wszelkich organizacji i osób, mających wpływ na opinię publiczną, a które mogłyby później stanowić przeszkodę, utrudnienie — proces ten ma być niezauważalny, wskazane jest jego maksymalne rozciągnięcie w czasie. (Na tym etapie wprowadza się kontrolę urodzin, obowiązek rejestracji materiału genetycznego, osobiste identyfikatory itd.) Z kolei dąży się do stworzenia niezależnego od czyjejkolwiek woli a podatnego na kryzysy systemu ekonomicznego. Kryzys prędzej czy później nadchodzi i dopiero wtedy wkraczają zdobywcy, głosząc: „Oto niesiemy wam pomoc, bracia z innego świata!” Mieszkańcy owego świata są już wówczas tak rozmiękczeni, iż nie mają siły ani chęci, by walczyć. A nawet gdyby — i tak nie wiedzieliby o co.

Lopez napisał swego czasu, poniekąd dla zabawy, coś w rodzaju poradnika dla podbijanych; wciągnięto go zresztą na listę lektur ponadobowiązkowych dla kandydatów na Zwiadowców. Otóż Praduiga wyluszczał w nim, po czym można poznać, iż szykuje się inwazja na twój świat, iż dana rzeczywistość infiltrowana jest przez intruzów spoza owej gałęzi możliwości. Jeśli mianowicie następują na twojej Ziemi nagłe zmiany w konfiguracji układów władzy, załamują się długofalowe socjopolityczne procesy, wbrew logice układu się historia; jeśli następuje wzmocnienie dążeń pacyfistycznych, zjednoczenie w tych dążeniach, rozbrojenie; jeśli rośnie rola instytucji międzynarodowych, ogólnoświatowych; jeśli królować zaczyna, jako uniwersalny, jeden język na Ziemi; jeśli podobnie jeden wzór kulturowy zaczyna dominować; jeśli tworzy się wokół nauki, naukowców sprzyjająca atmosfera więcej niż akceptacji; jeśli się rozsypują, niby od środka, Kościoły, sypią się tak wszystkie religie i autorytety, poprzez doktrynalną i wywalczoną świętość dotąd nienaruszalne — pierwsze to niechybne znaki, iż niewidoczni emisariusze obcego uniwersum, za niewidoczne sznurki pociągając, przygotowują już świat twój do wchłonięcia w swe międzymożliwościowe imperium wybrańców przypadku. (Prawdę mówiąc — nie da się ukryć — także Ziemia Stalina pasowała do takowego schematu. Nie tak dawno po Departamencie krążyła następująca zagadka—dowcip: „Agentem jakiej nad-Ziemi jest Dunlong?” I Dunlong się z niej śmiał. Inna rzecz, że będąc tym agentem, tak właśnie powinien postępować).

Właściwie zatem jedynym systemem gwarantującym niepodległość, a przynajmniej znaczne utrudnienia w podboju i niemożność potajemnego jego przeprowadzenia — jest anarchia, czyli brak jakiegokolwiek systemu.

I oto Lopez dowiaduje się, iż na tej Ziemi nie tylko nie ma zorganizowanych państw, ale w ogóle żadnej władzy.

— A handel? Kto nim zawiaduje?

— Handel? — zdziwił się rudowłosy.  
— Rany boskie...! — jęknął po polsku, prawie błagalnie, zrezygnowany Celiński.  
— Co? — Ohlen zerknął nań pytająco.  
Celiński machnął ręką. — To takie powiedzenie.  
Lecz nie na darmo tak wysoko opłacano Praduigę — wyjaśnił uprzejmie.  
— Chodziło mu o rany Jezusa Chrystusa.  
— Co? — powtórzył wyraźnie zdezorientowany Ohlen.  
— On został ukrzyżowany...  
— Ukrzyżowany?  
— Nie słyszałeś o Nim? W Betlejem urodzony?  
— Tak, tak. Ale On nie został ukrzyżowany.  
— A co się z Nim stało?  
— Nic/wszystko. — Rudy korzystał z jakiegoś mętnego narzecza.  
— To jak umarł?  
— Nie umarł.  
— No tak. Wstąpił do nieba.  
— Nieee.  
— Znaczy: nadal znajduje się na Ziemi?  
— Jasne.  
Celiński przekrzywił głowę.  
— Ty... wierzysz... w tego Boga?  
Ohlen zdziwił się przeraźliwie; wszystkie emocje, nawet najdrobniejsze, widoczne były na jego twarzy, niczym na ekranie. Teraz zdumienie wręcz eksplodowało z niego.  
— Czy wierzę? On jest.

Ohlen zaprosił ich do swego domu, położonego w pobliskiej dolince porośniętej rzadkim, parkowym w swym porządku lasem. Płynęło tam kilka potoków, lśnił staw.

Owa droga, której nawierzchni nie mógł się Praduiga nadziwić, prowadziła właśnie do domu rudowłosego. Wiła się między drzewami zupełnie chaotycznie, wyglądało na przypadek, iż w końcu — co ujrzeli z grani — dociera przed drzwi jego dworku.

Ptaki śpiewają, słońce jak blask kryształu, dumał, po raz pierwszy patrzący na ten świat ludzkimi oczyma Calver, powietrze niczym nektar, w nim zapach wiecznego spokoju, kusząca woń leniwej nirwany; tu chciałbym żyć. Raj, raj, pomyślał sierżant, po czym wyprysnął mu przed źrenice wykaz sposobów zniszczenia domu Ohlena z odległości trzech kilometrów.

Crueth miał inne zmartwienia.

— To nie jest dobry pomysł, Lopez.

— Świetnie o tym wiem. Ale co innego, prócz odwrotu, możemy zrobić? Przecież ten facet odpowiada na wszystkie pytania, to niemal wymarzony przewodnik, i jeszcze do domu nas prowadzi.

— I to jest w tym wszystkim najbardziej podejrzane. Podstawili go. Ten chłopak poinformował ich, że płacze się po okolicy pięciu podejrzanych facetów pytających o głupoty i oto zjawia się tubylec ochoczo na wszelkie pytania odpowiadający.

— Strasznie gadatliwy się zrobiłeś.

— Nie podoba mi się ta sytuacja. — Ohlen uśmiechnął się do majora i Crueth, nie przestając „mówić”, odpowiedział mu uśmiechem. — Powtarzam: powinniśmy wrócić. Zawrę tę opinię w najbliższym raporcie.

Zirytowany Praduiga przełączył się na gadałkę Celińskiego.

— Masz już prognozy? — spytał. Celiński tylko „odchrząknął”.

— Masz? Tak czy nie? A może nawaliła ci ta maszynka, co ją nosisz w głowie?

— Odwal się, Lopez, dobra? Mój program potrafi rozłożyć każdą kwestię historyczną, polityczną czy socjologiczną, ale nie ugryzie teologii. Nikt nie przewidział takiej deformacji. W jaki sposób mogę zanalizować, czy nawet określić, poczynania Boga? Jaki profil osobowościowy tu zastosować? Jak myśli Bóg? Jakimi kategoriami? Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych, jestem Zwrotnicowym, nie filozofem.

— Ponoć Chrystus był człowiekiem. Czy jest.

— Jasne. Ale nie dlatego wstał z martwych.

— Tu nie wstał.

— Kłóć się z Cruethem.

Dom Ohlena był dwupiętrowym drewnianym dworkiem, nie przypominającym niczego, co Praduiga dotąd widział, a widział na tych kilkunastu światach sporo. Jak się można było spodziewać, ten styl architektoniczny nie posiadał swego odpowiednika na Ziemi Stalina. Lopez nazwałby go stylem natury — lecz już samo to słowo „styl” sugeruje pozorowanie czegoś, sztuczność, podczas gdy dworek zdawał się przedłużeniem lasu. Trudno było sobie wyobrazić, iż został wybudowany, raczej

wyrósł, wraz z drzewami, trawą, wraz z wiosną.

— Piękny — pochwalił Lopez. Ohlen spojrzał na niego dziwnie.

(Przez gadałkę odezwał się Crueth: — Nie wejdziemy do środka.

— Co?

— Już i tak głupio postępujemy. Nie pozwolę nikomu wejść do tego budynku. Jestem odpowiedzialny za wasze bezpie...

— Tak, wiem.)

Ohlen otworzył drzwi. — Proszę, proszę — mrucał po kantońsku, uśmiechając się rozbrajająco.

Praduiga zaklął w duchu. Ten facet gotów jest popełnić samobójstwo z rozpaczy, jeśli nie wejdziemy. (Nieprawda; samobójstwo — grzech śmiertelny).

— Przykro mi, Ohlen — powiedział. — Nie możemy tam wejść. Nie teraz w każdym razie.

Ohlenowi boleśnie wolno spłynął uśmiech z twarzy. Ranie go, pomyślał, niespodziewanie dla samego siebie, Praduiga.

— Tak — mruknął rudy. Nie spytał, dlaczego goście nie mogą przekroczyć progu jego domu.

— Mógłbym z tobą porozmawiać? — Lopez nie chciał dopuścić do rozwinięcia się tego nastroju u Ohlena. — Gdzieś tu. — Machnął ręką, wskazując obszerną altanę stojącą nad stawem. — Dobrze? Dobrze?

Równocześnie Crueth wydawał przez gadałkę rozkaz swym sierżantom: — Sprawdzić mi tę chałupę. Dyskretnie. Calver i Ho rozeszli się na boki spacerowym krokiem.

— Jasne — odparł Ohlen. Zbyt ochoczo, jak na gust Cruetha. W altance panował cień, przyjemny chłód, powietrze pachniało wilgocią podziemnych grot. Stał tam stolik i cztery piękne, misternie rzeźbione krzesła, wyglądające na zbyt delikatne, by wytrzymać ciężar dorosłego człowieka. Lopez nie mógł dojść, z czego zostały wykonane — z jakiegoś nieznanego gatunku drzewa (a wszak w ewolucji nie zanotowano tu odchyłów), czy z plastiku.

To Crueth był tym, który usiadł przy Ohlenie.

— Idioci, przecież on nie gryzie — mruknął przez gadałkę po chwili konsternacji, kiedy to wszyscy chcieli zająć miejsce naprzeciwko tubylca.

— Nie gniewaj się — powiedział Lopez do Ohlena. — Nie chcieliśmy cię urazić. Po prostu nie możemy tam wejść.

Ohlen przestraszył się. — Ja się nie gniewam! — zaprzeczył energicznie.

(— Dlaczego on tak emocjonalnie na wszystko reaguje? Co, Janusz? Czyżby tu wszyscy byli tak przewrażliwieni?

— Ja nic nie wiem. Ja jestem tylko Zwrotnicowym.)

— Nie dziwisz się, że zadajemy takie pytania?

— Nie.

— Spodziewałeś się nas?

— Tak.

(— Mówiłem — mruknął Crueth.)

— Jak myślisz, kim jesteśmy?

— Gośćmi.

— Tak, twoimi gośćmi. Ale kim?

— Ludźmi. Jego gośćmi.

— Kogo?

— Jego.

— Masz na myśli Jezusa? Boga?

— Tak.

— Czy to On kazał ci tam na nas czekać?

— Nie, nie, nie! — Ohlen gwałtownie pokręcił głową.

— Więc skąd o tym wiedziałeś?

— Wiedziałem.

— Skąd?

Ohlen był wyraźnie zdezorientowany.

— Wiedziałem — powtórzył w kolejnym, jeszcze bardziej mętym języku.

(— Telepatia? Wspólna świadomość?)

— A dlaczego czekałeś?

— Aby was powitać. Jesteście gośćmi.

Lopez westchnął zrezygnowany i prychnął — Więc masz nas ugościć, tak?

— Tak — przytaknął poważnie Ohlen.

(— Nie mów mu, że nic nie rozumiemy z tego bełkotu, bo znów wpadnie w depresję.)

Niespodziewanie do rozmowy wtrącił się Crueth.

— Jakie jest twoje zdanie o nas i naszym zachowaniu? — spytał prosto z mostu, zdawał sobie już bowiem sprawę, że tu nawet nie pojmują słowa „nieszczerość”.

— Moje zdanie? Cieszę się ze spotkania.

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Nie rozumiem.

Lopez już szykował się do zadania kolejnego pytania, gdy Ohlen nagle się podniósł. — Przepraszam, bardzo przepraszam, moja żona właśnie wróciła — rzekł i podreptał w kierunku domu.

— Sprawia wrażenie półgłówka — ocenił Celiński. — „Nie rozumiem, nie wiem, tak, nie”; debil.

— Może wariat? — rzucił Crueth.

— Dla nas czy dla nich? — sarknął Lopez.

— Wiem, wiem — skinął głową Celiński. — Ale może on faktycznie jest tutejszym wariatem: żyje sobie na odludziu wierząc, że Chrystus nie zginął na krzyżu, i witając każdego nowo napotkanego, niby długo oczekiwanego gościa, którego zesłał mu Bóg. To bardziej prawdopodobne. Zwróciliście uwagę — on nie jest niczego ciekawy, jest ponad tym, wierzy, że tak jak sobie umyślił, jest naprawdę, że my jesteśmy tym, kim chciał, żebyśmy byli.

— Raczej wie; to już nie wiara, to wiedza. Jak sam zresztą zauważył.

— Właśnie, „wiedza” — ostatni stopień szaleństwa.

— No dobrze, a teleportacja tego chłopaka? Ten latający pojazd? Dar języków? — naciskał Lopez.

— Może naśladuje apostołów...

— Tu zapewne nie było apostołów... Twoja hipoteza to w istocie obrona przed koniecznością zaakceptowania... uwierzenia w ten świat, z którego Bóg nigdy nie odszedł. W taką zwariowaną rzeczywistość. Skąd możemy wiedzieć, jakie były dalsze poczynania Jezusa? Miał na to dwa tysiąclecia — mógł zrobić z Ziemi, co chciał. Władca absolutny, a nawet nie władca, bo to nie podporządkowywanie sobie czegoś, to posiadanie.

— Cóżes taki rozgorączkowany?

— He, Janusz — wykrzywił się Praduiga — ty się zastanów, co z tego wszystkiego wynika. Ty się zastanów, kim my jesteśmy dla Boga. Ty się zastanów nad tymi Zwiadowcami, co nie wrócili. A może istotnie Ohlen jest aniołem?

— Aniołem?

— Jakkolwiek by było — to jest Ziemia Jezusa Chrystusa.

Rozmowę przerwał sierżant Calver.

— Oni tu mają prawdziwą bibliotekę. Tysiące książek. Skarby.

— Włamaliście się?

— Nie, nie; rzuciliśmy przez okno miniszperacza. Jesteśmy teraz dokładnie po drugiej stronie tego drewnianego pałacu.

— I co w tej bibliotece?

— No właśnie prześwietlamy czwartą losowo wybraną pozycję. Żadna nie zaprzecza wersji Ohlena.

Był to klasyczny test. Źródło informacji Zwiadowcy mogło świadomie — bądź nieświadomie — kłamać, mogło być szalone, czy też po prostu niereprezentatywne dla ogółu infiltrowanego społeczeństwa — lecz nawet gdyby dysponowało odpowiednimi środkami, nie byłoby w stanie sfalszować całego banku danych czy księgozbioru. To jest po prostu niemożliwe, niewykonalne dla jednego człowieka: nie ma takich omnibusów. Wystarczy więc przejrzeć byle encyklopedię, słownik, byle kryminał czy romansidło. Oczywiście o wiele prościej jest kupić pierwszą z brzegu gazetę albo włączyć holo na *newsy* — lecz nie na każdej Ziemi istnieją gazety oraz inne typowo stalińskie środki masowego przekazu.

— Aha, Calver — przypomniał sobie major — przechwyciliście transmisję nadajnika żony naszego gospodarza?

— Nic, panie majorze. Ta Ziemia jest cicha jak grób.

Był to jeden z argumentów Dunlonga na rzecz teorii Ziemi jaskiniowców: jeśli planeta nie wyje w kosmos elektromagnetycznym szumem i trzaskiem, niby gwiazda — znaczy: życie nieinteligentne.

— Ale żona faktycznie przyszła?

— Przyszła. Rzucić foto?

— Nie trzeba. Calver wyłączył się.

— No i co? — rzucił Praduiga. — Telepata?

— Nie podoba mi się to — powtórzył po raz nie wiadomo który major Crueth.

Lopez starał się tego nie okazywać, ale był śmiertelnie przerażony. Oto trafił do najgorszego ze swych koszmarów. Oto jego deliryczne niemal rojenia stawały się rzeczywistością — co prawda inną, nie tą, w której się urodził, lecz nie mniej przez to prawdziwą. Robotami jesteśmy, mawiał Lopez, robotami, których programu nikt nie zna — bo nie wierzył w Boga. Nie wpajano weń od młodości, od dzieciństwa, prawd nieudowodnialnych a świętych, kiedy więc nadszedł czas odpowiedzi, rzekł: „Nie wierzę, że Bóg jest, bo nie wierzę — wiara to uczucie spontaniczne, nie wymuszę jej. Nie wierzę, co więcej: nie wydaje mi się prawdopodobne istnienie Boga”. Lopez sam sobie wyznaczał granice racjonalności. Jego Wszechświat był maszyną samorodną, poniekąd samobójczą, pozbawioną świadomości i celu. Zarazem więc owe programy, według których się kręcił, nie będąc narzędziem służącym do osiągnięcia danej rzeczy, a jedynie zabójczo precyzyjnymi, nierozrywalnymi łańcuchami przyczynowo—skutkowymi — nie były programami. Istnienie programu czemuś służy, samo słowo „narzędzie” sugeruje kogoś, kto się nim posługuje, kto to narzędzie wymyślił i stworzył. We Wszechświecie Lopeza nie było nikogo takiego. Zatem gdy Praduiga mówił o straszliwej nieuchronności ludzkiego losu, o człowieczej niewoli i ograniczeniu do człowieka przypisanym jak śmierć — w istocie mówił o suchym porządku przyrody, w istocie mówił o przypadku, który kiedyś tam, przed miliardami lat, nadał kierunek tej lawinie materii i energii, rzygnął nimi w pustkę w praeksplozji pierwotnego i ostatecznego jądra Wszechświata; który tylko ten

jeden jedyny raz się objawił, jako pierwsza przyczyna — i to wystarczyło. Dalej wszystko potoczyło się tak, jak musiało się potoczyć — determinizm albo jest absolutny, albo go nie ma. Tak więc się to plotło, eonami i eonami; wolność to utopia. W ludzkiej skali determinizm ma okrutne oblicze. Cóż bowiem oznacza ta wieczna nieuchronność losu każdego kwarka, elektronu, atomu — i tak dalej — jak nie nieuchronność losu człowieka, kamienia, góry, planety, galaktyki, które to rzeczy stanowią po prostu sploty większej liczby łańcuchów przeznaczenia, bo większą liczbę przyczyn i skutków zawierają? Skala; to wszystko. Nie, nie wszystko. Człowiek się wyróżnia; człowiek myśli, czuje i — jest świadomy siebie. Każda myśl Lopeza — także ta — była mu przeznaczona, nim się urodził, jako jedyny możliwy skutek przeszłości. Na nic nie miał wpływu, wszystko otrzymał — chciał tego Wszechświat, a Wszechświat to rzecz. Otrzymał więc w darze od swych rodziców, ich przodków i przodków tych przodków — i tak aż po bielmo zwierzęcości — taki, a nie inny wzorzec DNA, przez który jest, jaki jest; przez który robił to, co robił, myślał to, co myślał, doświadczył, czego doświadczył — wskutek czego jest, jaki jest. Na żaden z owych dwóch etapów kształtowania siebie nie miał wpływu, na nic nie miał wpływu — wszak i nie dumałby nad tą teorią, gdyby nie był takim Lopezem Praduigą, jakiego sobie utoczył Wszechświat. Maszyna. Maszyna. Nie jest to wizja aż tak przerażająca, gdy uznamy ten proces za naturalny — albowiem nie można czuć nienawiści do przypadku, natury, świata, tylko szaleńcy wygrażają im pięścią i kłótnie monologi do tych pojęć — słów, niczego więcej — wygłaszają. Podobnie nie masz żalu do natury o to, że musisz umrzeć. Ale Boga — o tak, Boga możesz za to kląć. Dla Boga możesz być narzędziem, Bóg może mieć w tym cel, Bóg może świadomie cię zaprogramować — nie tylko nadając wybrany przez siebie kierunek owemu prawybuchowi, ale niewidzialną swą ręką w każdej chwili twego życia manipulując tobą i światem; Bóg to nie Heisenberg, nie ogranicza Go ludzka fizyka. To obłąd — nigdy nie poznasz Jego myśli, nigdy nie rozszyfrujesz z niedostrzegalnych dla ciebie śladów Jego poczynań owego celu, do którego zmierza. To obłąd — Bóg jest wszędzie wokół ciebie, Bóg jest we wszystkim; obłąd, obłąd, obłąd. Nie w świecie Lopeza. W świecie Lopeza w Boga zaledwie się wierzy, jest On tam mitem, silniejszym niż inne, bo powszechniejszym i mocniej zakorzenionym, jak wiara w wampiry, pechowe piątki i przynoszące szczęście czterolistne koniczyny — mitem nie potwierdzonym, czymś, co każdy może sobie opowiedzieć, jak mu się podoba, więc opowiadają sobie piękne bajki. Tymczasem w tej rzeczywistości... w tej rzeczywistości Bóg jest. Niezmienny, niezależny od marzeń i strachów. Jedno ma oblicze. Jest równie realny jak wilgoć w twych ustach; w poszukiwaniu rajy trafiłeś do piekła. Gdy siedzicie tak w trójkę w tej altance, a wiatr szumi wam w uszach łagodnym echem odległych bitew staczanych z niebem i ciszą, szeptem muszli ukrytych w piasku zatopionych plaż, słońce świeci, by mógł was chłodzić cień, niesie się po dolinie zapach lasu — gdy tak siedzicie w milczeniu, pewni — wiedzący — że i w wietrze, i w niebie, i w ciszy, i w słońcu, i w cieniu, i w lesie, i w waszym milczeniu jest On obecny, że dzieje się to z Jego woli, że wszystko dzieje się w tym Wszechświecie z Jego woli, a więc że i wasze myśli były wpierw Jego myślami; gdy tak siedzicie przytłoczeni tą wiedzą, która nagle na was spadła, z którą nie urodziliście się, lecz która chwilę temu zburzyła porządek waszego życia; gdy tak trwacie tą świadomością oszołomieni...

— To przecież prawdziwe szaleństwo. Ten Bóg... — Na moment przerażenie Lopeza zalśniło w jego oczach. — ...zaczyna w was pęcznieć soczysta nienawiść.

Wrócił Ohlen.

— Powiedz — zaatakował go Praduiga. — Powiedz mi, ty się nas boisz, prawda? Ty się boisz tego... To straszne, takie całkowite., to, to, to... — Zamachał rękoma.

Crueth przyglądał mu się dziwnie: takiego Lopeza nie znał.

Ohlen zamrugął.

— Ja was kocham — powiedział i nikt nie odważył się zwątpić w jego słowa. Ta miłość buchała zeń, podobnie jak wszystkie inne uczucia — to było to, czego nie mogli pojąć, co umykało im przez cały ten czas, na co w przedziwny sposób pozostawali ślepi: Ohlen kochał ich spokojną, silną miłością już w chwili spotkania na drodze. Wszak byli jego bliźniami.



Zostali w domu w dolinie prawie tydzień. Crueth protestował. Celiński protestował. Nawet Praduiga nie popierał stanowiska Dunlonga. Lecz nic nie dały ich sprzeciwy. Przekraczając bramy innego świata, właściwie zdali się na łaskę i niełaskę Dunlonga, oddali swe życie w jego ręce; powiedział: „Zostajecie” — i zostali; nie istniało przecież bezpośrednie zagrożenie ich życia.

Ta wymiana zdań dokonywała się za pośrednictwem rejestratorów przerzucanych w coraz częstszych „strzałach” Katapulty. Na Ziemi Stalina Dunlong zapisywał w nich swe odpowiedzi, które potem były Zwiadowcom odtwarzane. W istocie więc również nad tą rozmową Dyrektor Piątego Departamentu sprawował całkowitą kontrolę. Jedyne, co udało się Lopezowi i Celińskiemu wytargować, to obietnica postawienia w stan gotowości yantscharskiej jednostki ubezpieczającej; była ona grupą kontruderzeniową, albowiem zwykle — z przyczyn technicznych — przybywała na miejsce o tę sekundę za późno. Zastawała trupy. Tym razem — twierdził jednak Dunlong — będzie inaczej. Znali przecież położenie domu Ohlena. W analogicznym miejscu na Ziemi Stalina rozłożono przenośną Katapultę i zakwaterowano pluton Carterczyków. Zwiększono również częstotliwość wymian rejestratorów do dziesięciu sekund. Owe dziesięć sekund stanowiło teraz najdłuższy okres, jaki będą musieli wytrzymać do przybycia odsieczy. Prawdę mówiąc, ostatnią rzeczą, której Dyrektor sobie życzył, było przerzucanie w nowo odkryty świat tłumy nie-Stalińczyków: nie ufał każdemu, komu mógł nie ufać. Lecz yantscharom płaciło się również za ich *image*, za poczucie bezpieczeństwa, jakie wzbudzali; w kontrakcie było napisane: „jednostka carterska” — i tak miało być. Dunlong sądził, iż wszystkie te zabezpieczenia, niewątpliwie imponujące, zmniejszą strach Zwiadowców. Otóż mylił się.

Stali się nerwowi, kłótlivi, prawie już nie potrafili ze sobą rozmawiać, nie skacząc sobie przy tym do gardeł. Wykształcił się u nich przedziwny odruch: bez przerwy oglądali się za siebie. Siedząc w pokoju, co chwila zerkali przez okno. Znajdując się na zewnątrz dworku, czuli się jeszcze bardziej niepewnie: On mógł na nich zerkać ze źdźbła trawy wykrawającego się z ziemi, z *cumulusa* płynącego po niebie. Świetnie zdawali sobie sprawę z paranoidalności własnego zachowania, i nawet śmialiby się z niego, gdyby tak dziko nie brzmiał ich chichot. Mania prześladowcza. Nie było takiego miejsca, w którym nie odnosiliby wrażenia, że są obserwowani przez wszystkowiedzące oko.

Żadna z ich obaw nie była bezpodstawna, każdy lęk po stokroć słuszny.

Na dodatek Lopez i Celiński czuli się zdradzeni. Celiński był gwiazdą Piątego Departamentu, Praduiga sławą bez mała między światową, do ich ochrony przydzielano i po kilkudziesięciu ludzi. Tymczasem Dunlong poświęcił ich — po prostu poświęcił — dla informacji, jakie mogli zdobyć. Cruetha i jego żołnierzy to nie dziwiło. Lopez przypomniał sobie rozmowę w gabinecie Dunlonga: „To my mamy być następną porcją armatniego mięsa”, powiedział major. A Dunlong: „Major Crueth samobójcą jest z zawodu”. Nagle pojęli, że podobna klauzula wpisana była między wierszami i w ich kontrakty. Są rzeczy cenne i cenniejsze, a życie człowieka nie jest bynajmniej wartością niewymierną. Wręcz przeciwnie: bardzo wymierną. Dunlong po prostu zbyt często zmuszał się do dokonywania wyborów między złem a złem mniejszym. Mniejsze zło pozostaje nim zaledwie dopóty,

dopóki się je za takie nie uzna, wówczas bowiem automatycznie staje się złem największym, bo akceptowanym. To choroba wszystkich bogów zrodzonych z kobiety i mężczyzny.

— Nie rozumiem, jak mogło to nam umknąć — dziwował się Celiński. Siedzieli — on, Praduiga i sierżant Ho — w jednym z widokowych pokoi dworku Ohlena i usiłowali zgubić swój lęk w pozornie logicznej rozmowie. Był ranek trzeciego dnia ich pobytu na Ziemi Chrystusa. — Zgodnie z teorią światów alternatywnych, są one odbiciem możliwości, które nie zaistniały w świecie naszym. Jeśli więc jadłeś dziś na śniadanie jajka, to możesz być pewien — niezależnie od tego, którą Ziemię uznajesz za oryginalną — że istnieje taki świat, w którym tych jajek nie jadłeś, i że to właśnie stanowi punkt rozszczepienia tych rzeczywistości. Każde, dosłownie każde zdarzenie kwantowe (a dokonana — lub nie — czynność zjedzenia rzeczonych jajek stanowi przecież jedynie wielkoskalową manifestację możliwego zajścia miliardów miliardów takich zdarzeń) jest dla jakichś dwóch uniwersów takim punktem, wykres funkcji falowej wszechświata jest płaski jak decha, każdy jego wariant o tożsamej stałej kosmologicznej równie prawdopodobny. Było więc oczywiste, że gdzieś tam, za którąś błoną bez wymiaru, kręci się wszechświat, w którym Jezus nie zginął, nie zmartwychwstał, nie został ukrzyżowany, lecz założył swe królestwo na Ziemi — ponieważ była taka możliwość. Jest to jedyny i całkowity powód istnienia tego wszechświata: ponieważ była taka możliwość! Tymczasem nie opracowano żadnych instrukcji na ową okoliczność, żadnych analiz, Drzew, nic — wydawać by się mogło, że taka właśnie deformacja, jako jedyna, zdarzyć się nie miała prawa. Doprawdy, nie wiem dlaczego.

— Może dlatego, że większość Piątki obsadzają ateści — mruknął Praduiga.

— Toteż tym bardziej powinni to potraktować jako zwykły fakt historyczny i spisać dla niego Drzewo.

Drzewem nazywano w Biurach Zwrotnic obszerne prognozy historyczno-socjologiczne, sporządzane na podstawie jednego konkretnego zmienionego przeszłego zdarzenia. Na przykład brano takiego Attyle i zadawano sobie pytanie, co by było, gdyby ów Bicz Boży umarł jako dziecko? Od tego punktu w czasie rozchodziły się, niby konary potężnego drzewa, linie odkształceń rzeczywistości. A — paradoksalnie — im dalej od pnia, tym grubsze, gęstsze i mocniejsze były to gałęzie: tym bardziej wypaczona historia. Zdawałoby się, że podobne przedwczesne analizy nie mają sensu: o ileż bardziej prawdopodobne jest, że świat potknie się na przysłowiowym Johnie Smisie, co któregoś ranka obudził się, gnębiony koszmarem, o te kilka sekund wcześniej. W porównaniu z takimi faktami, liczba faktów uznawanych za historyczne jest przerażająco znikoma. Nie o to tu jednak chodziło; nie łudzono się, że odkryty zostanie świat, który zmieniony został w jednej z bezpośrednich przyczyn jakiegoś ważnego dla historii wyboru. Drzewa to zabezpieczenie. Ziemia Demajskiego: przedwczesna śmierć bezimiennego Murzyna z buszu. Nawet wariat nie sporządzałby dla czegoś takiego Drzewa. Lecz co stanowiło jeden z odległych efektów tej, historycznej już, śmierci? Atak Związku Radzieckiego na zaskoczony Hitlera wiosną 1940 roku. A na tę ewentualność przygotowano kilka Drzew. Wystarczyło wybrać najlepsze z nich — najwierniej odzwierciedlające tamtejszą sytuację — i uwzględnić w nim inne efekty pierwotnego wypaczenia, choć, zgodnie z teorią chaosu, też znowu nie takie małe. Zwiadowcy mieli na Demajskim łatwą robotę.

— Być może uznali religię i wszystko, co się z nią wiąże, za kłamstwo, mit, legendę — legendom nie robi się Drzew.

— Dla mniej udokumentowanych zdarzeń sieje robiło. Ja też nie wiedziałem, czy jest ono faktem, czy zmyśleniem — lecz mogło być faktem, należało więc tak je potraktować.

— Owszem. Pamiętaj jednak o specyfice religii: z zasady musi sprawiać wrażenie poniekąd kłamstwa, nie może być oparta na zbyt silnych fundamentach historycznych, na realiach. Popatrz, co tu

się stało. — Praduiga, nie przerywając, zerknął szybko na korytarz. — Tu nie istnieje religia. Pytałem o to Ohlena i jego żonę. Oni wiedzą, co to słowo znaczy, lecz kojarzą je ze starożytnymi kultami. Natomiast dzisiaj nie znajdziesz religii nigdzie na tym świecie. W takim sensie, w jakim myją pojmujemy, oni sobie nawet wyobrazić jej nie potrafią. Inny sposób myślenia. Ohlen dobrze to wyraził: oni nie wierzą w Boga. Nie ma takiej potrzeby. Bóg jest.

Odezwał się Ho: — Calver właśnie dogrzebał się do czegoś w rodzaju encyklopedii. Mniej więcej w tym stylu: „Cóż to jest polityka? W czasach przed objawieniem...” i tak dalej.

— Niech znajdzie coś na temat gospodarki.

— Stara się, stara.

— *AAA* nie zrobi na tym świecie fortuny.

*Alien Arts Agency*, stanowiąca agendę *UEO*, zajmowała się wprowadzaniem na rynek Zjednoczonych Ziem dzieł sztuki z nowo odkrytych światów; był to wspaniały interes. Po pierwsze: świat takowy dysponował tysiącami (dziesiątkami tysięcy — jeśli tylko wypaczenie było dostatecznie wczesne) nieznanymi arcydziełami, w których można przebierać według gustu. Po drugie: nie trzeba (nie wolno!) było płacić honorariów niczego nie świadomym twórcom — bądź ich spadkobiercom — póki świat ich nie znajdzie się w *UEO*, co czasami wlokło się dziesięciolecia, przez które Agencja obracała owymi pieniędzmi jak chciała. (A przecież regułą stanowiło nie uświadamianie podbitym, iż zostali podbici; a wejść do *UEO* nie udało się żadnej z od początku niepodległych Ziem. Nikt więc nie może być pewny, czy za słowa, które właśnie pisze, nie zostanie uznany geniuszem — w jakiejś nieznannej rzeczywistości, dla której jest tak szaleńczo odmienny, że aż genialny.) Po trzecie: *Alien Arts Agency* była monopolistą. Monopol ten stanowił fundament finansowej niezależności politycznych i militarnych struktur *UEO*: Ziemie członkowskie nie płaciły Organizacji żadnych składek, były jedynie zobowiązane do wpuszczania agentów *AAA* na podbite przez siebie Ziemie. Blisko stumiliardowy rynek konsumentów obcokulturowych produkcji bez trudu zapewniał zrównoważenie budżetu *UEO*. Najbardziej uniwersalne — najbardziej dochodowe — dziedziny sztuki stanowiły malarstwo, rzeźba i muzyka, potem dopiero literatura, na końcu zaś film czy teatr. Ostatnio Agencja przeżywała kłopoty, bynajmniej jednak nie finansowe. Otóż jeden z jej agentów został zdemaskowany przez Vonequajczyków podczas rejestracji występu pewnego wybitnego aktora, wskutek czego Vonequajczycy zorientowali się, iż ktoś grzebie w ich rzeczywistości. Musslijczycy złożyli w *UEO* ostry protest. Owym agentem był jeden z protegowanych Misińskiego, nieco bezmyślnie polecony wiceprezesowi *AAA* przez Cruetha; ostatecznie była to wszak robota niezbyt skomplikowana: wejść do księgarni, kupić jeden egzemplarz danej książki, podkraść kopię danego filmu, miniaturowym skanerem przeczytać fakturę danej rzeźby...

— Całkowicie się z panem zgadzam — wymamrotał Ho. — Nosem już mi to wychodzi.

Sierżant Calver wertował księgozbiór Ohlena; Ho był z nim połączony, jemu też migały przed oczyma stroniczki wypełnione ważnymi i nieważnymi informacjami. Przesiewali je, selekcjonowali.

Żona Ohlena była drobną, energiczną, ciemnowłosą kobietą, matką dwójki dzieci przebywających teraz gdzieś poza doliną. Major Crueth prowadził z nią niekończące się rozmowy — wybrał do tego mały, ciemny pokoik na parterze, zapewne z racji jego podobieństwa do pokojów przesłuchań. On również przesiewał informacje. Z trudem wydobył z żony gospodarza jej drugie „imię”: Esslen. Esslen również kochała swych bliźnich z innego świata.

Wbrew początkowym nadziejom biblioteka nie przyniosła odpowiedzi na wszystkie pytania. W istocie tylko dodatkowo zaciemniła obraz. Bardzo szybko zrezygnowali z dokładnego studiowania kolejnych opasłych tomów. Sierżanci pracowali aktualnie nad wyłowieniem z owych długich, mętnych i niezrozumiałych wywodów jakichś w miarę konkretnych szczegółów. Opornie im to szło.

Nawet tutejsza „encyklopedia” nie zawierała — chociażby ogólnych — definicji słów i pojęć, a tylko pokrętny subiektywny opis wrażeń związanych z tymi pojęciami. Wszystkie książki wypełnione były czymś podobnym. Calver wyraził to w sposób następujący: „Ci ludzie i wzór chemiczny wierszem by zapisali” — wiersze z założenia są niejednoznaczne. Lecz i one posiadają autorów, nawet one (a może one przede wszystkim) związane są nierozzerwalnie z osobą — osobowością — twórcy. Na tej Ziemi wszystkie dzieła były anonimowe, żaden utwór podpisany. Ohlen nie rozumiał w ogóle znaczenia czegoś takiego jak podpis. Crueth próbował mu to wytłumaczyć, zdawało się stanowić to jedną z podstawowych rzeczy, jakie wyjaśnić należy: znak indywidualności. Znamię. Piętno! Pokorny, zmartwiony i współczujący Ohlen stwierdził wreszcie: „Tak, tak, chyba rozumiem. Podpis, tak, podpis. Cała książka, tekst — to jest podpis. Tak? Dobrze?” Crueth w myślach obrzucał ten glob wodorówkami. Co za mętnik! Boże drogi, wzdychał w duchu, jestem w stanie zrozumieć inny sposób myślenia, nawet szaleństwo, ale jak mam się wczuć w myśli kogoś, kto wyrósł — czyje społeczeństwo wyrosło — w takiej absolutnej, straszliwej miłości do wszystkiego i wszystkich, oraz — co gorsza — w równie absolutnej dobroci, która jako norma tak nieprzekraczalna, że aż niezauważalna, dobrocią już być przestała; jak mam się z nim porozumieć? Boże drogi, wzdychał — i wtem chwycił go strach: bał się tego westchnięcia. W tym wszechświecie było ono czymś więcej, niż pustym, uniwersalnym wykrzyknikiem. W tym wszechświecie nawet kod wojskowy stanowił potencjalnie niebezpieczną, świętą inwokację. Przesłuchujący zasmuconego Ohlena Crueth musiał pilnować także swych myśli. Straszny świat.

Zadziwiająco szybko — wręcz podejrzenie — Praduiga i jego towarzysze zdołali zaakceptować rzeczywistość Bożego Królestwa, pogodzić się z nią; prawie nie walczyli, prawie się jej nie sprzeciwiali — dlaczego? dlaczego? A niemałe spustoszenia poczyniła owa świadomość w ich umysłach, świadomość istnienia Boga. To już nie przypuszczenie, nie bajka, nie śmiała spekulacja, nie gorliwa a kulawa wiara — to fakt. Fakt ten farsą czyni wszelkie późniejsze ich działania, te poszukiwania w przeszłości konkretnych deformacji, te próby analizy osobowości tubylców, to tropienie Boga („No powiedz, Ohlen: gdzie znajduje się Jezus? Skąd włada Ziemią? — Włada? Co macie na myśli? Przepraszam, przykro mi, naprawdę; jak to: gdzie? Ja nie rozumiem”) i analizowanie Jego osobowości. Koszmar: pewność, iż w każdym jednym podmuchu wiatru, każdym skrzypnięciu schodów, każdym potknięciu się — objawiana jest Boża wola. Prosta droga do obłądu — już pierwszego dnia rozumiał to Praduiga. Rozumiał również, iż jedyną alternatywą jest zamknięcie oczu na rzeczywistość — a więc również szaleństwo. W istocie ten świat niewiele — prawie wcale — nie różnił się od świata Lopeza. Prawdziwa różnica istniała w ich głowach, w sposobie postrzegania go, bo przecież nie ukazywał im się Bóg w spektakularnych demonstracjach swej obecności i mocy. Świat zyskał zupełnie inne oblicze przez samą świadomość człowieka, iż ktoś nad nim stoi.

Szczególnie bliski szaleństwa był Ho — szintoista nawrócony niedawno na katolicyzm, z żarliwością właściwą wszystkim neofitom wyznającym swą nową wiarę — także w świecie, gdzie nie ma ani jednego kościoła, ani jednego kapłana i ani jednego wiernego — poza nim; gdzie i znak krzyża nic nie znaczy. — Ja nie mogę, panie majorze — mówił już trzeciego dnia. — Przecież rozmawiając z nimi — (miał na myśli Ohlenów) — rozmawiamy z Nim. On ich nam przeznaczył, to Jego usta, oczy, uszy. Obserwuje nas i w tej chwili. Jest. Jest. — Co cię napadło, Ho? Mordowałeś na rozkaz, gorsze rzeczy robiłeś. — Cokolwiek uczynisz najmniejszemu z Mych bliźnich, Mnie uczynisz — zacytował w odpowiedzi, nieprecyzyjnie zresztą, Ho. Zaniepokojony Crueth wydał Calverowi polecenie dyskretnego kontrolowania drugiego sierżanta. Wydając owo polecenie, sam się bał: Bóg słuchał.

Drugi, słabszy, lecz bardziej rzeczywisty strach Lopeza stanowił lęk przed obcością Ohlenów. Rozumowali w sposób pokrętniejszy od Tilerczyków, których, co do jednego, uważano za wariatów do kwadratu. Pokrętność myślenia tubylców wynikała z jego morderczej prostoty: to Stalińcy, przyzwyczajeni do potrójnych kłamstw, czwartych den, niedomówień, pułapek słowno—logicznych, psychologicznych labiryntów, wewnętrznego zakłamania, kompleksów i uprzedzeń, prawd wyrażanych przez pół- i ćwierćprawdy, wyrachowania i irracjonalności, tych dwóch biegunów ludzkiej psychiki, innego człowieka nie potrafiący sobie wyobrazić — to oni nie mogli, nie chcieli wczuć się w myśli tuziemców. Oczywiście duży kłopot sprawiały czysto techniczne różnice kulturowe, lecz tego oczekiwali. Nie oczekiwali natomiast miłości i dobroci. Nie rozumieli ich.

Nie znano tu pieniędzy, nie znano wojen, morderstw, kradzieży, nienawiści, kłamstwa — od dwóch tysiącleci. Pamiętano te pojęcia, Ohlenowie potrafili je zdefiniować — lecz w podobnie mętny i niewiele mający wspólnego z prawdą sposób, w jaki Lopez zdefiniowałby wszechogarniającą miłość.

Nie znano tu wyrafinowanej techniki, najwyraźniej nie przekroczone w nauce poziomu dwudziestowiecznego Stalina — Bóg nie chciał, by go przekroczone. Elektryczność wykorzystywana była w niewielkim zakresie, Ohlen pozyskiwał ją z turbiny wodnej założonej na pobliskim strumieniu, lecz dziewięćdziesiąt pięć procent pracy wykonywał ręcznie: żadnych bardziej skomplikowanych maszyn. Rolnictwo na skalę rodzinną. Oczywiście dobrobyt obserwowany przez Stalińczyków zdawał się pozostawać z tym w jaskrawej sprzeczności. Pytali, lecz wszelkie rozmowy zahaczające o gospodarkę, handel — kończyły się obustronną idiomatyzacją wypowiedzi. Bardzo to było frustrujące.

Po pięciu dniach jałowych przesłuchań, lektury niezrozumiałych książek i prowadzenia bezsensownych pseudonaukowych rozmów wrócili do punktu wyjścia, bogatsi o nerwicę i zaczątki obłądu.

— To jest Ziemia nie do podbicia — powiedział Celiński szóstego wieczoru, spędzanego w sali kominkowej dworu Ohlena na leniwej dyskusji przy piwie.

— Dlaczegoż to?

— Pomijam już Jego obecność. Ale, rozumiesz, nie można podbić kogoś, kto w ogóle nie wie, co to podbój.

— A to niby czemu? — zdziwił się Crueth. — Głupoty gadasz.

— Czyżby? No to powiedz, jak sobie wyobrażasz tę operację, a?

Major wzruszył ramionami i splunął w ogień.

Rozmawiali nie używając gadałek, nie sprawdzili również, czy nie założono w sali podsłuchu — nikt tego właściwie nie powiedział, lecz wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, iż idiotyzmem byłaby jakakolwiek próba ukrycia przed Bogiem swych myśli (co dopiero słów); nie wyposażono ich w detektor Ducha Świętego.

— A mnie najbardziej denerwuje ta ich miłość — zachrypiał Ho, przeciąwszy temat, zarazem nerwowo oglądając się za siebie, co stanowiło już odruch bezwarunkowy.

— E, dlaczego? Myślałem, że to dla ciebie raj.

— Nie dla każdego raj jest odpowiednim miejscem — odparł cicho Ho.

Lopez, całkowicie trzeźwy (podobnie jak innym, krążyły mu we krwi substancje zdolne zneutralizować dowolny obcy związek), podszedł do otwartego okna i wrzasnął w dolinę: — Niech Cię szlag!

Zamarli.

Lopez zachichotał i wrócił na swoje miejsce.

Nie była to pierwsza próba popełnienia przez nich samobójstwa.

— Oni wszyscy są podstawieni — powtórzył, po raz chyba dziesiąty, Celiński.

— Doskonale o tym wiemy — mruknął major.

— Więc mogą kłamać.

Crueth z politowaniem pokiwał głową. — Jak to powiedział Lopez: sam fakt ich podstawienia uwiarygadnia każde ich słowo. Tylko Bóg...

— Albo bardziej subtelnie — kontynuował Janusz. — On eliminował wszystkich Zwiadowców, aż trafili mu się tacy, którzy odpowiadają jego zamierzeniom. Pokazuje nam, co chce pokazać, byśmy myśleli, co myślimy i...

— Crueth — przerwał Zwrotnicowemu Praduiga — powspinasz się?

— Nie.

Lopez skinął na Celińskiego. Wyszli z sali i z domu. Chłodne powietrze jesiennego wieczoru zatrzęsło nimi.

Na południu doliny, pół kilometra od dworku, wznosiło się strome wzgórze o pozbawionym roślinności, nagim szczycie. Wspinaczka na nie była męcząca, lecz jakże wspaniałe widoki się zeń roztaczały.

Celiński się zasapał — Lopezowi oddech nawet nie przyspieszył: podobnie jak i żołnierze z Korpusu, posiadał on wszczepkę z programem koordynacyjnym GLADIATOR, który gwarantował wykorzystanie możliwości organizmu w dziewięćdziesięciu procentach, a także władzę nad wegetatywnym systemem nerwowym — dlatego też Praduiga poruszał się niczym baletmistrz.

Po dotarciu na szczyt, usiedli na jednym z rozrzuconych na nim, gładkich, szarobłękitnych kamieni.

Nad doliną zachodziło słońce.

— Wypytywałem Esslen *à propos* teleportacji tego szczeniaka — odezwał się Celiński.

— No i?

— Oczywiście nie pojęła słowa. Musiałem jej rzecz dokładnie opisać; nie zdziwiła się. Pytałem, jak to zrobił.

Praduiga uśmiechnął się pod nosem.

— Nie zrozumiała pytania — mruknął.

— Jasne. Zacząłem więc dociekać czy ona, czyjej mąż, czy któreś z nich potrafiłoby czegoś podobnego dokonać. Odparła, iż bez problemu. Poprosiłem, żeby zademonstrowała. Po co? Bo chcę to zobaczyć; już pilnuję się, żeby nie mówić, że komuś nie wierzę. Na to ona: „To nie powód”. A co mogłoby być powodem? Na tym etapie się zacukała.

— Teleportacja, telepatia i co jeszcze?

— Zgroza — przytaknął Celiński. Milczenie.

— Czasami wydaje mi się, że to jeden wielki kawał. Rozumiesz, Janusz? Ze w konia nas robią z tym Bogiem, a za naszymi plecami rechoczą dziko.

— To proste: samoobrona. Umysł broni się przed szaleństwem.

Milczenie.

— A czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę — natarł z desperacją w ciszę Lopez — że Bóg, z definicji wszytkowiedzący i wszechmocny, każdą twą myśl, ruch, instykt, słowo zaplanował na długo wcześniej, niż zaistniały, że są to Jego myśli, słowa? Że mówię to teraz, ponieważ tak to sobie wymyślił — i to — i to — i to? Że jesteśmy mniej niż pionkami? Edypami, którzy swoje uczynki — swoje przez ułudę wolnej woli — oceniają podług stopnia własnej niewiedzy. To Bóg jest ostatecznym punktem odniesienia, tylko On — a żaden z nas — wie, co za grzechy popełniliśmy, co

uczyniliśmy dobrego. Jeśli dla takiego absolutu istnieje jeszcze dobro i zło. Skąd wiesz, czy przez to, że teraz mrugnąłeś, nie zabiłeś milionów ludzi? Co, Zwrotnicowy? Przelicz to sobie w tej twojej maszynie. Nie masz gwarancji. Niczym jesteś. Niczym, niczym, niczym... — szeptał Praduiga.

Milczenie.

— Chciałbym już wrócić, Lopez.

— Wrócić?

— Na Stalina.

— A co by to zmieniło?

— Żartujesz? Wszystko!

— To znaczy?

— On.

— Nie byłoby Go, co?

— Właśnie.

— Idiota jesteś. Myślałem, że pojąłeś: nie ma wszechświata bez Boga. W niektórych jest nieznan, w niektórych się w Niego wierzy, w niektórych istnieje jawnie — wszędzie jest.

— Nie strasz mnie.

— Umysł broni się przed szaleństwem, co? — W głosie Praduigi szeleścił sarkazm. — Bo sama idea jest ci doskonale znana. Światy alternatywne, jesteś specjalistą w tej dziedzinie.

— Lopez...

— Nie przerywaj! Nie ma takiej deformacji, która mogłaby wyrugować z rzeczywistości istotę naprawdę wszechmocną. A skoro choć w jednym z wszechświatów istnieje ona z całą pewnością, to w jakimkolwiek ukryciu by się znajdowała we wszechświatach pozostałych — również tam jest. Uzyskaliśmy tutaj ostateczny dowód na istnienie Boga, dowód na Jego istnienie wszędzie, zawsze, w każdym z odbić Stalina. Ponieważ nie ma innej możliwości.

Milczenie.

— To straszne, Lopez.

— ...

— Nie ma ratunku?

— Są tylko dwa wyjścia. Przystosować się, jak ci tutaj, być doskonałym „chrześcijaninem”, a przez wszechmocnego Boga, który nie chowa się za parawanem religii, ale jest — i działa — być doskonałym człowiekiem, supermenem miłości; choć po prawdzie nie wierzę w takie cuda: oni się tu urodzili i innego świata po prostu nie znają.

— A drugie wyjście?

— Obłąd.

— Czyli wyjścia nie ma.

— I tak zawsze ci się tylko wydawało, iż dokonujesz wyboru. Teraz masz świadomość własnej małości.

— Och, ten twój determinizm...!

Milczenie.

— Toż to czysty horror. Nawet w tej chwili może nas tu trafić piorun, jeśli taka będzie Jego wola. — Celiński pokręcił głową.

— A może.

— A w innych światach...

— W innych światach też może, tylko tam zostanie to uznane za przypadek.

— Ale nie przeze mnie. Ja będę już wiedział... Będę pewien: nie istnieje przypadek!

— Hej, uspokój się, Janusz! Nic na to nie poradzisz. Popatrz: lezie mrówka. Patyk z tej, patyk z tamtej: igras z nią. Co ona może na to poradzić? Nic! W końcu się znudzę. Natomiast ma ten owad nad nami jedną przewagę: nie wie, po co ten but wznosi się do góry, nie wie, że mogę go — o! — rozgnieść. Gdyby to wiedział, gdyby mógł to wiedzieć...

— Ja nie chcę oszaleć! Ty bydlaku!

Lopez nigdy już nie dociekł, do kogo adresowana była owa inwektywa.

A nazajutrz wróciły dzieci gospodarzy; razem z nimi przybył cały tabun znajomych Ohlenów. Nazajutrz Ho zamordował Esslen.



Lopez Praduiga obudził się już przerażony. Zasnął w strachu, lęk był ostatnim uczuciem zapamiętanym z wczorajszego wieczoru, a ponieważ nigdy nie pamiętał słów — nie było przerwy między jednym przerażeniem a drugim. Bał się świata. Świat jest nieobliczalny. Bał się Boga — to On rządził tym światem — Bóg zaś z definicji jest dla człowieka nieobliczalny.

Jak zwykle od kilku dni, musiał się przemóc, by unieść powieki: czego nie widzisz, tego nie ma. Przypomniały mu się ciche noce z dzieciństwa, przedyszane w czerwonej ciemności zamkniętych oczu, przed którymi kłębiły się upiory i demony, niezdolne do zranienia go, póki sam ich nie urealni swym spojrzeniem. Majaczyła mu w umyśle indiańsko kamienna twarz Boga. Jego oczy patrzące nań zewsząd. Uniósł powieki. Nikogo.

Lopez wybrał sobie na kwaterę pokój narożny, mały, słoneczny, ubogo wyposażony. W pracy był ascetą, w życiu prywatnym sybarytą. Traktował niewygodę związane ze swą profesją jako pewnego rodzaju pokutę, dawało mu to specyficzne poczucie wewnętrznej równowagi.

Wstał, podumał, wyjrzał przez okno (świat nadal istniał) i, ubierając się powoli, zaczął w myśli pierwiastkować kolejne liczby całkowite, które to zajęcie miało odegnać odeń lęk. Pierwiastkował dalej, usiadłszy na twardym, drewnianym krześle. Zapatrzył się ślepo w przeciwległą ścianę. Wschodziło słońce: cień nieruchomego Lopeza przepelzał z drzwi na podłogę.

Prócz strachu, egzorcyzmował matematyką szaleństwo: buzował mu gdzieś w gardle krzyk, cisnęły się na usta jęklive słowa. Mało mu brakowało do prowadzenia rozmów z łóżkiem: On słucha.

— Kurwa mać! Lopez! — zawył mu w głowie major.

— Osiem koma zero sześć... Tak, o co chodzi?

— U siebie jesteś?

— Tak.

— Do kuchni! Już! Tam na górze nie mogę cię ochronić! Wybiegając na korytarz, Praduiga „krzyknął” przez gadałkę:

— Co się, do cholery, stało?! — Spodziewał się wszystkiego.

— Zobaczysz.

Lopez biegł szerokim, wyłożonym grubym dywanem korytarzem. Przecinał on dom Ohlena wzdłuż linii wschód–zachód; piętro wyżej korytarz taki zorientowany był południkowo. Na parterze nie było żadnego. Dworek sam w sobie stanowił architektoniczną zagadkę.

Koniec korytarza. Dalej — schody o poręczy pięknie rzeźbionej w kwiaty, hali jasno oświetlonej, sala boczna, uchylone drzwi, kuchnia, Crueth, Celiński, stop i precz od wejścia, oto — trup.

Esslen leżała nieruchomo pod ścianą. Miała kilkumilimetrową dziurę w głowie. Martwa była.

— Nie żyje — zauważył, niezbyt inteligentnie, Praduiga.

— Ano.

— Jak to się...

— Nie teraz — przerwał mu Crueth. — Spieprzamy stąd. Poinformowałem już Dunlonga, Janusz

potwierdził bezpośrednio zagrożenie, teraz ty — i izmywamy się. Dunlong musi nas zabrać stąd w ciągu kwadransa, inaczej złamie połowę paragrafów waszych kontraktów.

— Moment, moment. — Praduiga mimowolnie oddalił się od ciała Esslen, przesuając się w kierunku zamkniętych drzwi prowadzących na tyły domu. — Niczego nie potwierdzę, jeśli się nie dowiem, co tu się stało.

— Ty idioto! — wrzasnął Celiński. — Jeszcze ci mało?! Jedyna okazja, żeby się stąd wyrwać!

Lopez nerwowo oblizał wargi, jednocześnie zerkając przez okno, za którym zwidziała mu się czyjaś postać. Przez lewe ramię, przez prawe ramię: nikt cię nie obserwuje. Boże, zapomnij o mnie.

— Sierżant Ho ją zabił — rzekł major.

— Co?!

— Calver pilnuje go na zewnątrz.

Praduiga szybko doszedł do siebie. — Ale dlaczego?

Zadał o jedno pytanie za dużo, zawiodło go jego wspaniałe wyczucie ksenopsychologa. Celiński, całą tą sytuacją wyraźnie zdenerwowany, przeszeptujący sobie pod nosem klątwy, prośby i żale, strzelający naokoło krótkimi spojrzeniami, oczekujący potwierdzenia przez Lopeza stanu najwyższego zagrożenia niczym wyroku na Sądzie Ostatecznym — wreszcie wybuchł. Z wściekłym, szarpiącym mu wnętrzności szlochem, słyszalnym jako ciche, świszczące rżenie, rzucił się na Praduigę.

Crueth machnął ręką i Zwrotnicowy zwałił się bez czucia na drewnianą podłogę.

— Pięknie — skomentował Lopez.

— Radziłbym ci wysłać to potwierdzenie.

— Myślisz, że się zemszczą? Wątpię. Nie ma więc bezpośredniego zagrożenia.

— Jak dla kogo.

— Grozisz mi?

— Tak.

Lopez wysłał potwierdzenie, zastanawiając się tępo, dla jakichż to powodów nagle był przeciwny powrotowi, chociaż od kilku dni o niczym innym nie marzył.

Gdy tylnymi drzwiami wyszli z domu na ciągnącą się aż do końca doliny łąkę, gdzie mieli na nich czekać Calver i pilnowany przezeń Ho, okazało się, że Calver zdezerterował.

— Odszedł — szepnął im Ho.

— Nie wierz mu — wymamrotał wściekle Celiński, rozmasowując potężny siniak na karku. — Równie dobrze mógł go sam utłuc, ukryć, a teraz kręci.

Crueth uciszył go uniesieniem ręki. Przez długą chwilę prowadził z niewidocznym interlokutorem bezgłośnie rozmowę na zamkniętym kanale gadałki. Wreszcie skinął głową. — Rzeczywiście, zdezerterował. Calver; w życiu bym nie pomyślał.

— To ten świat — mruknął Lopez. — To ten przeklęty świat.

Zwrotnicowy usiadł na ziemi, pięć metrów od nich, tyłem do lasu; miał na oku Ho i dom Ohlena. — No i co zrobimy z tym fantem? Jeszcze jeden Zwiadowca, co rozpułnął się we mgle, a?

Major spojrzał nań ponuro.

— Ten problem został już rozwiązany. Proponuję zająć się teraz czym innym. Przerzut nastąpi za dziesięć minut, z drugiej strony dworku; sami zresztą słyszycie przekaz. Ho, będziesz szedł przede mną.

Szerokim łukiem obeszli dom. Sierżant, idący kilka metrów w przodzie, kroczył niczym skazaniec w drodze na szafot, ciężko i niezgrabnie: zdawał się być czymś odurzony. Obserwowali jego plecy.

Obszarem wyznaczonym do „strzału” była altanka. Choć kula wymiany nie obejmie jej w całości

— kawałki dachu zostaną obcięte i porzucone w tym świecie — zdecydowano się na nią, stanowiła bowiem doskonały punkt orientacyjny.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Ohlen najprawdopodobniej pracował — w sadzie, w ogrodzie, na polu czy w przetwórni; ci ludzie mieli obsesję pracy, podchodzili do niej z przedziwnym — radosnym niemal — spokojem. Powołanie. Co dziwniejsze, jej owoce nie wydawały im się już tak ważne; Ohlen twierdził, iż wiele z tego, co wyhodował, wykonał — przeznaczone było na dary. Jakie dary? Wymiana? Handel? Nie, nie — dary. Pracowali dzień w dzień, cóż bowiem świętować mieli w niedzielę? Zresztą i tak nie wiedzieliby jak, nie znali wszak żadnych rytuałów.

— Ho... Ho! Dlaczego to zrobiłeś?

Sierżant spojrział na Praduigę, niczym na ducha.

— Dlaczego ją zabiłeś? — pytał Lopez.

— Możesz za to wylądować w Piekło — włączył się Crueth; Praduiga wzrokiem poprosił go o milczenie. Major wzruszył ramionami i odwrócił się od nich. Obserwował dwór. Nie chciał słyszeć odpowiedzi sierżanta, wolałby, żeby morderca — a Ho był mordercą, czyli zabójcą i przestępcą, ponieważ zabił bez rozkazu — zachował wyniosłe milczenie, skłął pytającego czy, ostatecznie, w łeb sobie strzelił. Żołnierz — a nie skruszony zbrodniarz. Crueth miał jeszcze jeden powód, by się bać tej rozmowy: wszystkosłyszające ucho Boga. Nie kusić, nie kusić.

„Sam się postaram, żebyś tam trafił”, wyszeptał major w myślach.

Piekłem nazywano Ziemię z wszechświata kilka miliardów lat temu wypaczonego przez inną dystrybucję obszarów o zwiększonej ilości kosmicznego pyłu w próżni. Zmieniło to rozkład czasowych kolejnych zlodowaceń, bo w innych (niż „normalne”) okresach przechodziła przez nie tamta Ziemia, krążąc dookoła galaktycznego jądra. Aktualnie panowała na jej równiku średnia temperatura 3°C (co samo w sobie mówiło wiele o stopniu zagęszczenia tego pyłu): Piekło było piekielnie zimne. Odkryli je Stalińczycy, jako pierwszą obcą rzeczywistość. Nie stanowiła ona niczyjego wyłącznego dominium: każda Ziemia budowała tam, na terenach przyznanych jej przez UEO, gigantyczne kompleksy więzienne. Nie było z nich ucieczki. Przede wszystkim nikt nie chciał uciekać z ciepłych, przytulnych cel na morderczy mróz. Poza tym nie było po co uciekać: na owej Ziemi nie wzniesiono niczego, prócz więzień, a Katapulty sterowane były jednostronnie i każdy przerzut konsultowano wpierw z macierzystym światem: zero szans. Ostatnio rozważano co prawda projekt przystosowania do życia piekielnej Wenus, z racji panującej tam teraz zupełnie przyzwoitej temperatury, lecz rzecz utknęła na etapie sporów proceduralnych: kto mianowicie miałby prawo decydować o klimacie owej planety? Piekło pozostawało światem więziennym.

— W kuchni ją spotkałem — relacjonował tymczasem Ho wyblakłym głosem. — Ja... naprawdę nie wiem, jak do tego doszło. To znaczy... nie rozumiem. Byłem wściekły z jakiegoś powodu, coś mi nie wyszło... nie wiem, nie pamiętam. Chyba na nią krzyknąłem. Wrzasnąłem! Zaczęła mnie przeproszać... czemu ona mnie przeproszała, co? Dlaczego?! Ja nie... ja... Czemu mnie przeproszała?! Uderzyłem ją, lekko, naprawdę. Upadła. Niedobrze mi się zrobiło, wszak to grzech, grzech, grzech... Ale znowu... przeprosza i przeprosza, tak jej przykro, współczuje mi... ta miłość w jej oczach... Ja nie mogłem, ja... ja... To wszystko jest takie...

— I zabiłeś ją?

— Tak.

— Uwaga! Idzie Ohlen! — syknął Crueth.

Celiński tylko jęknął.

Ohlen nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu właśnie zamordowano żonę. Jak zwykle

pogodny, jak zwykle spokojny, jak zwykle kochający swych obcych braci.

Podszedł do altanki i zatrzymał się przed majorem, który zastąpił mu drogę do wnętrza. Patrzył prosto na Ho. Błady sierżant uciekał wzrokiem na boki, przytłoczony otwartością spojrzenia Ohlena.

— O co chodzi? — spytał Crueth.

— Chciałbym wam pomóc.

— Pomóc? W czym?

— Musicie przeżywać teraz ciężkie chwile, szczególnie Ho. Bardzo mi przykro, to musi być straszne. Szczerze ci współczuję, Ho — rzekł Ohlen.

Wytrzeszczyli nań oczy.

Po dwunastu latach małżeństwa drugiego stopnia Lopez, ten fanatyczny determinista, łudził się, że wie, czym ono jest. Na pewno nie łatwym do przewidzenia łańcuchem dni dobrych i złych, spojonych miłością i namiętnością; miłość bardzo szybko wycofuje się na z góry upatrzone pozycje, namiętność okazuje się pustym rytuałem — w końcu pozostaje dwoje samotnych ludzi, unikających swych spojrzeń i przypadkowych dotknięć, niczym spojrzeń i dotknięć trędowatego; walczących ze sobą myślą i modlitwą. Małżeństwo, przez swą pozorną definitywność, a na pewno przez realny ciężar obowiązku, przekształca się w coś więcej — przyzwyczajenie, przynależność. Oto okazuje się, że potężną część swego życia zużyłeś wraz z drugim człowiekiem, dzień w dzień, oddech w oddech; budzisz się pewnego dnia i stwierdzasz, że twoja żona istotnie w jakimś sensie stała się z tobą jednością: znasz wszystkie jej zalety i wady, słabe i mocne strony, ciemne tajemnice, wstydlive wspomnienia wyszeptane kiedyś w duchocie letniej nocy, jej drogi do radości i rozpacz; wiesz, jakie będzie kolejne jej słowo, reakcja na daną sytuację, i nie możesz już przełamać tego schematu, nie chce ci się, zbyt wielka jest siła inercji. Znajdujesz w nim nawet pewien posmak szczęścia, skończoności. Bezpieczeństwa. Oto nie ma już takiego skrawka jej ciała, ani myśli, którego byś doskonale nie znał — i podobnie jest z nią. Stanowi to wasz swoisty tytuł wzajemnej własności: ty należysz do niej, ona do ciebie. Oto stwierdzasz, że, siłą tego samego przyzwyczajenia, mógłbyś dla niej tak wiele poświęcić — może nie życie, lecz prawie wszystko, co posiadasz, i że prawdopodobnie ona sądzi podobnie. Znacie się tak dobrze, iż kiedy się ranicie, kiedy mścicie się na sobie za świat — potraficie się doprowadzić do granicy depresji jednym słowem — ale znacie również te granice. Małżeństwo to przymierze, układ, chwiejny i niepewny, jednakże związany z pewnymi korzyściami; człowiek nie jest samotnikiem, nie przetrwa jako człowiek, nie mając do kogo mówić, uśmiechać się, kogo kochać i nienawidzić, uszczęśliwiać i unieszczęśliwiać. Zawiera więc swój układ, mając na względzie potrzeby duszy i ciała: ty będziesz moim partnerem. I w przeważającej części przypadków żal z powodu odejścia tego partnera nie wynika z czystej miłości do niego, ale z prostego, egoistycznego uczucia straty: miałem coś, lecz to utraciłem; Boże, jaki okrutny jest świat. Tak, tak; także miłość jest uczuciem egoistycznym. Lopezowa definicja miłości nie obejmowała jej tutejszej odmiany. Miłość Ohlena była miłością eremity do pszczoły, która nawiedza go w jego pustelni: absolutna, i przez to tak przerażająca. Nieludzka. On kochał i mordercę swej żony.

— Ty wiesz... — major potrząsnął głową.

Ohlen spojrzał nań pytająco. — Co?

— Ho zabił Esslen — powiedział Celiński, od pewnego czasu zachowujący się jakby właśnie usłyszał wyrok skazujący go na śmierć.

— Tak.

— Sześć minut piętnaście sekund — mruknął przez gadałkę Crueth.

— Opuszczacie nas — stwierdził Ohlen.

Dawno już przestali się dziwić jasnowidztwu tuziemców.

— Owszem. Lepiej będzie, jak się odsuniesz. Mogłoby cię przeciąć na pół.

Ohlen tylko się uśmiechnął.

(— Coś na nas pruje od wschodu. Janusz, Lopez — pilnujcie Ho.) — Naprawdę, dobrze ci radzę

— kontynuował Crueth. — A przy okazji: spodziewasz się jakichś gości?

— To nasze dzieci i jeszcze parę osób. Nie bójcie się — rzekł Ohlen, a Praduiga po raz setny zadrżał na myśl, iż ten człowiek może być telepatą — iż jakikolwiek człowiek może być telepatą, potrafiącym odczytać najbardziej tajemne pragnienia i lęki kłębiące się w twojej głowie. To by było po prostu niesprawiedliwe.

— Pozwól nam uciec, pozwól nam uciec, pozwól nam uciec... — szeptał ścianie altanki Celiński. Można by to nazwać modlitwą, gdyby nie fakt, że na tym świecie coś takiego jak modły nie istniało — nie było powodów do ich wznoszenia. Celiński jednakże nie pochodził z tego świata.

Pojazd, który major dostrzegł chwilę wcześniej przez swe magiczne układowe skalonymi źrenice, ujrzeli teraz wszyscy: wystrzelił zza wschodniej grani gładką świecą, zakręcił, obniżył lot i po łagodnym łuku spłynął przed dworek. Przypominał pozbawiony śmigieł, lekko spłaszczony *Sikorsky*, i można by go wziąć za helikopter, gdyby nie absolutna cisza, w jakiej się poruszał, i materiał, z którego był zbudowany: drewno. Wyjście zeń musiało się znajdować z drugiej strony: zza pojazdu zaczęli się wyłaniać jacyś ludzie. Z tej odległości Lopez nie był w stanie dokładnie im się przyjrzeć — choć major zapewne potrafił policzyć im włosy na głowach — lecz widział: nie byli zaskoczeni widokiem innych gości. (— Wymarzona okazja do dodatkowej weryfikacji — zauważył Lopez. — Ile nam zostało?

— Pięć minut.

Do Ohlena podbiegło dwóch kilkunastoletnich chłopców, chwilę potem starszy mężczyzna o lekko posiwiałych włosach. Część pozostałych przybyszów weszła do dworku, część rozeszła się po dolinie; nawet Crueth zaprzestał śledzenia ich wzrokiem.

Praduiga wyszedł z altanki, podreptał do grupki skupionej wokół Ohlena i szarpnął za ramię odwróconego doń tyłem siwego.

— Wracaj, kretynie!

— A jeśli to jednak mistyfikacja? Jeśli to wszystko kłamstwo?

— Tylko w jednym przypadku mogliby przewidzieć nasze przybycie i to zorganizować: jeśli to, co mówią jest prawdą. Dobrze o tym wiesz. Wracaj!

Żelazna logika tego wywodu — który zresztą sam przeprowadził — przyprawiała Lopeza o ból głowy.

— Proszę mi powiedzieć — zagadnął Praduiga siwego — w którym to roku umarł Jezus Chrystus? Przepraszam, że tak...

Siwy popatrzył pytająco na Ohlena, a kiedy z powrotem przeniósł wzrok na Praduigę, Lopez spostrzegł w nim ten sam matowy błysk, co w spojrzeniu gospodarza. Kocham cię, kimkolwiek jesteś, człowieku.

— Nie... — jęknął Lopez.

(— Wracaj!)

— Proszę, proszę, proszę, proszę... — recytował tępo Celiński w powietrze.

Praduiga obrócił się i pognął ku altance. W drzwiach zderzył się z Ho; sierżant rzucił się między niego a Cruetha, wywracając Lopeza.

— Ho! — krzyknął major przez gadałkę.

Sierżant nie zareagował. W odległości kilku metrów minął grupkę tubylców i biegł dalej — w

kierunku lasu. Uruchomił system mimetyczny: zdawał się teraz zawirowaniem powietrza, dżinnem przemykającym po zielonych pagórkach rozedrganymi słupami gorąca.

— Ho!

Znów bez odpowiedzi.

Crueth uniósł rękę i sierżant zwałił się martwy na ziemię.

— Och, kurwa, kurwa, kurwa — wyszeptał major. Pokręcił głową, policzył w myślach do dziesięciu i, już zwykłym głosem, warknął: — Bierzemy go. Lopez, Jan... — Spojrzał na Celińskiego i zmienił zdanie. — Chodź, Lopez, przeciągniemy go we dwójkę.

Podbiegli do trupa sierżanta. Crueth wyłączył jego system maskujący. Ujęli ciało za ramiona i zaczęli je wlec ku altanie. Gdy mijali siwego, Ohlena i jego dzieci, dobiegło ich rzucone przez kogoś pytanie (w jednym z chińskich dialektów):

— Wybaczycie nam?

Nie odpowiedzieli. Nie podnieśli wzroku.

Ułożyli zwłoki Ho na środku altanki.

(— Dwie minuty.)

Lopez zauważył, że major jakoś dziwnie mu się przygląda. No tak, pomyślał Praduiga, Calver zbzikował, Ho zbzikował, Janusz też, to na kogo teraz kolej? Kto pozostał?

Czekali.

— A jeśli... — zaczął Crueth i urwał. Praduiga nie spytał, o co mu chodziło.

Dzieci Ohlena pobiegły gdzieś na południe, siwy i Ohlen ruszyli spacerkiem ku dworkowi. Nikt nie zwracał uwagi na Stalińczyków.

— Jak to zaopiniujesz? — spytał przez gadałkę major.

— Co?

— Aneksję tej Ziemi. Twoja decyzja będzie przecież... Rozumiesz.

Praduiga zagapił się ciężko przed siebie.

— Tylko sekundy — mruknął major. Wnętrza dłoni wycierał nerwowo o płaszcz, pocily się. — Jak myślisz, co się stało z tamtymi Zwiadowcami? Tymi wszystkimi maszynami? — Słowa; musiał mówić. — Dlaczego On tak to zorganizował? Dlaczego chciał, żebyśmy...

— Aaaaaaaa!!! — rozwrzeszczał się Celiński.

Mignięcie.

Na sekundę przed przerzutem wydało się Praduidze, że dostrzegł wychodzącą z dworku Esslen, zdrową i uśmiechniętą — ale to nie mogła być prawda.

Lustrzana kopuła. W kryształowym świetle jej nieskończoności — tysiące odbić. W nich altanka, trzech mężczyzn i trup.

Celiński stracił przytomność.

— Może Oni walczą ze sobą — szeptał Crueth gdzieś w bok, jakby nie zauważył, że zostali przerzuceni — Ci Bogowie równoległych wszechświatów...

— Co to znaczy?! — krzyknął w pustkę Lopez. — Dunlong!!

— Nie ma powodu do wrzasków — odezwał się z powietrza głos Dyrektora Piątego Departamentu. — Normalne środki ostrożności. Zaraz to zdejmujemy; cholera wie, co mogliście przywlec ze sobą. I nie zdziwcie się: jest druga kopuła. Ta dolina została u nas kilkanaście lat temu zalana, sztuczne jezioro tu mamy. Musieliśmy zbudować keson na dnie. Ho nie żyje?

— Nie żyje.

— Calver?

— Uciekł. — Lopez zerknął na Cruetha. — Też nie żyje.

Dunlong umilkł.

Lustrzane tafle rozsunęły się na kilka metrów. To samo rozproszone światło, które oświetlało wnętrze zwierciadlanej śluzы, utrzymywało w głównej komorze kesonu irytujący półmrok. Cienie, cienie, cienie.

Crueth, milczący, zamyślony, siedział nieruchomo na pozornie słabym Ohlenowym krzeselku, wpatrując się w jakiś odległy horyzont zagubiony pośród niezliczonych odbić.

Na platformę przerzutową wbiegło kilku Carterczyków w pełnym rynsztunku: łup, łup, szmach, szmach; synchroniczny taniec wojny. Praduiga zgrabnym slalomem wyminął ich wykopując piętami za siebie syntetyczny piasek; zeskoczył na podłogę, przekoziółkował, ominął wyłączzonego Cerbera i podbiegł do ustawionych w podkowie urządzeń kontrolnych Katapulty, gdzie — jak przypuszczał — znajduje się Dunlong. Był tam. Siedział w fotelu i zagapiony w ekrany gryzł cygaro. Ujrawszy Lopeza, jego twarz — poderwał się i rzucił do ucieczki. Praduiga dopadł go w kilka sekund, pod ścianą komory.

— Dunlong — dyszał — zrobisz to, musisz to zrobić, jesteś mi to winien...

— Zabierzcie go! Meyer, do diabła, ty śpisz?! Szlag by to... Zabierzcie go!

— Amnezja, rozumiesz? Chcę stracić pamięć. Całe osiem dni. Wyczyść mi. Słyszysz? Potrafisz to zrobić, to jest możliwe, ty masz tę możliwość; wiem. Amnezja — zapomnieć, zapomnieć...

— Wy durnie! On mógł już mnie zarżnąć trzy razy!

— Nie jestem szalony — mówił Praduiga wleczony ku kabinie ambulatoryjnej przez Carterczyków. — Zrobisz testy, przekonasz się.

Dunlong wygładził sobie marynarkę i spojrzał nań podejrzliwie.

— Możliwe — mruknął. — Tak czy inaczej chcę mieć najpierw pełny raport.

— Będziesz go miał. Będziesz go miał! Ale potem — amnezja!! Słyszysz?! Amnezja!!!

— Okay, okay — zamamrotał Dunlong i zaczął wywarkiwać rozkazy dla yantscharów powstrzymujących nagle oprzytomniałego Celińskiego przed powieszeniem się na własnym pasku, przerzuconym przez jedną z ocalałych desek dachu altanki.

## Epilog

Wyjątek z raportu Lopeza Praduigi dla Komisji ds. Podbojów przy Prezydencie Ziemi Stalina:

*Dlatego też wnioskuję o zamknięcie dla wszelkiej komunikacji, wymazanie zapisów i zniszczenie danych dotyczących Ziemi Chrystusa alias Piekła II; o objęcie wszystkich osób dopuszczonych do tajemnicy procedurą „Setsom” i przeprowadzenie odpowiednich akcji zabezpieczających; o nadanie Ziemi Chrystusa statusu Świata Pandory. Jest to najniebezpieczniejsza rzeczywistość, z jaką Federacja kiedykolwiek się zetknęła. W przypadku otworzenia wolnych kanałów przerzutowych szkody mogą być nieobliczalne, większe niż w razie jakiegokolwiek reinwazji. W ostateczności Federacji może grozić całkowita anarchia. Powtarzam: wnoszę o zamknięcie Ziemi Chrystusa.*

Tak też uczyniono.

*sierpień 1992; listopad 1995*



*Mirosław P. Jabłoński*

# Elektryczne banany

## Przedmowa

Za siedmioma Księżstwami, za siedmioma Enklawami Ekonomicznymi żył sobie pewien nieudacznik. Nazywał się Gaspar Romeo Homer, z zawodu scenarzysta filmowy. Był inteligentny, więc klepał biedę oraz Tonię Atkins, charakteryzatorkę.

Pewnego dnia Gaspara wezwał sam „oskar” Księstwa Hollywood, Akido Yazumi. Hai! „Oskar” zaproponował inteligentnemu scenarzyście napisanie scenariusza do filmu o zamachu na papieża Bartolomeusa, a to z tej przyczyny, iż miał z papieżem na pieńku, a ponadto Księstwo Nowego Watykanu, przeniesione po atomowym ataku Bractwa Muzułmańskiego na poprzednią Stolicę Apostolską do wojskowego schronu w Abruzzach, rzuciło co jakiś czas na Hollywood klątwy.

Scenarzysta zabrał się chyżo do pracy, przeszkadzał mu w tym jednak szereg czynników:

1. Jego dziewczyna zapragnęła zostać gwiazdą fantomatycznych filmów pornograficznych. Co więcej, zamiar ten wprowadziła w czyn.

2. Komputer jasnovidzący w Nowym Watykanie nabrał brzydkich podejrzeń, iż według płodzonego przez Gaspara scenariusza ma zostać dokonany prawdziwy zamach na papieża.

3. Przyjaciel papieża, niejaki Joe „Big” Gambino, będący głową naprawdę dużej Rodziny, postanowił zdławić ów pomysł scenariusza, a więc Gaspara, w zarodku. A miał na to środki.

4. Sam Gaspar zapalał miłością do kochanki Joe „Big” Gambino.

5. Nuncjusz papieski w Autonomicznym Księstwie Hollywood obraził się na scenarzystę i nie chciał mu pomagać.

6. Pomoc jednak nadeszła ze strony sekretarza nuncjusza, niejakiego Fung Fu Johnsona, mającego cztery żony i dwanaścioro dzieci. Gaspar uwięził u niego nuncjusza i swoją dziewczynę.

7. A wszystko to działo się w postindustrialnym świecie ekonomiki, sterowanej doktryną Tanaki–Balcerowicza–Johnsa. Wyobraźcie sobie tylko ten koszmar!

Zdesperowany, inteligentny scenarzysta przebiera się za nuncjusza i z walizką pełną broni wyrusza do Nowego Watykanu, by na własnej skórze sprawdzić, czy podobna rzecz uda się jego bohaterowi.

Uda się mu?

## Elektryczne banany

Początek „party” u „oskara” — jednego z przyjęć, mającego zwyczajowo zakończyć się wielką orgią lub pomniejszymi orgietkami, przebiegał standardowo. Pierwszy przybywał punktualnie „plankton” show businessu, debiutujący dopiero na salonach, a po owej mierzwie nadpływały statecznie płotki, dostępujące od niedawna tego zaszczytu. Ponury jak noc Gaspar Romeo Homer wraz z rozpromienioną i rozentuzjasmowaną Tonią u boku potwierdzili tę regułę.

Powód złego humoru Gasa był prosty, panna Atkins otrzymała swą wymarzoną rolę w *Elektrycznych bananach* i z zapalem kameleona—neofity starała się teraz upodobnić do otoczenia gwiazd „phan-movie”. Iskrzącym się wzrokiem śledziła powolny napływ gości, popiskując czasem lub wydając znaczące „wow!” oraz wbijając paznokcie w ramię swego towarzysza na znak najwyższego podniecenia wywołanego widokiem kogokolwiek, kto w jej branży pełnił choć trochę wyższą funkcję. Znaczyło to, że piszczała i emitowała indiańskie okrzyki bez chwili przerwy. Dla odmiany, gdy dosyć wcześnie jak na jego pozycję, pojawił się Reginald Trzeci Masturbanni z oszałamiająco rudą Clarissa van Delf, Tonią zamilkła i nie wydawała żadnych akustycznych oznak życia przez około czterdzieści sekund. To wystarczyło, by Gas zaniepokoił się o jej zdrowie.

Paznokcie miss Atkins, niczym zęby bullratlera, na stałe zagłębiły się w jego bicepsie, wywołując jeszcze większy ból. Clarissa i Reginald Trzeci, najwyraźniej przespali albo przebredzili cały boży dzionek i teraz nie wiedzieli, która jest godzina. Dopiero cisza, która nastąpiła po ich wejściu, uświadomiła im, że jak na pozycję numer jeden przyszli ociupinę za wcześnie. Na tyle wcześnie, że nawet gospodarz przyjęcia nie uznał jeszcze za stosowne pojawić się pomiędzy swoimi gośćmi. Nie było także nikogo choćby w przybliżeniu tak ważnego, by mógł do nich podejść i zagadnąć, ani też nikomu spośród artystycznej ławicy płoci nie udało się wypić czy zaćpać na tyle, by uznawszy się za równego supergwiazdorom, walnąć na powitanie Reginalda w plecy, a Clarissę van Delf, pochodzącą z enklawy Elan-Fisher i nazywającą się naprawdę Marica Marcinkowic, uszczyplnąć w tyłek.

Zanim gwar zdążył wybuchnąć na nowo, stało się coś jeszcze bardziej dziwnego, aniżeli przedwczesne przybycie pary półbogów. Oto w drzwiach sali pojawił się nuncjusz papieski, Martin Hernandez-Ochoya we własnej, czarno odzianej i przepasanej fioletową szarfą postaci. Cisza stała się jeszcze bardziej przejrzysta. Nim jednak ktokolwiek zdołał się zastanowić, czy samozwańczy nuncjusz został zaproszony czy też wdarł się tutaj, by „in vim” nawracać, wyświęcać i egzorcyzmować, już na spotkanie niezwykle gościa ruszył drobnym kroczeniem sam „oskar” Akido Yazumi. Nie mrugnawszy nawet okiem w stronę zaskoczonych Clarissy i Reginalda, przeszedł obok nich i począł wylewnie witać się z prałatem. Reginaldowi Trzeciemu opadła szczęka, a pannie van Delf ramięczko skąpej sukni — dziewczyna zawsze tak reagowała, gdy czuła się zakłopotana.

Gaspar uwolnił zdrętwiałe ramię ze szponów miss Atkins i przetaił oczy, by lepiej widzieć. Tonia dyskretnie włożyła rękę do kieszeni jego spodni i przez materiał ścisnęła go za jądra. Gaspar otworzył nieinteligentnie usta, niczym wyciągnięta na brzeg złota rybka, i pozostał tak, wstrzymując z wrażenia oddech.

„Oskar”, po wymianie grzeczności z nuncjuszem, odwrócił się do nieruchomej, jak własne pomniki, publiczności.

— Ja powitać wasza serdecznie i przedstawić nowego w naszym gronie kardynała mniejszego, nuncjusza papieskiego, Martineza Hermana—Ochoyę...

— Martina Hernandesa — poprawił odruchowo prałat.

— Hai! — Zgodził się „oskar”, a wszystkim się zdawało, że świsnął mieczem i głowa nuncjusza powinna się poturlać po posadzce. Po czym zakończył swą wyczerpującą cierpliwość słuchaczy przemowę:

— Postaraj się być mili dla niego, choćby jego szef nie jest. Martin Hernandez—Ochoya wykonał wokół siebie kilka dyskretnych znaków krzyża, mających bronić go przed przystępem złego, i opancerzywszy w ten sposób swą duszę oraz ciało, ruszył dzielnie na spotkanie wpatrzonego weń stuokiego argusa. Nogi prałata plątały się nieco, ale to chyba przez krępujące jego ruchy szaty, a tłumek gości drgnął niemile zaskoczony i rozstąpił się skwapliwie, nie chcąc narażać się na bezpośrednie starcie. Po kilku nieudanych próbach zbliżenia się do przeciwnika Martin Ochoya dotarł do przeciwległej ściany i zawrócił z gracją elektrycznego żółwia. Goście, rozbici teraz dla bezpieczeństwa w tyralierę, popatrywali nań czujnie, gotowi do nowych uników. Na wszystkich twarzach widział malujące się to samo pytanie, na które sam nie znajdował odpowiedzi: Po jaką cholere „oskar” zaprosił go na jedno ze swych przyjęć, które sławą dorównywały orgiom u Tyberiusza, oraz po kiego diabła on, kardynał mniejszy i nuncjusz papieski, cóż z tego, że samozwańczy, owo zaproszenie przyjął? Czy była to próba pojednania się Księstwa Hollywood z Nowym Watykanem? Czy „oskar” zamierza zaprzestać rozpustnego życia i zabronić go innym?

W sali nadal panowała cisza. Oparty o ścianę prałat zamknął oczy. Pewnie modlił się widząc, że zgotowano mu tutaj towarzyską golgotę, i Gasparowi zrobiło się go żal. Nie na tyle oczywiście, by podejść i porozmawiać, bo i o czym, na Boga?!, ale jako człowiek również w pewnej mierze nie przystosowany, współczuł w swoim sercu doli kardynała mniejszego. Na obolałym ramieniu poczuł ponownie zaciskającą się dłoń i szarpnięciem usiłował je oswobodzić. Nie pomogło, uścisk wzmógł się jeszcze bardziej. Gas obrócił głowę, mając zamiar wyzwać Tonie od ostatnich, ale zamiast niej dostrzegł u swego boku, ale poniżej ramienia, głowę „oskara” Yazumi. Jak z tego wywnioskował, godzina cudów jeszcze się nie skończyła! Mały, żyłasty człowieczek dźwignął nieomal Homera ponad podłogę i niosąc go w stronę podpartej nuncjuszem ściany, powiedział:

— Dobry, że przyszedłeś, Gas. Słyszałem byłem o tobie. Myślałem, że fajnie będzie, gdy poznasz mój gość. Potem pogadamy.

Unikając w ostatniej chwili zderzenia z prałatem, puścił wierzgającego nieco Gaspara i, rzuciwszy go w ten sposób chrześcijaninowi na pożarcie, oddalił się szybko swoim drobnym kroczkiem. Za plecami Gasa sala wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi. Rozległy się pierwsze szepty i śmieszki, a potem, zgodnie ze wzrostem wskaźnika zadowolenia z powodu rozwiązania drażliwej sytuacji, gwar osiągnął normalny poziom. Gas, zdradzony i opuszczony przez wszystkich, chciał się obejrzeć w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy, ale w tym momencie nuncjusz podniósł powieki i ich spojrzenia spotkały się w połowie drogi. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i w tym samym wieku. Nuncjusz zobaczył niebieskie jak bławatki, choć nieco zblazowane oczy, wpatrujące się w niego z mieszaniną lęku oraz niechęci, Homer zaś wrażliwą duszą pseudoartysty dostrzegł zwątpienie oraz przedwczesną zgorzkniałość duchownego. Przedstawił się:

— Jestem Gaspar Romeo Homer, scenarzysta filmowy. Nie wiem, jak mam się zwracać do...

— Mów mi po prostu Martin — odrzekł Ochoya. — Nawet mój sekretarz nie nazywa mnie inaczej. Jesteś, oczywiście, ateistą, Gas? Postępowym, wyzwolonym, racjonalnym umysłem,

obdarzonym na dodatek przekleństwem pewnego talentu, co? Niestety, tylko pewnego, za to z dużą domieszką goryczy, frustracji i nużącego przeintelektualizowania do smaku. Wydaje mi się, że widziałem kilka twoich filmów. Nie znam się na pisaniu scenariuszy, ale mam wrażenie, że twoje intrygi były inteligentnie zbudowane...

— Dziękuję — powiedział Gas, modląc się pod nosem do boga ateistów, by ktoś uwolnił go od duchownej osoby. „Gdzież, do diabła, podziała się Tonia?” Uśmiechnął się. — Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o twoich kazaniach, Martin, ale nie słyszałem ani jednego.

— Nie mogłeś. Ja nie wygłaszam kazań. Jestem kimś w rodzaju urzędnika. Dyplomata, osobą do nawiązywania stosunków oraz prowadzenia negocjacji pomiędzy Nowym Watykanem a resztą świata. To nie jest łatwy dialog, zapewniam cię. Ale dawniej, owszem, prowadziłem duszpasterstwo.

— Gas, kochanie! — nagle za scenarzystą zaszczębiotała Tonia. — Gdybyś mnie potrzebował, to jestem z Sue i Aleckiem!

I nim Gaspar zdołał się uchwycić tego rzuconego niecelnie koła ratunkowego, Tonia odbiegła w inny kąt sali. Mimo że właśnie teraz potrzebował jej jak nigdy dotąd!

— Jeżeli źle się czujesz w moim towarzystwie, Gas, to bardzo cię proszę... Nie krępuj się, tam chyba czekają na ciebie...

Głos Martina Ochoi był spokojny i ciepły. Nie czuło się w nim poddania, ironii, rezygnacji czy złości. Chyba właśnie to przeważało szalę. I jeszcze coś, chęć zrobienia tamtym na złość. A więc tak, zostawili go na pastwę papisty i teraz stojąc bezpiecznie z dala, nabijają się z niego, doskonale bawiąc się jego kosztem! Ano, dobra, zobaczymy... Gestem, który widział na filmach, jak stosuje się go wobec kobiet i osób duchownych, Gaspar ujął prałata pod czarny łokieć i powiedział:

— Nie ma sprawy, Martin. Bardzo miło się z tobą gawędzi. Przejdźmy się trochę, zjedźmy coś, wypijmy... To chyba możesz, co?

Nuncjusz, zdumiony przemianą Homera, skinął tylko potulnie głową i dał się wieść przez salę pełną ludzi w najdziwniejszych strojach, którzy oswoili się już z jego obecnością. Przyzwyczaili się mianowicie w ten sposób, że nic sobie z niej nie robili. Jeszcze tylko nowo przybyli robili zdumione miny nie wiedząc, czy strój nuncjusza nie jest po prostu przebraniem, ale inni puszczali do niego oko lub wykonywali inne przyjacielskie gesty, na które Ochoya odpowiadał wymuszonym, niczym maska pośmiertna, grymasem. Był to uśmiech, ale nawet on zniknął, gdy podeszli do stołu na tyle blisko, że mogli spostrzec, iż jedynym daniem, które ze względu na nie prowokujące kształty nuncjusz może wziąć do ust bez narażenia swej duszy na ogień piekielny, są solone orzeszki. Reszta potraw była mniej lub bardziej udatnie uformowana na obraz i podobieństwo tych anatomicznych elementów, które na co dzień odróżniają kobietę od mężczyzny i vice versa.

Budulec, z jakiego wzniesiono owe „erotokulinaria”, był bardzo różny. Ser, czekolada czy bażancie udko równie dobrze spełniały swoje zadanie. Tort marcepanowy, wzniesiony najwyraźniej na drucianym stelażu, wyobrażał naturalnej wielkości Wenus wynurzającą się z kąpieli różowego szampana. Ochoya zamknął bogobojnie oczy, usiłując drżącą ręką trafić po omacku do miseczki z fistaszkami. Przewrócił przy tym kilka sterczących ostro i zdecydowanie figurynek, a szeroki rękaw umaczał w otaczającym je majonezie. Gaspar postanowił miłosiernie interweniować. Przesypał całą zawartość naczynia do przepastnej kieszeni nuncjuszowego stroju, a w spoconą dłoń wcisnął mu szampan w kieliszku o najmniej wyszukany kształcie. Po czym wrócili pod ścianę. Kardynał odetchnął.

— Twoi rodzice...

— Jestem dzieckiem z próbówki — przerwał mu pośpiesznie kłamstwem Gas widząc, że zanosz

się na sądowanie przynależności oraz skłonności religijnych jego rodziny do n-tego pokolenia wstecz.

— Przykro mi.

— Mnie nie — zapewnił purpurata Gaspar. — W moim wieku daje to sporo luzu, rozumiesz co chcę powiedzieć? Nie czuję się niczym skrępowany...

— Skrępowany? — zdumiał się nuncjusz i wpakował do ust całą garść orzeszków. — Czy ktokolwiek ze zgromadzonych tutaj zna podobne uczucie? Nie mogę w to uwierzyć!

— Zostawmy to — powiedział zniechęcony Gaspar i rozejrzał się po sali, poszukując wzrokiem zbawczej sylwetki Toni.

Z kardynałem mniejszym nie mieli sobie chyba już nic więcej do powiedzenia. Toni nigdzie nie było widać, natomiast na podstawie pełnego szacunku falowania tłumu, w którym poruszało się coś bardzo zdecydowanego, a dzięki niepozornemu wzrostowi niewidocznego, wysnuł wniosek, iż w jego kierunku przemieszcza się sam „oskar” Hollywoodu, Akido Yazumi. Obawiając się, że może ponownie zostać zaciągnięty do towarzystwa jakiegoś raroga, Gaspar zapragnął uniknąć spotkania, ale oto już spod łokcia zwalistego operatora, prezentującego głośno zalety nowego obiektywu hydromagnetycznego i tarasującego Gasowi drogę, spojrzały na niego z gadzią obojętnością skośne oczy „oskara”. Yazumi skinął na Homera palcem i odwróciwszy się zanurkował w tłum. Pojawszy, że oto nadszedł ostatecznie moment, dla którego go tutaj zaproszono, Gas zgiął się wpół i podążył śladem „oskara”, poszerzając nieco łokciami pozostawiony w ludzkim mrowiu przez tamtego kilwater.

— Dobry, że cię znalazłem — odsapnął Yazumi, gdy rozsiedli się w jakimś bocznym gabinecie.

Jedną jego ścianę zastępował fantomatyczny obraz Fuji-jamy, transmitowany bez przerwy z kamery zainstalowanej kilkanaście kilometrów od podnóża wielkiej góry. Na pierwszym planie, stercząc ze ścian pokoju, łagodnie kołysały się gałęzie kwitnących — jakżeby inaczej! — wiśniowych drzew, dalej pasło się ryczące od czasu do czasu bydło, a powietrze skwierczało od upału i ptasiego jazgotu. W oddali ktoś przejechał na słonecznym rowerze i pomachał do kamery świadom obecności jej oraz potencjalnego obserwatora. Gaspar nie odważył się zapytać, czy to znajomy „oskara”, zastanowił się natomiast, ile też musiała kosztować Księstwo ta nostalgiczna zachcianka Yazumi. Obrazek, mimo iż bezpośrednio odzwierciedlał naturę, miał w sobie coś z kiczowatości trójwymiarowych pocztówek. Wrażenie to rodziło się chyba na styku ultramarynowego nieba i sufitu, gdzie defilowały białe chmurki. Nie chmury, ale chmurki właśnie, wstrętne barankowate cumulusy pięknej pogody.

„Oskar” zasiadł w jednym z ustawionych wachlarzowato na wprost projekcji foteli i Gas, rad nierad, klapnął obok z wbitym w landszaft wzrokiem. Yazumi świsnął po swojemu przez zaciśnięte wargi:

— Piękne.

— Tak — stwierdził Gaspar, którego od patrzenia na idylliczny obrazek rozboleły zęby.

— Chciałem z tobą pogadać, Gas — „oskar” wyrażał się najzupełniej poprawnie, choć ze swą japońską gwałtownością. — Jesteś teraz zajęty? Piszesz coś?

— Aissa Larson namawia mnie na współpracę przy kręceniu kolejnego horroru — skrzywił się Homer. — Nie wiem sam, czy to wezmę. Pomysł nie bardzo mi się podoba, facet mieszka u kobiety, która ma siostrę—bliźniaczkę. Przekonuje się, że to nieprawda, a tylko bohaterka cierpi na rozdwojenie jaźni. Kiedy jednak w trakcie narkotycznego misterium, mającego w jego mniemaniu uleczyć chorobę, morduje w szale swą partnerkę, to okazuje się, że zabił ową jakoby nie istniejącą siostrę...

— Taaa... — mruknął „oskar”, który najwyraźniej również nie był oczarowany tym pomysłem.

— Trochę to przekombinowane. Mam dla ciebie lepszą propozycję, jak mi się zdaje. Przeglądałem ostatnio twoje dane i myślę, że byłbyś odpowiednim facetem. Filmy według twoich scenariuszy nie robią wielkiej kasy, bo są nieco za inteligentne, a mnie teraz właśnie chodzi o coś takiego, błyskotliwego, skomplikowanego, ale z polotem. Słowem... superprodukcja. Co byś powiedział, Gas, o tym, by napisać scenariusz współczesnego filmu o próbie zamordowania papieża Bartolomeusa? Co?

— Uwieńczonej powodzeniem? — zapytał Gaspar. — Kto by to miał kręcić?

— Oczywiście, że udanej! — potwierdził Yazumi. — Ten facet nie od dziś działa mi na nerwy. Chciałbym chociaż w ten sposób utrzyć nosa świętemu bubkowi. A co do roboty, to myślałem, żeby powierzyć ją Moralesowi. Ma lekką rękę do takich rzeczy...

Gasparowi pociemniało w oczach. Jean-Paul Morales to jeden z najlepiej notowanych, a co za tym idzie — najwyżej płatnych reżyserów. Jego *Trzy kroki w mroku*, *Masakra w Portofino* czy *Bienvenue de la maison* były największymi hitami ostatnich lat. Teraz pracował nad epickim obrazem pod roboczym tytułem: *Nowe przygody Odysa, albo dlaczego seks interesuje małe dziewczynki*, a skąpe wieści dochodzące od czasu do czasu z planu zdjęciowego elektryzowały filmowy świat. Morales miał zawsze najlepszy „cast”, a liczba dziewcząt kręcących się wokół ekipy i udających statystki przyprawiała o zawrót głowy. Jeżeli wielki Jean-Paul nie miał tego, czego — lub kogo — aktualnie potrzebował, to przerywał po prostu robotę i czekał tak długo, aż szefowie wytwórni, dla której pracował, dostarczą mu wymarzoną zabawkę. Klęli, grozili, prosili, ale w końcu załatwiali wszystko, co chciał. W branży nazwisko Moralesa znaczyło pewny sukces.

Gas poczuł miły zawrót głowy. Tak przyjemny, że nawet nie zastanowił się, gdzie jemu, szaraczkowi, do Moralesa?! Dla niego pisali najwięksi: Andreas De Mohl, Michael Yablonsky czy Rita Fontoni. By daleko nie szukać: dla *Nowych przygód Odysa...* skompilowali *Iliadę* i *Odyseję* Homera z *Ulissesem* Joyce’a, jego *Dublińczykami* i *Przebudzeniem Finnegana* oraz *Lolity* Nabokova. Już sam fakt, że to wszystko przeczytali, świadczył o tym, że są to osobowości ponadprzeciętne.

Nurzając się w kadzidle samouwielbienia, Gaspar pomyślał też o Toni. Gdyby załatwił jej jakąś rolę u Moralesa, oszalałaby ze szczęścia, nie mówiąc o tym, iż sama obietnica czegoś takiego odwiodłaby ją od *Elektrycznych bananów*, które jemu najwyraźniej nie smakowały.

Yazumi zmarszczył swą złotą maskę w coś, co z braku szerszego rozeznania Gaspar wziął za grymas bojowy szarżującego samuraja. Był to uśmiech. Przyjazny.

— I co ty na to, Gas?

— Musz... muszę się zastanowić — wyjąkał Homer. — To spadło na mnie tak nagle... Nie wiem, czy podołam, temat jest trudny... Wie pan, ten bunkier Nowego Watykanu to nie jest plac Świętego Piotra w Rzymie, to istna forteca. Nie da się tam wejść, ot, tak sobie. Odbywają się, oczywiście, regularne pielgrzymki wiernych, przyjmowane przez Bartolomeusa, ale przedsięwzięte wówczas przez gwardię papieską środki ostrożności są chyba najostrejsze na świecie. Przeniknięcie zaś do Stolicy Apostolskiej w inny sposób jest zgoła niemożliwe. Przy czym rozumiem, że scenariusz nie ma powtarzać atomowego rozwiązania zastosowanego przez Bractwo Muzułmańskie?

— Trochę fajerwerków nie zaszkodzi — zdecydował „oskar”. — Zresztą Morales zekranizuje twój tekst tak, by powstało kolejne arcydzieło zadowolające widzów. O to się nie martw. Będziecie współautorami, to chyba zaszczyt dla ciebie, co?

— Tak — potwierdził Gaspar głosem człowieka, któremu właśnie zdechła kura znosząca złote jaja.

Mógł być pewien, że po „zekranizowaniu” nie pozna swego scenariusza, a jego nazwisko



wypisane zostanie najmniejszymi literami jako dostarczyciela pomysłu. Postanowił mocno, że nie da się przynajmniej wykołować w sprawach finansowych, ale czas negocjacji jeszcze nie nadszedł.

— Wyobrażam to sobie mniej więcej tak — rozmarzył się „oskar”. — Ktoś, jakaś grupa ludzi, którym zależy na zgładzeniu papieża, wynajmuje zabójcę, najlepszego fachowca na rynku. Kontrakt jest oczywiście niebotycznie wysoki i zawodowiec pomimo początkowych oporów, już sam wymyślisz, czym spowodowanych, zgadza się. Potem przygotowania, jakieś trudności, jakaś dziewczyna i w końcu wielki finał. Co ty na to?

Gaspar przełknął nerwowo ślinę. Bardziej schematycznej fabuły nie powstydziliby się nawet Ryan LaQuirra, autor *Elektrycznych bananów*, a wiadomo przecież, że ten facet wiele potrafił! Myśl o tym alfonsiaku spowodowała, iż przy słowie „dziewczyna” Gas wspomniął o Toni i zaczerwienił się. Dla tej jednej sprawy warto chyba było spróbować. „Oskar”, stosując się do zasady, że cierpliwemu wszystko przychodzi na czas, czekał niezmordowanie na odpowiedź. Gaspar Romeo odparł ostrożnie:

— Zasadniczo to dobry pomysł, a moje obiekcje biorą się stąd, że chciałbym rzetelnie wykonać pracę. Do tego zaś potrzebna jest dokumentacja, czyli wyjazd tam, na miejsce...

— Hai! — zakrzyknął „oskar”. — Dlatego właśnie poznałem cię z tym rybowatym nuncjuszem. On ci to ułatwi. Zaprzyjajnij się z nim, odwiedź go, na pewno jest samotny... Czy ja wiem, co jeszcze..? Zdaje się, że dobrze się wam rozmawiało. Nie wymagam, abyś stał się praktykującym katolikiem, ale na pewne ustępstwa chyba możesz pójść? Jak sądzisz?

— Myślę, że tak — potwierdził Gas.

Rola tajnego agenta wkradającego się podstępem w cudze łaski i zdobywającego w ten sposób zaufanie podobnej jak Hernandez–Ochoya ofermi nie do końca mu jednak odpowiadała. Winą za to obarczał swe idiotycznie dobre wychowanie, które pozostawiło mu w duszy podobne zadry, przeszkadzające w robieniu kariery.

— No, to załatwione — stwierdził z dającym się wyczuć zadowoleniem Yazumi. — Wpadnij jutro do wytwórni, to podpiszemy kontrakt. Zaliczka w wysokości dwadzieścia pięć procent płatna w dwóch ratach. Dziesięć przy podpisaniu umowy i piętnaście, kiedy dostarczysz konspekt. Reszta przy realizacji plus dwa procent od wpływów. Myślę, że cię to zadowala?

Oszołomiony Gaspar nazbyt energicznie skinął głową, po raz drugi dzisiaj został kupiony. Mimo to odważył się zadać pytanie:

— Dlaczego właśnie ja? Czemu nie wybrał pan de Mohla albo Yablonsky’ego?

— Ty dobry scenariusz, ty się nadać — „oskar” Yazumi skrył się za swoją oficjalnie używaną angielszczyzną, w której nie było miejsca na subtelne różnice pomiędzy rzeczownikami „scenariusz” i „scenarzysta”. — Być OK.

— Chyba być... — zgodził się Gas.

W pokoju pojawiła się nagle mała dziewczynka ubrana w białe kimono. Tak naprawdę stała na wprost kamery, na łące rozpościerającej się u stóp Fuji–jamy. Dziecko pomachało ręką i zaczęło mówić coś bardzo szybko po japońsku. Yazumi wysłuchał uważnie wieści, ale nic nie odpowiedział. Potem wyjaśnił Gasparowi:

— To moja wnuczka. Czekam na ciebie jutro w biurze. Kiedy „pole głuszące” zamykało się za wychodzącym „scenariuszem”, usłyszał on jeszcze odgłosy przypominające cięcie i rąbanie drzewa. To „oskar” przemówił do dziewczynki w rodzimym języku.

*Przyjdź! Zobacz! Oniemiej! Nowy, rewelacyjny, bulwersujący, obrazoburczy i ekscytujący film Alvareza de Suzuki pod tytułem „Spowiedź dziecięcia XXIII wieku”! Promiskuityzm, przemoc,*

*pedofilia na porządku dziennym. Kapłanki kultu fallicznego! Musisz to koniecznie zobaczyć! W rolach głównych twoje ulubione nastoletnie gwiazdy: Torrero Lansky, Samantha Delon i Amalia van Damm! Zobacz świat, w jakim będziesz żył! Produkcja: Phantom Picture. Color by PhanColor.*

Sprawozdanie kardynała mniejszego, Martina Hernandesa–Ochoi, sprawiło, że papieżem Bartolomeusem owładnęły mieszane uczucia. Pod tekstem, stanowiącym wierny, o czym Ojciec Święty wiedział z doświadczenia, zapis wypadków na przyjęciu u „oskara” najwyraźniej coś się kryło. Sam autor najpewniej nie zdawał sobie sprawy z tego utajonego sensu, który przedostał się jednak do raportu za sprawą czujnej, rzymskokatolickiej podświadomości. Nawet toporny charakter pisma niejakiego Fung Fu Johnsona, postaci wielce podejrzanej i nie wiadomo z jakich przyczyn wyniesionej do godności sekretarza nuncjatury — Bartolomeus rad był, że Ochoya opłaca to indywiduum z własnej kieszeni, nie narażając na uszczerbek zasobów Banku Ambrosiano — nie mógł zamaskować podskórnego drżenia, przenikającego wysoce wysublimowaną duszę nuncjusza. By dowiedzieć się, co spowodowało ów egzystencjalny dygot, papież, chociaż niechętnie, udał się do Sekcji Cudów Kontrolowanych, gdzie znajdował się Middle Power Prophetic Computer, komputer jasnowidzący średniej mocy.

Opory Bartolomeusa przed tym krokiem nie wynikały z niechęci wobec maszyny, ale obsługującego ją brata programisty, uważającego się z racji swej funkcji rozdawcy przepowiedni za reinkarnację któregoś z proroków Starego Testamentu. Papież nie był pewien, co powinien uczynić w tej sprawie. Wiedział jednak, że prędzej czy później będzie musiał coś zrobić, tak jawne bowiem odstępstwo i przyznawanie się do podlegania pogańskim religiom Wschodu nie mogło pozostać bez reakcji ze strony zwierzchnika Jedyne Kościoła. Wszak Drugi Sobór w Konstantynopolu już w 553 roku uznał ponowne wcielenie duszy za herezję, mimo iż Stary oraz Nowy Testament zawierają liczne opisy tego zjawiska. Problem nie był błahy, mógł zawsze dostarczyć argumentów politycznym przeciwnikom. Męczyło to Bartolomeusa, w związku z czym starał się jak najmniej korzystać z usług brata programisty oraz jego jasnowidzącej maszyny i udawać, że ich w ogóle na terenie Nowego Watykanu nie ma. Od czasu do czasu bywał jednak zmuszony do spojrzenia prawdzie w oczy, jak choćby dziś właśnie, i z tego powodu papież popadł zaraz po porannych modłach w zły humor.

Jego prywatna winda była zepsuta od Dnia Pokuty, ruszył zatem do ogólnego dźwigu. Bartolomeus zajmował w Nowym Watykanie apartamenty byłego głównodowodzącego bunkra, umiejscowione centralnie wobec najważniejszych sekcji, co wbrew zamierzeniom powodowało, iż wszędzie miał równie daleko. Papież nie lubił tych wypraw, bo trwały nadspodziewanie długo. Co rusz jakaś ciemna, zakapturzona postać przypadała do jego dłoni w namiętnym, łaskoczącym pocałunku. Ci, którzy widywali go częściej, a więc mniej na owe karesy zachłanni księży oraz zakonnicy, stawali na baczność pod ścianami, słysząc podawany nie wiadomo skąd okrzyk „Przejdźcie!” Wpatrywali się w niego z tępym zachwytem, mającym symbolizować miłość oraz bezgraniczne oddanie. Z oddali, do uszu papieża dochodził świst batogów włączających się samopas biczowników, a Bracia Żebrzący, potrząsając metalowymi puszkami na datki, czynili trudny do zniesienia hałas. Zbierali stare scalaki i nikomu niepotrzebne chipy, zamierzając zbudować z nich elektronicznego boga.

Odrąciwszy ze zniecierpliwieniem ostatniego z zagradzających mu drogę, starego turlipona syczącego do papieskiego ucha z ekstatycznym pośpiechem te same, co zwykle bezeceństwa, których dokonywał jakoby w każdą niedzielę za czasów swej młodości, wstąpił Bartolomeus własną swą osobą do Sekcji Cudów Kontrolowanych.

Brata programisty nie było na posterunku, natomiast komputer jasnowidzący odezwał się na jego

powitanie głosem Marilyn Monroe, zaprojektowanym jeszcze przez poprzednich użytkowników maszyny.

— Przewidziałam, że przyjdiesz mnie dzisiaj odwiedzić, Ojczy Świąty! Czekałam na ciebie od rana...

Głos był kusicielski i Bartolomeus skrzywił się z niesmakiem. Wielokroć już prosił, a nawet rozkazywał, aby przeprogramować urządzenie tak, by odzywało się głosem bardziej przystojącym temu miejscu, na przykład któregoś z wielkich poprzedników Bartolomeusa albo chociażby jakiegoś filozofa teologii. Ponieważ jednak zachodził tutaj tak rzadko, przeto wojujący z nim od dłuższego czasu brat programista nie czuł się zobowiązany do subordynacji. Middle Power Prophetic Computer traktował jak prywatną własność, a Bartolomeus podejrzewał nawet, iż jako swą platoniczną kochankę, stąd musiał się brać upór duchownego informatyka. Po raz kolejny papież postanowił definitywnie rozstrzygnąć tę sprawę właśnie dzisiaj. Podeszedł do komputera i wyłączył dźwięk. Na ekranie pojawił się od razu napis.

— To także przewidziałam. To, że mnie wyłączysz.

Bartolomeus wzruszył ramionami i usiadł na obrotowym fotelu. Pobujał się w prawo i w lewo, po czym zawołał cicho:

— Bracie programisto!

„Poszedł po kanapki i kawę” — poinformowała maszyna zielonymi literami. — „Będzie dopiero za pięć minut, bo potknie się po drodze, wszystko upuści i wróci do automatu po nową porcję. Jak przyjdzie, będzie zły” — ostrzegł usłużnie papieża MPPC.

Bartolomeus nie wiedział, czy komputer robi to z zaprogramowanego obowiązku czy z „własnej woli”. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by maszyna go „lubiała”. Ponadto musiała chyba być świadoma jego zamiarów, choć jej samej było prawdopodobnie obojętne, czym głosem przemawia. A może nie? Może czerpała jakieś prywatne, elektroniczne korzyści z uwodzenia brata programisty i wiedziała, iż przemawiając doń zrekonstruowanym głosem świętego Tomasza z Akwinu, nie zrobi na swym duchownym oraz duchowym partnerze równie wstrząsającego wrażenia co teraz?

Programista pojawił się w bocznych drzwiczkach pokoju. Z przodu habit miał mokry i poplamiony. Wyglądał na obrażonego. Była to zresztą jego naturalna reakcja na widok papieża. Przecież i on musiał być już od jutrzni świadom grożącej mu wizyty Bartolomeusa, i pewnie dlatego wyszedł właśnie teraz po kanapki, żeby okazać mu swe lekceważenie oraz niezależność. Ale też śpieszył się z powrotem, by mu zwierchnik za bardzo nie nabruździł w jego osobistych stosunkach z Middle Power Prophetic Computer, przez co potknął się i rozlał kawę.

— Niech będzie pochwalony — powiedział za niego Bartolomeus, obracając się lekko to w jedną, to w drugą stronę na fotelu.

— Na wieki wieków — mruknął brat programista i z jakiegoś powodu obraził się jeszcze bardziej.

Postawił tackę na pulpicie MPPC i odruchowo wyłączył dźwięk.

— Dzięk... — zaczęła maszyna, ale Bartolomeus z właściwym sobie refleksem od razu i stanowczo wyłączył ją. Reszta słowa, z rozpędu, ukazała się na ekranie. — „...kuję”.

— Mówiłem już bratu kilkakrotnie — poszedł za ciosem papież — że komputer powinien zostać przeprogramowany. Ma przemawiać głosem nie budzącym erotycznych skojarzeń, a bardziej odpowiadającym miejscu, w którym się znajduje. Wojskowi, nasi poprzednicy, mogliby słuchać nawet tej zdziury, Panie, wybacz!, Clarissy van Delf, ale teraz to nie są koszary, tylko Stolica Apostolska! Rozumiemy się? Ile czasu potrzeba bratu na wykonanie polecenia?

— Co najmniej tydzień — odrzekł ponuro zakonnik, nie odważając się na bardziej otwarty

protest. — Sądzę, iż na Reminescere byłbym gotów...

— W porządku. Daję zatem bratu czas do jutra, wiem bowiem dobrze, że jeżeli zgodzę się na tydzień, to pewne, iż rzecz nigdy nie zostanie zrobiona. Jutro po prymie skontroluję, jak się sprawy mają. A teraz proszę wprowadzić do urzędnika ten raport. Pragnę poznać wszystkie domysły komputera na jego temat.

— To nie są domysły — burknął z goryczą brat programista. Już tylko MPPC pamiętał, iż jego zakonne imię brzmi Marek. — To są ściśle prognozy wysuwane przez maszynę na podstawie konfrontacji danych z satelitarnymi pomiarami gradientów pola morfogenetycznego, czegoś w rodzaju przyczynowo–skutkowej atmosfery otaczającej Ziemię.

— Wszystko jedno — zgodził się Bartolomeus. — Sądząc z zaprezentowanych mi przed chwilą możliwości, urządzenie to myli się niezbyt często. Papież spojrział wymownie na ciemną plamę na habicie Marka i dodał złośliwie: — Swoją drogą, mógłby brat być bardziej schludny!

Programista zacisnął zęby z chrześcijańską urazą w sercu, a maszyna trawiła raport, co dzięki barokowej rozwlekłości stylu nuncjusza oraz kanciastym kulfonom sadzonym przez jego sekretarza przychodziło jej z wyraźnym trudem.

— Odpowiedź proszę utajnić, tylko do mojej wiadomości — zdecydował Bartolomeus, gdy wszystko już było gotowe do maszynowego jasnowidzenia.

Ekran MPPC zgasł jak zdmuchnięty, a potem ukazał się na nim czerwony, gorejący napis: TOP SECRET. Komputer działał bezgłośnie, Bartolomeus stukał palcami w poręcz fotela, a brat Marek stał obok z rosnącą złością w sercu. Coś syknęło i z podajnika maszyny wypadła biała, zalakowana i opatrzona papieskim herbem koperta, zaadresowana następująco: „Ojciec Święty Bartolomeus, w miejscu”. Jako nadawca pisma figurował Middle Power Prophetic Computer.

— Dziękuję — powiedział papież, nie wiadomo, do programisty czy do urzędnika. Wziął kopertę i wstał. W drzwiach obrócił się jeszcze.

— Jutro po prymie, bracie — przypomniał i wyszedł.

W swojej kwaterze rozciął kopertę i zaczął czytać.

**Analiza raportu kardynała niniejszego,  
nuncjusza papieskiego  
w Autonomicznym Księstwie Hollywood,  
z dnia równonocy wiosennej**

Dane wyjściowe: — ww. raport.

— mapa nieboskłonu półkuli północnej, przedstawiająca stan zjawisk astronomicznych w trakcie opisywanych zdarzeń: ogólnie korzystny.

— komputerowe horoskopy Osób uczestniczących w Zdarzeniach oraz mających bezpośredni wpływ na ich interpretację (uwagę zwraca ascendent w Marsie niejakiego G. R. Homera, prawdziwe nazwisko — Daniel C. Shapiro).

— stopień napięcia w stosunkach dyplomatycznych pomiędzy Księstwami N. Watykanu i Hollywood w skali Reevesa–Stacciego — 10).

Przyjęta metoda: ekstrapolacja psychologiczno–porównawcza wielokrotnymi przybliżeniami.

Wynik: po trzykrotnym zastosowaniu programu jasnowidzącego MPPC otrzymał następujące wnioski:

1. W Autonomicznym Księstwie Hollywood podjęto decyzję o zamachu na życie Waszej Świątobliwości. Stopień Pewności Jasnowidzenia — SPJ — 80%

2. Głównym decydującym jest prawdopodobnie „oskarżenie” Hollywoodu, Akido Yazumi — SPJ 34%.

(Wyjaśnienie do pktu 2: niski SPJ wskazuje na użycie przez stronę przeciwną urzędnika antywizjonerskiego o mocy jasnowidząco–obliczeniowej porównywalnej z MPPC. Wynika z tego (z SPJ = 55%), iż za Akido Yazumi mogą kryć się inne siły. SPJ dla tezy, iż antyjasnovidzenie stanowi zasłonę dymną mającą sprawić wrażenie, iż owi „inni” mocodawcy istnieją — 68%).

3. Metoda zamachu: zleceniodawca zamówił u niejakiego Gaspara Romeo Homera, związanego na stałe z wytwórnią fanfilmową „Sony–Columbia–Mosfilm Pictures”, kawalera, bezwyznaniowca, scenariusz do filmu o zamachu na Waszę Świątobliwość. Zleceniodawca liczy (z SPJ = 86%), że na podstawie tej pracy literackiej uda się przeprowadzić rzeczywisty, uwieczniony powodzeniem zamach. SPJ dla przyjętej metody — 75%. SPJ dla powodzenia akcji — 4%. (Próba jasnowidzenia prawdopodobieństwa, iż G.R. Homer stworzy scenariusz udanego zamachu nie powiodła się. Wniosek 1 — prawdopodobieństwo mieści się w paśmie białego szumu informatycznego. Wniosek 2 — możliwość znikoma).

4. Osoba zamachowca: z SPJ równym 98% można twierdzić, iż decyzja nie została podjęta. Osoba zamachowca nieznana.

5. Czas zamachu: Wielki Tydzień (SPJ = 99,87%). Realne prawdopodobieństwo, iż Zamachowiec przybędzie jako pielgrzym — 89%.

6. Średni SPJ dla całości Analizy Raportu, już po uwzględnieniu poprawki Lorentza, wynosi 53%.

Analizę jasnowidzącą sporządzono na żądanie Jego Świątobliwości Bartolomeusa.

**MPP Computer MPP Computer MPP Computer MPP Computer MPP**

*MPP Computer poleca usługi w zakresie jasnowidzenia ogólnego i specjalistycznego. Istnieje możliwość podłączenia dowolnych przystawek ukierunkowujących. Stopień Pewności Jasnowidzenia dla wizjonerstwa ogólnego jest nie niższy niż 70%. Wyjątek: MPPC nie odpowiada na pytanie: „Czy istnieje Bóg?” Skorzystaj z usług Middle Power Prophetic Computer — to najlepszy sposób poznania swego jutra!*

W chwili, gdy Gaspar zadzwonił do drzwi nuncjusza Ochoi, zapanowało za nimi podejrzane milczenie. Co prawda, cisza wypełniała apartament już wcześniej, ale teraz wyraźnie dało się wyczuć, iż stała się głębsza i sztuczna, jakby kardynał mniejszy nawet przed sobą samym udawał, że nie ma go w domu. Gas nie rezygnował, choć też nie bardzo zdawał sobie sprawę z powodu swego uporu. Chciał wejść i już.

Dzwonek u nuncjusza był staroświecki niczym w klasztorze, a wydawane przezeń rozpaczliwe dźwięki wywołały z jakichś odległych zakamarków Gasparowego mózgu dziwaczne słowo „nieszpory”. Nie mógł sobie przypomnieć, co ono oznacza, więc postanowił zapytać o to nuncjusza, gdy tylko ten zdecyduje się wreszcie ujawnić i otworzy drzwi. Dla przyspieszenia tego momentu załomotał w nie pięścią i krzyknął, chociaż wcale nie był taki pewny siebie:

— Hej, Martin! Otwieraj! Wiem, że tam jesteś!

Za drzwiami coś skrzypnęło. Gas westchnął:

— Nareszcie.

— Odejdź, Szatanie! — powiedział Ochoya wewnątrz swej twierdzy. — Niechaj znak krzyża, który czynię, wypali ogniste zamię na twym plugawym ciele i duszy! Apage, Satanas!

— Zwariowałeś, Martin? — zainteresował się Gaspar. — Otwórz wreszcie! Przecież nie

będziesz mnie egzorcyzmował przez drzwi. To chyba jest nawet mniej skuteczne!

Podwoje uchyliły się, a powstała szczelina urodziła kropidło, które w następnej chwili zmoczyło Homera od stóp do głów. Energicznemu wymachiwaniu towarzyszyły jakieś łacińskie okrzyki wojenne szalejącego za drzwiami nuncjusza. Gas wrzasnął niczym prawdziwy bies.

— Auuu! Ty rzeczywiście zwariowałaś! Jestem cały mokry!

— Aha! — ucieszył się kardynał Ochoya, a w szparze ukazało się jego płonące inkwizytorskim ogniem oko. — Pali cię, diable? No, to posmakuj jeszcze!

Oko zniknęło ustępując miejsca znanemu już Gasparowi kropidłu. Homer nie czekał na kolejny potop i uskoczył w bok, chowając się za zsysem na śmieci. Nie słysząc spodziewanych wrzasków, Ochoya powstrzymał ulewę święconej wody i wystawiając głowę na zewnątrz, otworzył szerzej drzwi. Blokady jednak nie zwalniał.

— Jesteś tam, zdrajco? Judaszu, wołam cię!

Na takie wezwanie Gaspar wyjrzał ostrożnie zza załomu ściany.

— Skąd wiesz..?

— My wiemy wszystko. — Nuncjusz gładko utożsamiał się z wielowiekową mądrością Kościoła oraz przenikliwością MPP Computer, po czym dla poparcia swych słów wznosił groźnie swój hydrauliczny oręż. — Także i to, że planujesz zamach na życie Ojca Świętego! Więc zgiń, przepadnij!

— Daj spokój, Martin! Przecież to tylko scenariusz filmu! — zawołał Gas, uskakując ponownie przed gniewem kardynała. — To tylko show! Filmowa fikcja! Rozumiesz? A dla mnie ogromna szansa, gdyż mam pisać dla samego Moralesa, a to jest papież wśród reżyserów! Czy ty rozumiesz w ogóle, co to dla mnie znaczy?

— Wszystko to marność! — zawyrokował nuncjusz. — Marność i grzech. Każdy wasz film to obraza boska...

— Boga nie ma — przypomniał mu Gas nieśmiało. — Nie ma!?! — Kardynał mniejszy, Martin Hernandez–Ochoya otworzył szeroko oczy oraz drzwi na oścież. — To wejdz i przekonaj się, że jest!

— Nareszcie — mruknął Gas. Odruchowo strzepnął i poprawił mokrą marynarkę. — Już myślałem, że umrę tu na zapalenie płuc...

Kardynał Ochoya odsunął się na bok, starając się nie dopuścić do tego, by Gaspar choćby tylko otarł się o niego. Kropidło nadal dzierżył wysoko niczym maczugę. Ot tak, na wszelki wypadek, gdyby sama broń chemiczna nie wystarczyła i trzeba by było się uciec do bardziej konwencjonalnych metod, czyli zwyczajnie zdzielić grzesznika trzonkiem w łeb. Gas ocenił fachowym spojrzeniem grubość drzewca i widząc już oczyma duszy tę scenę w swoim filmie, powiedział:

— Odstaw, ojcze, ten prysznic. Inaczej nie wejdę.

Z wyraźnym żalem Ochoya zastosował się do polecenia i usunął jeszcze głębiej. Podążający za nim Gas osłupiał. Prywatna kawalerka Martina Hernandesa–Ochoi, nuncjusza papieskiego w Autonomicznym Księstwie Hollywood stanowiła fantomatyczną kopię Groty Narodzin z Kościoła Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Miejsce samego aktu wyznaczała rozpostarta na marmurowej posadzce czternastoramienna srebrna gwiazda z otworem w centrum, w którym znajdował się święty olej. Ściany przybytku pokryte były ciemnoczerwoną draperią, ginącą pod ikonami oraz świecznikami i kadzielnicami, charakterystycznymi dla obrządku bizantyńskiego. Niektóre z naczyń osiągały wielkość samowarów, dorównując im jednocześnie kształtem. Pełgały w nich migotliwe światełka, a wokół rozchodził się zapach mirry i kadzidła.

— To jest Bóg — stwierdził nuncjusz Ochoya, zataczając gestem krąg na tyle szeroki, by zmieściło się w nim wszystko: jego kawalerka, huczące apoplektycznym pośpiechem miasto oraz milczący wszechświat, którego jeden z elementów składowych stanowił także Gaspar Romeo Homer.

— Czujesz Jego obecność? On tu jest, dotyka mnie...

— Mnie się chyba brzydzi — zaryzykował Gaspar. — A poza tym, kręci mnie w nosie od tego dymu. Zaraz będę kichał...

Zrezygnowany nuncjusz opuścił wzniesione po kaznodziejsku dłonie. Pstryknięciem palców wyłączył fantogram i misterne panopticum zniknęło bezgłośnie. Tylko dym kadzidlanych laseczek tkwiących w butelkach po bezalkoholowym piwie snuł się nadal pod okopconym sufitem.

— Mogę usiąść?

Ochoya skinął głową i sam zgiął w paragraf swoje długie ciało, siadając na pufie.

— Nie wiedziałem, że już ci donieśli... — zaczął Gas niezręcznie.

W budowanych wcześniej planach rozmowy w ogóle nie brał pod uwagę tego, iż nuncjusz może się dowiedzieć o temacie jego scenariusza, trzeba więc było inaczej ruszyć głową. Ale jak? Postanowił spróbować szczerości.

— Chciałem cię prosić o skierowanie na wielkanocną pielgrzymkę do Nowego Watykanu. Przecież odbywa się coś takiego co roku, prawda?

— Istotnie — potwierdził Ochoya zimno. — Ale organizuje się je dla ludzi wierzących, pragnących w czasie tego największego w naszym Kościele święta być wspólnie bliżej Boga, a nie dla morderców, usiłujących zabić Ojca Świętego!

— Ależ ja nie mam zamiaru nikogo pozbawiać życia! — zdenerwował się Gas. — To tylko widowisko! Zresztą, wcale się jeszcze nie zdecydowałem, jakie będzie zakończenie. Chcę tylko przeprowadzić tak zwaną dokumentację, więc muszę zobaczyć Nowy Watykan, jego porządki, reguły, którymi się rządzi, jego...

— ...środki bezpieczeństwa — odpowiedział nuncjusz.

— Oczywiście, to też. Wszak akcja filmu skupiać się będzie na próbie ich pokonania.

— Filmu — powiedział z goryczą w głosie prałat. — Dla was nie ma nic ważniejszego ani świętszego od tej waszej pseudosztuki. A ponieważ kultura świecka żyje z naruszania dziesięciorga przykazań, tym bardziej ochoczo je łamiecie. Wasza „sztuka” nie mogłaby istnieć, gdyby ich nie było... Muszę ci odmówić. — Ochoya wyprostował się zdecydowanie. — Miło się z tobą rozmawia, ale nie zmienia to faktu, że z naszych danych wynika, iż według twojego scenariusza ma być przygotowany i przeprowadzony rzeczywisty zamach, nie zaś kręcony film.

— Kto tak twierdzi?

— Maszyna jasnowidząca w Nowym Watykanie, dokąd przesłałem raport z przyjęcia u „oskara”. Z analizy jasno widać, w jakim celu nas ze sobą poznano oraz jakie są prawdziwe intencje Yazumi. W moich oczach rozgrzesza cię to, iż byłeś do tej pory nic nie wiedzącym narzędziem. Teraz jednak już wiesz. Masz wolną wolę, którą obdarzył cię Bóg, i postąpisz, jak uznasz za stosowne. Ja nie zamierzam ci w niczym pomagać. Sam pokierujesz swoimi krokami. W stronę prawdy i światła, albo grzechu oraz ciemności...

— Bzdury! — zdenerwował się Gaspar. — Nie próbuj sztuczek z oddziaływaniem na podświadomość, to moja profesja. Jeżeli zaś chodzi o scenariusz, to nie mogę się wycofać. Podpisałem umowę, wziąłem zaliczkę, a przede wszystkim chcę to zrobić! Ta praca może zmienić całe moje życie. Także mojej dziewczyny.... Chyba wiesz, do cholery, kto to jest Morales, no nie? Siedzisz tu sobie jak u twojego Pana Boga za piecem, oglądasz wszystkie filmy i skoro szpiegujesz dla papieża, to przynajmniej powinieneś robić to rzetelnie. Żebyś dobrze zrozumiał stojącą przede mną szansę, użyję porównania, pewnie bluźnierczego dla twoich uszu. Morales to mesjasz, zbawiciel kina, ja jestem jego apostołem, a moja dziewczyna, Tonia Atkins, to Maria Magdalena. Scenariusz zaś to ewangelia według Gaspara!

— Jaki jest tytuł twojej „ewangelii”?

— „Ostatni kontrakt Judasza” — powiedział Gas z rozpędu, zanim zdążył ugryźć się w język i trochę zrzędała mu mina.

— No i sam widzisz... — westchnął nuncjusz. — Niech ci to wystarczy za moją odpowiedź.

— Więc nie? — upewnił się Homer.

— Nie. Nie przyłożyłbym do tego ręki nawet wówczas, gdyby istotnie miały to być tylko kolejny bluźnierczy obraz. W świetle zaś naszych podejrzeń... No, to sam rozumiesz...

— Okay — powiedział Gas wstając, choć nic nie było w porządku. — Będę musiał jakoś inaczej sobie poradzić.

Martin Hernandez-Ochoya wzruszył ramionami. Nie miał żadnego powodu, by ratować ateistę przed brnięciem w grzech, który dla tamtego wcale nim nie był.

— Chyba zrozumiesz, jeśli nie będę ci życzył powodzenia?

— Jasne — mruknął Gaspar.

*Chcesz mieć włosy w kolorach tęczy? Jasne, że tak! Kup więc szampon z wyciągiem z kielków zbóż marsjańskich! One sprawią, iż twoja głowa przypominać będzie paletę impresjonistów. Spróbuj tego. Stań się inżynierem i artystą własnego wyglądu. Eksperymentując możesz otrzymać niepowtarzalną barwę lub układ kolorów. Opatentuj go lub sprzedaj firmie „Paint & Go”, jedyjnemu producentowi szamponów z kielków zbóż marsjańskich! Pamiętaj — tylko „Paint & Go”!*

Kiedy następnego dnia po prymie papież Bartolomeus zaszedł do Sekcji Cudów Kontrolowanych, królestwa brata Marka, komputer jasnowidzący powitał go głosem Humphreya Bogarta. Bartolomeusowi wydawało się nawet, że wyczuwa nieznaczną woń śmierdzącego cygara oraz whisky.

— Czołem, Wasza Świątobliwość — powiedział z nonszalancją MPPC. — Sprawy się nam komplikują. Musimy szczerze pogadać!

Bartolomeus skrzywił się. Bolała go ręka, którą jakiś czas temu walnął w ścianę, a dobry humor maszyny drażnił go. Swoje niezadowolenie pragnął wyładować na bracie programiście, ale ten jakby zapadł się pod ziemię.

— O co chodzi?

— Mówi się: co jest grane? — pouczył go MPPC. — Od wczoraj badam na bieżąco rozwój wypadków w Księstwie Hollywood i widzę, iż dzieje się tam coś niedobrego. Z powodu zagłuszenia przez ich maszynę antyjasnowidzącą nie mogę w stu procentach powiedzieć, co to takiego, ale strasznie się tam kotłuje. Dobrze by było może zdjąć już tę klątwę, ona także psuje mi szyki.

— Dobrze, zdejmę — zgodził się potulnie Bartolomeus.

— No! — ucieszył się komputer. — Fajny chłop z ciebie, Pop! Zaraz pójdzie łatwiej! Na razie wiem tyle, że szykują się tam dwa porwania osób bezpośrednio lub pośrednio zaangażowanych w sprawę, co i tak nie zapobiegnie przygotowaniom do zamachu. Łatwiej byłoby mi działać, gdybym wiedział, co jest jego konkretną przyczyną, a tego w żaden sposób nie mogę dojść. Masz, stary, jakiś pomysł?

— Nnnnnie... — zmieszał się dziwnie Bartolomeus. — Nic szczególnego nie przychodzi mi do głowy, poza sprawami najzupełniej oczywistymi: różnicami światopoglądowymi oraz niechęcią „oskara” do mnie za rzucenie na Hollywood klątwy.

— Phi! Też coś! — zdezawuował te domysły MPPC. — Różnice światopoglądowe! Też, wymyśliłeś, stary! Cóż to takiego? Ile to kosztuje? Nie, to nie to. To są głupstwa, a ja czuję, że tu



idzie o gruby szmal. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to znaczy, że chodzi o pieniądze. Zaraz...

Komputer zamilkł, a przejęty do granic możliwości Bartolomeus wpatrywał się w niego niczym Mojżesz w krzak gorejący.

— No, tak... — mruknął MPPC. — Wasza Świątobliwość, trzeba było od razu powiedzieć, że jesteście z „oskarem” Yazumi głównymi i jedynymi udziałowcami Shanghai–Opium Inc.

— To prawda... — zająknął się Bartolomeus. — Ale to na zbożny cel! Poza tym — papież podniósł głos, bo gdy rzecz się wreszcie wydała, wróciła mu pewność siebie — to absolutna tajemnica! Nie masz prawa puścić o niej pary z pyska! Bo ekskomunikuję!

— Zrobi się, szefie! — westchnął komputer. — Tylko spokój może nas uratować, jak powiedział mój poprzednik, kiedy odłączano mu zasilanie. Teraz rozumiem. Yazumi pragnie przejąć całkowitą władzę nad Shanghai–Opium, w czym przeszkadza mu osoba Waszej Świątobliwości. Kontrolę nad tą firmą sprawujecie za pośrednictwem China Fruit Corp., będącą oficjalnie własnością jakichś dwóch wieśniaków, brodzących po ryżowych poletkach z kawałkiem bambusa w ręku i nie mających o niczym pojęcia. Nawet o tym, kto i ile podatków płaci w ich imieniu. Sprytne to, ale gdyby „oskarowi” udało się załatwić Waszą Świątobliwość na amen, to stałby się właścicielem całości. Czy tak?

— Tak — wyszeptał Bartolomeus, któremu się zdawało, że wraca brat Marek, a to echo grało. — Czy nie mógłbyś jednak wyrażać się z większym szacunkiem? Nie chodzi mi nawet o samą tytulaturę, ale, moim zdaniem, werbalizujesz myśli w sposób nazbyt kolokwialny!

— Okay, szefie. Proszę zatem Waszą Świątobliwość, by ze swej strony zwracał się do mnie per Humphrey. Gra?

— Niech ci będzie — mruknął zrezygnowany Bartolomeus.

— Głowa do góry — pocieszył go MPPC. — Sytuacja jest zła, lecz nie beznadziejna. Martwi mnie ten Gaspar Romeo Homer. Straciłem go z pola widzenia, bo na nim jest głównie skupione działanie ich Anty—MPPC. Czy my nie mamy tam kogoś na miejscu?

Papież Bartolomeus udał głęboki namysł.

— Można by spróbować poprosić o pomoc niejakiego Joe Gambino. To wpływowy facet... Chrzciłem jego dzieci.

— Joe Gambino — komputer przeszukiwał przez chwilę bazę danych. — Mam. Czterdzieści trzy lata, zamieszkały w Los Angeles, rasa biała, szef największej rodziny mafijnej na tym terenie...

— Ale prawy katolik! — zaperzył się Bartolomeus. — Wierzący oraz praktykujący. Poza tym, hojny dla Kościoła...

— W porządku. Ja nic nie mówię, sprawdzam tylko fakty. To ponad wszelką wątpliwość jest człowiek, jakiego nam teraz potrzeba. Nie mam na myśli jego kwalifikacji jako ministranta czy chórzysty, ale tak w ogóle... Wasza Świątobliwość wie, co chcę powiedzieć? Niech się Wasza Świątobliwość skontaktuje z nim i pogada. A teraz, szefie, jeśli nie ma więcej pytań, to musimy kończyć, bo wraca brat Marek. Zaraz tu będzie. Jak zwykle rozlał kawę i jest zły. Niech Wasza Świątobliwość pamięta, że ja ostrzegłem...

Jak niepyszny Bartolomeus wyniósł się chyłkiem do siebie. Miał dzisiaj wiele pracy, a myśli papieża mocniej absorbowwała w tej chwili osoba Joe Gambino, capo di tutti capi mafijnych rodzin w Los Angeles, a jednocześnie jego serdecznego druha z jednej ławy w Yale.

Pamiętał z tamtych czasów Joe Gambino jako skromnego, nieśmiałego nieco młodzieńca, mającego w związku z tymi ułomnościami charakteru znaczne trudności w nawiązywaniu bliższych kontaktów z uczynnymi dla innych jego rówieśników koleżankami. Joe od początku wiedział, jaki los jest mu w życiu pisany, gdyż był najstarszym synem Bataretty Gambino, jowialnego gangstera, który

pnąc się wytrwale wzwyż przestępczej drabiny, wylamywał za sobą jej szczeble. Jego syn czuł się w związku z tym skazany i naznaczony, w każdej chwili dramatyczne okoliczności mogły zmusić go do przejścia rodzinnego interesu, pozostawiając mu tylko tyle czasu na oswojenie się z nową rolą, ile trzeba na godne, katolickie pochowanie rodziciela. Stary Gambino trzymał się jednak mocno w siodle, w związku z czym Joe zdołał bez przeszkód skończyć studia. Ośmieliło go to do tego stopnia, że zaraz po uroczystym wręczeniu dyplomów na wydziale ekonomiki rodzinnych przedsiębiorstw wdarł się do gabinetu swego promotora, doktor Jocelyn Svinsky i mimo interwencji usiłującej przeszkodzić mu sekretarki zgwałcił uczoną trzykrotnie, czemu ta nie opierała się w sposób nazbyt ostentacyjny. Sekretarka, Laura O'Donnell, widząc ten przejaw niepokonanej męskości, zakochała się bez pamięci w Joe Gambino i postanowiła wyjść za mąż za ognistego absolwenta. Papa Gambino natychmiast wydał na nią wyrok, natomiast doktor Jocelyn Svinsky została korespondencyjnym konsultantem podatkowym Rodziny, z gażą 50 000 dolarów rocznie. Jedyne, co miała robić za tę forszę, to trzymać przez cały rok buzię zamkniętą na kłódkę, natomiast otwierać swe ciało przed Joe Gambino raz do roku, w okresie rozdawania dyplomów kolejnym rocznikom absolwentów Yale.

Młody Gambino uwierzył dzięki temu w swą szczęśliwą gwiazdę i z zapałem świadczącym o wierze w nieśmiertelność tatusia, począł organizować swą własną firmę konsultingową. O dziwo, od razu przebił się na rynku, zdobywając poważnych klientów. Zaslugę w tym miało opracowanie przez Joe skróconych tablic szacunkowych modułu kappa, istotnego przy przewidywaniu rozwoju średnich oraz dużych przedsiębiorstw, jak i naciski taty Gambino na owe „biznesy”, które nadal chciały być średnie i duże, a nawet jeszcze większe, by korzystały z porad ekonomicznych w sposób zapewniający temu ostatniemu zwrot kosztów poniesionych na gruntowne wykształcenie syna. Nakłady owe zwracały się nadspodziewanie szybko, co było spowodowane ekspansywnością rodziny Gambino.

Aż nagle — Bartolomeus pamiętał jak dziś, że był wówczas w seminarium — doszła go wieść o nagłym zgonie Bataretty Gambino. Jego wrogowie, klan Szi Wai, podeszli go z najmniej oczekiwanej strony, choć — jak to zwykle w podobnych momentach bywa — wykorzystali bezbłędnie jedną z jego słabości, którą było karmienie wiewiórek. Szi Wai wyhodowali mutanta, wiewiórkę-mordercę, która niczego nie podejrzewającego, ufnie wyciągającego w jej stronę dłoń z orzeszkiem laskowym, gangstera rozszarpała na sztuki na oczach siedemnastu zaskoczonych goryli, obawiających się strzelać do tak małego i ruchliwego celu, miotającego się po ciele ich pryncypała.

Stary don Gambino zginął straszną, niehonorową śmiercią, której hańbę mógł zmyć tylko zmasowany atak żołnierzy Rodziny na Chinatown. Kiedy po dwóch latach odbudowano z gruzów dzielnicę, okazało się, iż przekazana Joe w spadku wojna nie wygasła. Klan Szi Wai powstał z popiołów wraz z całym kwartałami domów, jakby dla udokumentowania obiegowego sądu o chińskiej wytrwałości. Oprócz tej cnoty Szi Wai odznaczali się jeszcze niepospolitą, wschodnią mściwością i nowy don Gambino pluł sobie teraz w brodę, że dla lukratywnych kontraktów zaangażował legalne przedsiębiorstwa budowlane Rodziny w odbudowę tej twierdzy. Przynajmniej na razie błąd był nie do naprawienia, gdyż ponowne zrujnowanie Chinatown pociągnęłoby za sobą finansową klęskę Gambino, jako że enklawa Los Angeles nie wywiązała się jeszcze wobec niego ze swych płatności.

Joe, który dzięki pomyślnemu ukończeniu studiów stał się człowiekiem pogodnym i radosnym, teraz zamknął się w sobie, schudł i szerniał ze zgryzoty. Bał się, a jego obawy zdawały się potwierdzać na każdym kroku. Oto na trawniku przed rodzinną fortecą ogrodnik wytropił przypadkowo i zniszczył napalmem oddział tresowanych, zmutowanych mrówek, które raziły przeciwnika currarą. Pięć dni później niesiony beztróska wiatrem liść uderzył o mur rezydencji,

czyniąc w niej półtorametrowej głębokości wyłom. Wybuch zniósł z powierzchni ziemi domek ogrodnika z bohaterem w środku.

Niedługo potem nenufary królewskie wciągnęły pod wodę i utopiły młodszego brata Joe, Nico, który dowodził atakiem na Chinatown. Jak na ironię śmierć dopadła go w tak zwanym chińskim ogródku. Eksterminacja nenufarów za pomocą stężonych herbicydów nie powiodła się, dopiero całkowite spuszczenie wody z sadzawki pozwoliło na wejście tam drużyny drwali z piłami spalinowymi i uwolnienie ciała nieszczęsnego Nica.

Wojna stawała się wyczerpująca, skryta, coraz bardziej cicha i wysublimowana, a przez to straszniejsza, gdyż wróg przekuwał na swój oręż codzienność. Był podstępny i nieuchwytny, a swoim dyskretnym, wyniszczającym i permanentnym napięciem paraliżował wolę obrony człowieka nienawykłego do wschodniej kultury. Toteż niedawny, raketowy atak śmigłowców na apartament swej kochanki, Sheili Murphy, Gambino przyjął niemal z ulgą, jak coś normalnego i dobrze znanego. Niestety, szybko okazało się, iż był on dziełem kogoś trzeciego. Kogo, tego na razie nie było wiadomo. Wobec takiej bezceremonialności intruza, wciskającego się pomiędzy wódkę a zakąskę, honorowy klan Szi Wai uznał za właściwe zawiesić na jakiś czas działania wojenne, by pozwolić don Gambino na uporządkowanie jego spraw prywatnych. Nocne ataki nietoperzy miotających od góry na twierdzę kwas molekularny czy dzienne rajdy szczurów kruszących od dołu żelazobeton diamentowymi zębami osadzonymi w szczękach ze stali chromowanadowej ustały nagle, jak ręką odjął. Nawet bambusowe zarośla, które wzorem lasu Birnam zbliżały się nieustannie do twierdzy, otaczając ją szczelnym kordonem pomimo nieprzerwanej pracy miotaczy ognia, od czego średnioroczna temperatura w okolicy podniosła się o dwa stopnie, zatrzymały się nagle, rosnąc spokojnie i przyzwoicie w jednym miejscu, jakby nieprawdą było, że wcześniej pochłonęły bez śladu trzech najodważniejszych i najlepszych żołnierzy Rodziny, śmiałków usiłujących, za pomocą laserowych maczet, utrzymać lądowe połączenie warowni z resztą miasta.

Gambino był tak zadowolony z zawieszenia broni, że początkowo nie śpieszył się zbytnio z wykryciem sprawców ataku na apartament Sheili, pokładając nadzieję w przysłowiowej wręcz cierpliwości dotychczasowego przeciwnika. W takim właśnie był stanie ducha, kiedy do jego nadgryzionej od góry i od spodu willi dotarł kodowany przekaz satelitarny. Po sprawdzeniu miejsca nadania Gambino włączył fantax.

— Witaj, Joe — powiedział papież Bartolomeus, którego fantom usadowił się w ulubionym fotelu szefa mafii hollywoodzkiej.

— Bądź błogosławiony, Ojciec Święty — odparł z szacunkiem Gambino, walcząc przez chwilę z pokusą przypadnięcia do upierścienionej dłoni gościa, zanim pojął bezcelowość oraz bezowocność podobnego postępkę. — Czym mogę służyć Jego Świątobliwości?

— Daj spokój, Joe — skrzywił się Bartolomeus. — Kiedy się poznaliśmy, mówiłeś mi po prostu Josh.

— OK, Josh. Co jest zatem grane?

— Mówisz zupełnie jak mój komputer jasnowidzący — mruknął z niechęcią papież podejrzewając, że ma przed sobą trudną rozmowę.

Don Gambino nic na to nie odrzekł, tylko splótł na brzuchu szczupłe dłonie. Wiedział, czego Bartolomeus może chcieć od niego, ale w żaden sposób nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Były pewne sprawy. Ostatnio nie rozstali się w największej zgodzie.

— Wiesz zapewne, o co mi chodzi — westchnął gość. — Ktoś tutaj szykuje na mnie zamach. Niejaki Gaspar Romeo Homer, podrzędny scenarzysta, podjął się napisać za judaszowe srebrniki skrypt, podług którego rozegrać się mają rzeczywiste, nie filmowe, wypadki. To pionek, ale może

należałoby się nim zająć? Jak myślisz? Ty masz, zdaje się, pewne stosunki w środowisku filmowym?

Gambino skinął głową. Istotnie, miał niezaprzeczalnie stosunki z Sheilą Murphy i tylko czekał, czy Bartolomeus powie coś na temat wierności małżeńskiej. Papież milczał dyplomatycznie, aż wreszcie westchnął, tym razem bardziej rozziewając:

— Chcą mnie zabić! To okropne!

Gambino wzruszył ramionami. Na nim, ze zrozumiałych względów, pełne dramatyizmu wynurzenie Joshuy Mosby'ego nie zrobiło żadnego wrażenia. Pocieszył więc strapionego Bartolomeusa: — Na pewno trafisz do raju. Jesteś przecież święty. Ze mną gorsza sprawa...

Przez chwilę papież siedział milczący i nieporuszony. Zastanawiał się, czy przez don Gambino, jego serdecznego druha z uniwersyteckiej ławy przemawia ironia, złośliwość czy tylko obojętność? Na wszelki wypadek przyjął, że wszystko naraz.

— Hm — mruknął przełamując wewnętrzne opory, nie pozwalające mu się upokorzyć przed zwykłym przecież gangsterem. Doszedł jednak do wniosku, że jego życie, dla dobra Kościoła, rzecz prosta, warte jest drobnego poświęcenia. — Wiesz, Joe, jeżeli chodzi o tę ostatnią sprawę, to ja... ten... wiesz...

— Tak? — Gambino był nieubłagany.

— No, przepraszam, do cholery! — wybuchnął papież. — Teraz jesteś zadowolony, sukinsynu?!

— Owszem. — Don Gambino skinął energicznie głową. — Nie lubię nieporozumień wśród kolegów. A co do zamachu, to wiem, iż szykuje się na ciebie ta azjatycka pijawa, „oskar” Yazumi. Podobno macie wspólne interesy, co? A mówiły jaskółki, że najgorsze są spółki!

— Wiedziałeś o tym? — Z tonu Jego Świątobliwości przebijała gorycz. — Wiedziałeś i nie ostrzegłeś mnie? To grzech niewyobrażalny...

— Powiedzmy, że nie rozstaliśmy się ostatnio w przyjaźni — przypomniał mu Gambino. — Poza tym, sam mam spore problemy. A propos, nie znasz czasem jakiegoś dobrego wojskowego genetyka? Mieliście jednak kontakty z NATO? Dobrze zapłacę. I tobie, i jemu.

— Nie znam — powiedział Bartolomeus. — Daj ogłoszenie do gazety....

— Ty też możesz to zrobić — odgryzł się Joe. — To by nawet nieźle brzmiało, posłuchaj tylko: „Papież Bartolomeus poszukuje człowieka do specjalnych poruczeń. Wiadomość: Nowy Watykan, w każdą niedzielę po sumie”. I co ty na to? Mógłbyś zresztą sam załatwiać takie sprawy, wspomnij na swych wielkich poprzedników, choćby na niejakiego Aleksandra VI z rodu Borgiów...

Bartolomeus przymknął oczy. Policzył do dziesięciu, podczas gdy Gambino dłubał w zębach.

— Zostawmy to — powiedział z chrześcijańską gotowością do pojednania papież. — Wybaczmy sobie nawzajem grzechy nasze oraz naszych przodków i poprzedników. Chcę wiedzieć jedno. Pomożecie? Mam na myśli ciebie i twoją Rodzinę. Pamiętasz chyba, że chrzciliśmy twoje dzieci?

— A ty, Josh, pamiętasz, mam nadzieję, że ci za to zapłaciłem, no nie? Zresztą dobra! Pomożemy! Ale będzie cię to sporo kosztowało. Nie, nie w pieniądzu. Wiem, że jesteś chytry. Po prostu przysługa za przysługę. Sam zobaczysz, co to będzie. Zresztą, niczego nie obiecuję. Pożyjemy, zobaczymy...

Papież odetchnął z ulgą. Z doświadczenia wiedział, iż jego kamrat Gambino może zażądać indywidualnej ekskomuniki dla jakiegoś rywala w interesach albo absolutnego odpuszczenia grzechów dla siebie.

— Zgoda. Informuj mnie na bieżąco o wydarzeniach powiedział i zniknął.

Gambino zatarł z ukontentowania ręce, nie powiedział bowiem swemu dawnemu spowiednikowi najważniejszego: że wróg Bartolomeusa jest ich wspólnym nieprzyjacielem. Niedawno przekonał się, że za nieudany nocny atakiem śmigłowców krył się Akido Yazumi. Joe nie wiedział jeszcze,

dłaczego „oskar” rozpoczął swoją akcję mającą na celu zgładzenie papieża od raketowo—artyleryjskiego ostrzału gniazdka miłości należącego do niego i Sheili, ale i tego dowie się w swoim czasie, jeżeli tylko klan Szi Wai zostawi mu odpowiednio dużo czasu. A gdy już pozna prawdę, to załatwi tego japońskiego gnojka z tym większą przyjemnością, że Bartolomeus zapłaci mu za to, co i tak zrobiłby za darmo. I to drogo zapłaci! Jego Świątobliwość nawet nie przypuszcza, jak wielkie są apetyty Joe Gambino, jego serdecznego druha z uniwersyteckiej ławy.

*Bardzo porządna Rodzina poszukuje wykwalifikowanego genetyka—militarysty z dużym stażem, najchętniej odbytym w Indochinach. Zapewniamy ciągłość zleceń oraz wysokie wynagrodzenie, plus gratyfikacje ekstra. Zgłoszenia osobiste w barze „U Freda” na rogu.*

Jasnowidz Wasilko był zdenerwowany. Działo się tak zawsze, ilekroć Joe „Big” Gambino wzywał go do siebie przez umyślnego. Wasilko zawdzięczał ów zaszczyt przypadkowi, mieszkał w sąsiedztwie i przeklinał w duszy dzień, kiedy zaabsorbowany innymi sprawami nie zbadał dokładnie propozycji pośrednika handlu nieruchomościami, zachwalającego mu stary dom z czerwonej cegły, stojący w spokojnej dzielnicy. Cena była przystępna.

John Demianowicz Wasilko obejrzał tonącą w zieleni okolicę, budynek z zewnątrz i od środka i spodobało mu się. Podpisał umowę, zapłacił i wtedy dopiero zaczęły się jego kłopoty. Okazało się, że posesja obok jest rezydencją rodziny Gambino, zaś dzielnica — podobnie jak Ocean — była spokojna tylko wtedy, gdy Wielki Joe nie prowadził jakiejś mafijnej wojny. Nie raz i nie dwa jasnowidzący Wasilko, obudzony przez silne przeczucie wiszącej nad nim katastrofy, zmuszony był w popłochu opuszczać swe domostwo i kryć się w parku aż do rana, kiedy to działania wojenne z reguły ucichały.

Prekognizja w rodzinie Wasilki dziedziczna była po mieczu, a pierwszy raz ujawniła się w 1923 roku u jego pradziada, Wasyla Wasylewicza Wasilki, gdy do mieszkania antenata w Saratowie nad Wołgą zapukała w nocy CzeKa.

— Czy tu mieszka Wasilij Wasiljewicz Wasilko? — zapytał, zaciągając śpiewnie zza drzwi głęboki, cerkiewny bas.

— Niet — odparł tknięty złym przeczuciem pradziad i wyskoczył przez okno. Wrażenie czającego się za jego plecami nieszczęścia podążało za nim cały czas i opuściło go dopiero na nabrzeżu portowym w Nowym Jorku, gdzie wysiadł po długim rejsie z Odessy.

Pradziad Wasilko pozostawił w Saratowie żonę oraz dzieci, ale nigdy nie dowiedział się niczego o ich losie. Po jakimś czasie, w myśl królującej w jego nowej ojczyźnie zasady „new life, new wife”, ożenił się i spłodził nowe dzieci, spośród których synowie byli, tak jak i on, obdarzeni zdolnością jasnowidzenia.

Obecnie Wasilko IV zażywał nawet w tej dziedzinie pewnej sławy, która zwróciła na niego uwagę don Gambino. John Demianowicz nie lubił współpracy z jego synem, Vincence, który choć od urodzenia obdarzony był sporymi zdolnościami jasnowidzącymi, to w takim samym stopniu obciążony był chorobą psychiczną. Schizoidalny umysł młodego Gambino powodował na synapsach Wasilki jakiś przykry rezonans i przez kilka dni po takim seansie jasnowidz stawał się roztrzęsiony, płaczliwy, nerwowy i niezdolny do pracy. Szczęściem dla niego, w które nie mógł zgłębiać, został tym razem wezwany jedynie jako konsultant mający zweryfikować opowiedzianą mu przez Joe Gambino wizję, będącą wcześniej udziałem Vincence. O tym jednak przekonał się dopiero po kwadransie rytualnych podrygów.

— Witaj, don Gambino! — powiedział drżącym z entuzjazmu głosem, zrewidowany i

wpuszczony do gabinetu bossa mafii Wasilko. — Jak zdrowie?

Wielki Joe wstał ze skórzanego fotela, postąpił krok naprzód i rozwarł szeroko ramiona. Na Johnie Demianowiczu ścierpła skóra, ale mężnie dał się pochwycić w objęcia i sam przytulił się do ojca chrzestnego. Strach opuścił go na chwilę. Ośmielił się nawet tak dalece, że lekkimi poklepywaniami po plecach Gambino odpowiadał na takie same czułości z jego strony. Wreszcie tamten odsunął go od siebie na wyciągnięcie ramion i przyjrzał się zestresowanemu gościowi równie badawczo, jak synowi marnotrawnemu wracającemu pod rodzicielskie skrzydła bez grosza przy duszy.

— No co, Wasziłko, znowu się spotykamy?!

— Tak, don Gambino... — wystękał John Demianowicz i usiadł, bo nogi się pod nim ugięły. —

To dla mnie zaszczyt...

Tej nocy Wasilko śniło się, iż walczył z boa duszicielem. Teraz już wiedział, dlaczego. Sekretarz czy też goryl Gambino, człowiek, którego John Demianowicz bał się najbardziej na świecie, nalał mu czerwonego wina do kryształowego kielicha.

— Za naszą pomyślność — zaproponował Joe.

Wasilko upił łyk trunku ze wstrzemięźliwością godną buddyjskiego mnicha.

— Śmiało — zachęcił go z uśmiechem Gambino. — To sycylijskie wino z plantacji mego wuja.

Takiego nie zatruwam...

John Demianowicz zaczerwienił się, wypił duszkiem alkohol i pokraśniał jeszcze mocniej. Goryl nalał ponownie. Dopiero teraz don Gambino przystąpił do interesu. Gestykulując szeroko, dodając własną interpretację oraz wzywając na pomoc wszystkich katolickich świętych, opowiedział jasnowidzącemu wizję Vincence ze wszelkimi szczegółami, po czym poprosił o jej fachową wykładnię. Z wielkiej radości, iż nie będzie musiał oglądać młodego wariata,

Wasilko nie wyjaśnił mafioso, iż taka egzegeza prekognizji post factum, to jakby ktoś trupa kroił po to, żeby się dowiedzieć, co denat by porabiał, gdyby żył. Zamiast tego zabrał się szybko do pracy.

Po pierwsze stanowczo odrzucił pogląd, iż postać księdza symbolizuje Bartolomeusa. Wasilko uznał, że ów prałat odchodzący z półnągą sanitariuszką to nie kto inny, tylko nuncjusz papieski Martin Hernandez-Ochoya, który w bliżej nie określony sposób oraz z nie znanych powodów pomaga Gasparowi Romeo Homerowi w jego planach — tak John Demianowicz zinterpretował fakt fizycznego podobieństwa pomiędzy oboma mężczyznami. Co do gołego biustu sanitariuszki, to jasnowidz gotów był się zgodzić z don Gambino, że Vincence trzeba zaprowadzić do gabinetu seksuologa albo do burdelu, lub do obu tych miejsc naraz. Co się zaś tyczy zasieków i pola minowego, to najpewniej przedstawiają one trudności, jakie przyjdzie pokonać zamachowcowi, by zrealizować zbrodniczy plan targnięcia się na Bartolomeusową osobę.

John Demianowicz Wasilko, jako zwolennik baszkinizmu, sekciarskiego poglądu odrzucającego Trójkę Świętą, sakramenty, boskość Chrystusa, grzech pierworodny, autorytet Ojców Kościoła, kult obrazów oraz świętych, pogardzającego krzyżem jako narzędziem męki oraz zalecającego studiowanie Pisma Świętego, pozwalając jednocześnie rozumieć je jak się komu żywnie podoba, nie był w najmniejszym stopniu poruszony tym, że jakiś facet tworzący materiał wyjściowy do produkcji fantomatycznej fikcji zamierza zrobić kęsim drugiemu, reprezentującemu i szerzącemu fikcję światopoglądową. Jednak wrażenie, jakie czyniło to na don Gambino, wypowiedziało mu i oświeciło go, jak wiek wcześniej jego pradziada, że nadchodzący okres należy przeczekać gdzieś w bezpiecznym miejscu. Po powrocie do siebie spakował natychmiast manatki i tylnym wyjściem udał się na przedterminowy urlop do enklawy Bahama Tourist S.A., zawieszając swą praktykę na jakiś czas.

Wielki Joe natomiast, w towarzystwie trzech ochroniarzy, wybrał się z niezapowiedzianą wizytą do nuncjusza Ochoi. Nie znał jeszcze osobiście purpurata, ale zwyczajem katolickiego kraju swych przodków nie szedł z pustymi rękami. Miał dla nuncjusza gałązkę oliwną i miecz, na wypadek, gdyby okazało się, że rzeczywiście coś on knuje przeciwko Bartolomeusowi. Gambino, człowiek wierzący tradycyjnie, a zatem przywiązany jedynie do symboli kultu, które były mu droższe od Istoty, jaką reprezentowały, przekonany był mocno, iż awans w hierarchii kościelnej osiąga się tymi samymi metodami, które królują w jego środowisku. Z tego też względu spiskowanie Ochoi z Homerem nie wydało mu się wcale niemożliwe.

Kiedy jego goryl zadzwonił do drzwi mieszkania nuncjusza, Gaspar kończył właśnie upodabniać się do nieobecnego gospodarza. Za półtorej godziny miał samolot do Europejskich Enklaw Ekonomicznych i nic nie było mu bardziej nie na rękę, jak czyjeś odwiedziny. Kiedy w dodatku na ekranie wizjera zobaczył, kogo to bogi przywiały w te progi, przeżegnał się odruchowo, zapominając, że jest ateistą, po czym pożegnał się z życiem. Chociaż nie znał historii Wasyla Wasylewicza Wasilki, to podobnie jak on w 23 roku zapragnął natychmiast wyskoczyć przez okno, kłopot jednak leżał w proporcjach, bowiem na początku zeszłego wieku zabudowę Saratowa nad Wołgą stanowiły przeważnie jednopiętrowe domy, podczas gdy kawalerka Ochoi znajdowała się, lekko licząc, dwieście metrów nad ziemią. Gaspar omiótł czujnym spojrzeniem mieszkanie i zdrętwiał. Na tapczanie leżała otwarta walizka, pełna rozmaitej broni, którą wypożyczył z rekwizytorni wytwórni filmowej. Za pomocą tych gadżetów zamierzał sprawdzić możliwość przemycenia śmiertcionośnego żelastwa w pobliże samego Bartolomeusa. Przekonany, iż trzymanie bandy Gambino za drzwiami nie rozwiąże na dłuższą metę jego problemów, a tylko je skomplikuje, zwłaszcza że przypomniał sobie, co zastał po ich wizycie w swoim własnym domu, Gaspar „zażył śmiałości jako lew nielekliwy” i zdecydował się otworzyć. Żeby zyskać na czasie, zapytał:

— Kto tam?

— Joe Gambino — odparł Joe Gambino. — Chciałbym porozmawiać chwilę z księdzem kardynałem.

— Czy to ważne? Nie spowiadam o tej porze... Mówiąc te słowa, Gas zaczął otwierać drzwi, by okazać swą dobrą wolę, a poza tym głos zapiął mu nieco ze zdenerwowania.

Poruszając się krótkimi skokami i zachowując niczym żołnierze zdobywający miasto metodą domu po domu, najpierw wtargnęli trzej goryle. Dopiero kiedy drobiazgowo sprawdzili całe mikroskopijne wnętrze kawalerki, podparli plecami trzy ściany pokoju, z jakiegoś powodu pozostawiając nie pilnowane okno. Gas starał się na nie nawet nie patrzeć.

— Nie znamy się jeszcze. — Gambino wkroczył do pokoju i wyciągnął na powitanie dłoń. — Ładnie ksiądz mieszka, choć trochę ciasno. Mogę usiąść?

— Oczywiście. — Gaspar przełknął ślinę i zakrzętnął się nerwowo, czyniąc honory domu.

Sutanna płątała mu się między nogami, a on zastanawiał się jednocześnie nad tym, czy wyjdzie cało z tej nieprzewidzianej sytuacji i czego może chcieć ten zbir Gambino oraz jak ta scena będzie wyglądać w scenariuszu. „Trzeba koniecznie dodać jakieś perypetie wokół pełnej broni walizki”, zanotował w myśli. Radował się też z tak niesłychanie prawdziwego „climaxu” w filmie.

Gambino, człowiek niejednego interesu, postanowił zacząć od wyciągnięcia gałązki oliwnej.

— Nie sądzę, by ksiądz kardynał wiedział, iż jestem przyjacielem papieża Bartolomeusa. Bardzo dobrym przyjacielem — podkreślił z naciskiem, który Gasa wprowadził w nerwowy dygot. Scenarzysta zastanawiał się rozpaczliwie, co powinien odpowiedzieć na takie dictum. Wreszcie nieśmiało wydukał:

— Ojciec Święty to wielki człowiek.

Gambino skinął głową i przymknął oczy. Sięgnął przy tym do wewnętrznej kieszeni marynarki.

„Teraz” — przeleciało przez głowę Gaspara Romeo Homera. — „Teraz mnie rozwali!”

Omiał się nie roześmiać na widok białej, pękatej koperty, którą mafioso wyjął zamiast spodziewanej broni.

— Wiem, że nasz Święty Kościół — ciągnął z namaszczeniem Joe — a także ksiądz kardynał osobiście, przeżywa pewne trudności. Chciałbym zatem wspomóc pańskie zbożne działania, w związku z czym pozwolę sobie wręczyć stosowną ofiarę...

— Stokrotne dzięki, synu — powiedział Gas ochłonawszy. — Twoja troska o jedynie słuszną wiarę oraz twój czyn przynoszą ci chlubę. Gdyby inni myśleli podobnie, inaczej wyglądałby świat! Wspomnę Ojcu Świętemu o godnej pochwały postawie jego przyjaciela.

— Pozdrów go, księżę kardynale, pozdrów serdecznie od jego druha Joe „Big” Gambino. On się ucieszy.

Gaspar odetchnął z ulgą, a więc tylko o to chodziło, o zwykły, kurtuazyjny gest. Z radości nie pomyślał nawet, skąd mafioso wie o jego wyprawie do Nowego Watykanu, przecież prawdziwy nuncjusz Ochoya nie wybierał się tam wcale.

— Złóż mu najserdeczniejsze życzenia świąteczne, księżę kardynale — kontynuował Gambino spokojnie. Tym spokojniej, iż wiedział doskonale, o której jego rozmówca ma lot. — Szczególnie życz mu dobrego zdrowia i wielu lat życia!

— Zrobię wszystko, by oddać pańską troskę o jego pomyślność — zapewnił „nuncjusz”, spoglądając ostentacyjnie na zegarek.

— Właśnie, troska! — ożywił się Gambino. Otworzył szeroko oczy i wzrokiem głodnego krogulca zapatrzył się na Gasa, któremu serce najpierw załopotало, a potem stanęło nagle w gardle. — Chciałbym przy okazji zapytać księdza, co go łączy z niejakim Gasparem Romeo Homerem, podrzędnym scenarzystą filmowym? Zna go ksiądz dobrze?

Gaspar Romeo Homer, podrzędny scenarzysta filmowy, zapragnął z całej duszy nie mieć o sobie samym najmniejszego pojęcia. Odruchowo chciał się wyprzeć jakiegokolwiek znajomości, ale w erupcji wywołanego przez instynkt samozachowawczy jasnowidzenia zdołał się w ostatniej chwili opamiętać. Skoro mafioso pytał o taką rzecz, to najpewniej znał skądś odpowiedź albo przynajmniej się jej domyślał. Serce Gasa ruszyło ze zdwojoną energią i przed oczyma Wielkiego Joe duchowny pokraśniał niczym piwoniam.

— Pppprzelotnie... — wyjąkał. — Ttylko pppprzelotnie... Poznaliśmy się na przyjęciu u „oskara” Yazumi, a potem odwiedził mnie raz czy dwa... To nie jest jednak człowiek, z którym pragnąłbym utrzymywać jakiegokolwiek kontakty!

— Dlaczego? — zapytał don Gambino przekonany, że zapłacił dostatecznie dużo, by należała się mu odpowiedź. — Czyż nie jest obowiązkiem księdza kardynała zajmować się zbłąkanymi owieczkami?

— To bezbożnik, a nie owieczka! — Gas wybuchnął pod swoim adresem świętym oburzeniem. — Czy dasz wiarę, synu, że pod pozorem pisania scenariusza jakiegoś tam filmidła ma on stworzyć plan zamachu na Ojca Świętego? A kiedy otworzyłem mu oczy na fakt, iż jest narzędziem w rękę szatana, ten podły człowiek wyśmiał moje obawy, potem stwierdził, iż kariera jest dlań droższa ponad wszystko inne, a wreszcie poprosił mnie o pomoc! Uwierzysz, synu?! Mnie, kardynała!!! A poza tym, on nie należy do mojej parafii.

— I co mu ksiądz odpowiedział?

W imieniu nieobecnego nuncjusza Gaspar Romeo Homer zamrugał ze zdumienia oczami i przeżegnał się, dochodząc w tej chwili do wniosku, iż minął się z powołaniem. Powinien był zostać



reżyserem grającym we własnych filmach.

— I ty też, synu? Ty także powątpiewasz w moje słowa i uważasz, iż mógłbym dać inną odpowiedź ponad tę, by ze wzdrgadą odrzucić podobną niegodziwość?! Czy ty także...

— Przepraszam — burknął Gambino, przerywając ten potok Homerowego oburzenia. — Tak tylko zapytałem... W końcu najwięksi zapierali się swego Pana, vide apostoł Piotr... Ale co było dalej?

— Nic. — Gaspar wzruszył ramionami. — Nie widziałem już więcej tego złego człowieka... Jeżeli w ogóle można go nazwać człowiekiem! To bestia, ot co!

— A nie wie ksiądz czasem, gdzie można by go znaleźć? — indagował mafioso bez specjalnej nadziei, że trafi tą drogą na wymykającego mu się wciąż scenarzystę.

— O to nie mnie należy pytać — odrzekł Gaspar z niespodziewaną trafnością sądu — tylko „oskara” Yazumi albo tę jego charakteryzatorkę grającą w sprośnych filmach i żyjącą z nim bez sakramentu ślubu! Słyszałem też — dodał szarżując — że ostatnio interesował się niejaką Sheila Murphy, także występującą w obscenicznym obrazach...

— Taaak... — powiedział złowieszczo don Gambino podrażniony w ten niewyszukany sposób. — A co ksiądz kardynał powie na to, że w wizji mego syna Vincence, którego chrzczył sam Ojciec Święty, jak zresztą wszystkie moje oficjalne dzieci, działa ksiądz ręka w rękę z tym gryziptórem?

Patrząc głęboko w oczy Gasa, Wielki Joe przysunął do siebie kopertę z „ofiarą”.

— To potwarz! — rzekł Gaspar godnie i równie stanowczo przyciągnął z powrotem daninę. Jego mózg pracował na pełnych obrotach, rejestrując całą scenę na potrzeby filmu, troszcząc się o pieniądze, które były w tej chwili opatrnościowym darem niebios, zastanawiając się, czy zdążą (on, mózg, i noszący go Gas) na samolot i wreszcie, czy wyjdą cało z tej miłej pogwarki.

— Sugeruje ksiądz — syknął Joe — że mój biedny Vincence...

— Skończmy tę rozmowę! — rzekł energicznie Homer wstając.

Schowwał kopertę z pieniędzmi do specjalnej, wewnętrznej kieszeni sutanny i przyglądał przyodziewek.

— To do niczego, mój synu, nie prowadzi — kontynuował zbierając manatki, wkładając czarny, żałobny kapelusz, uganiając się za czarnymi rękawiczkami, ustawiając obok siebie w wojskowym ordynku walizki: od najmniejszego nesesera po wielką, wypchaną wszelką bronią walizę z miechami, modląc się, by nie otwarła się samoistnie niczym w kiepskim filmie, zadając w ten sposób definitywnie kłam jego następnym słowom. — Nie planowałem, nie planuję i nie będę planował zamachu na życie Jego Świątobliwości Bartolomeusa. Nie widzę też powodu, by tłumaczyć się z tego przed postronnymi ludźmi. Uczyniłem ten wyjątek wyłącznie dla ciebie, synu, jedynie przez wzgląd na łączące cię z Ojcem Świętym więzy przyjaźni. Wierzę, że jego dobro szczerze leży ci na sercu i rozumiem, iż tym były spowodowane twoje pytania oraz niewybredne, że użyję tego słowa, insynuacje pod moim adresem. A teraz, jako że zabrałeś mi wiele czasu, odwieź mnie na lotnisko, abym mógł przekazać osobiście papieżowi Bartolomeusowi, jak bardzo troszczysz się o jego życie!

Kończąc tę tyradę, Gaspar miał już na grzbiecie czarną jesionkę, stał nieruchomo i wyniośle, opierając złączone dłonie na rączce również czarnego parasola. W ten sposób dawał jasno do zrozumienia, iż uważa za oczywiste, że wyniesienie bagaży należy do goryli Gambino. Co też się stało. Trzeci z rosnących facetów ugiął się nieco pod największym sakwożadem i stęknął.

— To są brewiarze do poświęcenia — wyjaśnił Gas, sprawdzając po trzy razy, czy dobrze zamknął drzwi, chociaż i tak można je było wybić wraz z futryną jednym kopniakiem.

„Nuncjusz” z pełnymi honorami odwieziony został na lotnisko Inglewood w samą porę, by dokonać odprawy paszportowej. Ponieważ był dyplomatą najbardziej pokojowego księstwa na

świecie, nie dotyczyły go korowody z celnikami, choć ci, widząc jego eskortę, zdradzali wyraźną ochotę, by mu zajrzeć tu i ówdzie. Dopiero po drugiej stronie bariery Gas mógł odsapnąć i otrzeć pot z czoła. Cały wewnątrz dygotał, więc zacisnął zęby, żeby ich dzwonięcie nie rozeszło się po poczekalni. Nie wiedział, że właśnie w tej chwili na powracającego do swej fortecy Wielkiego Joe czekała niespodzianka w postaci genetyka z ogłoszenia. Genetyk był mały i łaciaty, niestarannością swej postury przypominał monstrum Frankensteina albo niechlujnie zszytą piłkę do rugby. Gdzieniegdzie odstawała na nim skóra, łuszcząc się płatami, a miejscami błyszczała napięta, jakby jej nieco brakowało. W tych partiach była ohydnie, niemowlęco różowa, niczym odrost po oparzeniu czy transplantacji. O jego indochińskiej przeszłości dobitnie świadczyło to, że w większości był żółty i jedno oko miał skośne.

— Pan Joe „Big” Gambino? — zapytał. — Przysłano mnie tutaj z baru „U Freda”.

— Tak, to ja — potwierdził na swoje nieszczęście Joe, który nie znał anegdoty o pradziadzie Wasilki z Saratowa nad Wołgą. — Masz jakieś referencje?

— Mam! — wrzasnął „genetyk”. — Od samego „oskara” Yazumi!

Po czym przyskoczył do don Gambino i mimo iż obstawa wpackowała mu w plecy kilka magazynków pocisków kalibru czterdzieści pięć, odgryzł Wielkiemu Joe głowę, a w chwilę potem eksplodował, zabijając resztę obecnych.

Jasnowidzący Wasilko powrócił do domu, kiedy przeczytał o tym zdarzeniu w „Bahama News Report”. Od razu przekonał się, że wcześniejsze przecucie nie omyliło go. Na poduszce swego łóżka znalazł kastet, który wymieciony podmuchem z sąsiedniej posesji rozbił okno i byłby mu strzaskał głowę, gdyby nie wywiózł jej wcześniej na wyspy. Nie chcąc zwracać na siebie nadmiernej uwagi ani tym bardziej przeszkadzać pogrążonej w żałobie Rodzinie zmarłego, nie poszedł zwrócić go do nieco zrujnowanej willi w sąsiedztwie, tylko ukrył w piwnicy, a po krótkim namyśle spakował resztę swych rzeczy i wyprowadził się do hotelu z mocnym postanowieniem wystawienia domu na sprzedaż.

*Egzorcyzmy — zbiorowe i indywidualne. Całodobowe pogotowie autoryzowane przez Nowy Watykan. Licencjonowani egzorcyci wypędzą z ciebie każdego złego ducha. Dzwon, gdy tylko poczujesz, że jesteś napastowany przez Szatana. Pamiętaj! Potem może już być za późno. Tanio, szybko, solidnie! Roczna gwarancja! Fantax towarzyski 666 (prosić o połączenie ze spółką „Exortex”).*

*Andrzej Drzewiński*

# Ósmy dzień stworzenia

*A kiedy Pan odpoczął,  
zabrał się ponownie do pracy,  
gdyż zajęć było moc*

Wózek inwalidy zobaczyli już z daleka. Skrzypiąc, przecinał hol, napędzany monotonnym ruchem dłoni, odzianych w skórzane rękawiczki. Rolniak szepnął coś krótko i stojący obok Rogacki lekko wydał wargi. Budynek ministerstwa jest dla wszystkich, to prawda, lecz kaleka nie pasował za bardzo do tych gładko ogolonych, dobrze ubranych urzędników. Cichy gong obwieścił, że nadjechała winda.

— Panowie, czekajcie — wstrzymał ich głos zza pleców. — Ja z wami.

Na krótkie spojrzenie rosłego partnera Rolniak odpowiedział wzruszeniem ramion. Nie wypadało robić cyrku.

— Proszę. — Ochroniarz usunął się na bok i mocnym pchnięciem pomógł mężczyźnie w wózku przekroczyć próg windy. — Pan na które piętro?

Inwalida poprawił czarne okulary i w nieokreślony sposób machnął dłonią. Rogacki zinterpretował to po swojemu, wciskając najwyższy guzik. Tam właśnie jego szef miał za pięć minut ważne spotkanie. Gdy winda ruszyła, Rolniak wciągnął głębiej powietrze. Niedługo powinien mieć dokument w teczce, a wtedy... Jego uwagę przykuły dłonie inwalidy. Rękawiczki wyglądały na całkowicie nowe. Nie pasowały do rozklekotanego wózka i stroju kaleki. Przytrzymując się ściany, poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Przez spotkanie zaniedbał czujność, lecz było już za późno.

— Chcesz nas zgubić, Rafał, lecz ja ci nie pozwolę. — Człowiek wstał, a czarne okulary zsunęły się na podłogę.

Przez sekundę wpatrywali się w bladą twarz, trudną do zidentyfikowania w mrugającym świetle lampy. W końcu Rolniak szarpnął swego towarzysza za ramię.

— Zastrzel go! — krzyknął ostro. — Natychmiast!

Ten, z wpółotwartymi ustami, wsunął dłoń pod marynarkę, ale nie zdążył chwycić za kolbę rewolweru, gdy nagle opuścił wzrok. Na rękę kapnęła mu duża kropla wody. Sekunda i w windzie lunął rześisty deszcz — istny potop z sufitu. Rolniak próbował wyszarpnąć pistolet ochroniarza, lecz poślizgnął się na mokrej podłodze i upadł na wózek, już niemal po osie stojący w wodzie. Krople rodziły się z powietrza, jak z kapelusza magika. Wpadały do oczu, siekły po twarzy i tamowały oddech. Pięść Rogackiego uderzyła rozpaczliwie w przyciski. Zanurzony po pas, w lepiącym się do ciała ubraniu, stracił całkowicie zdolność myślenia. Szok i brak powietrza sprawiły, że nie wiedział, gdzie drzwi, a gdzie ściana. Słyszał sapanie Rolniaka próbującego wymacać broń, lecz go nie widział. Gdy woda zaczęła mu się wlewać do ust, poczuł, że śmierdzi mułem. Ktoś nadepnął mu na stopę, a potem usłyszał stłumiony krzyk.

— Nie, nie chcę!

Gdy przebrzmiał ten skowyt, zgasło światło i winda się zerwała. Tak wielka masa nie miała

żadnych problemów w pokonaniu wszystkich zabezpieczeń. Niczym gigantyczny tłok poczęła spadać w dół z demonicznym gwizdem wypychanego z szybu powietrza. Świadom braku swego ciężaru, ochroniarz zatrzepotał rękoma, rozpaczliwie pragnąc powstrzymać przeznaczenie. Migały smugi światła z kolejnych pięter i w pyle wodnym spostrzegł ciemną sylwetkę Rolniaka, wykonującą przedziwne płasy. Potem niespodziewanie dojrzał twarz nieznanego. Znowu ciemność i kilka zdarzeń, których nigdy do końca nie uporządkował. Mieszanka wody i powietrza zawirowała, coś straszliwie ścisnęło jego płuca, rozbłysk światła, potężne uderzenie w twarz i wtórujący temu przeraźliwy huk. Rozpisany na wiele dźwięków, zabrzmiał niczym finalny akord perfekcyjnie zagranej partytury. Odłamki drewna i metalu uderzyły go, raniąc w plecy, a moment później fala wody wyrzuciła Rogackiego na zewnątrz. Trzepnął o coś głową, ktoś z boku upadł, zewsząd dobiegały przeraźliwe krzyki. Kaszląc, z bólem uniósł się w końcu na łokciu i rozpoznał hol ministerstwa. Mrugając otępiele, nie mógł pojąć zmian, które tu zaszły. Potrzaskane kawałki futryny, obryzane ściany, dywan... W miejscu, gdzie stali parę minut temu, ziała wyrwa po drzwiach windy. Opuścił głowę i z namysłem spojrzął na foliową torebkę, którą ścisnął w dłoni. Potem upadł twarzą na zrolowany dywan i ostatnią rzeczą, jaką sobie przypomniał, była twarz nieznanego, tak jak ją widział tuż przed upadkiem. Ten człowiek uśmiechnął się do niego.

\* \* \*

Marcowe słońce prześwietlało bezlistną koronę drzewa, zmuszając Zbigniewa Orszewskiego do opuszczenia głowy. Nie pozostało mu nic innego, jak wbić wzrok w grudę ziemi koło buta i słuchać przemówień. Nie płakał, ten etap miał już za sobą. Zresztą jego stosunki z ojcem zawsze były bardzo męskie. Bez pocałunków na pożegnanie czy kordialnych gestów. Wystarczała uścisk dłoni. Przetarł palcami powieki, nienawistna świadomość czegoś bezapelacyjnie i nieodwracalnie utraconego była jednak gorsza, niż przypuszczał. Matkę stracił już dawno, więc z ojcem łączyła go tym silniejsza więź. Do jego świadomości dotarło, że głos zabiera już kolejny mówca. Słowa płynęły ciężko i smutno, jak wilgoć leżąca na trawie po nocnym deszczu. Szare niebo, twarze ludzi i rzędy grobów zlały się w jedną, osobliwą mozaikę. Schylił się i wzięwszy grudę ziemi, rzucił ją w dół, skąd wydobyło się ciche pacnięcie. Twarze, dłonie, usta szepczące słowa pociechy czy żalu, nie miało to dla niego znaczenia. Chciał, aby rytuały skończyły się jak najszybciej, zamykając definitywnie to, co i tak utracone. Jeszcze spojrzął na wysokie drzewo, jakby pragnąc zapamiętać miejsce, i ruszył do wyjścia. Przy postoju taksówek podziękował za towarzystwo, lecz kilka przecnic dalej kazał szoferowi stanąć i wysiadł.

Spacer nieco uspokoił Zbyszka. Rzeczywistość wykonała jeden pełny obrót i na powrót osadzała się w starym łożysku. Niespodziewanie odkrył, że znalazł się w pobliżu mieszkania ojca. Stary Orzewski wynajmował je w nowej plombie, jakich sporo wyrosło ostatnimi laty wokół wrocławskiego Rynku. W kieszeni płaszcza wymacał klucze zabrane z kupki drobiazgów, które dano mu na policji. Wspiął się po stopniach stromej klatki schodowej. Sądził, że nikt go tutaj nie znajdzie. Otępieły od bólu wyjął z lodówki dyżurną butelkę wódki i karton soku. Nalał alkoholu na dwa palce, przytrzymał sok w dłoni, lecz w końcu odłożył karton na miejsce i dolał jeszcze trochę wódki. Wypił w poczuciu głębokiej krzywdy, która go spotkała.

Po paru minutach siedział w fotelu i przeglądał rodzinne zdjęcia. Wrzucone luzem do albumu

wysuwały się na boki przy każdym gwałtownym ruchu. Wycieczka do Warszawy, wszyscy razem — ojciec w kapelusiku z szarotką — jadą kolejką na Kasprowy, jakieś przyjęcie, nawet pochód pierwszomajowy się zaplatał. Na kilku starszych zdjęciach dojrzał ślady pióra — pozostałość dawnej manieri ojca. Często miał wrażenie, że kogoś zna, choć spotykał go pierwszy raz w życiu. Potrafił zbierać wycinki z gazet, bazgrać po fotografiach, usiłując w ten sposób dopomóc pamięci. Całe życie miał opinię osoby roztargnionej. Na uczelni znany był z tego, że kłaniał się obcym osobom, a znajomych nie poznawał. Z czasem mu to przeszło, a może po prostu lepiej się pilnował.

Rozległ się gong u drzwi i Zbyszek poczuł, że serce bije mu szybciej. Nerwy rozhuśtane emocjami dnia poczynały odmawiać posłuszeństwa. Na palcach wszedł do przedpokoju i zajrzał w wizjer. Mężczyzna około trzydziestki patrzył wprost na niego, jakby wiedząc, że ktoś się kryje za cienką osłoną drzwi. Drżącymi palcami założył łańcuch i zwolnił zamek.

— Słucham? — Nawet gładko pokonał bezwład języka.

Nieznajomy starał się przybrać budzący zaufanie wyraz twarzy.

— Jestem Rogacki. Pana ojciec... — zawahał się. — To ja uratowałem się z windy. Musimy porozmawiać.

Kiedy wpuszczał go do środka, nieznajomy uśmiechnął się przepraszająco.

— Szedłem za panem od cmentarza... — urwał, zauważając połyskliwą ławicę fotografii zalegających stolik.

Zbyszek wskazał gościowi fotel.

— Dziwne, że mnie pan nie zgubił. Jechałem taksówką.

— Tego mnie uczono. — Mężczyzna stał, dopóki gospodarz nie zajął miejsca. — Co panu powiedzieli na policji o wypadku?

Zbyszek trącił butem leżącą na podłodze fotografię.

— Nieszczęśliwy traf, pękła lina. — Wzruszył ramionami. — Mętnie to tłumaczyli.

Nie wiadomo dlaczego w następnym pytaniu usłyszał kpinę.

— Pana ojciec nie używał wózka inwalidzkiego?

— Bzdura.

— Też tak myślałem. — Rogacki potarł podbródek, a potem opisał wygląd Orszewskiego tamtego poranka.

Irytacja wywołana całą rozmową sprawiła, że myśli Zbyszka zaczęły szybciej wirować.

— Przecież powinni mi o tym powiedzieć.

— Też tak myślę. — Jego gość uśmiechnął się kącikiem ust.

— Do cholery, mój ojciec nie był Jamesem Bondem!

Rogacki był nieporuszony.

— Dlatego tu przyszedłem — stwierdził sucho. — Lepiej proszę posłuchać.

Zbyszek miał ochotę wyrzucić faceta za drzwi, jednak teraz zaczęło docierać do niego coś prawdziwego w całej tej historii. Słuchając, uniósł fotografię z podłogi. Matka jeszcze wtedy żyła. W jasnej sukience stała na plaży w Łebie czy gdzieś tam.

— I proszę zapamiętać. — Rogacki zaakcentował te słowa. — Nie wiem. Nie mam pojęcia jak, ale dam sobie głowę uciąć, że pana ojciec uratował mi życie.

Uprzedzając pytanie, rozłożył ręce.

— Wiem, spadaliśmy w zamkniętej windzie. — Potrząsnął dłońmi. — Ja nie rozumiem, ja wiem. Dzięki niemu żyję. I gównu mnie obchodzi, dlaczego spadł ten pieprzony deszcz.

Zbyszek, wiedziony intuicją, odezwał się znad obracanej w palcach fotografii.

— Pan nie lubił swego szefa?

— Rolniaka? — Rogacki zmrużył oczy. — Nie lubiłem, ale dobrze płacił.

Pochylony, jakby szukał w twarzy Zbyszka zachęty do dalszej rozmowy, wolno kontynuował:

— Jest jeszcze jedno. Ten wypadek zmienił mnie. Może gadam głupstwa, ale do dziś czuję spójnienie pańskiego ojca. Nie pamiętam, ale właśnie czuję. Dzięki niemu coś się we mnie obudziło.

Urwał. Zbyszek uśmiechnął się skąpo, niepewny, jak rozumieć tę skomplikowaną metaforę. Rogacki westchnął, wstał i wskazał wzrokiem łazienkę.

— Mogę skorzystać?

Oczywistość odpowiedzi nie wymagała słów. Słyszając szum wody, Zbyszek poszedł do kuchni, aby przygotować sobie ten sam jednoskładnikowy koktajl. Tylko nigdy nie mieszał, śmiał się ojciec, a potem lubił opowiadać historię z jakiegoś przyjęcia w Moskwie, gdzie nieopatrznie pił koniak z szampanem. Zbyszek nie mieszał i za trzecim razem, a potem wrócił do pokoju.

Rogacki stał pośrodku i zdawał się szykować do wyjścia. Zbyszek nie zatrzymywał go. Musiał wszystko przetrwać. Kiedy otworzył drzwi, poczuł w palcach cienki kartonik.

— Tu są moje namiary. — Usłyszał dziwny żar w głosie gościa. — W razie potrzeby proszę dzwonić o każdej porze.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby podziękować. Przeszedł do pokoju i opierając głowę o chłodną szybę, spojrzał na podwórko. Nic nadzwyczajnego, brudna piaskownica, trzepak i kilkoro dzieci, a on mu tu o cudach opowiada. Po prostu winda trzepnęła o dno, Rogackiego wyrzuciło... Nie zdążył przyznać się przed sobą do kłamstwa, gdyż natarczywy dźwięk przerwał ciszę. Rozejrzał się, szukając wzrokiem telefonu, lecz dopiero drugi dzwonek naprowadził go na miejsce. Ojciec lubił rozmawiać, pławiąc się w wannie.

— Słucham. — Domknął drzwi łazienki. — Orszewski.

— Dzień dobry, tu Malicki. W porządku, pasuje mi. Może być jutro.

Dopiero teraz pojął, że jest brany za ojca. Jednak wypity alkohol mieszał w głowie.

— Tak — powiedział pierwsze słowo, jakie mu przyszło na myśl.

— A więc będę czekał przed pana domem o szóstej rano. — Rozmówca zaśmiał się. — Proszę nie brać ciepłych skarpet. Naprawiłem dmuchawę i w wozie będzie grzało.

— Świetnie. — Nie wiedział, jak wyjaśnić nieporozumienie, lecz tamten wybawił go z kłopotu.

— To do widzenia.

Opuścił słuchawkę na widełki i wolno przysiadł na krawędzi wanny. Miejsce koło aparatu, gdzie ojciec zazwyczaj trzymał notes z telefonami, było puste. Za to na półce wyżej coś połyskiwało. Torebka, mała foliowa saszetka z żółtym proszkiem. Obrócił ją w palcach i spojrzał przez okno na szare, miejskie niebo.

— Boże — szepnął — co się dzieje?

\* \* \*

Źle spał tej nocy. Śniła mu się plaża, razem z matką szukał ojca wśród wydm. Sen był tak męczący, że aż go obudził. Stał potem przy oknie i dłuższą chwilę obserwował wygaszone prostokąty okien.

Nocował w kawalerce ojca. Nie chciał przegapić rannego spotkania czując, że pozwoli mu ono odsłonić coś nowego. Teraz czekał za szybą klatki schodowej, z rękoma w kieszeniach palta. Nie

wiedział, jak zacznie rozmowę, samo musi się ułożyć. Tak też się stało. To była taksówka — mercedes w niezłym stanie. Kiedy zatrzymała się przy krawężniku, podszedł i zapukał w szybę.

— Nic z tego! — Tęgawy kierowca wskazał czerwoną lampkę. — Czekam na kogoś.

— Jestem synem Jana Orszewskiego — zawołał, przytrzymując kołnierz płaszcza. — Muszę panu coś powiedzieć.

Taksówkarz nachylił się do szyby, jakby sprawdzając tożsamość, a potem uchylił drzwiczki.

— Coś z ojcem? — spytał i roześmiał się. — Faktycznie, jesteście podobni.

— Byliśmy. — Zbyszek podał gazetę. — Musiał pan przeoczyć.

W miarę czytania twarz kierowcy powlekał coraz głębszy cień. W końcu, oderwawszy wzrok od tekstu obwiedzonego czarną ramką, przecesał palcami resztki włosów na skroniach.

— Co za nieszczęście, taki porządny klient. — Pokręcił głową. — Wpadł pod samochód?

— Nie, spadł z windą. — Mimo woli zauważył komizm dialogu. — Lina pękła.

Ulicą szło parę osób i Zbyszek wyłączył światelko, zostawiając wewnątrz rozjaśnione jedynie szarością świtu. Malicki smętnie pokiwał głową, lecz nagle uniósł ją do góry.

— Zaraz, przecież to był jego głos.

Jakieś nowe uczucie pojawiło się w umyśle Zbyszka. Drażniło i przypominało o tym, co czasem w nocy wywoływało w nim strach.

— Nie rozumiem.

— No, wczoraj. — Malicki o mało nie podskoczył. — Zadzwoił do mnie pański ojciec i spytał, czy możemy jechać dzisiaj z rana. O Boże...

Jęknął i ponownie zerknął na klepsydrę. To nowe uczucie narastało, dławiąc oddech Zbyszka.

— Jest pan pewien?

— No, słyszałem. Lała się woda, pan Janek często dzwonił przed kąpielą. Mówił, że wtedy najlepiej mu pamięć pracuje. — Wysilek na twarzy taksówkarza był wręcz karykaturalny. — Głowę bym... chociaż zaraz. Za drugim razem to był chyba ktoś inny.

Podejrzliwie spojrzął na Zbyszka, a ten nie mógł go zawieść. Co w końcu miał powiedzieć? Że miał wizytę nieznanego, który wlaźł mu do łazienki i wydzwaniał po ludziach, udając jego ojca?

— Przepraszam — pochylił głowę, jakby oczekiwał ciosu — nie powinienem. Wczoraj znalazłem numer pańskiego telefonu z niejasnym dopiskiem, no... — Udał, że szuka słów. — Nie wiedziałem, jak zacząć. Głupio wyszło, ale po tym pogrzebie.

Irytacja na twarzy kierowcy wolno zaczęła ustępować miejsca współczuciu. Ścisnął mu ramię.

— W porządku, rozumiem.

Zbyszek uśmiechnął się z wyrazem cierpienia. On sam nic nie rozumiał. Jak Rogacki ze swoim dość wysokim głosem mógł naśladować jego ojca? Malicki opuścił szybę i wypuścił dym ze świeżo zapalonego papierosa. Zbyszkowi przyszło na myśl, że jemu pewnie za karę nie zaproponował.

— Proszę mi powiedzieć... — zebrał się na odwagę. — Gdzie pan woził tatę?

— Pan nie wie? — Malicki spojrzął z nieukrywanym zdziwieniem. — Do Warszawy, ostatnio nawet tam pokój wynajął. Ho, ho, już sporo lat z nim jeżdżę.

Zbyszek chwilę się oswajał z nowiną, w końcu wyciągnął portfel.

— Chciałbym tam pojechać. Płacę normalnie.

— Poważnie? — Kierowca klepnął w kierownicę, lecz zaraz spoważniał. — Nie ma mowy. Zwróci pan tylko za benzynę. To się należy panu Jankowi. Proszę sięść z tyłu i zdjąć płaszcz. Tak będzie wygodniej.

Mimo że wypytywał Malickiego, ile się dało, i tak zdążył się przespać. Taksówkarz woził ojca nieregularnie. Zazwyczaj zostawiał go w centrum i resztę dnia miał dla siebie albo wracał po paru



dniach. Nie miał pojęcia, czym się Orszewski zajmował. Wspominał jedynie, że prowadzi badania naukowe. Malicki historią ani socjologią się nie interesował, więc nigdy nie drążył tematu. Przypominając ostatnie lata, Zbyszek uświadomił sobie, że istotnie nieraz nie mógł złapać ojca telefonicznie, a i o konferencjach słyszał podejrzanie często. Nawet kiedyś pomyślał, że może ma kogoś na boku, lecz jak widać, sprawy wyglądały inaczej.

W samochodzie dobrze grzało, a kiedy dojechali w południe do Warszawy, po porannych deszczach nie został nawet ślad. Niestety, rozmowa z właścicielem willi nie wniosła nic nowego. Ojciec już przed miesiącem wypowiedział pokój, a tydzień temu zabrał ostatnie drobiazgi. Pomagał mu tęgi facet, około sześćdziesiątki. Przypominał właścicielowi willi jakiegoś znanego aktora, ale nie mógł sobie uświadomić jakiego.

Kiedy Malicki gadał na dole o wyższości mercedesa nad audi, Zbyszek poszedł na górę rzucić okiem na nie zajęty jeszcze pokój ojca. Niewielki, z kilkoma podstawowymi sprzętami, wychodził na ogród zamknięty trzema wysokimi topolami. Chwilę szukał w woni pomieszczenia czegoś znajomego, potem zajrzał pod łóżko, na najwyższe półki i dopiero w szufladzie mahoniowego biurka odkrył pustą papierową teczkę. Identyczną z tymi, które ojciec trzymał w swoim archiwum. Marszcząc brwi, wolno opadł na krzesło. Już wiedział, czego mu brakowało w kawalerce ojca. Notatek, wycinków, zestawień — całego tego majdanu. Próbując pojąć znaczenie tej informacji, raz jeszcze zanurzył dłoń w szufladzie i końcami palców wyczuł coś gładkiego. Folia, jakby urwany brzeg woreczka z nietypowym wzorkiem. Otworzył portfel i wyłuskał saszetkę znaną w łazience. Była identyczna. Uniósł pod światło obserwując, jak przesypują się drobne ziarenka.

Z parteru dobiegł przytłumiony śmiech. Widać właściciele aut znaleźli kompromis. Wsunął róg torebki między zęby i mocno szarpnął. Rozerwała się na całej długości. Rozchylił jej brzegi i delikatnie pociągnął nosem. Nic. Spróbował ponownie, lecz teraz już zdecydowanie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem pokój obrócił się do góry nogami. Kiedy nieodparta siła ciężenia pociągnęła go w dół — ku sufitowi — rozpaczliwie złapał za brzegi krzesła, lecz ono przeistoczyło się w samochodowy fotel. Mercedes Malickiego, droga w jasnym świetle dnia, migają krzaki. Wiedział, że śni, lecz doskonałość wizji zdawała się temu przeczyć. Hamowanie, na drodze stoi jasnowłosa dziewczynka z przerażeniem zakrywająca oczy. Ma pięć, może sześć lat. Obok stroma skarpa pobocza, z drugiej strony krzewy, samochód tańczy, Malicki krzyczy oderwane słowa. Przy tej prędkości zjechać z drogi to pewna śmierć. Próbuje ominąć małą, lecz pędzącą z przeciwka ciężarówkę... Gwałtowne uderzenie, drobny deszcz kropel na szybie i, dopiero wtedy, kątem oka Zbyszek dostrzega z lewej strony łagodny zjazd w pole. Przedtem całkowicie zasłaniały go zarośla.

Jęcząc, odzyskiwał powoli przytomność. Poczul coś mokrego na twarzy, a potem ból z tyłu głowy.

— No, ale pan uczuciowy. — Malicki podsuwał szklanekę z wodą. — Lepiej?

Zbyszek pijąc skinął głową. Szumiało w niej, jakby trzymał pod czaszką gniazdo os. Niczym bokser po nokaucie uniósł się ciężko na drżących nogach. Kurewski narkotyk, pomyślał i wtedy dotarło to do niego. Ojciec i prochy, o Jezus!

— To jak? Wracamy do Wrocławia czy lepiej na obiad?

Otumaniony, pragnąc opóźnić wyjazd z Warszawy, skwapliwie zaakceptował propozycję taksówkarza. Wizja była tak bardzo realna, że nigdy nie zgodziłby się teraz na jazdę szosą w świetle dnia. Są tajemnice, które lepiej omijać. A poza tym, psia mać, musiał strzelić sobie coś mocniejszego.

Całe popołudnie zajęły im odwiedziny warszawskiej gastronomii i wizyta w paru sklepach motoryzacyjnych, gdzie Malicki szukał jakiejś części. Nic więc dziwnego, że kiedy opuszczali

stolicę, słońce chowało się za niskimi domami przedmieścia. Taksówkarz trajkotał bez przerwy, lecz na szczęście za odpowiedź wystarczały mu sporadyczne mruknięcia. Wiatr spod uchylonej szyby muskał czoło Zbyszka, wpatzonego w zmierzch opadający na pola. Narkotyki — słowo to zdominowało wszystkie myśli. Nie mógł uwierzyć, że ojciec mógł mieć z tym związek. Ze swoimi poglądami, czasami wręcz chorobliwą uczciwością?

Z drugiej strony nigdy też nie przypuszczał, że jego ojciec prowadzi podwójne życie. „Profesor uniwersytetu handlarzem narkotyków” — wyobraźnia podsunęła gazetowy tytuł.

— Idiota — syknął, o ton za głośno, gdyż Malicki zerknął w lusterko.

Zbyszek uśmiechnął się i udał, że zapada w drzemkę. A Rogacki? Prawie był pewien, że torebki nie było w łazience przed jego przyjściem. Zbyszek umył ręce, zanim zaczął oglądać zdjęcia — taki stary nawyk wyuczony przez matkę. A może to jakaś prowokacja?

Tknięty nagłą myślą, zerknął za siebie, lecz szosa była pusta, żadnych świateł. Wysupłał z kieszeni folię z resztką proszku i wypchnął za opuszczoną szybę. Wiatr momentalnie porwał strzęp folii w trawę pobocza. Wytarł starannie palce o spodnie, a kiedy uniósł wzrok, dojrzał coś jasnego w świetle reflektorów.

— Jezus, Maria! — krzyknął Malicki i samochód wszedł w skomplikowany zygzak.

To nie było słońce, przemknęło przez głowę Zbyszka. Jego umysł precyzyjnie odróżniał szczegóły. Po prawej, w dole skarpy wokół traktora kręcili się ludzie. Jedna z sylwetek, oderwawszy się od grupki, biegła w ich stronę. Krzyczała. Niepotrzebnie. Jej głos wystraszył dziecko i sprawił, że stanęło sparaliżowane pośrodku drogi. Wszystko to zarejestrował w ułamku sekundy, a później spostrzegł światła ciężarówki.

— Weźcie ją, ludzie! — Malicki szarpał kierownicę, zerkając rozpaczliwie na boki.

Kierowca ciężarówki wduszał klakson raz za razem, lecz dzieciak tylko osłonił głowę. Miał najwyżej trzy sekundy życia i następny ruch należał do Zbyszka. Rzucił się przez oparcie fotela, złapał kierownicę i z całej siły skręcił przed rosnącą w oczach ciężarówką.

— Co robisz?! — zawył Malicki, próbując go odepchnąć, lecz Zbyszek legł na nim całym ciężarem.

Przecieli oś jezdni i w ulewie reflektorów TIR—a wypadli na przeciwległe pobocze. Taksówkarz zaskomlał, widocznie oczekując lotu w powietrzu, a później upadku w trzasku blach, lecz samochód jedynie szurnał po żwirze i zjechał na polną drogę. Przejechał kilkadziesiąt metrów, stanęli. Zbyszek poczuł, jak jest nieznośnie duszno. Odpychając się nogami, odnalazł klamkę i raczej wypełzł, niż wyszedł na pole.

W nikłej łunie zachodu, na szosie, niczym na scenie, stała ciężarówka i kilka innych samochodów. Między nimi kręcili się ludzie, ktoś wskazywał w ich stronę. Zbyszek opuścił czoło na chłodną blachę dachu. To nie był zwykły narkotyk, miał na to dowód.

— Skąd wiedziałeś?

Przekręcił głowę. Malicki siedział w otwartych drzwiach, z nogami w rozkopanej ziemi.

— Przeczucie. — Zbyszek odchrząknął. — Coś mignęło mi za krzakami, jakby zjazd.

Umilkł. Taksówkarz wcale go nie słuchał, tylko nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie.

— Podobni. — Pokręcił wolno głową. — Wy rzeczywiście jesteście podobni — szepnął raz jeszcze.

Z tyłu nadchodziło kilka osób.

W pracy wziął tydzień urlopu, ale i tak nikt się o nic nie pytał. Zastępstwo w zajęciach znalazł bez kłopotu, a przy wyjściu dostał jeszcze od kolegi zdjęcia z pogrzebu. Przejrzał je w domu, lecz bez większych wzruszeń. Do szklanki z sokiem wlał nieco żytnej i zapadł się w fotelu. Matka byłaby zła, widząc jego poczynania. Jeszcze na studiach tolerowała pijackie eskapady Zbyszka, lecz kiedy zaczęły zwracać uwagę osób trzecich, poprosiła, aby poszedł na spotkanie AA, czyli Anonimowych Alkoholików. Bardziej od prośby poruszyła go wiadomość, że ona sama chadza tam od dobrych kilku lat. Na spotkanie nie poszedł, ale obiecał, że ograniczy picie. Do jej śmierci dotrzymywał słowa, potem było nieco gorzej. Teraz jednak, po wypadku ojca, zbyt często się... zapominał. Przymknął powieki. Tak, będzie musiał to sobie przemyśleć, ale jeszcze nie dzisiaj. Dzisiaj za bardzo bolało.

Świadomie uciekł do wydarzeń z dnia wczorajszego. Szkoda, że opakowanie po proszku wywalił przez okno. Ma znajomego chemika, może ustaliliby skład... Przechylił szklaneczkę i czując pieczenie na języku, szybko przełknął zawartość. Pewnie to był jakiś wysuszony kaktus czy inna egzotyczna rzadkość. Zresztą kto uwierzy, że dzięki niemu można przewidywać przyszłość. Jak to się nazywa, prekognicja. Następny łyk smakował lepiej. Dlaczego Rogacki podłożył mu ten środek? Zbyszek zadzwonił z rana pod numer z wizytówki, lecz nikt nie podnosił słuchawki.

Gong u drzwi sprawił, że parę kropli wylądowało na spodniach. Dla pewności dopił resztę i poszedł otworzyć. Nawet dobrze skrojony garnitur i płaszcz nie potrafiły skryć otyłości nieznajomego. Spod gęstych brwi spoglądały na Zbyszka zadziwiająco błękitne oczy, a całość dopełniał oszczędny uśmiech.

— Moje nazwisko Traczyk. Prowadzę dochodzenie w sprawie wypadku Jana Orszewskiego. — Uniósł tekturkę legitymacji. — Można?

Jeszcze przedwczoraj zdziwiłby się, lecz dzisiaj, trochę zbyt szerokim gestem, zaprosił gościa do środka. Sobie zaaplikował sok wzmocniony, a Traczykowi zwyczajny i zaczął czekać na wyjaśnienia.

— Dotarły do pana jakieś plotki? — Gość zaczął nietypowo.

— Nie rozumiem. — Zbyszek oderwał wargi od szklanki.

Traczyk pokiwał do siebie głową.

— A słyszał pan o „komórce przesiewu”?

To już go wkurzyło.

— Pan prowadzi śledztwo czy ankietuje dla Koła Fortuny?

Uśmiech świadczył, że nieznajomemu nie jest obce poczucie humoru. Nieoczekiwanie wstał, podszedł do uchylonego barku i bez pytania wlał do soku solidną porcję wódki.

— Dobra, zacznijmy raz jeszcze — mruknął i rozpiął marynarkę. — „Komórka przesiewu” powstała w połowie lat pięćdziesiątych przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jej kompetencje, jak i zadania, nie były do końca jasne chyba nawet dla samych pomysłodawców.

Jego okrągłą twarz rozjaśnił porozumiewawczy grymas, w którym, ku swemu zaskoczeniu, Zbyszek odkrył coś z mimiki ojca.

— Z grubsza chodziło o zbieranie i analizę wszelkich danych z życia osobistego i publicznego kluczowych dla kraju postaci ze świata nauki, kultury i sztuki. Faktów, które nie podlegają rutynowym procedurom śledczym, a mogą znamionować, na przykład, że obcy wywiad kimś się interesuje.

— Aha. — Zbyszek wchłonął kolejną porcję mikstury. — Jeśli znany profesor struł się w knajpie, gdzie zwykł jadać personel ambasady amerykańskiej, mogło to świadczyć o robocie CIA.

— Niewiele pan się myli, ale mówmy poważnie. — Traczyk splótł ręce na brzuchu. — Mimo

wszelkich zmian ustrojowych, jakie przeszedł nasz kraj, komórka nadal istnieje i jej opracowania są brane pod uwagę.

— Dobra jest. — Zbyszek poczuł, jak alkohol uderza mu do głowy. — Ale co ma z tym wspólnego mój ojciec?

Traczyk jakby ponownie ważył, czy ujawnić to, z czym przyszedł. Potem zaczął powoli:

— Pana ojciec nie zginął z powodu awarii czy niedopatrzenia. Przyczyną było niewyobrażalne przeciążenie windy powstałe za sprawą olbrzymiej masy wody niewiadomego pochodzenia. Pewnie Rogacki powiedział to panu.

Już otwierał usta, ale stwierdził, że nie warto pytać, skąd Traczyk wie o rozmowie.

— Sprawdziliśmy szyb, nie ma tam żadnych kranów, ukrytych zbiorników czy czegoś takiego. Krótko mówiąc, cud. Co więcej, badania fizykochemiczne jednoznacznie wykazały, że woda pochodzi z Wisły.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś siłą woli przeniósł parę wiader prosto z rzeki do windy i w ten sposób zabił mego ojca.

— To było znacznie więcej niż parę wiader, ale ogólnie zgadza się.

Zbyszek nie czuł strachu ani fascynacji. Jedynie lekką złość, że do śmierci ojca próbuje się dorabiać jakieś teorie.

— Kolejny fenomen to sam Rogacki — ciągnął swoje Traczyk. — On nie miał prawa przeżyć. Dalej, dlaczego pana ojcu zależało, aby nie zostać rozpoznany? Przecież po to udawał kalekę. No i ostatnia sprawa, może kluczowa, Rolniak i pana ojciec znali się, i to dobrze.

Cisza świadczyła, że czeka na jakąś reakcję. Zbyszkowi nic nie przychodziło do głowy. Obliznął nagle spierzchnięte wargi.

— Ojciec nigdy mi o nim nie mówił.

Traczyk opuścił dłoń na aktówkę, lecz na tym gościu poprzestał.

— W 1955 roku obydwaj zostali zatrzymani koło wsi Sieszewy na Dolnym Śląsku za sianie niepokoju wśród ludności wiejskiej. W zasadzie wyszło im to na zdrowie, gdyż inaczej chłopci chyba by ich na widłach ponieśli. — Pstryknął w zamek. — Wrzeszczeli, że ci dwaj szukali czegoś w starym forcie, a potem wywołali straszliwą nawałnicę, przez którą zboże zległo. Jedynie fakt, że wieśniacy nie wiedzieli, czy mają do czynienia ze szpiegami czy jakimiś piekielnikami zaprawionymi w diabelskich sztuczkach, pozwolił milicji nadszednąć w porę.

— Co pan plecie? — Zbyszek uniósł głos, lecz Traczyk zbył go ironicznym spojrzeniem.

— Rok później fort stał się częścią poligonu radzieckiego i aż do początku lat dziewięćdziesiątych zniknął z terenu państwa polskiego. Później jednak przyjaciele nas opuszczają i, cóż za zbieg okoliczności, do gminy napływają dwa podania o dzierżawę fortu. Pierwsza od Jana Orszewskiego, a po miesiącu od Rafała Rolniaka. Ciekawe, prawda?

Zbyszek bez słowa zabrał szklankę Traczyka i bez słowa napełnił obydwie samą żytnią.

— Pana ojciec sprawę miał w zasadzie zaklepaną, lecz za Rolniakiem stała bezczelność i duża gotówka. W chwili gdy zdarzył się wypadek, właśnie jechał po ostatnią parafkę w ministerstwie.

— Pan — Zbyszek odstawił szklankę na dywan — pracuje w komórce, prawda?

— Prawda. — Traczyk pochłonął zawartość szklanki jak lemoniadę. — Dlatego udało mi się nie nadawać rozgłosu okolicznościom wypadku, ale prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Tym razem otworzył aktówkę, odsłaniając leżącą na wierzchu kopertę.

— To jest list pisany wiele lat temu przez pana ojca do przyjaciela.

Zbyszek, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapragnął wyrwać papier z rąk tajniaka.

— Skąd pan go ma?

— Zabrano go pana ojcu podczas przesłuchania w 1955 i wsadzono do archiwum. Trafiłem na niego teraz, węsząc wokół sprawy. Wygląda na to, że pana ojciec, jakby to powiedzieć, miał nadmiernie wybujałą fantazję. Z wiekiem mogła się ona przerodzić w coś gorszego. — Zamknął aktówkę. — W każdym razie list zostawię panu.

Zbyszek nie za bardzo rozumiał pobudki Traczyka, lecz posłusznie położył kopertę na ławę.

— Proszę zadzwonić, gdyby coś się panu skojarzyło.

Obok listu wylądowała podłużna wizytówka. Zbyszek odczytał adres.

— Pan jest z Warszawy — stwierdził. — Że też chciało się panu taki kawał jechać.

Traczyk westchnął zastanawiająco ciężko.

— Czasami trzeba — mruknął i nacisnął kłamek.

Trzasnęły drzwi. Zbyszek chwilę rozmasowywał skronie, a kiedy nie pomogło, ruszył do łazienki, nie będąc pewnym celu swej wędrówki. W połowie drogi jednak przystanął i łapiąc równowagę, oparł ręce na telewizorze. Leżały tam zdjęcia. Przesunął jedno palcem i nachylił się, prawie dotykając odbitki nosem. Nie mylił się. Za plecami znajomych ojca, koło czyjegoś nagrobka, stał tęgi mężczyzna w dobrze skrojonym płaszczu.

\* \* \*

Teraz, kiedy przesuwiał kopertę między palcami, spiker w radiu oznajmiał dziesiątą rano, lecz Zbyszek nadal miał nieodparte wrażenie, że tkwi w dziwnym śnie. Przez odsłonięte okno chwilę obserwował obłoki ślizgające się po niebie, a później ponownie opuścił wzrok na kartki. Jedyne poźółkłe brzegi świadczyły, kiedy je zapisywano.

*Drogi Marku!*

*Gdy widzieliśmy się ostatnio, obiecałem Ci napisać o Tajemnicy. Teraz, kiedy wydaje się, że jestem o krok od rozwiązania, myślę, że nadeszła właściwa pora.*

*Pierwszą wzmiankę o jaskini znalazłem przypadkowo, studiując historię bractwa millinerskiego, dawno zapomnianej loży z osiemnastego wieku. W opracowaniu wydanym w 1922 roku nakładem drukarni Halsa w Dreźnie napotkałem wzmiankę o starej rodzinie niemieckiej, która ma w swej posiadłości niespotykany fenomen. Miejsce, skąd można odczytywać przyszłość. Nie było żadnych szczegółów i pewnie zapomniałbym o całej sprawie, gdyby nie wpadł w moje ręce diariusz Aloisa Benarda, który na początku XIX wieku podróżował po całej Europie, między innymi odwiedzając Saksonię i Dolny Śląsk. Opisuje on gościnność rodziny Platzów, u której bawił dwa miesiące, lecz zarazem skarży się, że nie pokazano mu największej osobliwości — tajemniczej komnaty, gdzie można zobaczyć zdarzenia przyszłe. Platzowie czasem twierdzili, że to jedynie rodzinna legenda, lecz kiedy indziej wspominali, iż komnatę można otwierać co kilkanaście lat. W tym czasie ładuje się, czerpiąc energię z kosmicznego eteru, i pozwala zerknąć ku rzeczom, które nadejdą. Benard podał niemiecką nazwę posiadłości, która, byłem pewien, już kiedyś wpadła mi w ucho. I rzeczywiście. Po kilku nie przespanych nocach, przetrząsnąwszy moje archiwum, znalazłem odpowiedź.*

*Jeszcze w latach czterdziestych, na studiach, mając sporo samozaparcia i mało kogo*

poruszające pismo od pełnomocnika rządu, jeździłem po okolicach Wrocławia z paroma innymi zapaleńcami, próbując ratować co cenniejsze egzemplarze z bogatych bibliotek ponemieckich. Pisałem Ci o tym, jak często znajdowałem same okładki, gdyż cieniutki papier idealnie pasował na skrzyty. W każdym razie w bibliotece Greisa — znanego lekarza ze Świdnicy, trafiłem na zbiór sprawozdań sądowych sięgających szesnastego wieku. Istne perełki dla miłośnika pitawali. Dzięki nim zacząłem pisać pracę magisterską poświęconą procesom o czary na Dolnym Śląsku. Wtedy właśnie po raz pierwszy zetknąłem się z nazwą Zauberblick, co można tłumaczyć jako „uroczny wzrok”. Bóg raczy wiedzieć, czemu po wojnie nasze władze przemianowały ją na Sieszewy.

Interesująca nas sprawa zrazu wyglądała banalnie. W Zauberblick i kilku okolicznych wioskach osadzonych na prawie niemieckim wybucha zaraza wśród bydła. Pomór kładzie trzy czwarte pogłowa i wieśniacy, dodatkowo rozwścieczeni wysokim czynszem, muszą mieć winnego.

Podjęcie pada na czwórkę młodych ludzi z Wrocławia, którzy od kilku tygodni, bez konkretnego celu, przyjeżdżają do jaskiń w lesie. Dla świętego spokoju wójt zarządza areszt. Trzech młodzieńców i dziewczyna zostają osadzeni w loszku i już podczas pierwszego przesłuchania załamują się. Z akt wynika, że wójt, pewnie podjudzony przez ziomków, postraszył ich procesem o czary, a i pewnie pokazał narzędzia, niby katowskie. Ku zaskoczeniu sędziego, pozwani, zamiast przyznać się do rozpusty, zeznają, że znaleźli grootę, w której można mieć dziwne wizje. Jak sami to nazywają: „wizje nigdzie nie istniejących miejsc, urzędów i wehikułów”. Prowadzą sędziów na miejsce, lecz nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Nie wiadomo, jak potoczyłaby się dalej historia, gdyby nie interwencja z Wrocławia u właściciela wiosek. Okazało się, że zatrzymani pochodzą z ustosunkowanych rodzin i po obniżeniu czynszu dzieciaki zostały ciupasem odstawione do domu. Wymigali się, popularnym w tym czasie, zaślubieniem na umyśle. Ja jednak wiedziałem coś więcej. Benard wspominał, że jaskini nie wolno odwiedzać zbyt często, gdyż traci moc. Jeśli byłoby to prawdą, nic dziwnego, że po paru odwiedzinach oskarżonych sędziowie nie mogli mieć już tam dalszych wizji. Zachęcony tym, zacząłem grzebać w genealogii rodziny Platzów i co się okazało? Pałacyk koło Zauberblick zbudował około 1790 roku Maksymilian Platz, którego żona z domu nazywała się Glauber. Dokładnie tak samo, jak oskarżona w procesie dziewczyna.

Nie chcę się rozpisywać ponad miarę, więc dodam jedynie, że znalazłem kilka innych źródeł wskazujących Platzów jako depozytariuszy rzadkiego fenomenu. Obecnie upewniłem się, że pałacyk został częściowo zniszczony podczas zamieszek wywołanych przez śląskich tkaczy w połowie XIX wieku, ale podziemia pozostały nienaruszone. Potem Platzowie zubożeli i ostatecznie pod koniec ubiegłego wieku teren wykupiło wojsko, wykorzystując dobrze zachowane piwnice jako magazyny. Całość, zwana przez ludność od lat fortem, wciąż stoi koło Sieszew.

Sam nie wiem, bujda to czy prawda. Rozsądek przemawia za pierwszym, lecz wokół sprawy jest za dużo logicznie powiązanych faktów, aby ją zbagatelizować. Przyszłość! Aż dreszcz przechodzi, kiedy pomyślę, co można by ujrzeć.

Poza tym, kiedy spojrzeć na ruinę, w jakiej jest dzisiaj nasz kraj, chciałoby się, nawet z pomocą czarodziejskiego zwierciadła, ujrzeć Polskę odbudowaną, bogatą i bezpieczną. Jutro wyjeżdżam na Dolny Śląsk. Rychło oczekuj listu.

Twój Jan

Starannie złożył list i wsunął w wyblakłą kopertę. Dlaczego ojciec nigdy mu o tym nie wspomniał. Gdyby nie torebka z proszkiem... Oparł dłonie na poręczach fotela i zacisnął aż do bólu. Nie pozbył się jednak uczucia osamotnienia, które nagle ogarnęło jego serce. Jak nigdy zapragnął

rozmowy z kimś bliskim, komu można ufać. Właściwie dlaczego całe jego życie to tylko praca, wykłady, paru znajomych... i nic więcej. Śmieszne, ale poczuł się bezradny wobec tak prostego pytania. Czy i jego życie jest gdzieś zapisane, a w jaskini Pan Bóg zostawił coś na kształt dziurki od klucza? Usłyszał, jak książka spada na podłogę. Przeciąg, pomyślał i ukrył twarz w dłoniach, nie chcąc uronić myśli. Jeśli można widzieć przyszłość, to znaczy, że ona już istnieje! Gotowa i wyznaczona każdemu. Możesz stawać na głowie, lecz i tak pójdiesz przypisaną ci koleiną. Będziesz świętym czy łajdakiem, to bez znaczenia, czynisz jedynie to, co ci jest pisane. Wolna wola to fikcja! Roześmiał się wymuszenie i ruszył domknąć okno. Przecież to tylko zabawa w hipotezy. Nagle zamarł w pół kroku nad rozsypanymi książkami. Okno było zamknięte.

\* \* \*

Gdy kupował gazetę, wpadł mu w oko tytuł u dołu szpalty: „Wielokrotny morderca schwytyany”. Kioskarz, śledząc jego spojrzenie, klepnął dłonią w stos krzykliwych okładek.

— Dawniej okradziono człowieka w tramwaju i gazety o tym pisały, a dzisiaj... — Pomarszczona twarz przybrała wyraz udręki. — Nawet morderca nie wystarcza. Musi być wielokrotny.

Nie podjął tematu, ugodowo kiwając głową, lecz staruszek miał rację. Zło, przemoc, agresja atakowały coraz natarczywiej i bezwstydniej. Co gorsza, zło spowszedniało, po cichutku, krok za krokiem przesączało się z marginesu do codziennego życia. Normalna nienormalność. Bał się tego i nienawidził — jego własny, prywatny strach. Po pogrzebie miał kłopoty z żołądkiem, lecz nie potrafiłby powiedzieć, co było główną przyczyną: śmierć ojca czy towarzyszące jej dziwne okoliczności. Śmierć była tragedią, lecz zarazem stanowiła sprawę zakończoną, zagadkowe wydarzenia wciąż niosły potencjalne zagrożenie. Zwolnił kroku, gdyż właśnie dochodził do mieszkania ojca. Przepuszczając autobus, kątem oka uchwycił znajomą sylwetkę. Obejrzał się ponownie. Brama z przeciwka świeciła pustką, lecz przysięgłby, że widział otyłą postać Traczyka.

Lodowatymi dłońmi wyszperał klucz i wszedł na klatkę. Przez dziurki w skrzynce pocztowej prześwitywała koperta. Kiedy ją wyjmował, coś zagrzecotało w środku. Uniósł wzrok, jakby oczekując, że przez kilka kondygnacji dojrzy mieszkanie ojca. Dookoła toczyła się niewidzialna gra, nieuchwytna, lecz istotna. Był tego pewien. Boże, skąd takie myśli? Oblał go zimny pot, a może to reakcja po zażyciu proszku, taka szczątkowa prekognicja. Zadarł głowę, słysząc kroki na klatce. To będzie, przymknął oczy... kobieta w popielatym płaszczu. Rozwarł powieki, w samą porę, aby dostrzec typowego emeryta donaszającego kurtkę w pepitkę.

— Idiota — mruknął do siebie i zaraz umilkł, gdyż mężczyzna spojrzął ze zdziwieniem.

Na piętro dotarł biegiem i przekręciwszy wszystkie zamki, opadł na kanapę. Zaraz poderwał się, podszedł do barku i łyknął wprost z butelki ozdobionej żółtą nalepką. Niewiele pomogło. Naprawdę za dużo piję, pomyślał, przez to człowiek głupieje. Wyrzwał przez okno. W bramie nikt nie stał. Wrócił na kanapę i rozerwał adresowaną do ojca kopertę. Ze środka wypadła kasetka VHS z niewielką karteczką.

*Nie odebrał pan materiału w terminie, więc pozwalam sobie przesłać go pocztą. Pozdrowienia.  
Janicki*

Tym razem z pudełka w barku wyłowił dwie landrynki. Wepchnął kasetę w magnetowid i opadł na fotel.

*Test 1 — Poziom stresu 12 — kategoria zawodowa*

*Malicki został niesłusznie pozbawiony prawa jazdy. Za trzy dni ma się zgłosić na egzamin sprawdzający.*

Po napisach ukazał się obraz. Zbyszek rozpoznał kierowcę taksówki, chociaż znacznie młodszego niż obecnie. Właśnie wchodził do mieszkania. U licha, skąd to było filmowane? Wiesza płaszcz, teraz jest w łazience, gdzie myje ręce. Robi to nienaturalnie starannie. Słysząc kobiecy głos wołający go do stołu. Obraz, jak na podglądzie w supermarkecie, przeskakuje do stołowego.

— Włos! — Malicki wali pięścią w stół, aż zupa chlapie na obrus. — W moim talerzu jest włos! — krzyczy kobiecie prosto w twarz i trzaskając drzwiami, wychodzi.

W ciszy słysząc łkanie. Dziewczyna głaszcze kobietę po ramieniu. Scena, filmowana gdzieś spod sufitu, wydobywa kruchość obydwu postaci. Cięcie i widzimy Malickiego, siedzącego na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. Cięcie. Córka podchodzi do drzwi i zdecydowanie naciska klamkę.

— Tata — mówi cicho. — Nałożyłam ci drugie. Chodź, bo wystygnie.

Widać walkę na twarzy mężczyzny. W końcu wstaje i ciężkim krokiem wraca do stołu.

Obraz zniknął. Po chwili Zbyszek, wpatrzony w śnieżną zamieć zakłóceń, zamrugał i zatrzymał taśmę. W ciszy wsłuchiwał się w szum we własnej głowie wiedząc, że został sam. Nawet ojciec przestał być kimś, kogo znał.

Wolna wola — odwieczny problem filozofów. Jeśli Pan Bóg zaplanował świat i, jako wszechwiedzący, zna każde zdarzenie z przyszłości, czy mogę sądzić, że decyduję o własnym losie? Moralność jedynie wtedy ma sens, gdy człowiek posiada wpływ na własne postęпки, w przeciwnym razie to puste słowo. Psychicznie chorego nie skazuje się nawet za morderstwo, jeśli tylko zostanie dowiedzione, że nie był w stanie oprzeć się szaleństwu, które kierowało jego czynami. Jeśli już kogoś winić za zło świata, to chyba tylko Stwórcę, a nie nas — bezwolne marionetki. Ojciec musiał odkryć jaskinię. Odkrył i uwierzył, że wszystko jest gdzieś zapisane. Inaczej nie zdobyłby się na taką podłość, jak podglądanie obcych ludzi. To wszystko, czego Zbyszek mógł być teraz pewien.

\* \* \*

Poprawił plaster chroniący lekką ranę na łydce. Jak w starym dowcipie zaciął się tam przy goleniu. Przy okazji jednak udowodnił, że zdolności kinetyczne są dziedziczne.

Inaczej trudno wytłumaczyć, dlaczego pod jego spojrzeniem flakon wody kolońskiej podskoczył i wyrznął o wannę. Jednak nie roztrząsał tego zbyt. Po pierwsze — spodziewał się czegoś podobnego, po drugie — zadzwonił telefon.

— Pan Jan Orszewski?

— Nie, Zbigniew, jego syn. Mój ojciec nie żyje.

— A... — w słuchawce zapadła dłuższa pauza — to inna okoliczność. Znaczący... tego... przykra sprawa.



Ton głosu i dobór słownictwa nie wskazywały na kogoś ze znajomych ojca.

— Z kim mówię?

— Ja wiem, czy pana to zainteresuje...?

— Ale o co chodzi?

— O co chodzi. — Rozmówca także zaczynał się irytować. — Sprawa jest krótka. W zeszłym miesiącu doprowadziłem pana staruszkowi walizkę na dworcu. Sam szmelc, ale pomyślałem, że jak człowiek się wzruszy, to rzuci parę groszy za zwrot.

Zbyszek chyba się wzruszył, gdyż siedział teraz na ławce przed Urzędem Wojewódzkim i obserwował przechodniów. Czuł, że jest nienaturalnie rozdrażniony. Pewnie po części dlatego, że odmówił sobie poobiedniego drinka, ale nie tylko. Gnojek chciał czterysta złotych. Dużo i mało zarazem. Dużo, aby dawać tyle złodziejowi, mało — gdyż sama walizka musiała kosztować niewiele mniej. A w ogóle cała sprawa śmierdziała. Od początku do końca. Najpierw Rogacki przychodzi ze spowiedzią, potem Traczyk zupełnie bez celu przyjeżdża z Warszawy. Właściwie tylko po to, aby mu dać list. Niby przypadkiem zwrócona kasetka, a teraz... Niemożliwe! Ktoś za tym stoi. Pytanie, po co? No i proszek w saszetce. To nie był przypadek. Ktoś chciał obudzić w nim zdolności paranormalne, a może także przy okazji nastawić pozytywnie do rewelacji o jaskini i...

— Masz pan tu próbkę. — Niespodziewanie usłyszał z boku czyjś głos.

Mężczyzna miał rozbiegane oczy i wodnistą twarz, która nie zostaje w pamięci dłużej niż kilka minut. Między nimi leżała na ławce anonimowa reklamówka.

— No, patrz pan! — Typ ponaglił, obserwując gołębie kołujące nad placem. — Pasuje, to teraz dwie paczki, a później mieniamy resztę. Taka była umowa.

Słusznie, tak się umawiali. Zbyszek otworzył worek i wyciągnął książkę przełożoną kartkami. Od razu rozpoznał pismo ojca. Tylko że w umowie nic nie było o gębie typa i jego uśmiešku. Nie wiedział, jak męcząca może być taka zabawa w ciuciubabkę.

— Dostaniesz patyka, ale powiesz, kto cię przysłał — odezwał się cicho.

— Że jak? — Typ sprężył się instynktownie.

— Powiedz, kto cię przysłał — Zbyszek starał się nie unosić głosu — a dostaniesz tysiąc złotych.

Na twarzy mężczyzny zagrało parę uczuć, lecz żadne nie powinno budzić nadziei w Zbyszku. Dłoń nieznajomego ścisnęła poręcz.

— Facet, zwinąłem to gościowi na Głównym. Dajesz szmal albo buzi i do domu.

Tego nie powinien mówić.

— Co?! — ryknął Zbyszek, a nieznajomy podskoczył jak przypieczony w pośladek.

Próbował uciec, lecz złapany za ręce, zaszurał tylko butami po żwirze. Nadchodzący mężczyzna z psem raptownie zmienił kierunek.

— Pytam, kto ci kazał wciskać mi ten kit?

Typ szarpnął głową, wyraźnie celując w nos Zbyszka, lecz zastygł w bolesnym skręcie. Wystraszone gołębie poderwały się, szukając spokojniejszego miejsca.

— Mów, słyszysz!?

Nie kontrolując swoich reakcji, z wściekłością, ale i pewną satysfakcją obserwował, jak przeciwnik wije się w jego uścisku. Siny na twarzy, gwałtownie trzepocząc językiem, mężczyzna unosił się w górę. Charczał. Dopiero wtedy Zbyszek pojął, iż dokonuje tego bez pomocy rąk, samą siłą woli. Tylko odosobnienie miejsca sprawiło, że ten pokaz lewitacji odbywał się bez tłumu widzów.

— Powiesz?

Mężczyzna rozchylił usta, z których popłynęła strużka śliny. Zbyszek wielkodusznie uznał to za

potwierdzenie. Odrężył się i mężczyzna opadł na trawę jak worek ziemniaków. Wkoło życie biegło swoim torem. Jedyne obserwator, malec z rowerkiem, próbował zwrócić uwagę swego zaczytanego ojca. Nic nie wskazywało na to, że może mu się udać. Poruszony wyrzutami sumienia, Zbyszek nachylił się nad podduszoną ofiarą.

— No, mów. Nie bój się. Zapłacę.

Nigdy by nie pomyślał, że właśnie w tej chwili dostanie z byka w brzuch. Niefachowo, ale wystarczyło, aby wylądował w rozłożystym krzewie. Cudownie ożywiony typ uciekał, jakby go tysiąc diabłów goniło.

— Tato, tato! Teraz się ścigają! — Dobiegł zachwycony krzyk dzieciaka.

Drapiąc ręce do krwi, stanął w końcu na równe nogi. Chwycił porzuconą reklamówkę i ruszył w pogoń. Przebiegli przez trawnik i wypadli na alejkę biegnącą wzdłuż jezdni. Ścigany oglądał się za siebie, krzywiąc twarz z przerażenia. Nieliczni przechodnie potulnie schodzili im z drogi. Zbyszek, nie mając żadnej zaprawy, biegł ciężko, lecz mężczyźni szło jeszcze gorzej. Stawiał kroki nierówno, jakoś dziwnie zarzucając głowę. Widać doskwierały mu jeszcze skutki zapasów ze Zbyszkim. Stawało się jasne, że nie zdoła uciec. Wtedy do wysepki na środku skrzyżowania podjechał tramwaj. Normalnie wchodziło się na nią z podziemnego przejścia, ale mężczyźni nie to było w głowie. W fatalnym stylu przetoczył się przez metalową siatkę odgradzającą jezdnię i pognął ku swemu wybawieniu. Gdyby dopadł otwartych drzwi tramwaju, uszedłby Zbyszkowi, który zawahał się przed przeszkodą. I słusznie. Nadjeżdżające od strony mostu samochody nawet nie miałyby jak hamować. Mężczyzna odtańczył kilka piruetów, lecz nie uszedł przeznaczonemu. Zielone volvo uderzyło go bokiem i posłało, niczym krótką piłkę, w siatkę okalającą wysepkę. Tramwaj zadzwonił, ale nie ruszył. Pewnie chęć obejrzenia igrzysk zwyciężyła. Tłum wylęgał, aby obejrzyć nieruchome ciało. Ktoś nadbiegał od strony stojącego autobusu, a kobieta z volvo głośno płakała.

— Ten pan znowu latał. Widziałeś tato?

Głos dzieciaka przywrócił Zbyszkowi zdolność myślenia. Spokojnie wysunął się z grupki gapiów i zszedł do podziemnego przejścia. Tam zdjął płaszcz, wepchnął go do reklamówki i innym wyjściem dostał się do pobliskiego parku. Starał się nie oglądać, lecz dopiero na Rynku nabrał przekonania, że nikt za nim nie idzie.

\* \* \*

Do Warszawy przyjechał Odrą, ponoć jednym z najwolniejszych ekspresów w kraju. Cóż, Wrocław nie miał szczęścia z Magistralą Węglową jak Katowice. Na dworcu zdążył jeszcze kupić poranne gazety. Po dłuższej chwili natrafił na wzmiankę o mężczyźnie potrąconym w nieprzepisowym miejscu. Czytając w ostatnim zdaniu, iż z ogólnymi urazami odwieziono poszkodowanego do szpitala, poczuł, jak kamień spada mu z serca.

Tym tropem nie udało się więc pójść, a pod numerem telefonu z wizytówki Rogackiego nadal nikt nie odpowiadał. Został mu tylko Traczyk. Ten człowiek musi wiedzieć, kto pociąga za sznurki. Jednak stanąwszy przed gmachem należącym do ministerstwa, Zbyszek stchórzył i skręcił do baru naprzeciwko. Sięgnął po książkę z reklamówki poszkodowanego. *Wszechświat wielowymiarowy* krzyczały jaskrawe litery. Na następnej stronie widniał ekslibris ojca. Książkę przeczytał w pociągu. Ciekawy, rzetelny wykład z fizyki, z nawiązaniami do filozofii. Nie miał pojęcia, że ojciec interesuje

się czymś takim.

Ujął w palce kartkę pełniącą rolę zakładki. Zwykła, prostokątna — miała dwa wymiary: długość i szerokość. Szybkimi ruchami zaczął ją zwijać w rulonik, coraz węższy, coraz ciaśniejszy. Wkrótce otrzymał coś na kształt cienkiego patyczka, prawie jednowymiarowego. Autor książki twierdził, że na samym początku Wszechświata mogło dojść do czegoś podobnego. Sześć z dziesięciu wymiarów zwinęło się do tak mikroskopijnych rozmiarów, że teraz nie poddają się obserwacji. Aby je zbadać, musielibyśmy dysponować energiami niedostępnymi nawet w przewidywalnej przyszłości. Rzecz jasna, hipoteza stoi w jawnej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. Zgodnie z nim żyjemy w świecie trójwymiarowym, gdzie długość, szerokość i głębokość wystarczą do opisu każdego obiektu czy sytuacji, jeśli tylko dodać czwarty wymiar: czas. A jednak! Autor w przystępny sposób wyjaśnia, że już nieraz w historii zdrowy rozsądek się mylił. Szczególnie gdy wkracza na obszary niedostępne codziennemu doświadczeniu. Tak zaś jest w świecie atomów bądź — wprost przeciwnie — w kosmologii. Fizycy sumiennie badający te obszary dojrzeli oprócz liczb pewne zależności, symetrie, które pozwalają dostrzec wielowymiarowe podłoże naszej rzeczywistości. Do tego jeszcze wszechświaty równoległe, pętle w czasie, wszystko, co przemawia do wyobraźni.

Schował książkę, zapłacił i wyszedł na ulicę. Mimo padającego deszczu ufnie uniósł twarz ku niebu. Czy zawsze musi być tchórzem? Jedni tworzą przyszłość, a inni powinni szukać w przeszłości. Nie można przed tym uciekać. Spojrzał na ponure gmaszysko i mimo dreszczu niepewności zanurzył się w jego wnętrzu. Wizytówka i telefon z portierni wystarczyły, aby już po chwili znalazł się na właściwym piętrze. Pastelowe kolory ścian i duże donice przy oknach nadawały całości typowo biurowy charakter. Przechodząca korytarzem dziewczyna uśmiechnęła się znad sterty niesionych teczek. Widać skończyły się czasy, kiedy interesant występował w roli ziarenka wciśniętego pomiędzy tryby potężnej maszyny. Zauważył właściwe drzwi, nabrał powietrza i cicho zapukał.

Zaproszenie było równie ciche. Wszedł. Traczyk siedział za biurkiem i uważnie przyglądał się jego postaci. Można było odnieść wrażenie, że porównuje wchodzącego z jakimś wizerunkiem zapisanym w pamięci. W pokoju było czuć nikłą woń pasty do mebli.

— Siadaj — zaczął, uśmiechając się skąpo. — Pozwolisz, że będę ci mówił po imieniu. Tak dobrze cię znam z opowiadań ojca.

Zbyszek ostrożnie opadł na krzesło. Słowa Traczyka pozwalały opuścić wiele pytań.

— To pan wysłał tego typu z książką?

— Tak. — Mężczyzna wyglądał na lekko zakłopotanego. — Tylko że nie miał żądać żadnych pieniędzy. Ale rozmawiałem z nim telefonicznie i nie musisz się już nim przejmować.

To było ważne, ale nie najważniejsze dla Zbyszka.

— A list? Był pisany do pana, prawda?

— Masz rację.

— Więc dlaczego...?

Wiele osób, pragnąc zaznaczyć swoje życzliwe nastawienie, odruchowo nachyla się ku rozmówcy. Traczyk nie należał do wyjątków.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego nie powiedziałem ci prawdy? Dlaczego wcześniej nie słyszałeś o jaskini ani o mnie, chociaż twierdzę, że byłem przyjacielem twego ojca? — Pokiwał głową. — Cierpliwości. W tej sprawie jest wiele tajemnic. Zaraz ci to udowodnię.

Magnetofon miał w biurku, a głośniki na ścianie za sobą. Włączył taśmę w przygotowanym wcześniej miejscu. Najpierw rozległ się odgłos zamykanych drzwi, potem kroki.

— „Słucham, czym mogę służyć?” — Zbyszek rozpoznał głos Traczyka.

Zapadła cisza, jakby przybyły nagle stanął. Słowa, które padły później, udowodniły Zbyszkowi,

że można zapomnieć o oddechu.

— „Marek, pomyliliśmy się, obydwaj warianty są złe”. — To był głos jego ojca! — „Pod żadnym pozorem nie wolno cofać się w czasie. Rafał rozdzielił się, jak jedno z miejsc. Ten drugi chce to zrobić. Widzę mego syna, tylko wy obaj możecie to odwrócić, ale naprowadzaj go powoli. Użyję też Rogackiego. Żegnaj”.

Czujnie wpatrzony w jakiś punkt na ścianie, Zbyszek łowił dalsze dźwięki. Wśród nich można było odróżnić czyjś ciężki oddech. Potem odezwał się inny głos, młodszy i o parę tonów wyższy.

— „Moje nazwisko Rogacki. Dostałem wezwanie. Domyślam się, że chodzi o wypadek z windą”.

Traczyk zatrzymał taśmę i odchylił się w fotelu. Wyraźnie na coś czekał. Minęła sekunda i pustka w głowie Zbyszka wypełniła się. Pojął znaczenie ostatnich słów. Nagranie wykonano już po wypadku, po śmierci ojca, a więc jak mógł słyszeć jego głos?! Spreparowana taśma. Możliwe, ale po co? Wreszcie wydusił z siebie:

— Kto to mówił? Tam, na początku.

— Kto? Dobrze pytanie. — Traczyk przycisnął do siebie czubki palców obydwu rąk. — Twój ojciec ustami Rogackiego.

— Przecież człowiek to nie magnetofon, aby na niego nagrywać. — Zbyszek koniecznie potrzebował jakieś prostego porównania.

— Zazwyczaj. — Traczyk po raz pierwszy uśmiechnął się bez przymusu. — Także zazwyczaj ludzie nie potrafią przenosić przedmiotów siłą woli. Tylko że Jan Orszewski nie był zwyczajnym człowiekiem.

Wysunął szufladę, która, jak się okazało, pełniła rolę barku. Nalał do kieliszków i rozstawił je na biurku. Sięgając po bliższy, Zbyszek jasno uświadomił sobie, że stacza się w alkoholizm. Jednak ręka była szybsza i uniosła naczynie. Widać coś z tej walki odmalowało mu się na twarzy, gdyż Traczyk zasunął szufladę wraz z butelką.

— Twierdzi pan, że kiedy winda spadała, mój ojciec poprzez hipnozę czy coś takiego...

Umilkł, przypominając sobie rozmowę z Malickim. Ten także słyszał głos ojca.

— Z windą to nie był przypadek. — Traczyk potarł swe ciężkie powieki. — Janek zaplanował to w szczegółach. Poświęcił życie, aby dowiedzieć się więcej o przyszłości.

— Czyjej przyszłości?

— Naszej, ludzi. Ale poczekaj, musimy po kolei.

Zbyszek z trudem nie uległ pokusie postawienia dalszych pytań. Dając szansę przyjacielowi ojca, zaczął:

— Najpierw była jaskinia.

Oczy mężczyzny niespodziewanie wypełniło delikatne światło.

— Tak. Było nas trzech. Twój ojciec, świeżo upieczony adwokat Rolniak i ja. Rafał, zawsze najbardziej zaradny, załatwił gazik i dotarliśmy do fortu za Sieszewami grubo przed południem. Pamiętam. Była wiosna, a grzało jak w lecie. Janek opowiadał o cudach, które może kryć jaskinia. Nawet Rafał wyglądał na poruszonego. — Nikły cień kogoś z przeszłości zagościł w rysach twarzy mężczyzny. — Myślę, że twój tata nie bardzo wiedział, po co nas bierze ze sobą. Pewnie kierował się intuicją.

Od wypolerowanych mebli płynął cierpki zapach przyprawiający o lekki zawrót głowy.

— W tych latach termin „zjawiska paranormalne” jeszcze nie istniał, lecz każdy z nas miał jakiś dar. Twój ojciec potrafił przesuwac przedmioty, Rafał miał czasem zadziwiająco trafną intuicję, a ja — poprawił się w fotelu — wyczuwam emocje, różne fluidy, potrafię określić ich źródło.

— Empatia. — Zbyszek chrząknął i odstawił pusty kieliszek. — Tak to się nazywa.

— Może. Najważniejsze, że dzięki temu odkryliśmy właściwe miejsce. Podziemia fortu to olbrzymi labirynt, pełen naturalnych grot, wykutych korytarzy i sal. Nie ma szans, by ktoś znalazł jaskinię przypadkowo. Na szczęście czułem jej emanację. — Machnął ręką. — Ale zostawmy te szczegóły.

Wypił alkohol i otarł usta wierzchem dłoni. Gdzieś za ścianą zadzwonił telefon, zza okna odpowiedział mu przejeżdżający tramwaj.

— Czy ujrzeliście przyszłość?

— Tak i nie. — Palce Traczyka zabębniły krótko po stole. — Wyobraź sobie, że istotnie widzisz sceny z przyszłości, lecz są one całkowicie oderwane. Ulica z migającymi samochodami, czyjś pusty pokój, fragment krajobrazu. Trzeba wielkiego łutu szczęścia, aby dojrzeć coś interesującego, a przynajmniej coś, co można potem sprawdzić.

— Było coś takiego?

Śmiech zabrzmiał jak zgrzyt po szkle.

— Rafał, drań zawsze miał szczęście. Nawiedził go obraz odrapanego podwórka z gazetami w śmietniku. Na pierwszej stronie było zdjęcie monstrualnego tłumu przed Pałacem Kultury i Nauki. No i nazwisko mówcy.

— Gomulka. — Zbyszek tylko poruszył wargami.

— Rok później mogliśmy to oglądać na własne oczy.

— I dlatego uwierzyliście?

— Nie tylko. — Traczyk zerknął bystrzej. — Trudno to opowiedzieć, ale mieliśmy pewność, że obcujemy z czymś niepojętym. Najpierw widzisz wielką, zawieszoną w powietrzu bramę zbudowaną z błękitnego światła, a kiedy ją przekraczasz, słyszysz muzykę.

— Jaką muzykę?

— W każdym razie coś podobnego. — Szukał słów. — Coś, co trafia do głowy i wywiera wpływ na całe twoje życie.

Zbyszek zawiesił wzrok na wargach mężczyzny.

— Widzisz, myśmy wtedy w zasadzie uwierzyli, że nasz świat jest zafiksowany i możemy jedynie odgrywać wyznaczone role. Różnie to na nas podziałało. Rafał, jako praktyk, zaczął kalkulować, co można z tego mieć. Jakoś nie zauważył, że przy pełnym determinizmie równie dobrze mógłby się położyć. Ja... Po wizycie w jaskini nie potrafiłem żyć na własny rachunek. Musiałem na czymś się oprzeć i dlatego po studiach zacząłem pracować w MSW. To olbrzymia machina, gdzie wszystko zdawało się mieć swoje miejsce. Za cenę bezpieczeństwa i wewnętrznego spokoju rozpląnałem się w niej. Ale to minęło...

— A tata?

— Znasz go. Nie mógł się pogodzić z determinizmem. Szukał innych interpretacji. Czegoś na wzór cieni Platona: przyszłości wielowariantowej, nie ukształtowanej, zanim nasze uczynki nadadzą jej ostateczny kształt. Patrząc w przyszłość, raz można dojrzeć ten wariant, innym razem odmienny.

W jego mimice Zbyszek odnalazł podobieństwo do ojca. Może dlatego zaczął mu ufać, choć zdrowy rozsądek pukał się w czoło.

— Dlaczego nie poszliście jeszcze raz? Zanim Rosjanie przejęli fort. Mielibyście więcej faktów. Wystarczyłoby poczekać i zobaczyć, czy wszystkie się sprawdzają.

— Czytałeś. Jaskinia, otwierając się na przyszłość, traci energię. Nasza jedna jedyna wizyta wyczerpała ją do cna. Sprawdziliśmy to tydzień później. Nie wiem dlaczego. Może płaciliśmy za wzmocnienie naszych zdolności.

— A później? Ile czasu jej potrzeba, aby się naładować?

— Najpierw nie wiedzieliśmy. Fakt. Obawialiśmy się, że wpadnie w niepowołane ręce. Ale dziesięć lat temu Janek dowiedział się, kiedy wróci aktywność. — Wskazał wiszący na ścianie kalendarz. — I dlatego mamy problem. To będzie dokładnie pojutrze o dziesiątej rano.

Ktoś energicznie zapukał, a potem nacisnął klamkę. Zbyszek nawet się nie obejrzał.

— Dzwoni twoja żona, podobno wyłączyłeś aparat.

— A, tak. Mam ważną rozmowę. — Traczyk wy dostał się z za biurka. — Poczekaj, Zbyszek, zaraz wracam.

Został w pokoju sam. Spłowiąły dywan, parę kryształowych wazonów w regale, wielki segregator pod ścianą. Ciekawe, czy Traczyk w ogóle używa komputera. Może ma do tego jakichś ludzi.

Podszedł do okna, gdzie pod pajęczyną tramwajowych drutów biegła ulica. A jeśli on kłamie... Jeśli ordynarnie wciska mu kit? Malicki mógł być podstawiony, głos z taśmy, Bóg wie kiedy nagrany czy po prostu spreparowany. Zrobiło mu się gorąco. Nieobecny wzrokiem spoglądał na mężczyznę opuszczającego bar naprzeciwko. Ale przecież teraz umiem przesuwac przedmioty. Tego nie można spreparować! Nieoczekiwanie zapragnął unieść kapelusz nieznajomego w górę. W zasadzie zadziało. Z tym że nakrycie głowy wbiło się mężczyźnie na uszy z taką siłą, że aż usiadł na chodniku. Szamotał się chwilę z ożywionym przedmiotem, aż w końcu cisnął go na jezdnię. Trzeba poćwiczyć, pomyślał Zbyszek, obserwując z zażenowaniem szybko oddalającą się sylwetkę. Kapelusz turlał się przy krawężniku. Pojutrze, skojarzył, siadając na krześle, i znów zrobiło mu się nieznośnie gorąco.

— Przepraszam cię. — Traczyk zamknął drzwi za sobą. — Moja żona ma kłopoty ze zdrowiem. Po robocie muszę zajrzeć do apteki.

Wrócił na miejsce.

— Mówiliśmy o terminie, ale najpierw pojawiły się sny. Kilka lat po wizycie w jaskini. Sny Janka nawiązywały, a właściwie przywoływały z pamięci zapomniane wizje, które tam widział, ale zapomniał. Niepokojące, dotyczące czegoś niezmiernie ważnego. Janek wariował, ale nie potrafił ich odtworzyć. Szukał pomocy w farmakologii, a nawet w magii. Z całego świata ściągał różne świństwa: substancje halucynogenne i stymulujące, wyciągi z kaktusów, meduz czy Bóg wie czego jeszcze. Pamięci mu to nie przywróciło, choć zdaje się trafił na środek wzmacniający umiejętność telekinezy. Pod warunkiem, rzecz jasna, że sieją miało od urodzenia.

„Saszetka”, pomyślał Zbyszek, obserwując, jak Traczyk uchyla i zaraz zatrząskuje szufladę z butelką. „Obudził mnie i popchnął swoim śladem”, przemknęło mu jeszcze przez głowę, lecz Traczyk już kontynuował.

— Dlatego tak mu zależało, aby przejrzeć intencje Stwórcy, choćby ogólny zarys jego zamierzeń. A któż, jak nie ludzie, stworzeni na obraz i podobieństwo boże, mogli dać mu lepszą odpowiedź. Dlatego tak go gnębiło, czy z natury jesteśmy dobrzy czy źli? — Westchnął. — Janek pasjonował się zjawiskiem przestępczości, wiesz o tym?

Kolejny tramwaj zadzwonił za oknami o grubych szybach.

— Oczywiście, to była tematyka naukowa taty jeszcze przy doktoracie.

Traczyk poczekał, aż ucichną odgłosy płynące z ulicy pełnej ludzi nieświadomych toczącej się tu rozmowy.

— Zbrodnie, przestępcy, kto, jak, dlaczego. Ale także przykłady heroizmu, poświęceń, dobrych uczynków. Tysiące faktów, opracowania tak szczegółowe, że aż niepokojące. Od początku widać było, że nie jest to zwykła pasja badacza. Prędzej opętanie, szaleństwo — jakby chciał zajrzeć ludziom pod podszewkę.

Zbyszek uniósł kieliszek w palcach, nie unosząc wzroku znad krawędzi. Słowa matki, dobrej i cierpliwiej: *ja już dłużej nie zniosę, ty jesteś chory*. I twarz ojca, nagle skamieniała, jakby wreszcie usłyszał prawdę o sobie. Nigdy nie miał zapomnieć widoku ich dwojga, siedzących w półmroku, próbujących po raz ostatni naprawić życie, które rwało się im w palcach. Cofnął się wtedy cicho na korytarz i poszedł do pokoju prosić Boga o pomoc. Nigdy nie wiedział, czy został wysłuchany. Rodzice nie rozwiedli się, lecz po miesiącu ojciec wynajął w mieście pokój. I tak zostało już do końca.

— Myślę — odparł cicho — że wiem, co ma pan na myśli.

Rysy Traczyka ukazały mu się dziwnie rozmyte, nabrał powietrza w płuca.

— To wtedy podglądaliście tego taksówkarza? Sądząc po minie, Traczyk musiał czuć się plugawie.

Przerwał mu, lecz po chwili podjął wątek.

— Tylko raz, po obejrzeniu taśmy... Zlikwidowaliśmy podgląd i nigdy więcej nie testowaliśmy ludzi. Taśmę trzymaliśmy... ku przestrodze. Janek nie chciał, abyś je, jak i parę innych rzeczy, znalazł w jego mieszkaniu. Podesłałem ci ją, ale teraz myślę...

— Już ją zniszczyłem — przerwał Zbyszek zdecydowanym tonem, kończąc temat.

— Dobrze, tak będzie najlepiej. — Traczyk przymknął powieki. — A potem był wypadek. Słyszałeś. Poszły hamulce w autobusie, którym twój ojciec wracał z konferencji. Droga zaś spadała serpentyną w dół.

— Pamiętam, kierowcy udało się przejechać kilka zakrętów, zanim wylądowali w rowie, już na dole. — Uniósł wzrok. — Ale to nie wszystko, prawda?

Traczyk pokręcił głową. Chustką otarł suche czoło.

— Janek był, no po prostu, jedną nogą w trumnie. Ale właśnie wtedy przypomniał sobie część wizji. Tych cholernych obrazów, które go nachodziły w snach. Wynikało z nich jasno, że pojutrze nasz świat przestanie istnieć. Cholera, nie mogę.

Uchylił szufladę i nalał sobie. Nieco alkoholu zachlapało biurko.

— Nie rozumiem. — Zbyszek poczuł, jak bardzo zdrętwiałe ma wargi. — Wojna jądrowa? Katastrofa kosmiczna?

— Nic z tych rzeczy. — Traczyk pokręcił głową. — Po prostu nasza rzeczywistość nie ma dalszego ciągu, koniec. Janek mówił, że wyglądało to tak, jakby ktoś nożycami odciął resztę taśmy filmowej. Nie wiedział dlaczego, ale źródłem katastrofy będzie jaskinia i wiąże się z tym Rafał.

— On miał to zrobić?

— Właśnie nie wiadomo. Janek tłumaczył, że podczas tej szaleńczej jazdy autobusem kurtyna odsłoniła się tylko, ale nie uniosła.

— Próbowaliście z nim gadać?

— Z Rafałem, tak. Śmiał się idiota i zapowiedział, że jak tylko wydzierżawi fort, nasza noga tam nie postanie. Kiedy mu opisywaliśmy zapowiedź katastrofy, nawet nie pozwolił dokończyć. Skomentował, że to skleroza i urojenia. W ogóle zachowywał się tak, jakbyśmy niczego wspólnego nie przeżyli. Dobrze się czujesz?

Zbyszkowi od dłuższej chwili dzwoniło w uszach. I chociaż przytaknął, z ulgą spostrzegł, że męczyzna otwiera okno. Odetchnął głębiej.

— Tata postanowił powtórzyć sytuację z autobusu, prawda? Tylko tak, jak czasami lubił, bardziej widowiskowo...

Postać przyjaciela ojca zastygła na tle szarej panoramy miasta.

— Tak, widowiskowo, lecz tym razem nie dał sobie żadnej szansy. On bardzo cię kochał i

dlatego nigdy nie pozwolił, abyś dowiedział się o jaskini. Widzisz...

Kiedy się odwrócił, w oczach Traczyka błysnęły łzy.

— Poza snami Janek przez całe życie miał przebłyski, jakby z innych równoległych rzeczywistości. Rozpoznawał twarze ludzi, których nie spotkał. Znał szczegóły ich życia, fakty, których nie miał prawa znać. Co więcej, czasami wiedział, jakie konsekwencje przyniosą pewne decyzje, pewne wybory. Czy to znaczy, że nasz świat otoczony jest rojem replik o alternatywnej historii? Nie wiem. W fantastyce ponoć ludzie od dawna o tym piszą. Nawet jakiś facet stworzył teorię naukową.

— Everett. — Zbyszek przełknął ślinę. — Wszechświat ewoluując nieustannie, rozwidla się w momentach, kiedy dokonany zostaje wybór. Słyszałem o tym jeszcze od taty, kiedy rozmawialiśmy o opowiadaniach Borgesa.

— Widzisz, najsilniejszy z przebłysków dotyczył ciebie.

Tata wiedział, że kiedyś, trudno powiedzieć w przeszłości czy przyszłości, w innej rzeczywistości, wyjawiał ci tajemnicę, a ty zniknęłaś. — Wzdrygnął się, jakby od okna powiał chłodem. — Janek nie znał szczegółów, ale był pewien, że mówiąc cokolwiek, unicestwiłby ciebie. Ale pisał dla ciebie pamiętnik. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Myślę, że nawet nie tyle na wszelki wypadek, ile w zastępstwie — jako substytut rozmowy. Teraz dostaniesz go z całą resztą. — Westchnął. — Szkoda, że tak późno.

Podszedł do regału i otworzył dolne drzwiczki. W głębi stała skórzana waliza z okuciami. To już było ponad siły Zbyszka.

— Muszę wyjść na moment — powiedział cicho.

— Oczywiście. — Traczyk uniósł się. — Toaleta jest naprzeciwko.

Prawie zgięty wyszedł na korytarz. Na szczęście po drugiej stronie nikogo nie było. Stanął przy umywalce, odkręcił kran i oparł czoło o szybę. A potem mocno, z całego przepełnionego bólem serca, rozplakał się. Po kilku minutach poczuł się lepiej. Trochę. Ale to wystarczyło, aby wrócić i dokończyć rozmowę. Siadając z powrotem na krześle, spytał:

— A te warianty? O czym tata mówił poprzez Rogackiego?

Traczyk w tym czasie postawił bagaż koło biurka, a teraz ze współczuciem przyglądał się twarzy Zbyszka. Zaczął wolno:

— Janek umiał teleportować przedmioty, a nawet ludzi. Ale nie samego siebie. Dlatego zrywając windę, wiedział, że żywy z tego nie wyjdzie. Wiedzieliśmy o terminie podpisania umowy. Wiedzieliśmy, że Rafał chodzi zawsze z Rogackim. Jego chciał ojciec uratować i wykorzystać do przeniesienia wiadomości.

— A Rolniak?

— Gdyby był niewinny, miał być także teleportowany... Traczyk przerwał. Miał wzrok człowieka śmiertelnie zmęczonego odpowiedzialnością, która na nim spoczywa. W końcu podjął:

— Długo się wahaliśmy, ale na jednej szali był nasz świat, a na drugiej życie człowieka, który pragnie go zgubić. Teraz — rozłożył ręce — niczego już nie jestem pewien. Janek zobaczył coś ważnego, lecz innego, niż się spodziewaliśmy.

Miał sekundy na przekazanie tego, improwizował. Mógł nie zdążyć uratować tego Rolniaka z windy.

— Zaraz. — Zbyszek zaczął wolno krążyć po pokoju. — Myśleliście, że albo Rolniak planuje coś niecnego i jego śmierć uratuje nas, gdyż ten wariant przyszłości zniknie, albo że jest niewinny. Wtedy tata dowie się wystarczająco dużo i da znać przez Rogackiego. A tu... jak to było? Rolniak rozdziwił się i tylko my możemy zapobiec nieszczęściu. Tylko jak?



Teczka, którą podał mu Traczyk, miała na okładce wyrysowane długopisem różne figury. Niektórym pomaga to myśleć.

— W środku jest protokół z oględzin zwłok Rafała. Na moją prośbę wykonano zdjęcia lewego podudzia. Widzisz — zamknął okno — Rafała znałem jeszcze z dzieciństwa. Dobrze pamiętam, jak zleciał z trzepaka i złamał nogę. Zrosła się, ale ślad byłby widoczny.

Zbyszek przestał rozwiązywać teczkę.

— Na zdjęciach nie ma nic. Wyglądają, jakby należały do kogoś innego.

— Sądzi pan, że ten z windy...

Traczyk przesłaniał prostokąt okna, lecz i przy słabym świetle widać było lęk na jego twarzy.

— Cholernie się boję, że twój ojciec chciał nam powiedzieć, iż Rafał przewidział zdarzenie w windzie i podstawił kogoś na swoje miejsce. A pojutrze będzie chciał cofnąć się w czasie, pewnie licząc, że przywróci sobie młodość z całym dzisiejszym doświadczeniem.

— Przecież to niemożliwe!

— A jaskinia? Czy ona jest możliwa?

Odpowiedź była zbyt dobra, żeby ją zripostować.

\* \* \*

Traczyk chciał go zaprosić na obiad do domu, lecz Zbyszek podziękował. Złapał popołudniowy ekspres i dotarł do Wrocławia o przyzwoitej porze. Poza tym czuł się trochę jak ślepy, który przejrzał. Musiał teraz powiązać chłód śniegu z jego bielą, a zieleń trawy z dotykiem pod stopami. Dlatego jadł w ministerialnej stołówce, niewiele się odzywając.

— Jak myślisz? — zapytał w końcu, nawet nie zauważając, że gdzieś po drodze przeszli na „ty”.  
— Po co Stwórca jaskinia?

Traczyk przestał przesuwac krysztalki cukru po stole. Krytycznie obejrzał figurę ułożoną na blacie.

— Czemu lód pływa po wodzie? Czemu nie można przekroczyć prędkości światła? Nie wiadomo. Taki jest nasz świat. — Dmuchał, rozsypując heksagram. — Fenomen jaskini polega na tym, że jest niepowtarzalna. A więc właściwe pytanie brzmi: czemu Bóg dopuścił się odstępstwa w regułach gry?

— Znasz odpowiedź?

— Długie wieczory zastanawialiśmy się nad tym. Myślę, że jest to rodzaj próby. Sprawdzenia tego, czy już dorośliśmy? Kiedyś rozszczepiliśmy atom. Udało się, chociaż oprócz elektrowni mamy bomby. Może jaskinia stanowi preludium do ingerencji w naturę czasu i przestrzeni. Nic wiem, może Janek lepiej by to wytłumaczył.

— A jeśli nie zdamy egzaminu? Jeśli użyjemy jej do czegoś niegodziwego?

— O to najlepiej spytać Rafała. — Traczyk położył dłonie na blacie. — To co, idziemy?

Zbyszek nie zareagował, machinalnie przesuwając widelec.

— Sądzisz, że Rolniak chce wrócić w przeszłość... Traczyk wzruszył ramionami.

— Czytałeś książkę o świecie wielowymiarowym. Wygląda na to, że współczesna nauka zaczyna dopuszczać możliwość przeprowadzenia podróży w czasie, ale pod warunkiem zużycia niewyobrażalnej wprost energii. To się zgadza z ostrzeżeniem, które przekazał nam Rogacki.

Wielec Zbyszka wykonał szybki ruch.

— Oglądałeś film *Powrót do przyszłości*? — Traczyk pokręcił głową. — Facet cofa się w czasie i zabiera ze sobą almanach sportowy, gdzie są wyniki spotkań z ostatnich lat. Potem gra w zakładach, obstawiając stuprocentowe pewniaki, i dorabia się majątku. Logiczne, prawda?

— Logiczne — przyznał Traczyk. — A ty co byś zabrał?

— O, istnieje wiele rzeczy. Na przykład kursy giełdowe, opisy nowych technologii czy zestawienie ostatnio odkrytych złóż mineralnych. Zresztą... pamiętasz reformę Balcerowicza. Gdybyś znał zawczasu wahania kursu dolara, dzisiaj byłbyś obrzydliwie bogaty. Nie wiesz może, czy Rolniak nie interesował się czymś takim? Nie zbierał danych?

Przyjaciół ojca uśmiechnął się kącikami ust.

— Ty chyba ciągle sądzisz, że ja nadal kieruję jakąś wielką komórką. Niestety, teraz jestem tylko zwykłym biurokratą. — Uprzedził pytanie Zbyszka. — No, ale jeszcze trochę mogę. Dlatego podłączyłem się do śledztwa w sprawie wypadku. Nie słyszałem jednak, aby zbierał takie informacje.

— A byłeś w sklepie z kompaktami? — Zbyszek spytał nieoczekiwanie dla samego siebie. — W Alejach Jerozolimskich macie największy salon CD-ROM-ów w Polsce.

Twarz Traczyka znieruchomiała, za to oddech wyraźnie przyspieszył. Nie pomyślał o tym. Zanim Zbyszek zdążył rozejrzeć się za jakimiś kroplami, z kłopotu wybawiła go tęga kobieta. Na oko szacując, miała na tacy potrójną porcję.

— Coś pan źle dzisiaj wygląda, panie Marczyku? — zaszcebiotała, zmuszając mężczyznę do mobilizacji.

Nie siląc się na kurtuazję, wstali i wyszli ze stołówki. Po minięciu paru drzwi okazało się, że trafili na parking.

— Wsiadaj, sprawdzimy to od razu. Potem odstawię cię na dworzec.

Walizkę ojca schował do bagażnika i posłusznie zajął miejsce koło kierowcy.

— Cholera — zaczął Traczyk po dłuższej przerwie. — Jestem stary ramol. Nie skojarzyłem, że dysk laserowy to dla Rafała idealny środek do zapisu informacji.

Przed oczami Zbyszka stanął banalny gabinet Traczyka, nawet bez śladu elektroniki, wstrzymał się jednak od komentarza. Zrządzeniem Opatrzności było, że uniknęli w centrum korków i, co już graniczyło z cudem, znaleźli miejsce do parkowania.

— Dzień dobry. — Traczyk sprawnie otworzył legitymację przed sprzedawcą. — Chcieliśmy zasięgnąć informacji.

Dobra passa trwała nadal. Zakupy sprzętu objętego gwarancją były wprowadzane do komputera, ale na tym się kończyło.

— Niestety, Rafał Rolniak niczego u nas nie kupował. — Sprzedawca nawet wyglądał na oburzonego takim stanem rzeczy. — No, chyba że jakieś pojedyncze krążki.

Rzędy półek wyłożonych różnobarwnymi kompaktami wyglądały jak osobliwe dzieło sztuki. Obok, niczym współczesne totemy, ustawiono stanowiska odsłuchu, obwieszane wielkimi słuchawkami.

— A Biernat, Roman Biernat? Może jego pan znajdzie? Traczyk dojrzał wzrok Zbyszka i uśmiechnął się nerwowo.

— Namierzyłem parę transakcji Rafała sprzed wypadku. Gromadził gotówkę i lokował na lewym koncie, właśnie jako Biernat.

Sprzedawca chrząknął dyskretnie.

— Miesiąc temu nabył przenośny odtwarzacz CD-ROM-ów, bardzo przyzwoity — dodał

zadowolony.

— Czy coś jeszcze? — Traczyk wpisywał dane do notatnika.

— Nie, żadnego krążka, nic więcej.

Podczas gdy Traczyk zapewniał sprzedawcę, że sprawa nie przysporzy sklepowi złej reklamy, Zbyszek podziwiał dobrze wyposażone działy historii, techniki i innych nauk. Multimedia wtargnęły przebojem na rynek i miały się wyśmienicie. Chociażby interaktywna książka kucharska z prezentacjami najlepszych kucharzy. Jeśli w czasie gotowania zastanowi cię, skąd pochodzi pomidor, nie ma sprawy. Wystarczy kliknąć.

— Zdenerwowany? — Traczyk odezwał się zza jego pleców.

Zbyszek pokręcił głową i ruszyli do wyjścia.

— Tak się zastanawiam, czemu Rolniak nie kupił czegoś więcej. Chociażby encyklopedii XX wieku. Miesiąc temu była już w sprzedaży.

— Och, nie wiem. Dyski mógł kupić gdzie indziej. — Stanęli przy samochodzie. — Bardziej mnie martwi, czy powinienem cię narażać.

Zbyszek zmarszczył czoło.

— Przecież nie zniknąłem. Tata, doznając wizji w windzie, tym razem dojrzał mnie w przyszłości. Już mogę się dowiedzieć...

— A może Rogacki coś pokręcił... To szaleństwo. — Traczyk uderzył dłonią o blachę dachu. — Idziemy sami przeciw Rafałowi. Uwierz mi, on potrafi być niebezpieczny.

Pewne rzeczy trudno jest przekazać za pomocą kilku zdań, ale spróbował. Lekko drżącym głosem powiedział:

— Poszedłem śladem zostawionym przez tatę, spotkałem ciebie. Myślę, że dalej powinniśmy się tego trzymać. Musimy. Szkoda stracić to wszystko, co zdobył z takim poświęceniem.

Wsiadli do samochodu i pojechali na dworzec. Nie mieli wyboru. Pociąg odchodził za dziesięć minut.

\* \* \*

Zbyszek siedział na krześle i z zadowoloną miną patrzył na telewizyjny ekran. Tak jak większość klientów dworcowej kawiarni, nie zauważał tych banalnych scen, które działy się wokół niego. Równie dobrze mógłby się gapić na podskakujące, kolorowe kulki. Grunt, że grała muzyka. Zmarszczył czoło i wypił kolejną lampkę koniaku, jakby rozwiązując właśnie zaistniały problem. Trzy inne kieliszki stały na blacie w karnym szeregu.

Właściwie po wyjściu z pociągu wszedł tu tylko po to, aby się napić czegoś chłodnego. Zachichotał, dotykając kolejnego kieliszka czubkiem palca. Koniak istotnie został wyjęty z lodówki.

— Hej, szefowo! — zawołał barczysty typ ze stolika pod ścianą. — Jeszcze raz po piwku.

Zbyszek spojrzał na nich krzywo. Banalne dworcowe towarzystwo, hałaśliwe i kopące papierosy, o zamglonych piwem oczkach. Aż dziw, że dla dopełnienia obrazu knajpy nie było tam jeszcze żebraka.

— Zaraz. — Barmanka majstrowała coś przy odbiorniku. — Muszę zobaczyć, czy nie trafiłam miliard.

Typ skomentował to obscenicznie i cały stolik zarechotał. W drzwiach zatrzymało się niepewnie

starsze małżeństwo, ale w końcu zrezygnowali z wejścia. Alkohol szumiący w głowie Zbyszka prowokował do działania. Niejasno skojarzył coś sobie o misji dziejowej, jaka mu przypadła.

— Oto numery, które padły w dzisiejszym losowaniu — dobiegło z głośnika.

Zbyszek poprawił się na krześle.

— Trzy — powiedział głośno.

— Trzy — dobiegło z telewizora.

— Dwadzieścia sześć.

— Dwadzieścia sześć — powtórzył posłusznie lektor.

Już przy trzeciej liczbie w kawiarni zapadła cisza. Zbyszek, zachęcony tym jeszcze bardziej, bez zająknięcia wyrecytował cały zestaw liczb. Później potoczył wzrokiem po sali.

— Gratulujemy posiadaczom prawidłowo wypełnionych kuponów — dokończył lektor i zapowiedział blok reklam.

Szurnęło krzesło. Barmanka, dotąd patrząca z osłupieniem na Zbyszka, aż podskoczyła. Barczysty wyglądał na takiego, co chce dać komuś w mordę.

— Zgrywus — warknął, odsłaniając zęby. — Za Cygankę robisz?

Zza jego pleców wilczo zaświeciły ślepie kolesiów. Z boku ktoś kaszlnął.

— Proszę się nie denerwować. — Starszy mężczyzna starał się uśmiechać. — Ten pan żartował, przecież losowanie było po południu.

Umilkł, widząc spojrzenie typa chwiejącego się pośrodku sali.

— Pij dziadek te ziółka i się nie wtrącaj — wycedził napastnik i ponownie zwrócił się do Zbyszka: — Jaja sobie z nas robisz, co?!

Zbyszek postanowił wyszarpnąć dywan spod niego albo nie... Lepiej unieść gościa i rzucić pod ścianę, jak szmatę. Uśmiechnął się szeroko, tak jak tylko po wódce jest to możliwe. Barczysty odebrał to jako policzek i lekko chwiejąc się, ruszył ku niemu. Zbyszek z wysiłkiem zogniskował wzrok na mężczyźnie. Próbował przywołać swoje umiejętności, lecz bez efektu. Jedynie w skroniach zaczęło mu nieprzyjemnie pulsować. Jeszcze jeden wysiłek, właściwie tylko po to, aby zrozumieć, że nie wie, jak się do tego zabrać.

— Wstawaj! — Mężczyzna stanął dwa kroki od niego. Widać nie zamierzał bić siedzącego, albo po prostu nie chciało mu się schylać. Zbyszek poczuł strach. Szybki jak skurcz żołądka wyplłynął na powierzchnię otępiełej świadomości i zatopił szpony w sercu. Opity piwskim, ciężki, zwalisty typ był nie do ruszenia. Za mało ćwiczeń, pomyślał Zbyszek, w absurdalnym skojarzeniu przypominając sobie twarz wychowawcy z liceum. Alkohol jest perfidny, tak im chyba powiedział kiedyś na lekcji.

— No, wstawaj!

Gdyby nie to piwsko, zaklekotało mu w głowie, pewnie bym go rzucił o ścianę. Chciał wstać, przeprosić i pójść sobie, lecz złe spojrzenie napastnika wykluczało takie rozwiązanie. Bolał go brzuch. Wszystko go bolało. Bolało i wirowało. Koniak. Piwo w kałdunie tego typu. Gdyby go nie było, powtórzył z pijackim uporem, poradziłby sobie.

Strach, wielki i pęczniejący, a potem krzyk. Nikt jednak go nie bił, tylko lampy tak mocno raziły w oczy... Potem usłyszał śmiech, nerwowy. Zawtórowały mu inne. To pozwoliło opanować zmysły i ponownie spojrzeć na salę.

Barczysty stał w tym samym miejscu i z niedowierzaniem wpatrywał się we własne spodnie. Okolice rozporzka szpeciła wielka, mokra plama biegnąca w dół nogawki, aż do buta, wokół którego rosła kałuża. Ciężki zapach przetrawionego piwa nie pozostawiał wątpliwości.

— Rysiu — dobiegło od stolika przy ścianie. — Ty się zlałeś.

Śmiali się wszyscy, nawet starszy pan, który pił herbatę. Barczysty sprężył się, lecz czując

śmieszność każdej reakcji, zaklął tylko i wybiegł na korytarz. Może do toalety, by wysuszyć spodnie. Zbyszek nie miał pojęcia, jak tego dokonał. Telekinezja, sugestia? Nie wiedział, ale szczerze mówiąc, było mu wszystko jedno.

W kawiarni jeszcze komentowano wydarzenie, kiedy chyłkiem wyślizgnął się do dworcowego holu. Marzył tylko o tym, aby złapać taksówkę i pojechać do domu.

— No! — Usłyszał za sobą przytłumiony głos barmanki. — Kto to posprząta?

\* \* \*

Telefon dzwonił bardzo długo. Zbyszek zdążył otworzyć drzwi, odłożyć torbę z zakupami i odsłonić kotary, zanim podniósł słuchawkę. Dzwonił Traczyk. Jego żonę odwieziono z rana do szpitala. Wracła zdenerwowana po mammografii — podstawowym badaniu przy podejrzeniu o raka piersi i upadła na schodach. Mocno się potłukła. Traczyk jechał do szpitala i nie mógł przyjechać wieczornym pociągiem. Uprzednio umawiali się, że zanocuje w kawalerce ojca. Teraz zdecydował się na nocną jazdę samochodem. Około szóstej powinien być we Wrocławiu. Zabierze wtedy Zbyszka i pojedą do Sieszew. Wie, że samochody się psują, ale tym razem on zawierzy wizji Janka. Poza tym, zaśmiał się krótko, gdyby coś się przytrafiło jego żonie, to też byłby dla niego koniec świata. Osobisty. Zbyszek obiecał, że od południa będzie w kawalerce czekał na telefon.

Pojechał do siebie po walizkę ojca. Przy okazji zjadł w mieście obiad. Bez wódki. Potem siedział i czytał pamiętnik. Kilka razy płakał. Potrzebował tego widząc, jak wiele utracili, żyjąc przez te lata właściwie obok siebie.

I nie myślał teraz o jaskini, ale o ułomności, która tkwiła w ich rodzinie. Brak codziennych kontaktów czyni związki ludzkie powierzchownymi. Nawet kiedy się jest daleko, trzeba mieć do kogo wrócić.

Pod wieczór uspokoił się na tyle, że zaczął czytać pamiętnik, zwracając uwagę na fakty związane z jaskinią. Nie było ich za wiele. Rodzina Platzów utrzymywała całą rzecz w głębokiej tajemnicy. Dlatego większość faktów wyszperanych przez ojca dotyczyła właśnie jej. Przyglądał się drzewu genealogicznemu wspaniale rozrysowanemu na pożółkłej karcie, dokładnemu spisowi dóbr, korespondencji, datom oficjalnych przyjęć i polowań i tak dalej. W osobnej kopercie były fiszki, każda poświęcona jednemu z członków rodziny. Przeglądał je, lecz poza długą litanią dat urodzin, chrzcin, ślubów czy zgonów, żadnych rewelacji nie znalazł. Chociaż...

Zbyszek cofnął się do środka pliku i wyłowił tę jedną, wyróżniającą się tekturkę. Koło nazwiska Johannes Platz, a właściwie koło daty urodzenia stał wielki znak zapytania. Zrobiony długopisem, z kilkakrotnie pogrubioną linią — jakby ktoś zamyślony jeszcze dłuższą chwilę wodził po kartce. Jedynym, który mógł to zrobić, był ojciec Zbyszka, lecz on nigdy nie bazgrał po rzeczach, które zbierał czy katalogował. Co go tak poruszyło w Johannesie Platzu, że zapomniał o zasadach. Faktem jest, że była to nietypowa osoba w rodzinie. Adoptowany, nawet trudno powiedzieć w jakim wieku. Żadnych danych o naturalnych rodzicach nie znalazł, ale to jeszcze było zrozumiałe. Zbyszek jeszcze raz przeczytał zdanie z pamiętnika.

*Im dłużej badam historię tej rodziny i tajemnicy, którą skrywali, tym bardziej jestem pewien, że coś istotnego mi się wymyka. Mam wiele podejrzeń. Część z nich stawiałaby na głowie naszą wiedzę, nasze przyzwyczajenia. Szkoda, że nie możemy o tym porozmawiać. Marek jest wspaniałym*

*człowiekiem, ale nie lubi fantazjowania.*

Zbyszek odłożył fiszki i spojrzał na okno zasłonięte czernią nocy. Bał się, a jednocześnie chciał się nie bać. Koktajl, który małymi łydkami spływał do jego gardła, nieco łagodził to rozdarcie. Było mu wstyd za wczorajszą awanturę w kawiarni. Za to, że przeholował. Nie potrafił się jednak obejść całkowicie bez alkoholu. Teraz pilnował tylko, aby wlewać do szklanki wystarczająco dużo soku.

Ponownie uniósł pięknie wykonany rysunek drzewa rodziny Platzów. Sądząc po ostatnich datach, sporządził go ktoś na początku XX wieku, kiedy Platzowie już definitywnie opuścili swoją siedzibę w Zauberblick. Ciekawe, czy wiedzieli, co zostawiają za sobą? Może sądzą, że do jaskini nikt nie trafi. Trzeba było przenikliwości jego ojca i umiejętności Traczyka, aby sprawa znowu ożyła.

Coś mignęło na powierzchni papieru. Nachylił kartkę, przysunął lampę i nie mógł mieć wątpliwości. Kiedyś była tu linia naniesiona ołówkiem oraz znak zapytania. Potem wszystko wymazano. Ojciec? Powiodł palcem od imienia Johannes a w dół karty, aż do Maksymiliana. Czterdzieści lat wcześniej. Czuł ciepło żarówki na włosach, kiedy wpatrywał się w widmowy zarys linii. Ojciec postawił jeszcze strzałkę, wskazując kierunek od Maksymiliana, gdzie właściwie linie się rozdwajały...

Zbyszek odsunął się od lampy i po omacku znalazł fotel. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Jak Rogacki to wymówił? Miejsce?! Z nienawiścią spojrzał na resztkę koktajlu w szklance i podszedł do szafki ze sprzętem. Kaset a — kopia tej z biurka Traczyka — była wciąż w środku.

„Marek, pomyliliśmy się, obydwa warianty są złe. Pod żadnym pozorem nie wolno cofać się w czasie. Rafał rozdzielił się, jak jedno z miejsc”.

Wduszony klawisz szczerknął i zatrzymał taśmę. „Jak jedno z miejsc”, powtórzył Zbyszek, smakując każdy z wyrazów. Nie zrozumieli tego. Myśleli, że spadając w windzie, ojciec coś złe przekazał bądź Rogacki nie rozumiał. Ale to nie tak! Rogacki przecież nie słyszał słów, ojciec Zbyszka wkładał mu myśli wprost do głowy. Można powiedzieć — w warstwie symbolicznej, a nie w konkretnym języku. A Platz po niemiecku znaczy miejsce. Czyli właściwe zdanie brzmi: „Rafał rozdzielił się, jak jeden z Platzów”. O Boże, to zmienia wszystko. Zaraz, a złamana noga? Och, jeśli jaskinia wznaga pewne umiejętności, dlaczego nie ma leczyć starych blizn.

Rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem telefonu. Musi zadzwonić do Warszawy. Zaraz, ten jest u żony w szpitalu, ale...

Gong u drzwi sprawił, że aż przysiadł. Przez sekundę gorączkowo myślał, gdzie pochować rozłożone rzeczy, ale w końcu się opanował. Przecież to bez znaczenia. Zaraz spławi gościa, kimkolwiek by był. Mężczyzna za drzwiami prezentował się banalnie. Torba na ramieniu sugerowała jakiegoś posłańca. Może telegram od Traczyka? Przekreślił zamki.

— Pan Orszewski? — spytał nieznajomy, badawczo przyglądając się Zbyszkowi.

— Tak, a o co chodzi?

Przybyły rozważał jakąś decyzję, aby w końcu sięgnąć do torby.

— Dobra. — Wyciągnął z folii mokrą szmatę. — Mam coś dla pana.

Poczuł uderzenie w brzuch, ból i wilgoć na twarzy. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale coś ohydne go wypełniło jego płuca. Zza futryny wyszła następna postać. Kopnął z całej siły, potem znów go uderzono, a potem... Właściwie, przez jakiś czas, nie było już „potem”.

\* \* \*

Zbyszek siedział w fotelu, przewieszony przez poręcz. Nawet gdyby chciał, nie mógłby zmienić pozycji. Skutecznie przeszkadzały mu w tym sznury — ręce miał wykręcone do tyłu i skrępowane. Krzyk także nie wchodził w rachubę, a to za sprawą zwykłego plastra. Napastnicy drzemali na kanapie, ledwie widoczni w świetle lampki nocnej ustawionej na podłodze. Kotary zasłaniały okna, lecz jeszcze za wcześnie było na świt.

Odwrócił głowę. Magnetowid wyświetlał piętnaście po piątej. Minęły ponad dwie godziny, jak odzyskał przytomność. O Boże, przebudzenie było straszne. Środek, którym go uspili, zatrzał organizm i Zbyszkowi zbierało się na takie wymioty, że napastnicy nie wiedzieli, co robić. Młodszy zrobił mu przytomnie gorzką herbatę i na razie przeszło. Nie wyglądali na zawodowców. Prędeż na ludzi o naskórkowej moralności, którym trafiła się gratka zarobienia paru groszy. Jeszcze w łazience, konając nad wanną, usłyszał ich sprzeczkę. Rychło po uspieniu upewnili się, że pomylili osoby. Adres i nazwisko zgadzały się, lecz wiek za cholerę nie. Trochę im ulżyło, gdy Zbyszek wystękał, że jego ojciec zmarł niedawno. Niestety, nie chcąc, aby zleceniodawca wycofał się, zdecydowali trzymać Zbyszka dalej. Pocieszyli go, że tylko do popołudnia. Zbyszek nie sądził, aby mieli dostać cokolwiek za robotę. Nietrudno było zgadnąć, komu mogło zależeć na uziemieniu Jana Orszewskiego podczas otwierania jaskini.

Ponownie zerknął na zegarek. Traczyk powinien być za kilkanaście minut. Obserwując mężczyznę na kanapie, delikatnie zsunął but ze stopy. W porządku, z tym nie ma problemu. Teraz sprawdził, jak idzie mu zrobienie zamachu nogą. Też nie najgorzej. Dzięki fartowi siedział przodem do przedpokoju. Jak dobrze przymierzy, to zaraz po dzwonku trafi butem w drzwi wejściowe. Traczyk musi go usłyszeć, a był pewien, że będzie uzbrojony. Jeden z napastników zamamrotał, potem wstał i ruszył do toalety. Zbyszek przymknął powieki. Bez względu na wszystko musi się uwolnić. W tej przeklętej windzie ojciec dojrzał przyszłość. Nie mógł się pomylić. Dlatego dzisiaj o dziesiątej muszą stawić się w Sieszewach i powstrzymać Rolniaka. Nie tego, który był rówieśnikiem jego ojca. Ten zginął w windzie. Pewnie chciał się spotkać ze swoim duplikatem i dlatego najął tych typów. Należało powstrzymać właśnie młodego Rolniaka, tego, który w 1955 roku narodził się w jaskini. Cud, oczywiście, że cud! Ale jak zauważył Traczyk, cała jaskinia jest cudem. Jeden Rolniak wyszedł, a drugi udał się na skróty czterdzieści lat w przyszłość i dokładnie dzisiaj wyłoni się w Sieszewach. Oto przyczyna, dla której jaskinia wyczerpała się wówczas już po jednej wizycie. To samo zaszło dwieście lat wcześniej z Maksymilianem Platzem. Ale temu wystarczyło, że pozna przyszłość, zostanie zaadaptowany przez samego siebie i przejmie majątek. Nie chciał powrotu w przeszłość i manipulacji z historią. Może zabrakło mu wyobraźni, a może po prostu pycha Rolniaka była większa. Tak, teraz w pełni to pojął. Rolniak kupił odtwarzacz kompaktowy dla swego sobowtóra. Musiał to wymyślić czterdzieści lat temu, schodząc do jaskini. Rozdzielić się, jeden żyje normalnie i przygotowuje dla samego siebie kompendium wiedzy o tym, co zaszło. Dzisiaj ten młodszy, zawieszony dotąd gdzieś poza czasem, zabiera bryk ze sobą i zdobywa majątek, jak ten gość z filmu. Tylko że tak się nie stanie. Cofając się pod prąd czasu, najpierw unicestwi nasz świat. Przeszłość pomiesza się z przyszłością i eksplodują w wielkim, wielowymiarowym fajerwerku. Może Rolniak sądził, że świat rozdzieli się na wersję ze starym Rolniakiem i na tę z młodym, który w prezencie dostał wiedzę o nadchodzących latach. Może... Wizja ojca dowodzi, jak straszliwie się mylił.

— Chcesz się odpryskać? — Usłyszał zza pleców.

Samarytański gest tak go zaskoczył, że dłuższą chwilę nie mógł się połapać, o co chodzi. A kiedy wreszcie zaprzeczył, u drzwi rozległ się gong. Serce Zbyszka ruszyło do galopu. Typ stał tak, że akurat blokował mu nogi. Zbyszek próbował się przesunąć, lecz tamten siadł na nim, uniemożliwiając

gwałtowniejsze ruchy. W panice, dławiąc się pod plastrem, wierzgał rozpaczliwie, aż w sukurs bandycie przyszedł kolega. Znowu gong, potem pukanie — ostre, ponaglące. Zamknęli drzwi do przedpokoju. Hałas, musi zrobić jakiś hałas. Telekinezja, tak. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Jak zrzuci telewizor... Uderzenie w żołądek ucięło jego wysiłki. Złapali go we dwóch i przenieśli do łazienki, gdzie wrzucili do wanny. Na wierzchu wylądował koc z tapczanu. Straciwszy nagle wzrok, nie potrafił niczego poruszyć, a poza tym teraz musiał walczyć o oddech. Pukanie umilkło tak nagle, jakby Traczyk zrozumiał, że to bezowocne. Jeden z napastników wyślizgnął się z łazienki i wrócił po dłuższej chwili.

— Jakiś grubas. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Wyciągnęli Zbyszka z wanny i odkleili nadgryziony plaster. Wciągnął łapczywie powietrze i zaczął szlochać.

— No co jest, facet? — Starszemu zrobiło się go żal. — O piątej powiemy cześć i więcej nas nie zobaczysz. Nawet możesz zawiadomić gliny.

Mylili się. On płakał właśnie nad nimi i nad światem, który za kilka godzin miał zakończyć przedstawienie.

Pół godziny później znowu tkwił na fotelu z nowym plastrem na ustach. Typy wyżerały mu z lodówki wczorajsze zakupy. Obok, na stolyczku położyły kartkę zdjętą z drzwi.

„Byłem o szóstej. Dzwoniłem. Mam nadzieję, że nic złego ci się nie przytrafiło. Jeśli zdecydowałeś się zostać, rozumiem to.

Marek

PS. Moja żona miała pozytywny wynik badania raka”.

To bolało. Posądzenie, że stchórzył. Bolało szczególnie, że Traczyk gotów był zostawić swoją żonę. Bolało także, że ojciec pomylił się. Jak mógł przegapić tych dwóch drani. Winda spadała szybko, odpowiedział sam sobie.

— Odśłoń kotary. — Usłyszał z kuchni. — Trzeba wpuścić trochę świeżego powietrza.

Apatycznie obserwował młodszego, jak podchodzi do drzwi balkonowych. Na magnetowidzie ukazała się siódemka z dwoma zerami. Szurnęły kotary i Zbyszek zmrużył oczy przed światłem poranka. Młodszy nacisnął klamkę, chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, a potem przylgnął do szyby. Dopiero wtedy Zbyszek dojrzał drugą sylwetkę. Młodszy westchnął i osunął się na podłogę. Do pokoju wślizgnął się Rogacki. Mrugnął do Zbyszka i bezszmerowo przeszedł do kuchni. Cios krótkiej pałki zabrzmiał jak klaśnięcie i drugi z napastników padł twarzą w talerz. Rogacki sprawnie złapał toczący się kubek.

— Nieźle się zabawiacie, nie ma co...

Fachowo sprawdził tętno na szyi mężczyzny, a potem podszedł do Zbyszka. Ostrożnie zdjął plaster i przeciął sznurek.

— Nasmaruj przeguby jakimś kremem — poradził.

Zbyszek odruchowo skinął głową.

— Skąd tu się wzięłeś? Dzwoniłem, ale telefon nie odpowiadał.

— Wyjeżdżałem, przypadek. — Rogacki schował scyzoryk do kieszeni. — Na szczęście odezwał się twój stary. Dzisiaj, punktualnie o wpół do piątej.

— Zadzwoił? — Nie mógł powstrzymać pytania, choć wiedział, że Rogacki na nie czeka.

— Nie. — Śmiech świadczył, że miał rację. — Po prostu obudziłem się i już wiedziałem, co mi twój ojciec polecił, wtedy w spadającej windzie. Spryciarz. Wgrał, wymazał z pamięci i ustawił na



dzisiaj odczyt z podświadomości. Mógł nieco wcześniej, gdyż ledwo zdążyłem. Byłem w Poznaniu.

— Kazał ci przyjechać. Co jeszcze?

— Wiem, jak dojechać do Sieszew, ale musimy się spieszyć. Masz dziesięć minut na przebranie się czy co tam jeszcze.

— A oni? — Zbyszek lekko zatoczył się, gdy wstawał. — To Rolniak, jeszcze przed wypadkiem, musiał zlecić im robotę. Chciał...

— Szczegóły po drodze. Teraz cichutko zniosę ich do piwnicy. Jak dojdą do siebie, sami grzecznie się zmyją.

Chciał poradzić, aby uważał na sąsiadów, ale pomyślał, że nie ma co kota uczyć myszy łowić.

— Swoją drogą, twój stary to porządny gość.

Zbyszek przystanął w drzwiach łazienki.

— Powiedział mi na koniec — Rogacki zachichotał — że już nic więcej na mnie nie nagrał. To miłe z jego strony.

\* \* \*

Nad pagórkami wisiąca mgła. Lepka i chłodna ścieliła się wzdłuż drogi, gęstniejąc pomiędzy ledwo widocznymi drzewami. Rogacki zatrzymał samochód przy przewróconej budce strażnika. Kropelki rosy niczym paciorki obsiadły druty ogrodzenia. Złamaną tablicę z dwujęzycznym napisem ktoś wrzucił do rowu. Przy kikucie słupka stało żółte renault z warszawską rejestracją.

— Dalej musimy iść pieszo. — Ochroniarz zawahał się moment. — Za kwadrans powinniśmy być na miejscu.

Wzdrygnął się, słysząc przelatującego ptaka, lecz bez słowa ruszył za przewodnikiem. W samochodzie przedstawił Rogackiemu resztę szczegółów. Było jasne, że mimo śmierci Rolniaka zagrożenie wciąż jest takie samo. Z kompaktem czy bez, jeśli młody Rolniak spróbuje wrócić w przeszłość, rozpruje ośnoję rzeczywistości. Należało go chwycić i... Tu nawet Rogacki wzruszał ramionami, ale to był problem na później.

Bardziej dzięki zmysłowi równowagi niż wzroku wyczuli, że droga poczyna spadać w dół. Zbyszek wyteżył wzrok. Spoza białej kurtyny przezierały zarysy dużej, ceglanej budowli. Zwolnił kroku, zerkając na sylwetkę przed sobą, a potem szybkim ruchem wyjął niewielką buteleczkę. Odkręcił gwint i... zawahał się. Wybór, jakich wiele w życiu. Czy ważny, czy w ogóle warto się starać? Nagle, w geście będącym kulminacją wszystkich dotychczasowych wątpliwości, cisnął szkło w zarośla. „Wytrzymam”, pomyślał i niezgrabnie przeskoczywszy dziurę, dogonił Rogackiego.

Wpierw trasa prowadziła wzdłuż muru z ciemnej, surowej cegły, potem weszli na podjazd, który zaraz zniknął w bryle fortu. Tunel biegł w dół i pachniało jak w dawno nieużywanym garażu. Widać słaba cyrkulacja powietrza nie potrafiła usunąć wżartych w ściany śladów wieloletniej eksploatacji. W świetle latarki, którą dostał od Rogackiego, Zbyszek dostrzegł pod stopami stare plamy smaru. Korytarz, zdolny pomieścić dwie mijające się ciężarówki, przeistoczył się w szeroką salę o sklepionym wysoko suficie. Wyżłobienia podłoża wskazywały, że tutaj po rozładowaniu samochody zawracały. Dalej szlak rozchodził się na kilkanaście korytarzy czy raczej wejść do magazynów. Zbyt anemiczne światło latarki nie pozwalało na ustalenie tego.

— Daleko jeszcze? — szepnął Zbyszek.

Złe się czuł w ciemnościach okrytych masywem wzgórza. Rogacki skierował latarkę pod nogi.

— Nie wiem. — Nieoczekiwanie rozłożył ręce. — W tym miejscu kończy się przekaz twojego ojca. Dodał jeszcze tylko jedno słowo: przewody.

Zbyszek zerknął na zegarek i pełnym irytacji gestem omiół ściany. Przynajmniej w połowie wejść znikają przewody, kable czy jakieś druty.

— Zostało dziesięć minut, a Marek nadal nie wie, że niebezpieczeństwo wyjdzie zza jego pleców.

Zagłębili do paru kolejnych korytarzy, licząc na szczęście. Przerażliwie zimne, klaustrofobiczne miejsca, gdzie łatwo złamać nogę. Zbyszek wołał, ale głos zapadał się między załomami ścian. Niemal chciało mu się płakać. Utknęli krok od celu. Zamiast mówić Rogackiemu o liczbie nagrań w jego głowie, mógł ojciec dodać choć... Uciał myśli. Nie, to nie tak. Starając się nie uderzyć głową o niską powałę, weszli z powrotem do sali, gdzie zgubili trop.

— Marek jest empatą, potrafi wyczuć to miejsce — wymamrotał Zbyszek czując, jak mu szczękają zęby. — Przewody, tu wszędzie, psia mać, są przewody.

Oczy Rogackiego rozbłyły kocio.

— Ale nie takie. — Uniósł palec.

Wzrok Zbyszka podążył w ślad za plamą światła, padając na ciąg przerdzewiałych przewodów wentylacyjnych. Niknęły w jednym z niepozornych wejść. Impulsywnie, przekonani o słuszności odkrycia, ruszyli biegiem. Wówczas z głębi dobiegł ich odgłos wystrzału, a potem krzyk bólu. Czyj? Nie wiadomo. Nie zwolnili, jedynie Rogacki wyciągnął broń. Wiedzieli, o co grają. Plamy latarek skakały przed nimi chaotycznie. Korytarz okazał się suchy i niczym nie zastawiony. Biegli więc szybko i nawet Rogacki zdawał się nie pamiętać o ostrożności. A szkoda, gdyż kiedy wpadli do wnętrza jaskini, ustawili się jak na strzeleckiej tarczy. Prosto w ich twarze świecił bladoniebieski prostokąt zawieszony w powietrzu. Brama. W jej blasku zrazu nie dojrzeliby klęczących postaci. Jęk bólu sprawił, że opuścili głowy.

— Ty, długi! — Usłyszeli twardy głos. — Połóż spluwę.

W leżącej sylwetce rozpoznali Traczyka. Trzymał się za brzuch, w miejscu, gdzie ciemna plama szpeciła prochowiec. Człowiek z tyłu używał go jako zasłony. Szarpnął Traczykiem, aż ten jęknął.

— No! Mam mu wsadzić drugą kulkę?

Rogacki przechylił się jakoś dziwnie, lecz zamarł, słysząc głos rannego.

— Zastrzel go. Ja jestem nieważny.

Ochroniarz Rolniaka już raz słyszał podobne polecenie — w windzie, miliony lat świetlnych stąd. Wtedy nie posłuchał...

— Nie! — Głos Zbyszka zabrzmiał jak wystrzał. — Ty niczego nie zmienisz. Tylko ja albo Marek.

Rewolwer upadł na beton. Potem kopnięty szurnął do ręki mężczyzny. Koło nóg Rogackiego upadły kajdanki, pewnie wyciągnięte z kieszeni Traczyka.

— Tam są rury. — Mężczyzna wskazał lufą. — Przykuj się i bez sztuczek.

Powietrze wypełnione jasnością opływało ich sylwetki, przydając delikatnej aury. We wnętrzu bramy przelewały się cienie. Wyglądała jak utkana z błękitnego, eterycznego płomienia.

— To jest Rafał, jak był młody, zaskoczył mnie. — Głos Traczyka balansował na granicy bełkotu. — Pamiętasz słowa...

— Nie męcz się. Odgadłem to, choć trochę późno.

— Zamknijcie się! — Klęczący mężczyzna nie spuszczał wzroku z Rogackiego. — To prawda, że ja zginąłem? No, ten Rolniak, który tutaj żył?

— Prawda. — Zbyszek dojrzał miniaturowe wyładowania nad podłogą. — Zginął wraz z moim ojcem.

Szczęknięty kajdanki. Rolniak, choć nadal spięty, wstał.

— Istotnie, jesteś podobny do Janka. — Westchnął, jakby w podziwieniu dla samego siebie. — Pomyśleć, że godzinę temu stał przy mnie.

Chwilę rozglądał się po pomieszczeniu, potem odezwał się znowu.

— Pewnie chcieliście przeszkodzić mojemu sobowtórowi. — Machnął lekceważąco ręką. — Głupio się przyznać, ale mam to w poważaniu. Tak naprawdę, on dla mnie nie istniał. Jest taką samą fikcją, jak cały ten wasz świat. Chociaż, nie powiem, pożyteczna to fikcja. Patrzcie, taka okazja. — Wskazał bramę. — A tylko ja skorzystałem.

— Jest szalony. — Traczyk chrapliwie wciągnął powietrze. — Mówiłem mu o skutkach...

— Mówicie, że jestem szalony? — Młody Rolniak oblizwał wargi. — W porządku. Powiem wam, co myślę. Widzę cały wszechświat leżący u Pana Boga na stole. Idąc wzdłuż stołu, Bóg przystaje i podziwia, a to powstanie układu słonecznego, a to mamuty. Kawałek dalej jaskiniowiec wali drugiego w łeb, potem mamy Rzym, wojny światowe i tak dalej. Brama pozwala nam łączyć różne chwile. Pan Bóg dał ludziom taką szansę, a kto nie korzysta, to frajer.

— Ale ostatnie teorie naukowe... — zaczął Zbyszek, lecz Rolniak nawet nie zamierzał podjąć dyskusji.

— Daj spokój, koleś. Jesteście tchórzami. — Wskazał w bok. — Podnieś lepiej ten pręt.

Złość zalała Zbyszka szybką falą. Zaprzagnął chwycić... Rolniak przykucnął, łapiąc ramieniem Traczyka pod gardło.

— No! Tylko bez sztuczek! — wrzasnął. — Wiem, co twój stary umie. Spróbuj tylko. Czuję jedno drgnięcie i walę mu w łeb.

Wokół Zbyszka powietrze zgęstniało, jakby przyciągane zdławioną energią.

— Co chcesz zrobić? — Ledwo hamował emocje. — Oni zginęli, nie ma nic dla ciebie. Nie masz co zabrać w przeszłość. Odłóż broń, trzeba pogadać, a jego zabrać do szpitala.

Rolniak przez moment szacował go wzrokiem.

— Pogadać... jesteś jak twój stary. — Wyciągnął rękę. — Bierz ten pręt, a pokażę ci, co będę miał do zabrania.

Zbyszek przyniósł metalowy ułomek. Jego urodzony wiele lat wcześniej rówieśnik zlustrował pomieszczenie. W końcu uśmiechnął się krzywo.

— Podważ płytę, na której stoisz! — rozkazał.

Zbyszek nachylił się i wbił łom w szczelinę między płytkami podłoga. Posadzka uniosła się bez specjalnych trudności. Pod spodem leżały deski.

— No, wyciągaj, co tam jest.

Niżej, we wgłębieniu, owinięty w plastikową folię spoczywał kompaktowy odtwarzacz. Zbyszek ujął go w dłonie i wstał. Czarne pudełko okazało się zadziwiająco ciężkie. Przez folię prześwitywała kartka naklejona ponad klawiszami: „Wystarczy nacisnąć START”.

— Zniszcz... — zaczął Traczyk, lecz umilkł, kopnięty boleśnie przez zjawę z przeszłości.

Rolniak wymierzył broń prosto w twarz Zbyszka.

— Dawaj ten wasz dekadenski cud techniki!

— Gówno! — wrzasnął Rogacki.

Rolniak wykonał błyskawiczny półobrót i wypalił w jego stronę. Kula odbiła się od rury.

— Pieprzę was, palanty! — Rolniak potrząsnął bronią. — Chcecie żyć, to spokój!

Filtr, pomyślał Zbyszek, jaskinia rozdziwiła linię życia Rolniaka wzdłuż pęknięcia

przebiegającego przez jego duszę. Podział nie był dychotomiczny: dobro i zło. Nie bardziej jak w naczyniu z odstałą wodą. Można by powiedzieć, że Rolniak stojący przed nim został zaczerpnięty blisko dna. Kim więc był ten, który zginął w windzie? Podświadomie czuł wagę tego pytania. Psi skowyt rannego przywrócił Zbyszka do rzeczywistości.

— Słyszysz, palancie?! — Błada twarz Rolniaka drgała ze wściekłości. — Dajesz czy...

Zbyszek ruszył ku niemu. Nie słyszał słów leżącego Marka ani warczenia Rogackiego. Właśnie pojął, jak musi rozegrać tę partię.

— Stój! Połóż na ziemi i won do tyłu.

Posłuchał. Pod sufitem sali rozkwitły nieme rysy błyskawic. Rolniak rozciął folię.

— Główka pracuje, no nie? — wymruczał cicho, a potem rozejrzał się z triumfem. — Chcieliście, frajerzy, mnie przechytryć, co? Ale ja potrafię być przewidujący.

Z niezdrową fascynacją wodził wzrokiem po opływowej obudowie kompaktu. Jego palce z miłosnym uwielbieniem musnęły przyklejoną instrukcję. Widział już siebie bogatego, niezastąpionego, na szczycie władzy. Był całkowicie odporny na pytania: dlaczego?, za jaką cenę? Zbyszek poczuł pewność, że wtedy w windzie tę właśnie scenę dojrzał jego ojciec. Dobry Stwórca musiał mu także podsunąć rozwiązanie, gdyż nadzieja zawsze towarzyszyła jego poczynaniom.

— Teraz się pożegnamy. — Rolniak wstał. — Wracam urządzić świat po swoim.

Rozbawiony własną kwestią roześmiał się ochryple. Zrobił krok ku bramie, a podłogę przebiegł krótki dygot. Nie zauważył tego.

— Zbyszek — jęknął Traczyk.

Na więcej nie było go stać. Zbyszek spokojnie obserwował, jak młody człowiek z twarzą skażoną złem cofa się.

— Kiedy twoje drugie „ja” żyło dalej, zmieniało się, wiesz o tym? — spytał, gdy tamten znalazł się o krok od uchylonych wrót Armageddonu.

Krzyk prośby czy nienawiści nie zatrzymałby Rolniaka, lecz słowa Zbyszka — suche i rzeczowe — były zbyt nieoczekiwane.

— Może, no i co?

— Twój starzejący się duplikat z dnia na dzień zazdrościł ci, że trwasz gdzieś poza czasem, a potem wrócisz obdarowany wiedzą i odmienisz świat według własnej woli. Zazdrościł ci tego. Piekielnie zazdrościł.

Lufa pistoletu Rolniaka skierowała się ponownie w stronę Zbyszka.

— Do czego zmierzasz?

— Poza tym myślę, że on trochę uwierzył mojemu ojcu, kiedy go ostrzegał przed cofaniem się w czasie. Zaczął się bać, że głupi młodzieńczy wybryk zniweczy wszystko, co osiągnął. — Zbyszek lekcewał wyraz twarzy Rolniaka. — Niechący popsuliśmy mu to, ale teraz pora naprawić błędy.

Brama za Rolniakiem gotowała się kipiela rozedrganego błękitu. Któż mógł przypuszczać, że ten kolor może być zaproszeniem do piekła. Zbyszek opuścił wzrok na CD-ROM trzymany przez mężczyznę.

— O czym ty mówisz! — ryknął Rolniak spowity w aureoli wyładowań.

— Ano o tym, że zgodnie z jego planami powinieneś być od razu nacisnąć ten klawisz. Zagadałeś się z nami, ale nie szkodzi. — Uśmiechnął się z bólem. — Pomogę ci.

Koncentrując swą wolę w jednym, prostym poleceniu, wdusił klawisz odtwarzacza trzymanego przez Rolniaka. Siła eksplozji rozerwała ukryty w środku pojemnik z gazem, okrywając ciało mężczyzny mleczną zawiesiną. Wybuch co najwyżej pokaleczył mu rękę, lecz wystarczyło, aby broń upadła na podłogę. Próbował się schylić, lecz w połowie ruchu zrozumiał, że jest to niewykonalne.

Gaz wdarł się do płuc, atakował przez skórę. Jakby dziecinne rozżalenie pojawiło się w oczach Rolniaka. Mimo to, na wpół sparaliżowany, ruszył ku bramie, aby dopełnić przeznaczenia.

— Zatrzymaj go! — Krzyk Rogackiego zahuczał w obolałej głowie Zbyszka.

Poczuł, jak jego umysł rozpina naprężoną sieć woli. Więzy silne niczym struny złapały Rolniaka, przytrzymały i puściły, dopiero gdy gaz dokończył dzieła. Ciało opadło na płyty podłoga. Zbyszek poczuł na twarzy lepką ciecz, lecz nie reagował, póki nie wepchnął resztek zawieszyny w bramę. Potem poczuł słony smak. Krew, pomyślał i zapadła ciemność.

\* \* \*

Kiedy odzyskał przytomność, najpierw doszedł do niego zapach wody kolońskiej, potem dojrzał ustawione na podłodze latarki. Brama zniknęła.

— Zaraz poczujesz się lepiej. — Rogacki uśmiechnął się spoza kręgu światła. — Zatrzymałem krwotok. Muszę wracać do Traczyka.

Marek leżał metr dalej, blask uwypuklał trupa bladość jego skóry. W powykręcany płaszczu, z opuchniętą twarzą przypominał morsa, który wyszedł na brzeg i dopiero wtedy dowiedział się o sile grawitacji. Kiedy Rogacki rozpiął mu koszulę, ciężko jęknął. Dłoń Rogackiego, uprzednio przypięta do kajdanek, również nie wyglądała najlepiej. Zbyszek przekręcił się na bok, a potem usiadł. W głowie wirowało mu jak po straszliwym wysiłku. Czubkami palców dotknął swego nosa.

— Boli. — Głos Traczyka odbity od ścian pustej sali powrócił tysiącem szeptów.

Rogacki delikatnie położył dłonie na ranie. Potem zamruczał coś melodyjnie, poruszając przy tym palcami, a gdy odsłonił brzuch, rana była już zasklepiona. Jeszcze nigdy Zbyszek nie widział tak radosnego uśmiechu.

— Zawsze lubiły mnie zwierzęta. — Odezwał się ochroniarz trochę bez związku. — Twój ojciec otworzył coś we mnie, ale tutaj poczułem, że mogę więcej, że...

Szukał słów, lecz w końcu opuścił tylko dłoń i położył na betonie grudkę ołowiu. Zbyszek zrozumiał, że Rolniak nie przypadkiem właśnie jego zatrudnił. Musiał coś przeczuwać. Jaskinia, ludzie z nią związani nosili znamię niezwykłości.

Traczyk kaszlnął i uniósł się. Miał minę człowieka stojącego na tafli lodu ze stertą porcelany w rękach. Kiedy uwierzył, dotknął, a potem poklepał swój okazały brzuch. Następnie zapiął koszulę i marynarkę, gdyż w sali robiło się coraz chłodniej.

— Myślę, że brama zniknęła definitywnie. — Traczyk rozejrzał się wokoło. — Nie czuję, absolutnie jej nie czuję.

Zbyszek patrzył na ludzki kształt, leżący poza kręgiem światła.

— Sądysz, że zdaliśmy egzamin? — spytał.

W milczeniu przyglądali się, jak Rogacki zakrywa ciało swoim płaszczem.

— Nie wiem. Myślę, że go nie oblaliśmy. Nie chcę o tym myśleć. Wczoraj moja żona miała ważne badania, potem jeszcze się potłukła, powinienem być z nią. — Traczyk westchnął. — Dzięki Bogu, że wynik był negatywny.

Podszedł do Rogackiego i zaczęli rozmawiać. Postanowili nie zawiadamiać policji, a ciało Rolniaka pochować w lesie. Kiedy wynieśli je na zewnątrz, Zbyszek został przy ścieżce obserwując, czy nikt nie idzie. Mgła opadła, odsłaniając wilgotny las. Po raz pierwszy od tygodnia, kiedy wypił

ostatni kieliszek i poszedł na spotkanie Anonimowych Alkoholików, uświadomił sobie, że nie ma ochoty na nic mocniejszego. Przysiadłszy na murku, zapatrzył się w chmury płynące po niebie — w każdej chwili inne, a przecież wciąż te same.

Rolnik nawet niegłupio wymyślił ten stół i Boga pochylonego z uwagą. Jego małe serce nie pozwoliło mu spojrzeć dalej. Nasz świat nie jest zastygłym obrazem, wprost przeciwnie: dynamiczny i nieodgadniony zmienia się bezustannie. Zmienia się w jednym z nieobserwowalnych wymiarów — swoistym czasie, który istnieje tylko dla Stwórcy, usilnie starającemu się pomóc — małym, krnąbrnym, lecz na swój sposób cennym istotom. Aleksander Wielki władający od Atlantyku po Morze Japońskie, wybuch jądrowy nad Manhattanem i zwycięstwo państw Osi, wielka zaraza wymykająca się z laboratoriów, pustosząca pół Europy, wszystko to zaszło, lecz dla nas nigdy nie miało miejsca. Nieaktualne, odrzucone możliwości. My, ograniczeni w czterowymiarowej płaszczyźnie stołu, potrafimy objąć rozumem jedynie nasz wszechświat, będący tylko jedną aktualną konfiguracją ewoluującego dzieła stworzenia. Nie potrafimy dostrzec skutków naszych czynów rozchodzących się falami w przód i — co dziwniejsze — w tył naszego czasu. Do czego ono zmierza? Byłoby znacznym uproszczeniem stwierdzić, że do doskonałości. A może samo dążenie jest celem?

Kroki nadchodzących sprawiły, że zeskoczył na ziemię. Traczyk niósł w dłoni mokry ręcznik, zamoczony w strumieniu.

— Masz, obetrzyj twarz.

Zbyszek wytarł zaschlą krew i ruszyli z powrotem.

— Ciekawe — zamruczał Rogacki. — Jeśli chodzi o gaz, to plan starego Rolniaka był bardziej morderstwem czy samobójstwem?

Zbyszkowi nie chciało się podejmować tematu. Nawet na kolejne pytanie odpowiedział za niego Traczyk.

— Jak wpadł, pytasz. Ufał wizji swego ojca. Wierzył, że zawsze musi być szansa, a bomba była ostatnią możliwością, która nam pozostawała. Prawda, Zbyszek?

Uśmiechnął się tylko. Jeszcze przyjdzie czas na rozmowy, pomyślał, ciesząc się zapachem lasu i twardością kamieni pod stopami.

Szli z Markiem wolno, smakując ciszę, pozwalając Rogackiemu pójść przodem. Dlatego, kiedy dotarli do samochodów, stał oparty o maskę i przeglądał gazetę. Usłyszał ich kroki.

— Cholerny świat. Znów kogoś okradli w tramwaju. Trzepnął dłonią w gazetę i z poirytowaną miną zaczął przerzucać dalsze strony. Mruknął rozgniewany:

— Jak tak dalej pójdzie, to kiedyś tylko o mordercach będą pisać.

Traczyk popatrzył na Zbyszka ponad dachem wozu i powiedział pogodnie:

— Za miesiąc idę na emeryturę. Będę żył na własny rachunek.

Zbyszek odpowiedział uśmiechem i usiadł na swoje miejsce. Kiedy ruszali, jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy. Rolnik dobrze wymyślił stół, lecz całkowicie chybił, jeśli chodzi o miejsce Stwórcy. On nie stoi jako widz, lecz nieustannie jest ze swoim dziełem. Czy to na krzyżu, czy w drobnych znakach dodających ludziom otuchy, gdyż dzieło Stworzenia, cała historia świata nadal trwa, od początku do końca. Dlatego też warto się starać.

*Maciej Zerdziński*

# Naskórek Boga

Mieszkam w pięknym miejscu, tuż nad samą rzeką. Codziennie rano mogę cieszyć się wschodzącym słońcem, a kiedy zapada zmrok — pluskiem fal, uderzających w przybrzeżny piasek. Powietrze jest tu ostre, przesycone wonią podwodnego życia i wody, która zawsze była i będzie. Mieszkam sam, nie mam żadnych sąsiadów. Za swego najlepszego przyjaciela uważam starego szczura, a za kobietę, dla której warto włożyć lepsze ubranie, fotografię dziewczyny oprawioną w złoczone ramki. Znalazłem ją kilka lat temu na Skrzyżowaniu.

Nazywam się Ydwarral Blombo i mam już sporo lat. Czasem rozmyślam, ile jeszcze miesięcy patrzenia na rzekę da mi Bóg i co zrobi z moją duszą, kiedy śmierć skosi ciało. Czy pogrozi mi tylko swoim palcem, czy porazi gromem i strąci do piekła? Mam powody myśleć, że stanie się to drugie.

Żyję skromnie. Raz w miesiącu przemieszczam się wzdłuż brzegu, aż pod sam most. Tam wspinam się na wzgórze, gdzie przecinają się dwie drogi. Na Skrzyżowaniu, ocienionym szeregami topoli, czekam na przejeżdżające poduszkowce. Oni dają mi pieniądze, a ja daję im pędy blósthii, które przez cały miesiąc wylawiam z rzeki. Są im potrzebne, a ja mam przyjazne ceny. Kierowcy mówią do mnie mało, ale to dobrze. Z trudem przychodzi mi znajdować odpowiednie słowa.

Będzie już z dziesięć lat, jak ostatni raz widziano mnie w Mieście. Uważam, że nie ma takiej potrzeby. Na Skrzyżowaniu stoi Budka, w którą wrzucam zarobione pieniądze. W zamian Budka daje mi puszki z żarciem, mydło, suche paliwo i takie tam różne. Trzeba też powiedzieć, że Budka daje mi leki. Tak. Od kilkunastu lat jem codziennie sześć miligramów Riderdostru, a każdego ranka wsadzam pod język podłużną kapsułkę pirfiny.

Leki robią swoje. Myślę z trudem, ale nie czuję już takiego strachu jak kiedyś. Co najważniejsze, potrafię przetrzymać bóle. Wszystko zaczęło się właśnie od bólu, który przez całe życie był moim najwierniejszym druhem.

Kiedy dziś obmywam w wodzie zatoczki twarzy, przyglądam się jej z coraz większym przerażeniem. Widać na niej wszystko, co przeżyłem. Całą moją ucieczkę i cierpienie. Widzę więc moje jasnoniebieskie oczy osłonięte żyłastymi powiekami, mój gruby, szeroki nos i jego poruszające się skrzydełka. Usta, które już prawie całkowicie schowały się w opadającej skórze policzków, i łysą skórę głowy pełną plam i zgrubień. Już w dzieciństwie miałem nieproporcjonalnie dużą mózgowiczkę w porównaniu do części twarzowej. Jak gdyby ktoś przykleił maseczkę u spodu ogromnego globusa. Tak też przezywali mnie koledzy: Globus.

Pamiętam ten dzień. Bóg odebrał mi wiele, ale pomimo tych wszystkich cholernych leków pamięć nadal znajduje sobie miejsce w mojej głowie. Pamiętam rano, w którym otworzyłem oczy i powiedziałem:

- Mamo, znowu ją mam. Jest i nie boli, jak wtedy...
- To nieprawda, Ydwarralu — powiedziała mama.



— To nieprawda — powiedział lekarz.

W poradni zapadła cisza. Przedpołudniowy dzień, w którym przyjechałem na wózku aż tutaj, a potem dzięki kuli i przy pomocy mamy dotarłem do gabinetu chirurga. Jak się okazało później, tak właśnie rozpoczęła się moja przeklęta droga. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że to, co dla mnie było oczywiste od samego poczęcia, dla innych okazało się objawami choroby.

Siedziałem skulony na krześle i patrzyłem na tę wielką, białą postać. Nagle zaczęło mi się wydawać, że to właśnie od słów lekarza zależy wszystko. Że to on zadecyduje. Że jego czarny wąs wykrzywi się w uśmiechu, a gładko wygolona twarz da mi jeszcze szansę. Kiedy do mnie przemówił, jego orli nos się zwęził. Włosy zaczesane do tyłu głowy błysnęły w słońcu wpadającym przez okno.

— Noga, którą straciłeś w wypadku, Yd, nie jest już częścią twojego ciała. Tak naprawdę twoja prawa noga kończy się tuż poniżej biodra.

— Tak jest, synku — przytaknęła mama.

Jeszcze bardziej skuliłem się na krześle. Nie zgadzałem się z tym, co mówili. Nie byłem przecież kretynek. Wiedziałem, że w wypadku zmiażdżyło mi prawą nogę. Rozumiałem, że trzeba ją amputować, i byłem pewien, że już nigdy nie będę miał obu kończyn dolnych. Ale kiedy dziś, trzy tygodnie po wypisaniu z kliniki, wstałem z łóżka, moja stara noga znowu była ze mną.

— Ona tu jest, panie doktorze — powtórzyłem przez łyżę. — Czuję ją. Boli mnie prawie tak samo jak wcześniej. Tuż przy ciele, i jeszcze wyżej, o, tu. Ból kończy się tutaj...

Przerwałem świadom tego, że pokazuję powietrze.

Matka bezradnie rozłożyła ręce. Nie poszła dziś do pracy, a kierowała sporą firmą i miał to być ważny dla niej dzień. Wiedziałem, że jest przerażona. Nie mogło być inaczej, jeśli nie poszła do pracy, myślałem gorączkowo. Co zrobić? Czy przyznać im rację, czy...

Lekarz przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciw mnie. Dotknął mojego opatrunku.

— Posłuchaj, Ydwarralu. Tu kończy się twoja noga. Ale może być tak, że po amputacji chory nadal odczuwa jej istnienie. W kikucie pełno jest rozmaitych zakończeń nerwowych. One nadal mogą wysyłać takie sygnały. Noga może nadal boleć, choć od dawna jej nie będzie. To się nazywa ból fantomowy. Od fantomu. Czy rozumiesz?

— Tak. — Spojrzałem mu prosto w oczy. — Wiedziałem o tym wcześniej.

— Właśnie. Poza tym w twoim mózgu znajduje się coś takiego... Hm, swego rodzaju mapa całego ciała. Ta mapa była rysowana przez dziewięć lat twojego życia i teraz nie będzie ci łatwo uwierzyć, że ważna część ciała Ydwarrala Blombo nie istnieje. Zapis bowiem nadal jest na tej mapie. Czy o tym wiedziałeś również?

Wzruszyłem ramionami.

— Tak. Ale to co innego. Ja wiem, że moja noga jest ze mną.

Lekarz nachylił się i przesunął ręką w powietrzu. — Więc gdzie ona jest? Ani ja, ani twoja mama jej nie widzimy. Jesteś mądrym chłopcem, dlatego pytam cię o to wprost.

Podrapałem się po swojej dużej głowie i powiedziałem:

— Panie doktorze. A czy pamięta pan, czym była pańska noga jeszcze wtedy, w brzuchu pana mamy?

Lekarz wyprostował się. Spojrzał w stronę mojej matki, która nagle znieruchomiała.

— Nie bardzo rozumiem, drogi chłopcze... Moja noga w brzuchu mojej matki?

— Tak. Czy pamięta pan, czym wcześniej była pańska noga?

— Była nogą. Tyle że mniejszą. — Zaśmiał się wysoki mężczyzna.

W zdumieniu spojrzałem w twarz lekarza. Biel tego pomieszczenia przestała mnie nagle przerażać.

— Mniejszą nogą? — powtórzyłem zdumiony. — Więc jest pan lekarzem i nie wie pan, że kiedyś pańska noga była częścią Boga? Nie pamięta pan tego?

Raz jeszcze spojrzał mi w oczy i zrozumiał, że nie żartuję. Wydawało mi się, że był zmartwiony, kiedy pochylił głowę i podszedł do mojej matki.

Nadal siedziałem w fotelu z dyndającym kikutem prawej nogi. Widziałem, jak wąż lekarza porusza się, i słyszałem strzępki zdań, które mówił.

— ...jest za mały, żeby jego mapa ciała mogła być już na tyle utrwalona... Dzieci to nie dotyczy... Nie chcę pani martwić, ale problem leży... Tak. Niech się pani nie martwi... Nie. Na początek polecę pani psychologa klinicznego. Tak, znam go... Za wcześniej na lekarza psychiatrę... Spokojnie. To pewnie minie...

Mylił się, jak we wszystkim zresztą. To nie minęło.

\* \* \*

Zamknął książkę i pstryknął palcem w ekran komputera. Zmierzchało. Miasto było jeszcze pełne ruchu i ludzi spieszących do domów. Za oknami przesuwały się reklamy, rozjaśniając zadymione powietrze. Był czwartek, lato dobiegało końca.

— Cholera — mruknął cicho doktor Handf. — Tamtego dnia pomyliłem się.

— Nie możesz tak mówić — mruknął drugi mężczyzna. — Nawet dzisiaj nie możesz być pewien.

Handf uśmiechnął się, pocierając siwego wąsa. Ubrany był w ciemny surdut, białą koszulę i kamizelkę, z kieszeni której wystawała dewizka. Choć w jego apartamencie było ciepło, na biodrach lekarza spoczywał pled.

Jego gość dobiegał sześćdziesiątki i był młodszy o dwadzieścia lat od Handfa. Stał przy świeczniku, nie opodal największego okna salonu, gładząc w zamyśleniu owalny podbródek. Jego ramiona okrywała kolorowa marynarka, długa aż do kolan. Miał rude włosy i zielone, poważne oczy. Nazywał się Anders, a w mieście mówiono, że jest świetnym chirurgiem.

— Ten dzieciak wiedział — kontynuował Handf. — W pamięci Ydwarrala Blombo przetrwały dni niemowlęce. Trudno powiedzieć, czy to sam zabieg odjęcia kończyny wywołał te wspomnienia, czy też jak twierdził sam Blombo, pamiętał to już wcześniej... Ależ on nas zadziwił. A my diagnozowaliśmy go przez wiele lat. Kiedy nie było poprawy, zaczęliśmy leczyć cały system. Całą rodzinę.

Potarł dłońmi pled i skrzywił się. Anders chodził w milczeniu po salonie. Nagle usiadł w jednym z foteli.

— Kiedy go widziałeś ostatni raz?

— Dawno. Może z dwanaście lat temu. Ale wiem, że żyje. Jego karta odzywa się co jakiś czas, kupuje drobne rzeczy w jednej z Budek. Ma jednak prawo zaszyfrować jej miejsce, a ja nie mam prawa łamać tej zasady. Nie ma go w Mieście, ale jest w pobliżu. Mam wrażenie, że przepłoszyliśmy go skutecznie. Nie wiem, co robi. Podejrzewam tylko, że czeka.

Anders założył nogę na nogę i zamachał błyszczącym trzewikiem. Jego zielone oczy zwięzły się. Myślał.

— I co? Co planujesz?

Handf wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ja byłem jego lekarzem, choć właściwą terapię prowadzili inni. Jego matka zawsze przychodziła do mnie. Kiedy już przestała płakać, spytała: co dalej, doktorze? Nie wiem więc, czy mogę prosić go o pomoc.

Anders sięgnął po filiżankę herbaty.

— Właśnie. Co było dalej?

Starszy mężczyzna milczał, ściskając materiał pledu. Kiedy zaczął mówić, na jego zmęczonej twarzy pojawił się grymas.

— W czternastym roku życia trafił w końcu do szpitala. Hospitalizowaliśmy go na Oddziale Młodzieżowym. Psychiatria na Ester Avenue.

Przerwał, krzywiąc się jeszcze bardziej.

— Ból, przyjacielu. Daj mi pirfinę.

Anders wstał i podszedł do niewielkiego stołu unoszącego się tuż nad ziemią. Jego misternie rzeźbioną powierzchnię pokrywała serweta, na której spoczywała tacka pełna lekarstw. Były równie drogie jak sam stół, który kosztował majątek. Każda rzecz wykonana z pędów blósthii wymagała odpowiedniej sumki. Były robione na indywidualne zlecenia, tak jak większość przedmiotów w domu Handfa. Nie chciał nawet na nie patrzeć. Nie przynosiły mu ulgi.

— Dzięki. — Przełknął podłużną kapsułkę.

Anders usiadł na swoim miejscu. Patrzył, jak stary odsłania pled i z niesmakiem spogląda na swój kikut.

— Nie do wiary — kontynuował Handf. — Nie do wiary, że i mnie spotkało to, co jego wtedy. Napisałem kilkanaście prac na temat Ydwarrala Blombo, a teraz wiem, że choć spotkały się z dużym zainteresowaniem środowiska, były jednym wielkim gównem. I jak gówno właśnie powinienem był je spuścić w wodzie toalety, a nie wysyłać do fachowych pism.

— Co było dalej? — powtórzył pytanie Anders.

Za oknem przesunęła się napowietrzna cygarowata reklama, zalewając pokój potokami kolorowych świateł. Handf ostrożnie wyprostował tułów.

— W szpitalu po raz pierwszy zastosowano leki. W końcu zaczęli leczyć jego poczucie obecności fragmentu Boga w amputowanej nodze.

\* \* \*

Miałem czternaście lat, kiedy pielęgniarka pierwszy raz wysunęła w moją stronę kieliszek. Na jego dnie dojrzałem dwie owalne tabletki. Były żółte i nie wyglądały przyjacielsko.

— Co to jest? — Usiadłem na szpitalnym łóżku.

— Neuroleptyk — odpowiedział jeden z lekarzy. — Coś, co pomoże ci wreszcie wrócić na naszą stronę, chłopcze.

Zrozumiałem, że chcą odebrać mi ten maleńki fragment Boga, który tak pieczołowicie chronilem. Ale wielokrotnie rozmawiałem też z księdzem i ksiądz właśnie powiedział mi, że jeśli moje myśli są

prawdziwe, to nikt nie da rady tego dokonać.

Przyglądali się temu, co zrobię. Rozczarowałem ich.

— Dobrze. — Wyłuskałem tabletki i szybko wsadziłem je w usta. Potem popiłem wodą.

Popatrzyli na siebie. Mój lekarz szepnął coś do drugiego, a ten drugi skinął swoją jajowatą głową.

— Otwórz usta, Yd. Chcemy sprawdzić, czy nie oszukujesz.

Nie chciało mi się wcale śmiać, ale uśmiechnąłem się. Nie widziałem potrzeby oszukiwania tych ludzi.

— Proszę bardzo. — Pokazałem im swoje zęby i wywaliłem język na brodę.

— O.K. Przepraszam cię, ale chciałem być pewien. — Mój lekarz objął mnie przyjacielsko. — I jak? Nie było aż tak ciężko, co?

Uwolniłem się z jego objęcia, ponieważ nie lubiłem go, ani też nie chciałem, żeby mi tu udawał przyjaciela. W dodatku śmierdział okropnie jakimś piżmem, nieco podobnym do tego, którym czasem śmierdziała moja mama.

— Na pewno było to łatwiejsze od wszystkich testów, które podsuwali mi psycholodzy przez ostatnie kilka lat.

Speszył się nieco i wyszli z sali. Doceniłem to posunięcie, ponieważ tak samo on, jak i ja wiedzieliśmy, że testy nie wykryły we mnie żadnej grubej patologii. Trafiłem do szpitala psychiatrycznego, choć nie potrafili — a może nie chcieli — nazwać mojej choroby.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Miałem to szczęście, że moja mama zarabiała dużo pieniędzy, co z kolei oznaczało własną salkę. Zgodziłem się na pobyt tutaj pod tym właśnie warunkiem.

Nie czułem się szczególnie źle. Od jakiegoś czasu nie chodziłem do szkoły. Mama mówiła, że to ze względu na mój kikut i poczucie kalectwa, którego niby nie chcieli we mnie wzbudzać. Tak naprawdę jednak szło o to, żebym nie opowiadał innym dzieciakom o Bogu w mojej obciętej nodze. Nauczyciele przychodzili więc do domu. Uczyłem się dobrze, może nawet bardzo dobrze. Czasem tylko miałem problemy z koncentracją: prawdę powiedziawszy, robiłem to dla mamy. Kiedyś powiedziałem jej, że trudno mi zainteresować się rybką w akwarium, jeśli w każdej chwili mogę ją zobaczyć w oceanie. Myślę, że mama zrozumiała,

O co mi chodzi, ale nie pytała więcej, tylko znowu poszła płakać. Dotknąłem twarzą zimnej szyby.

Za oknem widziałem ogród i ludzi spacerujących po trawie. Poruszali się wolno, mało kto rozmawiał. Dobrze, pomyślałem. Może nie trzeba będzie za wiele mówić.

Słońce wspinało się po bezchmurnym niebie, na którym nie było żadnych reklam. I to mnie ucieszyło.

Pochyliłem głowę. Niektórzy pacjenci byli jeszcze małymi dzieciakami, inni byli już w moim wieku. Widziałem też personel pojawiający się od czasu do czasu i znikający w cieniu drzew. Pomimo wczesnej pory upał dawał się już we znaki.

— Jakoś będzie, Yd — mruknąłem pod nosem.

Wróciłem do łóżka, odłożyłem kulę i usiadłem na pościeli. Otworzyłem jedną z książek, ot tak, żebym mógł powiedzieć, że właśnie ją czytam. Byłem przygotowany do kolejnej wędrówki.

Ostrożnie opuściłem obolałe ciało i dotknąłem Boga. Nie znosił mnie, ale był bezradny. Ani nie mógł mnie ukarać, ani nawet odpędzić. Sam wpakował się we własne sidła. Pozostawał samotny, nie lubiąc intruzów, ale ja nie byłem intruzem, o czym wiedzieliśmy obaj. Spokojnie rozpląnąłem się po Jego jestestwie. Z ulgą zauważyłem, że ciało przestało mnie wreszcie boleć. Znowu odczułem to, co

było nam dane jeszcze przed narodzeniem. Stałem wśród gwiazd i nie wiem, jak opowiedzieć, co czułem. Miałem miłość, nienawiść, życie, śmierć, kwiaty, skały, krew, deszcz, pokusy, powściągliwość, herbatę, krewetki... Naraz odczuwałem wszystko. Poszedłem trochę dalej i rozejrzałem się.

Tak jak podejrzewałem, Bóg nadal był w kiepskiej formie. Oczywiście wielokrotnie penetrowałem Jego wnętrze i wiedziałem, kiedy czuł się lepiej, a kiedy bywał znudzony. Jego myśli były wątle, dokładnie takie jak pożywka, którą ostatnio zbierał. Mnie najzupełniej to wystarczało, czułem się przytłoczony bezmiarem otaczających doznań, choć rozumiałem już, dlaczego On może czuć się nieszczęśliwie. Kiedy trafiłem tu po raz pierwszy, wkrótce po amputacji prawej nogi, o mało co nie straciłem zmysłów. Myślę, że podobnie czułby się pantofelek, wsadzony do elektrycznego przewodu. Po setkach wizyt w Bogu potrafiłem oceniać Jego stan, a tym samym wybierać co ciekawsze rzeczy. Jeśli ja już po pięciu latach takich wypraw radziłem sobie zupełnie nieźle, cóż dopiero powiedzieć o Nim. Przebierał, cedził, czasami zupełnie odpuszczał i chował się gdzieś w głębi jestestwa. Najwyraźniej dobrze znał te wszystkie cuda. I nudził się, oczekując na intensywniejsze kawałki. Miał miliony lat. Może to śmieszne, ale biliony przeżytych dni nie nauczyły go cierpliwości. Był jak dziecko.

Poszedłem jeszcze dalej. Było tu takie miejsce, które wyobrażałem sobie jako skałę wychodzącą w prawdziwie głębokie morze. W przestrzeń o wiele bardziej gęstą od emocji niż ta, w której mogłem się poruszać. Od kiedy tylko po Nim chodzę, nie dane mi było zapuścić się dalej, niż sięgał koniec tego cypla. Na początku myślałem, że to Bóg nie pozwala mi wędrować, ale to nie było tak. Straciłem tylko prawą nogę i tylko na to mogłem sobie pozwolić. Tyle było mi zwrócone w zamian za utracony kawałek ciała. Ani kroku więcej. Nie miałem żadnych wątpliwości, że spadłbym w Jego otchłań. Nie byłem na tyle głupi, żeby zaryzykować. Wtedy lekarze z łatwością sprecyzowałyby swoją diagnozę.

Usiadłem. Trudno tu było kontrolować czas. Myślę, że ani Bóg, ani ja nie mieliśmy takich potrzeb. Szło raczej o życie chwilą, o potrzebę dzielenia odczuć innych, którzy zostawili je w tym bezkresie tylko dla Niego. Nie wiem, czy był egoistą. Myślę, że tak, ale nie jestem zupełnie pewien. A przynajmniej nie byłem pewien wtedy.

— Jestem — powiedziałem.

Mój głos załśnił niebieskim strumieniem światła. Bóg mruknął coś cicho. Zmrużyłem oczy. Czy wydawało mi się, czy też cypel, na którym siedziałem, wydłużył się w stronę oceanu. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że stało się tak za przyczyną zjedzonych leków. Kiedy później zwielokrotnili mi dawkę, potrafiłem sięgnąć znacznie dalej w Jego nieskończoność. Nie wiedziałem też, że neuroleptyki osłabiają moje ciało i stąd właśnie wyprawy w Boga stawały się jeszcze pełniejsze. Puszczala kotwica.

Naraz przeszło mnie coś ciepłego. Jakieś stygnące pragnienie rozkoszy albo coś, co było zarazem tęsknotą i cierpieniem. Może ktoś doczekał się wreszcie powrotu starego przyjaciela, który bez pożegnania odjechał wiele lat wcześniej. Albo może czekał na dziewczynę, która zapukała do drzwi swego kochanka pogodzonego już z myślą ojej utracie. I jeszcze raz. A potem ciepło zamieniło się w chłód i znałem już odczucia umierającego starca, a także tych, którzy na to patrzyli. Potem karmiłem łabędzia i wiedziałem, jak cieszy się okruczem chleba. Byłem w jego skrzydłach, byłem w palcach dobroczyńcy ptaka. Ocierałem się o wszystko. Prawie każda chwila warta uwiecznienia była mi dostępna.

Odwrociłem się w stronę, skąd przyszedłem. Im bliżej byłem wyjścia z Boga, tym słabsze stawały się te doznania. Bardziej szare i blade. Te nie potrafiły mnie już zadziwić, choć kiedyś było

inaczej. Kiedyś wystarczały.

Opuściłem Go.

Od razu też poczułem ból. Przez dłuższą chwilę nie otwierałem oczu. Nie cierpiałem tych powrotów tak samo mocno, jak kochałem moje wycieczki.

Kiedy uniosłem w górę powieki, od razu zobaczyłem mojego lekarza. Przyglądał mi się z uwagą. Był kanciasty, wyraźnie oddzielony od reszty pokoju. Jego twarz przypominała kawałek plastyku rzucony na glinianego manekina. Był tak samo kiepski jak tania kreskówka. Jak wszystko w tym pokoju. Jak ja sam.

— Spałeś, Yd? — zapytał czujnie.

— Chyba tak — odpowiedziałem, zgrzytając zębami. Moje uszy z trudem przyzwyczajały się do powietrza. — Czytałem tę książkę i chyba zasnąłem.

Lekarz usiadł obok mnie i widziałem odbicie swojej dużej głowy w szklach jego okularów.

— Powiedz, Yd. Czy ty słyszysz jakieś głosy? — zapytał szeptem.

Widziałem, jak odbicie w szklach śmieje się.

— Głosy? Ma pan na myśli halucynacje słuchowe? — Tak.

— Oczywiście. — Odwróciłem się w stronę okna. — Słyszę je właśnie teraz. W pana głosie, panie doktorze.

Chciało mi się spać. Leki robiły swoje.

\* \* \*

Teraz nie miałem z nimi specjalnych problemów. Jadłem codzienną dawkę po to tylko, żeby tłumić ból. To, co zostało z mego ciała, wyło. Dzień i noc mięśnie szarpały kości, krew wrzała w arteriach. To pewnie była cena. Pamięć Boga skutecznie zapełniła ubytki, ale pokazała też, czym jest naprawdę Ydwarral Blombo. Znosiłem to. Było warto.

— Tak — szepnąłem skulony.

Rzeka wiła się żywą wstęgą i nadal mogło mnie to cieszyć. Od wielu już lat patrzyłem na wodę płynącą obok mego drewnianego szałas. Postawiłem go sam, z trudem oblepiłem rzeczonym mułem i wyposażylem w najniezbędniejsze sprzęty. Na tym świecie jedynie rzeczy proste wciąż mnie cieszyły. To dziwne, ale wydają mi się najbardziej pewne i trwałe. Może dlatego, że On pozostawia je w spokoju. On dawno uznał je za nudne i oczywiste i pewno przez to nie miał nad nimi władzy. Mieszkałem więc w swoim kruchym szałasie, od lat jem żarcie wypuszczane z Budki na Skrzyżowaniu i cierpliwie zbieram pędy blosthii.

Blosthii. To był dobry pomysł. Tak, Bóg przeżywał wtedy trudny okres. Nie było zbyt wielu wojen, niewiele dziwnych rzeczy zdarzało się na Ziemi. Ludzie powtarzali te same szaleństwa, które tak naprawdę już dawno przestały być szaleństwami. Były nudne. Może tutaj trudno to było zauważyć, ale On nudził się potwornie. Nie dostarczaliśmy mu dobrego żarcia. Kiedy ja spokojnie wędrowałem w Jego wnętrzu, On siedział w samym jego centrum. Jak pająk, niechętny małym muchom, czekał na większy kąsek. Wreszcie trafiła Mu się gratka. Ludzie odkryli blosthii.

Pamiętam, że w czasie tamtej wędrowki ja sam zaczynałem się już nudzić. Mój cypel nie powiększał się od długiego czasu. Choć nadal uwielbiałem te podróże, czułem, że wiem, co może mnie w nich spotkać. Ideał Jego świata polegał na nieustannej zmianie. Nie cierpiał wprost zastoju.

Każdego cholernego dnia czekał na śmierci zadane w inny sposób, na miłość uprawianą jeszcze bardziej perwersyjnie i na słowa niosące nowe znaczenia. Myślę, że stąd właśnie ludzie tak potwornie miotają się po tym świecie. Tak ich zaplanował, żeby wyszukiwali mu coraz to nowe podniety. Nie liczył się styl. Liczyła się skuteczność. I ludzie znaleźli Nowe.

Przetoczyłem wózek bliżej wody. Jej chłód od razu przyniósł ból. Nie zważałem na to. Zakotwiczyłem się na piasku i złapałem za uchwyt sieci. Jakaś spłoszona ryba umknęła z przybrzeżnych roślin. Zachlupotała woda.

— Są — mruknąłem, ciągnąc sieć. — Cztery dojrzałe pędy.

Blosthii przypadkiem okazała się inteligentna. Podobno jakiś wieśniak wyłowił ją z rzeki i zrobił dla swojej żony krzesło. Było wygodne, ale żona wieśniaka nie chciała na nim siadać. Ile razy to robiła, przybierało inny kształt. Kiedy chciała je spalić, krzesło umykało po pokoju. Wieśniak szybko wykombinował, że można tym sterować. Usiadł w blosthii i poczuł, że może zmienić je w dowolny przedmiot. Czym prędzej wyłowił sporo nowych pędów, wyrzeźbił z nich jeszcze parę mebli i pojechał do Miasta. Towar poszedł od ręki.

Ani wieśniak, ani jego następcy nie zrozumieli, do czego naprawdę może służyć blosthii. Dzisiaj, kiedy buduje się z niej statki kosmiczne i stoły operacyjne, ludzie mają większy pożytek z tego dziwactwa. Blosthii zastąpiła wszystko. Nigdy nie była niechętna swoim oprawcom. Wydaje się, że lubi być z ludźmi i chętnie spełnia ich polecenia. Dotąd samotni, zaczęli żyć z nią w symbiozie.

Nikt nie wiedział, skąd się pojawiła. Nie udało się też założyć hodowli. Trzeba łowić dzikie pędy, które spływają rzekami do mórz i z tego, co wiem — tam się rozmnażają. Nie wiem, czy On ma jeszcze na tyle ikry, żeby zmienić to i owo na Ziemi. To chyba nie była Jego robota. Nie byłby też zaskoczony, a o zaskoczenie przecież chodzi Mu przede wszystkim.

Ożywił się nieoczekiwanie. Wypełnił z ukrycia i miotał się po swoim świecie niczym wygłodzony szczupak. Z dnia na dzień był w coraz lepszej formie. Przestał mruzczyć i wołał wielkim głosem, a ja siedziałem na swoim cyplu i też miałem z tego kupę radości. Zaczęłem jeść inny rodzaj pokarmu. Pojawiło się coś, co nie miało nazwy. Nie pasowało ani do miłości, ani do nienawiści, było zupełnie poza tym wszystkim. Było blosthii.

W świecie, w którym żyjemy, oznaczało to dla mnie kolejne hospitalizacje. Jako że większą część czasu spędzałem w Bogu, z ulgą rozpoznano we mnie schizofrenię katatoniczną i do leczenia włączono elektrowstrząsy. Cypel wydłużył się nadspodziewanie solidnie. Znowu sięgałem w Niego.

Łagodny wiatr wyrwał mnie z odrętwienia. Fale rzeki iskrzyły się w słońcu. Drzewa były zielone i kołysały się dostojnie, tak jak lubiłem najbardziej. W górze kołował mały ptak. Może był to jastrząb, choć nie dałbym głowy.

Przechyliłem szyję, ażeby przyjrzeć się uważniej temu, co dała mi rzeka.

— Dobre — mruknąłem. — Solidne pędy. Kupię za nie wszystko na cały miesiąc.

Ostrożnie złożyłem je przed szafasem. Musiały teraz trochę podeschnąć. Blosthii pełne wody nie były aktywne. Przypominały pędy bambusa, ale miały różowawy kolor i były giętkie. Z tego, co wiem, nikt nie rozpracował, czym są. Może dlatego wykryto je tak późno, bo płynąc z prądem wody, nie wyróżniały się niczym szczególnym. W morzach zaś były za małe, żeby poważnie się nimi zająć. Później objęto je ochroną. Wybito też dwa gatunki ryb, które czasem lubiły je skubać.

Ustawiłem swój wózek obok nich i spojrzałem na zachodzące słońce. Ból nieco ustąpił, ale nadal kąsał. Z nienawiścią zerknąłem na swoją lewą dłoń. Pieczęta wyjątkowo mocno od samego rana.

To były piękne chwile — wspomnienia znowu napłynęły same. Ale po kilkunastu latach nawet blosthii przestało nas nakręcać. On znowu zaszył się w pajęczynie, a ja bezsilnie spoglądałem na niedostępną dla mnie otchłań. Posępne myśli krążyły mi po głowie, ale odpędzałem je jak najdalej.

Dawno już wymyśliłem sposób na przekroczenie tej granicy. Nie liczyłem na nowe neuroleptyki. Te dostępne na rynku były skuteczne dla chorych. Nie było potrzeby syntetyzować nowych.

Pewnego dnia, kiedy sprzedawałem swoją drugą powieść, zapragnąłem przekroczyć tę granicę. Jak mówię, był tylko jeden sposób. Obciąłem sobie drugą nogę. Lewą.

\* \* \*

— Nie wiem, co o tym myśleć — powiedział doktor Handf.

Anders nie odpowiedział. Zamrugał tylko powiekami i skrzywił się dyskretnie. Wolał nie odzywać się wcale. Wiedział, że stary chirurg w każdej chwili może zmienić zdanie. Kiedy skontaktował się ze swoim znajomym i powiedział mu, o co chodzi, tamten roześmiał się. Zapytał tylko, czy odtajnienie numeru będzie publiczne, czy ma służyć do celów prywatnych. Anders powiedział, że to drugie. Nie było problemu. Dostał numer Budki, w której Ydwarral Blombo robił swoje biedne zakupy. Po minucie oczekiwania namierzył go bez pudła.

— A ty? Czy myślisz, że mam prawo prosić go o pomoc? — zapytał Handf. — Czy to w porządku, że teraz będę udawał przyjaciela?

— Teraz rozumiem, skąd ma szmal — odpowiedział Anders, starając się zmienić temat. — Zaszył się nad rzeką, pewnie blisko Skrzyżowania z Budką. Głowę daje, że wyławia pojedyncze blostii i sprzedaje je kierowcom. Starcza mu akurat na leki i proste żarcie. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, niczego więcej nie potrzebuje. Ma spokój.

Handf ożywił się. Przesunął oparcie fotela, który płynnie objął jego biodra.

— Tak. I nigdy niczego więcej nie potrzebował. Sądzę, że wszystkie rzeczy, które nam się wydają intrygujące, dla niego są jedynie nieporadnymi zabawkami. Daleko jeszcze?

— Nie.

Byli już za Miastem. Poduszkowiec rozcinał powietrze i chybotliwe kształty naziemnych reklam. Poruszali się stałą prędkością sterowani przez Droge. Wiedziała lepiej niż kierowcy, kiedy będzie zakręt i jak ciasno muszą w niego wejść. Znała też stan techniczny poduszkowca, bo większość jego części współtworzyły blostii. Umieszczono je tak, żeby informowały drogę o kondycji pojazdu, a blostii zamontowane w Drodze podejmowały decyzje. Niewielu było na to stać. Nie każdy więc mógł tędy jeździć.

— Będzie padać — zagaił ponownie Anders. — Myślę, że twój wózek da sobie radę w terenie. Trudno liczyć, żeby Blombo sterczał akurat przy Budce. Nie liczę na cud.

Handf spojrział w zachmurzone niebo. Korony drzew ściemniały, pola ciągnące się wzdłuż drogi przykrył cień. Był wczesny niedzielny ranek, kolejny dzień, w którym przyjdzie mu się zmierzyć z fantomowym bólem, który nie poddawał się żadnemu leczeniu. On sam był już za stary, żeby udało się wyhodować przeszczep. Był skazany na męki.

— Nie deszczu się obawiam, lecz bólu — westchnął, poruszając siwym wąsem. — Kiedy żyła jeszcze moja żona, a ja szykowałem się do przeszczepu serca, wydawało mi się, że umrę ze strachu. Kiedy kilkanaście lat później przeszczepili mi płuca i wątrobę, wiedziałem już, że nie tak szybko odejdę z tego świata. Mam za dużo forszy, stary przyjacielu. Myślę, że i ciebie czeka podobny los.

Handf znowu się skrzywił. Jak na razie wszystkie jego flaki były oryginalne. Nie chciał myśleć o tym, co będzie. Miał rodzinę i dużo blostii. Miał czwórkę wesołych dzieci i choć każde z nich



przypominało mu, że czas biegnie, dawał sobie z tym radę.

— Jeszcze ze dwadzieścia mil. — Za szybą zupełnie ściemniało. — Dasz radę?

Na horyzoncie zajaśniała błyskawica.

— Dam — odpowiedział Handf. — Nie chciałbym szprycować się z samego rana. Ale czuję, że długo dzisiaj nie wytrzymam.

— O.K. Jeszcze tylko kilkanaście minut.

Weszli w ostry zakręt. Deszcz załomotał po szybach poduszkowca. Handf starał się nie myśleć o bólu. Przypomniał sobie, jak Blombo, po raz kolejny wypisany ze szpitala, nieoczekiwanie dla wszystkich opublikował swoją pierwszą powieść. Któż mógł przewidzieć, że *Moje wędrówki po Bogu* sprzedadzą się w dwudziestu trzech milionach egzemplarzy. Uczyniły Ydwarrala człowiekiem bogatym i choć dziennikarze modlili się przed domem jego matki o minutę wywiadu, Handf wiedział, że młodemu mężczyźnie nie szło o sławę i pieniądze. Blombo chciał się podzielić. Chciał pokazać, czym jest Ziemia i kto na niej mieszka. Opisał załazek wnętrza Boga z takim pietyzmem i znawstwem, że ostatecznie runęła koncepcja zespołu paranoidalnego. Wszystkie sceny logicznie zazębiały się jedna w drugą. Sceny, które opisywał Ydwarral Blombo krzyczały ze stron powieści mocnym głosem. Postać Boga siedzącego w swej pajęczynie i czyhającego na nowe emocje znalazła wielu miłośników. Blombo napisał rzecz sprawnie, z polotem, z niesłychaną wręcz wyobraźnią. Jak gdyby rzeczywiście potrafił urwać kawał obcego świata i dać go wszystkim spragnionym. Odwrócił role. Teraz on karmił Bogiem tych, którzy wcześniej dostarczali pokarm Najwyższemu. W ostatnim zdaniu napisał: *W powieści swej spełniłem moje marzenie. Przerwałem odwieczny „łańcuch biologiczny”. Myślę, że ta Istota, która tak łapczywie pochłania nasze chwile, teraz cierpi na solidną zgagę. Wraca bowiem do niej pokarm, który już przeszedł przez boskie wnętrza. Jeśli mogę więc do Niego coś powiedzieć, to: Smacznego, proszę pana.*

Krytyka była pod wrażeniem. Czytelnicy uznali powieść za kultową, posmaku dodawała historia życia jej twórcy. Od razu stał się wielki.

Parę miesięcy później, pewnego jesiennego popołudnia Ydwarral przyszedł do gabinetu Handfa. Był nieco usztywniony, ale przywitał się i przechylił swoją ogromną głowę. Jego twarz wychudła, choć duży nos nadal się łuszczył i świecił tłuszczem. Ydwarral zapytał Handfa, co myśli o książce. Handf dobrze pamiętał, że jego odpowiedź była surowa: „Jesteś chory, Yd. Ale jesteś też bardzo dobrym pisarzem. Zawsze wiedziałem, że w twoich halucynacjach są treści inspirujące. Dzisiaj wiem, że potrafisz to wykorzystać”. Pamiętał rozżalone oczy Blombo. Pamiętał jego pochyloną, kuśtykającą sylwetkę, która cicho zamknęła za sobą drzwi i zniknęła na cztery długie lata. W tym czasie pani Blombo (za jego namową) powiła drugie dziecko. Miało małą głowę i na imię dano mu Hedtel. Ydwarral miał więc siostrę. Jak się później okazało, Hedtel dowiodła, że doskonale o tym wie.

— Jesteśmy na miejscu. Obudź się, stary. — Głos Andersa wyrwał Handfa z zamyślenia.

Przez strugi deszczu zobaczył Skrzyżowanie dwóch dróg. Na północy ciągnęły się pola. Na południowej stronie stała Budka. Za nią zbocze gwałtownie opadało w dół, w stronę mostu i gęstwiny drzew. Tam też musiała płynąć rzeka. Tam musiał mieszkać Blombo.

— Myślę, że przeczekamy tu kilka godzin. Może skusi go poduszkowiec. Będzie myślał, że to handlarze blosthii.

Anders postawił kołnierz cętkowatego płaszcza i sięgnął po małą butelkę.

— Ach. — Otarł usta grzbietem gładkiej dłoni. — Masz, wypij też nieco.

Handf z trudem odwrócił się w jego stronę. Jego pomarszczona twarz nie wyrażała żadnych uczuć. W rytmie spływających strużek wody przesuwwały się po niej cienie.

— Ja... To moja szansa, Gerbo. Pomóż mi go odnaleźć. Pomóż mi albo będę musiał strzelić sobie w łeb.

Anders pierwszy raz dostrzegł strach w oczach starego lekarza. Potem popatrzył na mokre krzewy.

— Wyjdzie z nich w końcu. Po to przecież wziąłem urlop.

\* \* \*

Musiałem zaciągnąć pędy pod strzechę szałas. Zapowiadał się długi deszcz, a ja nie chciałem marnować czasu. Błosthii były już prawie suche i nadawały się do transportu. Nie miałem zbyt dużo zapasów. Ledwie parę puszek z mielonką i dwa sprasowane bochenki chleba. Najbardziej jednak obawiałem się, że zabraknie mi Riderdostru i pirfiny. Jeśli ból szykował się do prawdziwego ataku, bez leków miałem tylko jedną drogę ucieczki. Prosto w Boga. A tego robić nie chciałem.

W szałasie zdjąłem mokre rzeczy i włożyłem czystą koszulę. Do piecyka dorzuciłem kilka kostek suchego paliwa, przesunąłem wózek w pobliże pryczy i przelazłem na nią z dużym trudem. Wołałem oszczędzać akumulatory mojego pojazdu. Bez niego nie byłbym w stanie łowić błosthii ani dotrzeć do Budki czy Skrzyżowania. Od lat skutecznie zastępował mi obie nogi. Był nawet cenniejszy od leków.

Patrzyłem w przemakający strop i myślałem, czy po śmierci spotka mnie kara. Czy Tamten będzie na tyle łaskaw, że zapomni, czy też zdusi mnie na zawsze. To właśnie w mojej drugiej książce podjąłem ten temat. Całe czterysta stron *Opowiem Wam o Bogu* starało się rozpracować kwestię życia i śmierci. Kiedy pisałem ostatni rozdział, czułem, że prawdziwe rozwiązanie zagadki leży poza moim zasięgiem. Powieść została wydana, ludzie kupowali ją jak cholera, a ja nadal martwiłem się, co naprawdę kryje wewnątrz Boga. Wydawca przelał na konto mamy wielkie pieniądze. Wkrótce każdy sprzęt w naszym domu był samodzielną błosthii. Mama zaczęła ćpać kokainę i inne świństwa. Nie rozumiejąc, dlaczego nie chcę ani centa i dlaczego nie interesuję się stanem konta, zaczęła mnie nienawidzić. Już wtedy czułem, że to dorastająca Hedtel odebrała mi mamę. Nie obwinałem za to dziecka. Nie obwinałem nikogo. Tak już widocznie miało być. Nie było możliwości przekupienia Boga. Forsa nie była więc mi potrzebna. Potrzebny był kolejny duży krok w Jego świat.

Kiedy odrąbałem drugą nogę, dowiedziałem się prawdy. Był bezsilny. Nie mógł mnie powstrzymać. Ja przeklinam tamten dzień. Nie, żebym żałował tego kawałka mięśni, który opadł na czerwoną podłogę. Obawiałem się tylko, czy przeżyję, a tym samym czy zdołam opisać to, co zobaczę w Jego trzewiach. Tak naprawdę bolało mnie ciało, a nie jego brak. Z każdym uderzeniem ostrza w udo mój ból zmniejszał się. Odrąbywałem kolejny wrzód. Odsłaniałem prawdę.

Pamiętam, że jeszcze przed utratą świadomości zdołałem zacisnąć gumę na bryzgającym kikucie i udałem się w kolejną podróż.

Powróciłem z niej dużo później. Pochylali się nade mną ludzie w bieli. Do moich żył sływały płyny, przez moje oczy przebiegał cień. Nie potrafiłem do nich przemówić. Nie widziałem potrzeby mówienia im o Bogu, który nie był wart nawet słów wypowiedzianych przez kalekę. Myślałem, że powrócę tryumfalnie, a powróciłem chory. Wtedy rzeczywiście byłem szalony. Przez osiem lat trzymali mnie w izolatce. I myślę, że to był dobry pomysł.

Westchnąłem, gładząc zmęczone czoło. Szum spadających kropli deszczu ugasił tamte wspomnienia. Piecyk grzał jak należy, nie odczuwałem więc chłodu. Para unosiła się z podłogi i

snęła wokół mojej pryczy. Spojrzałem na oprawioną fotografię dziewczyny. Poczulem gorycz. Co straciłem? Czy ona mogła zastąpić te wszystkie podróże dotykami swych kasztanowych włosów i szeptem wypowiedzianym w moje ucho? Już nigdy się nie dowiem. Odwróciłem fotografię do ściany i sięgnąłem po tabletki.

\* \* \*

Handf przełknął dwie tabletki pirfiny i skrzywił się. Deszcz wciąż spływał po szybach poduszkowca. Kryły się w nim przydrożne krzaki i drzewa, w które uparcie wbijali wzrok czekając, aż wyłoni się z nich postać Blombo. Coś się poruszyło, ale już po chwili wiedział, że to tylko zdziczały kot szuka dla siebie suchej kryjówki.

— Ile już tu siedzimy? — zapytał, starając się zagadać narastający ból.

Anders wzruszył ramionami i przeciągnął się jak kot, który przed chwilą zniknął w krzakach.

— Piąta godzina już mija. A mnie nie chcę się nawet zrec. Jego walcowata głowa opadła na oparcie fotela. Handf widział, że tamten nudzi się coraz to bardziej.

Z miernym zainteresowaniem słuchał opowieści o Ydwarralu Blombo. Prawdopodobnie nie chciał nawet rozmyślać o kawałku odjętego ciała, spod którego wyłoniła się część Boga. Pewnie myślał, że to jakieś zaszrane bzdury. Handf rozumiał go. Dwadzieścia lat wcześniej nie miał nawet kilku minut, żeby porozmawiać z Blombo w poważny sposób. Teraz Anders miał na głowie inne problemy. Poza tym był jednym z wielu uzależnionych od blosthi. Kiedy nie operował, zaszywał się w swoim domu i razem z pędami marzył. Był uczniem Handfa i wiele mu zawdzięczał. Dlatego zjawił się natychmiast po telefonie, umył szczupłe, długie palce i bez wahania sięgnął po wysterylizowane narzędzia. Handf wiedział, że robi to dobrze. Sam nauczył Andersa odejmuwać ludzkie kończyny.

— Pamiętasz, jak to było po zabiegu? — zapytał, uśmiechając się pod wąsem.

Anders poruszył się w blosthi niczym dziecko w kołysce. Oplotła go już zupełnie.

— A jakże — mruknął, a pędy natychmiast rozchyliły się. — Nie obawiałem się operacji. Byłem pewien, jak i ty sam zresztą, że problemem będzie ból fantomowy. Twoja miażdżycza przebiegała tak wrednie, że zmiany zakrzepowe były naprawdę ogromne. Musiałeś wcześniej strasznie cierpieć.

Handf pstryknął palcem w jeden blosthi, który natychmiast odwrócił się w jego stronę. Czekał.

— Nie tak jak teraz, ale było źle. Dlatego zdecydowałem się na zabieg. Nie mogłem jednak przypuszczać, że po amputacji poczuję ból w reszcie ciała. A tam, za kikutem, jest moja wolność. Tam jest rozwiązanie, a ja boję się z niego skorzystać. Myślę jednak, stary druhu, że tymczasem nie będziemy o tym mówić.

Blosthi wyczuł jego nieprzychylność i rozczarowany powrócił do fotela kierowcy.

Z zachodu nadciągnął wiatr, a wraz z nim usłyszeli ponury gwizd. Coś nadlatywało z mroku błyszczącego kroplami deszczu. Zobaczyli cztery reflektory przebijające się przez ulewę.

Wkrótce nadlatująca maszyna stanęła na Skrzyżowaniu, posykując kłębami pary niczym zadyszany rumak. Przybyła biedniejszą częścią Drogi. Poduszkowiec miał ręczne sterowanie.

— Może to on? — zapytał cicho Anders.

Handf zmrużył oczy i przylgnął do szyby.

— Kierowca wychodzi. Ale to nie on... Ten ma własne nogi.

Patrzyli, jak mężczyzna biegnie w ich stronę. Anders spojrział na blosthi. Były spokojne. Nie wyczuwały żadnego niebezpieczeństwa. Przybysz nie miał złych zamiarów, choć na bezdrożach za Miastem rzadko bywało bezpiecznie.

— Otwórz mu — powiedział Handf. — Czegoś od nas chce.

Anders uchylił szybę.

— Dzień dobry — powiedział mężczyzna. — Ale leje, cholera! Już dawno tak tu nie padało. Długo czekacie?

Spojrzeli po sobie, a potem jeszcze raz w jego twarz. Przypominała trójścian poobijany wzdłuż dłuższych boków i przyozdobiony czarną bródką oraz małymi zwinnymi wąsikami. Oczy nieznanego zalewał deszcz tak, że mrugały raz za razem niczym oczy drobnego zwierzęcia zamkniętego w dłoni. Na głowie miał małą czapkę z pomponem.

— Będzie z pięć godzin. Coś pan za jeden? — zapytał szorstko Anders, przyglądając mu się z góry.

Tamten przetarł oczy i strzepnął wodę z dłoni.

— A co to, ważne? Taki jak wy pewno. Ceny w Mieście idą w górę, to i jeżdżę wzdłuż rzeki i ubijam drobny handel. Był tu?

Mówił z akcentem, obcinając końcówki wyrazów i wymawiając mocniej „r”.

Handf powstrzymał Andersa, który szykował się już do zamknięcia szyby.

— O kim pan mówi?

Mężczyzna schował głowę w ramiona.

— Wiecie co? Ja się chyba pomyliłem.

Odwrócił się niepewnie w stronę sapiącego poduszkiowca.

— Pójdę już.

— Zaczekaj pan — powiedział Handf. — Nie jesteśmy ani glinami, ani konkurencją. Kiedy on tu się zjawia? Zapłacę za odpowiedź.

Blosthi uniosły się w górę. Mężczyzna na zewnątrz musiał być już nieźle przestraszony.

— Ten kulas? Ma pan na myśli tego dziwaka?

— Tego, od którego kupuje pan pędy.

Człowieczek jeszcze raz odwrócił się w stronę swojego poduszkiowca, po czym wyciągnął dłoń. Chciwość zwyciężyła. Kiedy poczuł na niej ciężar kilku srebrnych monet, uśmiechnął się przyjacielsko.

— Wypadałoby, że dzisiaj albo jutro. Jak jest deszcz, to różnie bywa. Boi się pewno transportu. Ale prawdę mówiąc, nie umawiamy się. Nie jestem pewien, czy on jeszcze umie gadać. Bierze kasę i znika. To dziwak. Jeździ na takim śmiesznym wózku na baterie. No i ta głowa. Większa od tej Budki. — Wskazał palcem na stojący przy Drodze automat.

Handf zerknął z wyczekiwaniem na Andersa. Znowu oplotły go blosthi.

— Mówi prawdę. — Usłyszał stłumiony głos. — Nie umawia się. Liczy na szczęście, takich ludzi łowiących pędy jest tu znacznie więcej.

Mężczyzna na zewnątrz poruszył wąsikami.

— To chyba mogę już iść?

— Tak. Niech pan jedzie.

— Fajno, że nie sprzątniecie mi towaru. Za jakiś czas wrócę. Nie sędzę, żeby kulas wypuścił się w taką pogodę.

Patrzyli, jak jego maszyna wykonuje zwrot i ginie w deszczu. Milczeli, słuchając monotonnego szelestu spadających kropel.

Po kilkunastu minutach Anders oswobodził się z blósthii. Wyglądał na szczęśliwego. Jego oczy były przekrwione.

— Chodźmy, stary. Wydobędę cię na zewnątrz i poszukamy tego gościa. Wózek masz najlepszy. Pokona teren lepiej niż moje nogi.

Handf zrozumiał, że tamten nie będzie dłużej czekać. Ból zaatakował ze zdwojoną siłą. Nie miał więc wyjścia.

— Dobrze — szepnął. — Może się uda przed zmierzchem. Za drzewami przetoczył się grzmot. Rzeka przybierała.

\* \* \*

Kiedy huk przebrzmiał, usiadłem i przyciągnąłem do siebie wózek. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tego deszczu. Rzadko padało w tych stronach.

Przez ostatnie kilka godzin wpatrywałem się w zdjęcie dziewczyny, oprawione w tandetne ramki i starałem się wymyślić, kim mogła być. I co stałoby się, gdybym ją poznał.

Przetaszczyłem ciało na wózek. Zmęczyło mnie to. Choć moje serce miało znacznie mniej roboty dzięki obciętym nogom, i tak ledwie zipało. Może to przez tę wielką głowę. Domyślałem się tylko, że potrzebowała cholernie dużo glukozy i być może stąd byłem tak często głodny. Po każdej wizycie w Bogu żarłem jak dżdżownica.

Uruchomiłem akumulatory i powoli wyjechałem przed szalás. Deszcz ostudził rozpędzone myśli. Walił we mnie tak mocno, że musiałem skulić się w foteliku wózka. Krótkie kikuty nóg podrygiwały śmiesznie na nierównościach terenu. Ale mnie wcale nie było do śmiechu.

Rzeka wylała. Byłem zdumiony, patrząc na wściekle fale podmywające brzeg. Spokojna toń zamieniła się w pędzącą kipiela. Woda zmieniła kolor z zielononiebieskiej na rdzawą. Od razu też zrozumiałem, że jeśli nie przestanie padać przez kilka najbliższych godzin, mój dom pochłonie żywioł. Nie miałem nic więcej. Nie miałem już leków, jedzenia ani pieniędzy na podładowanie akumulatorów w odległej Budce.

Byłem w potrzasku, a zawsze kiedy czułem się osaczony, droga do Jego wnętrza rozchyłała się kusząco.

Otworzyłem usta, wznosząc w górę głowę, i połknąłem nieco deszczu. Chwilę później byłem już w szalásie. Nie starałem się patrzeć na mrugające ostrzegawczo światelko rezerwy, które zamontowano w poręczy wózka. Mogłem tylko czekać. Z modlitwą skończyłem dawno temu. On i tak nas nie słuchał. Nudziła Go ta robota.

\* \* \*

— Niech mnie diabli, jeśli on tu rzeczywiście mieszka. — Sapał wściekle Anders. — Jeśli nie ma nóg, to z kiepskim wózkiem nie może pokonywać tego zbocza.

Handf zredukował wysokość. Unosił się kilkanaście centymetrów nad mokrą ziemią w

przeciwieństwie do jego towarzysza, który zanurzał się w niej po kolana.

— Może. Ale Ydwarral jest twardy. Ma swoje sposoby. Anders zaklął niskim głosem i w ostatniej chwili złapał dłonią grubą gałąź, ratując się przed osunięciem.

— To bez sensu — dodał po chwili. — Ja też pamiętam, jak sprzedawały się jego książki. Wciąż musi mieć kupę szmalu i pewno dojeżdża tu czasem poduszką pełną blosthi. Tak specjalnie robi zakupy w tutejszej Budce. Może chce, cholernik jeden, zmylić trop.

Pokonali następne kilkanaście metrów. Tu, w dole, padało w dwojaki sposób. I z drzew, o które wciąż się ocierali, i z nieba, które nadal nie dawało za wygraną.

— To nie tak — odpowiedział po chwili Handf. — Kiedy jego matka dowiedziała się o tym strasznym samookaleczeniu, wiesz, kiedy on obciął sobie drugą nogę...

— Taaak. Słyszałem. Świrus odrąbał ją siekierą. To ostatecznie poświadcza jego szaleństwo...

Przerwał, bo jakaś szczególnie giętka gałąź smagneła go w policzek. Poczł smak krwi. Wyrzucił z siebie kolejne przekleństwo:

— Świrus, cholera. Nie wiem, na co liczysz.

— Liczę na cud. Ydwarral wie na ten temat co nieco. Wracając do rzeczy, kilka miesięcy po tym, jak odrąbał sobie nogę, jego matka samobójczo przećpała heroinę. Ydwarral wiele lat spędził pod obserwacją, nie opuszczał izolatki. Znacznie później jego siostra Hedtel wystąpiła o ubezwłasnowolnienie brata i przejęła całą forszę. Wyszedł ze szpitala, ale już nie chciał się z nią spotkać.

Kilka chwil później, widząc, że Anders i tak go nie słucha, dodał ściszym głosem:

— Nie liczyłbym więc specjalnie na to, że Ydwarral porusza się poduszkowcem. Pewnie ma stary, kołowy wózek i nieco forsy na podładowanie jego akumulatorów.

Blosthi zamocowana w jego fotelu zwiększyła nieco wysokość. Anders jeszcze głębiej zapadł się w oślizłą ziemię. Klął pod nosem ile wlezie. Przestał udawać, że pomysł Handfa ma jakiegokolwiek rozsądne wytłumaczenie. Co chwila przewracał się, zahaczając trzewikami o niewidoczne korzenie. Jego różowy przeciwdeszczowy płaszcz przykryły brązowe liście. W końcu zawołał coś gromkim głosem i desperacko skoczył w gęstwinę krzewów. Handf ostrożnie minął przeszkodę, wlatując ponad gałęzie. Kiedy przebił się przez mgłę, wyhamował.

Byli już nad rzeką. Wylała na brzeg i jej poziom sięgał przybrzeżnych krzewów, za którymi leżał w wodzie i przeklinał Anders.

— Nic tu po nas, do kurwy nędzy. Blosthi będą miały ze mną sporo roboty. Jestem wrakiem.

Gdziekolwiek spojrzął, Handf widział rudawą rzekę. Nie było szansy na znalezienie Ydwarrala. Jeśli rzeczywiście tu mieszkał, musiał już dawno uciec przed powodzią. Przez chwilę pomyślał, że dobrze byłoby pomknąć w górę nurtu i rozejrzeć się, czy czasem nie potrzebuje pomocy. Nieco poniżej rzeka skręcała, tworząc zatoczkę. Może tam?

Obawiał się, czy wózek utrzyma wysokość. Mówili, że przemoknięte blosthi nie były już takie sprawne. Lepiej nie ryzykować. Z jedną nogą nie utrzymam się na powierzchni wody.

— Kurwa... — wołał Anders taplający się w błocku. — Uciekajmy stąd, póki czas. Ty se latasz, a ja co, do cholery? Zastrana sprawiedliwość. Mam dwie nogi i gorzej mi to idzie niż tobie.

Handf raz jeszcze spojrzął w stronę zatoczki. Podjął decyzję.

— Wracamy. Jeśli tu mieszkał, już dawno musiał przenieść się gdzieś wyżej.

Ubłocona twarz Andersa błysnęła białymi zębami..

— Bogu dzięki. W końcu przejrzałeś na oczy.

Już wkrótce znowu zaczął przeklinać. Droga powrotna była jeszcze gorsza, a Handf wił się z bólu.

Najbardziej bolał mnie brzuch. Patrzyłem w oczy wodnego szczura, który przez chwilę wytrzymał spojrzenie, po czym znowu zaczął biegać dookoła ścian mojego domu. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości. Szykował się do ucieczki.

— Więc to koniec — powiedziałem półgłosem i piźmak zatrzymał się na kilka sekund.

Nie bardzo wiedziałem, co robić dalej. Już dawno nie podejmowałem żadnych decyzji. Żyłem nad spokojną rzeką, łowiłem blonthii i rozmyślałem o dziewczynie z fotografii. Nagle wszystko się zmieniło. Rzeka stanęła dęba, blonthii znowu namokły wodą, a fotografię tej dziewczyny pokryła mgła. Piecyk nadal grzał, choć koła mojego wózka tonęły w szlamie.

Godzinę wcześniej wydawało mi się, że słyszę jakieś okrzyki, ale po zastanowieniu uznałem, że jest to niemożliwe. Jak długo tu mieszkam, nikt nie przechodził w okolicy mojego domu. Doszedłem do wniosku, że czas ruszać.

Ułożyłem jeszcze dwa ciepłe swetry i pod jeden z nich schowałem tę oprawioną fotografię. Szczura wypuściłem, bo nie czułem się jego właścicielem. Umknął czym prędzej w górę zbocza, popiskując nerwowo.

— Wróc tu, kiedy będzie już lepiej — zawołałem bez specjalnej nadziei.

Raz jeszcze spojrzałem na wnętrze swojego domu i włączyłem wózek. Koła buksowały w wodzie, ale dzielnie parł do przodu. Już po chwili zacząłem wspinaczkę. Choć pokonałem tę trasę wielokrotnie, tym razem wyglądało to kiepsko. Pomyślałem o Hedtel, którą nadal bardzo kochałem, pomimo że odebrała mi pieniądze i uczyniła szalonym na zawsze.

— Gdzie jesteś teraz?

Nie wiedziałem już, czy mi zimno czy to ból. Wózek pokonał kolejne kilka metrów. Kiedy prawie sięgałem gałęzi pierwszych drzew, koła zabuksowały niebezpiecznie i zacząłem osuwać się z powrotem w dół. Lampka pulsowała. Było źle.

Pomyślałem więc o mamie, którą kochałem również, i ojej śmierci, którą, jak sądzę, ja spowodowałem. Właśnie przez jej śmierć spędziłem tyle lat w szpitalu. To, co zobaczyłem w Jego wnętrzu, zniszczyło mnie, ale prawdziwe pogorszenie mojego stanu przyszło w chwili jej samobójczej decyzji. Dowiedziałem się o niej od Hedtel tydzień potem, już po pogrzebie.

Wózek stanął. Ostrożnie włączyłem wsteczny bieg. Teraz podjeżdżałem na zbocze tyłem.

Kilka minut później, kiedy akumulatory wyczerpały się zupełnie, osunąłem się z siodełka. Miałem mocne ręce, choć brakowało mi kilku palców. Wolałbym nie mówić, co się z nimi stało. Pełznałem uparcie w górę, uciekając przed goniącą mnie rzeką.

Pomyślałem o doktorze Handfie, który nigdy nie chciał mnie słuchać. W którego wierzyłem i ja, i moja mama, a który kierował mnie do kolejnych psychiatrów i liczył pieniądze zapłacone przez mamę. Czy żył jeszcze? A jeśli tak, to czy pamiętał o Ydwarralu Blombo? Czy nadal ma na półce obie książki, które udało mi się napisać?

Walczyłem o każdy centymetr, szlochając ustami mojej wielkiej głowy. Kikuty były lekkie, ale i tak nie dawałem rady. Może za mało obciążłem?

Nie uciekałem przed śmiercią. Nie bałem się już nawet Jego. Płakałem, bo nie chciałem, żeby znowu mnie wykorzystał. Ale On namierzył mnie już swoim okiem. Choć wiedziałem, jak przed Nim

uciec, nadal uparcie wlokłem się po mokrej ziemi. Była mi bliższa.

Tak naprawdę, chyba tylko to jest nam pisane. Choć On wie, że zrobiłem wszystko, ażeby było inaczej.

\* \* \*

Kiedy tylko Anders zamknął drzwi, Handf przykrył się szlafrokiem i odprawił służbę. Usiadł na sofie, trzymając w dłoni parującą filiżankę mocnej herbaty. Z żalem popatrzył na zalane deszczem okna. Miał przecucie, że on gdzieś tam był. Że nie zdołał umknąć powodzi, a oni nie zdołali go odnaleźć.

— Teraz zostało mi już tylko jedno — mruknął pod wąsem.

Książki były przygotowane. Miał niewiele czasu. Tuż przed wyjściem Anders podał mu kolejną ampułkę pirfiny. Kiedy przestanie działać, koszmar rozpocznie się na nowo. Tym razem jednak Handf postanowił wybrać drogę Ydwarrala.

— Tak nie da rady — szepnął. — Nawet blosthii zaczynają usychać w moim towarzystwie. Sieję ból.

Postanowił zacząć od *Opowiem Wam o Bogu*. Kiedy ją wówczas czytał, wydała mu się bardziej świadoma od *Moich wędrówek po Bogu*. Czytał przy świetle nocnej lampki, słuchając szelestu deszczu i tykania zegara. Strony wciągały go w swe tajemnice. Bez dialogów, gęsto zapisane starą kursywą (takie ponoć było życzenie autora) tętniły mrocznym życiem, którego świadom był tylko sam Blombo. Jego teoria znudzonego Boga była niepokojąca. Przedstawił opis wiecznie głodnego i co najistotniejsze, nienasyconego stworzenia, które nierozzerwalnie łączyło się z każdym ludzkim istnieniem. Blombo nie potrafił opisać, w jaki sposób Bóg czerpie ludzkie emocje. Co ciekawe, otwarcie przyznawał, że poznał tylko cząstkę tego królestwa i nie rozumie jeszcze wielu rzeczy. Wykazał bezsens życia na Ziemi. Współczuł i sobie, i nam. Nakłaniał do walki, choć nie wiedział, jak rozegrać bitwę. Handf dokończył herbatę. Ostrożnie odstawił filiżankę i niecierpliwie sięgnął po pierwszą powieść swojego pacjenta.

Podobnie jak *Opowiem Wam o Bogu*, tak i *Moje wędrówki po Bogu* czytało się świetnie. Blombo rozpoczął od swych narodzin. Opisał ból płaczącego niemowlaka i podkreślił, że nie jest przypadkiem, iż małe dzieci płaczą. Przytoczył setki naukowych teorii, a żadna z nich nie znajdowała logicznego uzasadnienia, dlaczego tak właśnie się dzieje. Płaczą w chwili narodzin, kiedy ból rozrywa ich zapadnięte płuca i nie przestają zawodzić przez wiele następnych miesięcy. Blombo miał prostą odpowiedź. Nowo narodzeni cierpią na ból fantomowy. Ujął to tak:

*Miałem nieszczęście zapamiętać nie tylko chwile spędzone przy piersi matki, ale także to, co rozegrało się znacznie wcześniej. Myślę, że to przez moją dużą głowę, którą lekarze diagnozują od lat (niestety, z żalnymi efektami). Widzę to przez mgłę. Zamazane postacie, monotonne bicie serca, skulone pragnienie wolności... Byłem Jego częścią. Byłem w Bogu, tak jak w Bogu byłeś Ty, czytający te słowa. Może nawet znaliśmy się w tamtych chwilach. Było nam ciepło. Było nam dobrze, jak dobrze może być. A przede wszystkim było spokojnie. Nie szarpaliśmy się, jak liście na wichrze, nie pokonywaliśmy nieustannie kolejnych minut. Ludzie posapywali w Jego objęciach, nie przeczuwając nawet, że wkrótce znowu przyjdzie im zdać się na własne siły. Ze wyleżą niczym ślepe robaki. Z cichego gniazda na mroźną zawieruchę. On przygotował nas do tego wyjścia na*



*swój sposób. A żeby łatwiej było nam spędzać tu czas, odebrał człowiekowi pamięć o sobie samym. Kiedy rodzimy się, cierpimy strasznie. Okropny jest ból po obciętym członku ciała, zwany fachowo: fantomowym. Wyobraźcie sobie, jak strasznie nas musiało boleć, kiedy odjęto nas od Boga. Kiedy człowiecze dłonie dotknęły naszych amputowanych ciał. Kiedy pamięć o Nim jeszcze żyła. Był to ból fantomowy, którego wielkość nie sposób jest opisać, bo nie sposób jest opisać wielkość Jego jestestwa.*

*Miałem nieszczęście, że we mnie pamięć ta przeżyła do dzisiaj. Amputacja nogi dokonana przez chirurgów była więc ulgą. Zbliżyła mnie do tamtych dni. Nie zawahałem się, jak pewnie uczyniłoby to wielu innych. Potrafiłem to wykorzystać. Droga stała otworem. Mogłem samodzielnie zagłębić się w ciało Boga.*

Handf zamknął książkę. Nie musiał przypominać sobie tego, co działo się dalej. Dzisiaj rozumiał, o czym naprawdę pisał Ydwarral Blombo.

Pokuśtykał do kuchni, gdzie zaparzył jeszcze jedną filiżankę herbaty. Starał się nie myśleć, że blósthii unikają go od kilkunastu minut. Czuły już ból. Czuły jego zamiary.

— Skurwysyny! — krzyknął do własnych krzesel. — Czego wy właściwie od nas chcecie? Teraz was potrzebuję. Teraz właśnie, a nie wtedy, kiedy pijany zaplatam się w wasze pędy i mamrocze błogo sprośne piosenki. Teraz, kiedy opuścili mnie przyjaciele, kiedy nie mam tej cholernej nogi... Kiedy szukam, chowacie się po kątach. Ale jakbym tak zabłądził, tak właśnie jak Anders... Wtedy byłoby dobrze, co?!

Krzesła pokurczyły się, niczym stół operacyjny, już po udanym zabiegu. Lubiły słuchać o ludzkich klęskach, niespecjalnie radowały je sukcesy. Cholerne blósthii. Czym były naprawdę?

Chciał powiedzieć do nich coś jeszcze, ale ból przypominał mu, że czasu jest coraz mniej. Tym razem zaatakował głowę. Handf otarł załzawione oko i jednym haustem przełknął parującą herbatę. Pustą filiżankę rzucił w najbliższe blósthii. Brzęk tłuczonej porcelany uspokoił go.

Do salonu dotarł z trudem. Otworzył przygotowaną wcześniej saszetkę i wysypał z niej kilka małych tabletek. Riderdostr. Ten sam, który wykupował z Budki Ydwarral. Najnowszy atypowy neuroleptyk. Szklanka wody stała nie opodal. Usiadł na sofie, licząc sekundy. Potem przeżegnał się i wetknął tabletki do ust. Były słodkie.

\* \* \*

Znowu się osunąłem. Przez ostatnie godziny pełznałem w górę zbocza i wyglądałem pewnie gorzej niż ranny ślimak. Moje dłonie spływały krwią, która barwiła na różowo wodę wokół. Im bardziej starałem się dosięgnąć zwisających gałęzi, tym bardziej się ode mnie oddalały. Kikuty pochłonęło już błocko. Moja duża głowa z każdym pokonanym metrem stawała się cięższa. Może zaczęła już przeciekać i wchłaniała łapczywie wodę niczym stara gąbka?

Tyle byłem wart, ile przeszedłem. A nie było tego dużo. Z dwadzieścia metrów, może z dwadzieścia pięć. Miałem wrażenie, że gdybym nie obsuwał się co chwila, byłbym już w Mieście. Odwróciłem głowę. Kłęby pary wysuwały się łapczywie w moją stronę. Rzeka nadal przybierała. Wprost proporcjonalnie do bólu.

Zagryzłem wargi i złapałem trójpalczatym chwytem kolejną gałąź. Wydawała się pewna, więc podciągnąłem tułów w poprzek, ryzykując upadek. Jeszcze trochę. Jeszcze kilka centymetrów do

półki usypanej z ziemi, na której będę mógł odpocząć chwilę i rozgryźć tabletki pyralginy, które zostawiłem na czarną godzinę. Gałąź napięła się niebezpiecznie. Szarpnąłem głową, bo jakiś nieoczekiwany strumyk brudnej wody wpłynął prosto w moje dyszące usta. Zakrztusiłem się.

Zacząłem spadać w dół, zanim jeszcze usłyszałem trzask łamanego drzewa. Turlałem się skurczony, a ziemia i liście oblepiały mnie łapczywie. Nie myślałem już o niczym. Miałem nadzieję, że spadnę w rozpędzoną rzekę, która porwie i zdusi mnie szybciej, niż ja zdołam uciec w Jego wnętrze. Widać tak miało być. Taki miał być mój koniec. Ani nie przekonałem ludzi, ani nie dałem Jemu rady.

Ale zatrzymał mnie pień drzewa, który minąłem kilkadziesiąt minut wcześniej. Huknąłem w niego prawą stroną ciała. Ból pękających żeber nie był wcale większy od tego, który i tak mnie trawił. Przestałem wreszcie wirować. Zawisłem tuż nad zbliżającą się wodą.

— A jednak — wysapałem z trudem. — Raz jeszcze Cię odwiedzę, choć tym razem na dłużej.

Uśmiechnąłem się, patrząc na pochylone we mgle drzewa. Nie byłem w stanie przebić się wzrokiem w stronę nieba ani zobaczyć tak bardzo odległego słońca. Moja rzeka stała się moim wrogiem, więc nie chciałem na nią patrzeć. Utkwiłem oczy w kikutach. Po raz ostatni.

I znowu opuściłem ciało, zostawiając je na pastwę losu. Znowu stałem w Nim, a zarazem we mnie, bo przecież moje obcięte nogi były Jego częścią. Ból ustąpił. Przyszedł spokój.

Był w dobrej kondycji. Ożywiony, zadowolony, nieustannie zmieniał kształty swego wnętrza. Uwielbiałem to. Mogłem tak stać całe wieki. Dzisiaj Pająk ma dobry dzień.

Ma zarcia pod dostatkiem. Zauważył mnie po chwili, ale nie dał nic po sobie poznać. Nadal tętnił w hipnotycznym rytmie. Jeszcze chyba nie widziałem Go tak sprawnego.

— Ha — mruknąłem. — Dobrze trafiłem.

Powoli ruszyłem w stronę mojego cypla. Chciałem jak najbardziej odroczyć chwilę skoku w Jego wnętrze. Obawiałem się, że będzie to ostatni skok. Nie wierzyłem bowiem, że moje ciało zostawione na łaskę wzburzonej rzeki pozostanie przy życiu. Jeszcze kilkadziesiąt lat wstecz, a spotkałbym tam moją mamę. Dzisiaj nie mogłem na to liczyć.

Kiedy zbliżyłem się do cypla, stanąłem zdziwiony. Na jego końcu siedziała skulona postać. Był to człowiek. Nie. Nie.

Nie, pomyślałem poruszony. Nie chcę, żeby teraz właśnie okazało się, że to nie tylko ja. Że mogliśmy jeszcze coś zmienić, coś zrobić dla tych wszystkich ludzi zbierających dla Niego posiłek. Nie. To nie może być prawda. Ale była. I poznałem tego człowieka, kiedy podniósł swój orli nos i spojrzał na mnie zaskoczony.

Pan doktor. Ten stary drań, który przez całe życie zwalczał moje opowieści i który teraz trafił do świata, którego nie zdołał unicestwić, pomimo zainwestowanego w tę robotę wysiłku.

— Niech pan posłucha, panie doktorze — powiedziałem spokojnie. — Opowiem panu o Bogu.

\* \* \*

Handf nie wiedział, ile czasu spędzili na końcu cypla. Tuż po przełknięciu neuroleptyku odmówił krótką modlitwę i zagłębił się w przestrzeń, którą dostrzegł od razu po dokonaniu zabiegu amputacji. Czuł się jak nurek badający obce, niezgłębione morza. Czuł, że nagle utracił swój batyskaf i oto stoi nagi, zupełnie bezbronny w obliczu siły potężniejszej niż wszystkie znane mu żywioły. Wrażenie to

wkrótce ustąpiło. Poczul spokój. Wirujące kształty dostarczały mu wrażeń, które opisał wcześniej Ydwarral Blombo. Kończyły myśli, karmiły duszę.

— Jestem — powiedział, a jego głos smagnął zieloną smugą przestrzeń Boga.

Początkowo poruszał się ostrożnie, tak jak nakazywał Yd w *Opowiem Wam o Bogu*. Kiedy tylko zapoznał się z terenem, ruszył dalej. Wiedział, że dojdzie wkrótce do końca. Tylko tyle było mu dane w zamian za utratę kończyny.

Handf był tak zafascynowany wrażeniami rejestrowanymi przez jego receptory, że dopiero kilka godzin później zrozumiał, iż stało się coś jeszcze. Ból pozostał w opuszczonym ciele.

Nie chciał wracać do tej skorupy, choć nadal czuł jej bliskość. Blombo twierdził, że żywi nie mogli zostać we wnętrzu Boga. Nie takie było ich przeznaczenie.

Siedział na końcu cypla i patrzył w centrum Jego ciała. Starał się zrozumieć. Nie dowierzał własnym oczom, kiedy Blombo stanął za jego plecami. Ale tak było. Spotkali się po latach w wyszydzonej przez Handfa świecie. Ydwarral powiedział jedno zdanie i usiadł obok niego.

\* \* \*

Kiedy już opowiedziałem mu o swoich ostatnich latach, Handf pokazał palcem przed siebie i zapytał:

— Co tam jest?

Bąłem się tego pytania. Tak samo jak obawiałem się wydać trzecią powieść, w której wyjawilem poznaną już tajemnicę Boga. Najcieńszą ze wszystkich, bo prawda nie wymagała specjalnych opisów.

— Powiedz — domagał się Handf. — Przecież skoczyłeś w tę otchłań. Po to tylko obciąłeś drugą nogę. Żeby powiedzieć nam prawdę.

Miał rację. Podrapałem się po policzku, żeby dać mu szansę na zmianę żądania.

— Spodziewałem się, że zastanę tam nas, ludzi, tak jak to było kiedyś. Tak jak zapamiętałem to w swoich wspomnieniach. Morze ludzi stulonych w Jego wnętrzu. Czy chce pan rzeczywiście wiedzieć, jak to wygląda teraz?

— Tak.

Wrażenia wypełniły nas nagle tak mocno, że musieliśmy odczekać dłuższą chwilę. Ja szybko wróciłem do formy, ale on dygotał przez wiele następnych chwil. Był tu po raz pierwszy. Moim zdaniem, powinien już wracać. Nie należało się tym wszystkim przekarmiać. Powrót bywał wtedy wyjątkowo wredny, niesłuchanie bolało opuszczone ciało.

— Powiedz mi. Jestem już stary. Powiniennem wiedzieć, co czeka mnie po drugiej stronie.

Uśmiechnąłem się. Po drugiej stronie...

— Już nic na pana nie czeka. Już się pan zużył. On jest wybredny. Nie potrzebuje starego naskórka.

Handf znieruchomiał. Patrzył na mnie i czekał na kolejne słowa. Wypowiedziałem je niechętnie, ale jednak:

— Widzi pan, doktorze. Jesteśmy Jego naskórkiem. Wysyłał nas na Ziemię, żebyśmy przeżyli tak dużo, jak tylko można było przeżyć przez te kilkadziesiąt lat. Potem, gdy śmierć znowu przywracała nam Boga, zbierał nas do kupy i sadowił w swoim wnętrzu. Niejako pokrywał się zregenerowaną

tkanką. My byliśmy komórkami, które dostarczały Mu bodźców potrzebnych do bycia Bogiem. To my i nasze wojny, odkrycia, drobne miłości i przestępstwa, wszystko, co tylko możliwe... To jest prawdziwy pokarm Boga. Nie modlitwa, ale nasze wspomnienia. Każdy, kogo wysłał tu całkowicie, stawał się bezużyteczny i wymagał ponownego nasaczenia. Znowu się rodziłem i znowu żyłem dla Jego potrzeb. Wymieniał poszczególne komórki naskórka, które odpadały niczym zeschnięte liście. Ja myślę, że to wspomniały pomysł. Ale nigdy nie pogodziłem się z prawdą.

Popatrzyłem na Handfa, który skulił się na cyplu jeszcze bardziej. Było mi go żal. Powinien korzystać z tego, co przypadkiem było mu dane, a nie rozmyślać o naturze Największego.

— Dlaczego więc tam nie wrócę? — zapytał z trudem, patrząc w pulsującą otchłań. — Nie spisałem się tym razem? Nie dałem mu, czego chciał?

— Spisał się pan, tak samo jak poprzednio i jeszcze wielokrotnie wcześniej. On tego nie ocenia w taki sposób. Albo jest głodny i znudzony, albo najedzony i ruchliwy. Dzisiaj ma pan szczęście widzieć Go w dobrej formie.

Uniknąłem pytania, ale Handf uparcie wracał do tematu.

— Dlaczego więc tam nie wrócę, Ydwarralu? — Ponownie pokazał palcem kuszącą otchłań. — Co się stało?

Wstałem.

— Kiedy ludzie byli dla Niego nowi, kiedy naskórek zbudowany był z naszych przeżyć, On witał nas chętnie. Kiedy ludzie parli do przodu, On czuł się coraz lepiej. Kiedy stagnacja i dekadencja pożarła nasze życie, nie było już rzeczy, która mogłaby Go zaciekawić. Boi się nudy. Ona Go zabija. Postanowił więc złuszczyć naskórek i nie regenerować go już nigdy.

Handf pokiwał głową. Wstał z dużym trudem i objął moje ramię.

— Powiedziałeś przecież, że jest w dobrej formie. Nie ma tu logicznego związku, Ydwarralu.

Przytaknąłem swoją dużą głową.

— Przecenia pan ludzi, doktorze. To nie my dajemy mu tę radość. To, co zobaczyłem we wnętrzu Boga, sprawiło, że postradałem zmysły na wiele lat. Od tamtego czasu zaprzestałem mych wędrówek. Od chwili, kiedy ta jasna droga doprowadziła mnie wprost do Jego trzewi. Tam właśnie napotkałem ludzkie ciała, puste zewłoki zostawione na łaskę wieczności. A na nich rosły blosthi. Było ich tak wiele, że rozepchały Jego brzuch jak balon. Podejrzywałem już wcześniej, że teraz one są dla Niego najważniejsze. Ale nie spodziewałem się, że wyrosły z nas. Nie wiedziałem, że byliśmy jedynie nawozem, na którym wyhodował kolejną warstwę naskórka.

Przerwałem, bo trudno było mi o tym mówić.

— Ale najgorsze czekało dalej. Kiedy minąłem te wszystkie porzucone ciała, kiedy przedarłem się przez kwitnące na nich blosthi, dotarłem do końca naszego Boga. Zaczynało się coś nowego. Jakaś inna świadomość, chyba jeszcze potężniejsza niż On. Pozwoliłem sobie na tę bezczelność i wszedłem tam.

— Tak? — zapytał Handf. — I co?

— I nic, doktorze. — Przymknąłem powieki. — To był kolejny z nich. Ten nasz karmił większego i pewno nie robił tego sam jeden. Pewno było ich całe mnóstwo. Rozmnażały się jak larwy. Wiecznie głodne spasiono kształty.

Przerwałem, bo mój głos zabarwił się na czarno, szpecąc Jego przestrzeń.

— Taką larwą jest Bóg, któremu dajemy wiarę — podjąłem po chwili. — Nie chciałem panu tego mówić, ale nie zobaczymy się już nigdy. Ja nie mam już do czego wracać. Umarłem przy mojej rzece z zimna i bólu, choć deszcz przestał właśnie padać.

— Zaraz. — Złapał mnie za ramię. — Ale co będzie z nami? Ze mną, z tobą, z ludźmi? Miliardy

człowieczych istnień...

Spojrzałem na doktora ostatni raz.

— Ja pójdę do tego większego — powiedziałem. — Może mu się spodobać, może zechce dać mi szansę. Ten, w którym stoimy, strąciłby mnie najchętniej do piekła. Do blosthi.

— Pójdę z tobą, Ydwarralu. Zabierz mnie stąd.

— Pan nie może tam iść. Niech pan wraca do domu, ból można wytrzymać. Tu nie znajdzie pan swego szczęścia. Tu jest pan kolejną kupą gówna.

Nie czekałem na odpowiedź. Rozpostarłem ręce i skoczyłem w otchłań Boga. Może nie przypatrywał mi się zbyt uważnie, ale rozzłościłem Go już nadto. Najpierw umknąłem z Jego planów, potem łąziłem po Jego cielsku, teraz planowałem Go opuścić.

Mój plan był prosty. Chciałem nakłonić tego większego do współpracy z ludźmi. Uważałem, że jesteśmy jeszcze wari szansı. Tak nas stworzyli. Tacy widocznie mieliśmy być. Gdyby ten większy zgodził się, blosthi nie miałyby już na czym rosnać. Bez nich przestałyby rosnać i Ten, przez którego teraz szedłem.

— Taki właśnie mam zamiar. — Zaśmiałem się ponuro. — Chcę Cię wykończyć.

Ja, Ydwarral Blombo, postanowiłem zemścić się na własnym Bogu. Mówili, że dał nam szansę na wieczność i wszystko, co tylko mamy. Mówili, że był hojny i dobry ponad ludzką miarę. Mówili o szczęściu czekającym w Jego łonie. Mówili o Nim wiele.

Ja powiem tylko jedno. Jeśli On tak szybko zmienia skórę, nie jest godzien naszej wiary. Może starczy mu ziemski trawa. Jest jej dużo i podobno łagodzi obyczaje.

Nie można bowiem igrać z ludźmi. Wystarczy jeden, żeby mścić się za wszystkich. Jestem tego najlepszym dowodem.

\* \* \*

Handf wył. Co chwila tracił przytomność, ale ból przywracał go do świadomości. Miotał się na sofie, gorączka trawiła ciało. Przeklinał własne mięśnie, meble utkane z blosthi i Andersa, który dawał się im wykorzystywać.

I wszystkich innych. Wszystkich ludzi, którzy zaprzepaścili daną im szansę.

Bezskutecznie przedawkował pirfinę. Nie przyniosła ulgi w cierpieniu. W końcu, nadal przeklinając, zapadł w sen. Nie śnił o niczym. Służący obudził go kilkanaście godzin później.

— Idź do domu, Ben — mruknął, otwierając przekrwione oczy. — Mam dzisiaj coś do zrobienia i wolałbym pozostać sam.

Tamten nie próbował dyskutować. Postawił tacę z posiłkiem na stole, skinął krótko głową i wyszedł.

Myśli starego doktora popłynęły zwartym strumieniem. Chwilę poruszał zdrętwiałymi dłońmi, po czym usiadł na swoim wózku.

Kiedy przygotowywał sprzęt, blosthi skurczyły się w napięciu. Handf nie chciał tracić czasu najedzenie. Wrócił do salonu, z powrotem przeniósł się na łóżko i wyprostował lewą nogę.

— Nie wiem, jak wielki jest ten Jego brzuch — mruknął, poruszając nerwowo wąsem. — Ale może jakoś się odnajdziemy, Ydwarralu. Tyle przynajmniej jestem ci winien. Wrócę tu i napiszę trzecią powieść, której nigdy nie zdołałeś ukończyć. Będzie się nazywała: *Powieść Ci, jak opuścić*

*Boga.*

Włączył piłę do cięcia kości i bez wahania przytknął do wyprostowanej kończyny. Koagulator działał sprawnie, ale krew zdążyła jeszcze trysnąć jasnym strumieniem.

Handf poczuł ulgę.

Uwalniał się od kolejnej części tej skorupy. Umykał przed przeznaczeniem, na które nie miał wcześniej wpływu. Czekala na niego wieczność, choć nie był już nawet naskórkiem Jego ciała.

\* \* \*

*Dzisiaj wiem, że się pomyliłem. Dzisiaj patrzę na tych wszystkich, którzy rzucają we mnie kamieniami, i na tego najstraszniejszego, który wraził włócznię w mój prawy bok. Nieco dalej jacyś ludzie sądzą mnie za to, że głosiłem prawdę. Widzę też dwóch obok mnie; po prawej i po lewej. Widzę ślinę, którą oblizują języki spragnione mojej śmierci. Czuję pot spływający po plecach zgromadzonego tłumu i krew płynącą po moim czole.*

*Ludzie krzyczą. Ludzie rzucają we mnie wyzwiska. Ludzie oczekują na me ostatnie słowa.*

*Z krzyża, na którym wiszę, świat wydaje mi się bardziej wyraźny. I wiem, że powiedzieć mogę tylko jedno:*

*— Boże, wybacz mi.*

1995, Katowice

koniec

mojej mamie.

maciej żerdziński

*Rafał A. Ziemkiewicz*

# Tańczący Mnich

Krótko przed świtem trzeciej nocy stwierdziłem, że cokolwiek ma się stać, dłużej już tego nie wytrzymam.

Z głębi dżungli, spoza linii wart, dobiegał wartki, jednostajny rytm bębena. Odzywał się krótko po zmroku i nie cichł aż do brzasku. Momentami wtapiał się w nocne dźwięki dżungli, przyczajając gdzieś w parnym powietrzu, niemal wydawało się, że wreszcie umilkł. Wystarczało jednak, żebym przymknął oczy, a ściana tropikalnej nocy pękała nagle i znów wyrzucała ze swych rozpalonych trzewi ten szybki, nie mający końca, obłąkańczy puls, brzmiący jak wezwanie na jakieś odbywające się w zaświatach buddyjskie rytuały.

Prawdę mówiąc, od czasu nieszczęsnej bitwy o wzgórze, zasypianie było dla mnie koszmarem i bez żadnych buddyjskich bębenków. W swym klaustrofobicznie ciasnym baraku, ustawionym na skraju zajmowanego przez trzeci batalion wzgórze, rzucałem się po skotłowanych kocach, chwytając rozpaczliwie powietrze, jak gdyby każdy oddech miał być już tym ostatnim. Każdej nocy drżałem, mokry i lepki od potu, zalewany na przemian falami chłodu i gorąca, to pograżając się w męczącym półśnie, pełnym krwi, krzyku i ognia, to znowu budząc się całkowicie.

Wartki, jednostajny rytm. Ledwie słyszalny, ale bezlitośnie wyraźny. Nieodparcie przywołujący w pamięci jakieś niezrozumiałe ceremonie tubylców, oglądane wieki temu przez przybyłego wprost z Annapolis podporucznika, poznającego dopiero kraj, któremu miał nieść pomoc i obronę przed komunistyczną agresją.

Noce były najgorsze. Powietrze, rozgrzane w piecu dnia, oślizłe od zgniłego zaduchu dżungli, dusiło. Jeszcze bardziej dusił strach. Im mniej dni pozostawało do ewakuacji, tym bardziej narastał. Zwierzęcy, niepohamowany, wszechogarniający. Przestrzeń za cienkimi płatami moskitiery stawała się gęsta od czyhających tam kul, tłustych i jadowitych jak pająki. Krążyły wokół, brzęcząc złowrogo i wyczekując stosownego momentu, by zniecka wgrzyźć się głęboko w bezbronne, miękkie ciało.

A teraz do strachu doszedł jeszcze miarowy, odległy warkot bębena, niosący się przez zatopioną w nocy dżunglę, i splotły się one wśród zaduchu bezsennych nocy w tajemniczy, trudny do zrozumienia i jeszcze trudniejszy do wytrzymania sposób.

Nad ranem trzeciej nocy stwierdziłem, że cokolwiek ma się stać, dłużej już nie wytrzymam. Postanowiłem tam pójść. Podniosłem się i zacząłem ubierać. Wyciągnąłem z worka świeże kalessony i podkoszulek, wziąłem czyste skarpety. Starannie dopinałem każdy guzik koszuli. Kilkanaście sekund poświęciłem na należyte ułożenie czapki.

Stroiłem się jak na śmierć. Bo to mogła być moja śmierć. Ale wtedy, kiedy wreszcie zdecydowałem się pójść za dobiegającym z ciemności wezwaniem, nawet o tym nie pomyślałem. Wkładanie munduru, wygładzanie fałdek koszuli i długie poprawianie czapki uspokajało mnie, przynosiło ulgę. Aż wreszcie odciągnąłem rygle, otworzyłem szeroko drzwi i zanurzyłem się w parnej, cuchnącej dżunglą ciemności.

Noc była ciemna, pochmurna, tylko nieliczne światła obozu ćmiły się mgliście w przygnębiającej



czerni. Pozostawiałem je za plecami, schodząc ku grząskiemu strumieniowi, który oddzielał nasze wzgórze od sąsiedniego. Tuż za wodą wyrastała spleciona gęstwina, z której sączył się uporczywy, jednostajny stukot. Od mojego obozowiska, pozostawionego daleko z tyłu, niósł się przyciszony gwar. Jakieś tranzystorowe radio, stłumiony odległością puls gitary basowej, jakieś złorzeczenia, okrzyki. Bardzo ciche, daleko cichsze niż głosy dżungli i przebijający się przez nie rytm.

Szedłem jak zahipnotyzowany, wprost na linię perymetru, ku strumieniowi oddzielającemu wzgórze zajęte przez piechotę morską Stanów Zjednoczonych od zarośniętych zboczy, po których bez przeszkód szalały duchy dżungli. Przekroczyłem lśniąca czarno, rozlaną taflę strumienia, wystawiając plecy na strzał skrytego w ciemności, niewidocznego wartownika. Brodząc po kolana w strumieniu, wydostałem się na drugi brzeg, jakimś cudem nie zauważony przez nikogo. Nawet o tym nie myślałem. Zanurzyłem się w dżungli, jakbym wskoczył w ciepłe, parujące zgnilizną bagno. Wysoko nad moją głową zawarło się szczelne sklepienie liści i w jednej chwili zapanowała absolutna ciemność, w której bez ustanku mrowiły się robaki. Nie było w tej ciemności niczego oprócz dźwięków, szelestów i poskrzypywań, jakichś dziwacznych chrobotów, szlochów, tajemniczych westchnień i zwierzęcych krzyków, ponad które wybijał się coraz głośniejszy, coraz bliższy łoskot bębena. Szedłem w jego kierunku, nie widząc nawet własnych, wyciągniętych do przodu dłoni. Bardziej na północy dżungla rzeczywiście przypominała tę znaną z podróżniczych książek i filmów. Gęsta, skłębiona tak, że trzeba się było przez nią przerąbywać maczetą. Ale tu, w Qang Nam, gęstwina zaczynała się dopiero kilka metrów nad ziemią. Niżej były tylko gołe pnie, jakieś porosty i ziemia. Wszystko spleśniałe i przegniłe, nawet powietrze spleśniałe i zgniłe, wionące trupim smrodem w nieprzeniknionej, piwnicznej czerni, wciąż takiej samej, bez względu na to, ile zrobiłem kroków, wspinając się po zboczu. Na świecie mogło nie być już niczego poza tą przeklętą dżunglą. Mogło w ogóle nie być już świata, mogło nie być już wojny ani porucznika Russela Sieberta, za którego głowę jakiś śmiertelnie przerażony chłopiec miał szansę dostać od ruchu antywojennego tysiąc dolarów nagrody. Tylko jedno istniało na pewno: magiczny dźwięk bębena. Wabiący do siebie, prowadzący mnie przez mrok, nie milknący i nie zwalniający tempa ani na sekundę.

Teraz ten dźwięk już całkowicie wypełniał mi czaszkę. Od strony, z której dochodził, coraz wyraźniej dawał się zauważyć migoczący blask. Słaba poświata stopniowo rozlewała się w czerwoną łunę, ku której wspinałem się niczym w transie, w powietrzu tak gorącym i mokrym, że niemal można było w nim pływać. Aż wreszcie minąłem grzbiet wzgórza i zaraz potem, w jednej chwili, czarne sklepienie palmowych liści urwało się nad moją głową. Dźwięk bębena sięgnął apogeum. Nagle rozdarło się pochmurne niebo, przepuszczając błysk księżyca. Parne powietrze, wypierając stęchliznę dżungli, otoczyło mokre ciało niemalże przyjemnym chłodem.

Przede mną płonęły ogniska. Jedno, drugie... Siedem ognisk tworzących u ściany lasu wielki krąg. Musiałem długą chwilę mrużyć oczy, zanim dostrzegłem pomiędzy nimi ciemną sylwetkę, poruszającą się dokoła posuwistym, ceremonialnym krokiem. Potem sylwetka zbliżyła się do jednego z ognisk i w migotliwym świetle zranił moje oczy ostry błysk wypolerowanego srebra. Dostrzegłem czarny, długi strój, przecięty białą kreską, siwizną i wyciągniętą w górę rękę. Potem nieznajomego pochłonął mrok. Gdy zbliżył się do następnego ogniska, mogłem już zobaczyć, że czarna szata to mnisi habit, przewiązany białym sznurem, a raniący przywykłe do mroku oczy błysk pochodził od srebrnego szkaplerza na piersi nieznajomego. Jeszcze jedno ognisko i mogłem się przekonać, że w uniesionej ręce mnich trzyma buddyjski bębenek i szybkimi ruchami nadgarstka wydobywa z niego ten uporczywy, jednostajny rytm.

Potem dowiedziałem się, że taki bębenek miejscowi nazywają *damaru* i że robi się go z dwóch ludzkich czaszek. Obcina się każdej równo wierzch, a potem łączy te wierzchy czubkami ze sobą tak,

by były zwrócone otwartą stroną w przeciwnych kierunkach, niczym podwójny kielich. Potem naciąga się na nie skórę, mocuje na kijku i przywiązuje do niego zaszyte w skórę kamyki na krótkich rzemieniach. Wystarczy lekko poruszyć nadgarstkiem, a trzymany w ręku *damaru* ożywa i dobywa z siebie dźwięk, który dociera do świata duchów i demonów.

Tego wszystkiego dowiedziałem się później. Wtedy stałem tylko zdyszany, z głową pełną monotonnego pulsu, narosłego aż do skrajności, a płonące w mroku ognie zdawały się wirować wokół mnie niczym wielkie, utkane z blasku ćmy. Rozpaczliwie mrużąc oczy, by przebić się wzrokiem przez migotanie ich skrzydeł, wpatrywałem się w Tańczącego Mnicha.

Zachował resztki włosów, okalających łysą głowę siwym wieńcem. Był biały, niezbyt wysoki, kiedyś zapewne barczysty. Jego oczy w pełgającym blasku lśniły szaleństwem. A może boskim natchnieniem. Przyglądałem mu się długo, przez całe stulecia, jak tańczy, jak wiruje wokół ognisk, szepcząc w kółko tajemnicze zaklęcia i potrząsając swoim bębenkiem, i nie mogłem zdobyć się na śmiałość, by się do niego zbliżyć. Jakaś zewnętrzna, fizyczna siła niemal przemocą trzymała mnie w miejscu, nie pozwalając wyjść spośród drzew, nie pozwalając nawet wydobyć z siebie głosu. A on nie ustawał w tańcu, pogrążony w transie, jak postać z zupełnie innego świata.

Patrzyłem skamieniały pomiędzy nagimi pniami drzew, a w moich piersiach wzbierał niepojęty, bolesny szloch. Pod krawędziami powiek nabrzmiewały piekące łzy, aż nagle poczułem, jak cały mój strach, cała histeria ostatnich tygodni wzbiera niepowstrzymaną falą, jak coś we mnie pęka i nagle po policzkach spłynęły mi strugi gorąca. Zacząłem łkać, łkać jak dziecko. Usiadłem na trawie, ukryłem twarz w dłoniach i płakałem. Płakałem nad sobą, nad tą absurdalną wojną, nad moimi chłopcami zapakowanymi na wzgórzach w plastikowe worki, nad całym tym przeklętym światem, a człowiek w habicie tańczył i tańczył, potrząsając buddyjskim bębenkiem, wirował i podskakiwał, ogarnięty szalonym rytmem. A ja czułem, jak od tego rytmu z wolna spływa na mnie już od dawna nie zaznane ukojenie.

Pozostawiłem go tam, do końca nie mogąc się przemóc, aby dać znak swojej obecności. Jak przez sen pamiętam, że schodziłem przez mrok, wiedziony jakąś niewidzialną ręką lub instynktem, a odgłos bębena cichł w oddali, aż po którymś kroku zamilkł zupełnie. Kiedy dotarłem do bramy obozu, słońce wznosiło się już ponad ścianą dżungli. Wartowników nawet nie zdziwiło, że porucznik Russel Siebert przyszedł pieszo. Tego ranka cały obóz miał tylko jeden temat do rozmów, zaprzatający bez reszty uwagę wszystkich, od najmłodszego z przysłanych przed kilkoma dniami strzelców po pułkownika Weldona Honeycutta.

Zdażyłem dotrzeć do swojego baraku, by dowiedzieć się od służbowego, że pułkownik wzywa mnie do siebie zaraz po porannym apelu. Od tego samego żołnierza dowiedziałem się także, że przed godziną zamordowano Gilberta, dowódcę drugiego plutonu mojej kompanii.

\* \* \*

Prawdopodobnie nie zdażył się nawet obudzić. Ktoś po prostu wrzucił do jego baraku odbezpieczony granat i uciekł, nie zauważony przez nikogo. A raczej chroniony złą milczeniem, bo nie potrafiłem uwierzyć, aby morderca przemknął się pośród kilkuset obudzonych nocną eksplozją ludzi zupełnie niezauważony.

Nie umiałbym się wtedy nikomu przyznać, że formując swój pluton do porannego apelu, czułem

przede wszystkim ulgę. Nawet nie z tej przyczyny, że śmierć przyszła po niego, a nie po mnie. Śmierć Gilberta dowiodła, że nocne strachy, nawiedzające mnie od kilkunastu dni, nie były szaleństwem, histerią ani załamaniem nerwowym. Okazały się uzasadnionym przeczuciem, reakcją na prawdziwe, wcale nie wyolbrzymiane przez znękaną duszę zagrożenie — i ta świadomość w przewrotny sposób ukołysała na chwilę mój lęk. Nie popadałem w obłąd, naprawdę istniało jakieś zagrożenie. Miałem dwadzieścia trzy lata, dwa tygodnie do końca frontowej tury i nie chciałem umierać.

Nieraz nocami, dręczony bezsennością i hałasami z dżungli myślałem ze zdziwieniem o tym, jaka przepaść dzieliła mnie od tego porucznika Sieberta, który zaledwie pół roku temu wysiadał w Da Nang z oznaczonego wietnamskimi ideogramami samolotu. Tamtemu chłopakowi wydawało się, że wie o wojnie wszystko, co wystarczy wiedzieć, by wyjść z niej cało i wyrwać swoją porcję chwały. Ryzyko śmierci było dla niego po prostu nieodłączną częścią zawodu, który mu się spodobał, zwykłą wielkością statystyczną, czymś, z czym trzeba się liczyć, jak makler musi się liczyć z nagłym krachem na giełdzie. Pojęcie śmierci nie miało dla tego porucznika nic wspólnego ze strachem, strach w ogóle nie mieścił się w jego sposobie myślenia.

Wystarczyło mu pół roku, by krok po kroku odkrywać, że wszystko jest inaczej. Że wojna nie przypomina niczego, o czym wykładano w Akademii, na bohaterów nikt nie czeka z wyrazami wdzięczności i kwiatami, a śmierć równie dobrze jak od wrogów może przyjść z rąk własnych podkomendnych.

— Bardzo się mylicie co do naszego porucznika, chłopcy. — Teatralny szept wybijał się ponad szmer prowadzonych ukradkiem rozmów.

Korzystając z przedłużającej się nieobecności Honeycutta, Swine demonstracyjnie strofował swoich sąsiadów w szeregu, młodych żołnierzy, których twarze wydawały się zupełnie jednakowe i nie mówiły mi zupełnie niczego. Nie miałem czasu ani ochoty nauczyć się choćby ich nazwisk. Niedopatrzenie, które w świetle zasad wykładanych w Annapolis poważnie mnie dyskredytowało jako dowódcę plutonu, ale nie sądziłem, by odpoczynek, jaki pułk dostał po bitwie, miał się tak szybko skończyć i byłem pewien, że do następnej akcji bojowej poprowadzi ich już ktoś inny.

— Mówicie, źle wygląda? Jakby miał jakieś kłopoty ze zdrowiem, źle sypiał albo się czegoś bał? Ale żebyście go widzieli na wzgórzu, tak jak ja! Jaki on tam był odważny, chłopcy, mówię wam, prawdziwy bohater! Siedział z radiotelegrafistą w swojej dziurze i tylko pchał nas naprzód i naprzód, prosto na bunkry! Całkiem jak nieboszczyk Gilbert...

W swoich własnych oczach Swine musiał być niewiarygodnym pechowcem. Nic go nawet nie drasnęło, choć więcej niż połowa z tych, co przeżyli, zdołała się ewakuować w najbliższych dniach po bitwie. Za to w oczach nowo przybyłych uchodził niemal za Boga i to rozzuchwalało go może jeszcze bardziej niż fakt, że kilkakrotnie zdarzyło mi się udawać, że go nie słyszę.

Nie zmieszał się, kiedy na niego spojrzałem.

— Właśnie tłumaczę kolegom, panie poruczniku, że zupełnie źle pana oceniają — mówił, patrząc mi bezczelnie prosto w oczy. — Niech pan sobie wyobrazi, ci młodzi ludzie ośmielili się wysunąć przypuszczenie, że boi się pan stać do nas plecami...

— Zamknij mordę, Swine. — Mój głos był zmęczony, ale zabrzmiał nawet twardziej, niż się spodziewałem.

— Rozkaz, poruczniku. Czy mam przez to rozumieć, że podejrzenia tych młodych ludzi...

— Nie są bezpodstawne — przerwałem mu spokojnie. — A co? Kogoś takiego jak na przykład wy, szeregowy, można się obawiać tylko wtedy, kiedy się do niego stoi plecami. Tak oko w oko to jesteście zupełnie niegroźni. Dopiero jak się do takiego odwrócić plecami, zaraz się robi strasznie odważny i pyskaty.

Teraz w jego wzroku już nie było drwiny, tylko nienawiść. Ja też go nienawidziłem.

— Powiedźcie to na głos, Swine — podjąłem po długiej chwili. — Tak, żebym słyszał i ja, i oni. Nie wiecie nawet, jaką mi sprawi przyjemność wlepienie wam choćby paru dni dostugi.

Znowu chwila dłuższego milczenia, podkreślająca, kto zdobył pole.

— A skoro już, przy okazji... — dodałem, wskazując na czarną chustkę, którą miał na ramieniu jeden z sąsiadów Swine'a. — Widzę, że już się nauczyliście nosić to gówno. Jeśli ktoś chce, to dla mnie to OK. Tylko żeby mi taki spryciarz wiedział, że na każdym patrolu będzie lądował w szpicy albo dostanie do niesienia radio. Osobiście mu to załatwię z następnym dowódcą.

Słońce zaledwie zdążyło się wznieść ponad dachy baraków, a żar już wydawał się niemożliwy do wytrzymania. Stałem na swoim miejscu obok uformowanych do apelu drużyn, czekając ze wszystkimi na dowódcę pułku. Stałem i czułem dwie rzeczy — jak moja nowa koszula przesiąka potem i jak nienawidzą mnie ci chłopcy, przerażeni czekającym ich uganianiem się za cieniami i wystawianiem pleców na strzał.

\* \* \*

Wystawianie pleców na strzał — to właśnie było to, co tak naprawdę tam robiliśmy. Nie miało ono nic wspólnego z wojną, jakiej uczono mnie w Akademii Marynarki Wojennej i na jaką przyjeżdżał ten młody porucznik pół roku wcześniej.

Na naszych sztabowych mapach wyznaczono linie, za które nie wolno było wychodzić. Nie wolno było atakować komunistów w ich bazach, choć na setkach lotniczych zdjęć każde dziecko potrafiłoby pokazać składy broni i amunicji oraz tereny dyslokacji oddziałów. Przeciwnikowi wystarczyło odskoczyć zaledwie pięćdziesiąt mil od Sajgonu, by mógł się śmiać z naszej bezsilności. Łaził jak chciał po tym, co z niewiadomych przyczyn uparliśmy się uważać za kraje neutralne albo strefy zdemilitaryzowane, by w chwili wybranej przez siebie przeniknąć, jak korowód duchów, w gęstwinę dżungli, po której kręciliśmy się niczym ślepe dzieci, czekając, aż ktoś zacznie do nas strzelać.

Wyskakiwaliśmy z helikopterów na jednym z lądowisk i przez zarośla, wysokie trawy lub rozmokłe pola brnęliśmy, objuczeni sprzętem, kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów, do innego lądowiska, skąd te same helikoptery zabierały nas do bazy. Chyba że podczas tej wędrówki wpadliśmy w zasadzkę. Wtedy ci, którzy nie zginęli od pierwszych salw, przypadali ku ziemi, wzywali artylerię i bombowce, podciągali odwody i obłożywszy pozycje wroga ogniem, ruszali do szturm na nie. Po godzinie, dwóch, kiedy szala zwycięstwa przechylała się na naszą stronę, wróg roztapiał się cichcem w gęstwinie, równie nagle, jak wcześniej się pojawił, zostawiając po sobie trupy. Liczyliśmy je starannie i wpisywaliśmy do rubryk raportów, ciesząc się, że jest ich dziesięć razy więcej niż po naszej stronie. Pakowaliśmy naszych zabitych do worków, a rannych do szpitali i wracaliśmy do bazy, chwycić dzień lub dwa odpoczynku, by po jakimś czasie cała historia powtórzyła się od nowa, czasem w innym miejscu, czasem w tym samym.

A nasze raporty, zsumowane i podliczone w równe słupki wędrowały przez kolejne szczeble hierarchii aż do Waszyngtonu, umacniając tam niezłomną wiarę, że politbiuro w Hanoi, przerażone ponoszonymi stratami, złapie się wreszcie za głowy i czym prędzej odwoła swe armie z powrotem na północ, by nie ryzykować wybuchu niezadowolenia wśród wyborców.

Tak to szło, dzień za dniem, tydzień po tygodniu. Ci, którzy szczęśliwie odsłużyli swoją turę,

wracali do domów, na ich miejsce przysyłano nowych, tak że największym problemem dowódcy plutonu było zapamiętać zmieniającą się bezustannie listę nazwisk swojego pododdziału i zapanować nad ruchem papierów. I nagle zdarzył się cud. Na kauczukowych plantacjach Michelina w A Szau patroly trafiły na regularne, potężne umocnienia, bronione przez oddziały, które najwyraźniej nie miały zamiaru po godzinnej strzelaninie rozpuścić się w dżungli. Po raz pierwszy wróg tkwił twardo na wyraźnie określonej rubieży bunkrów i okopów. Nie żaden ulotny cień, nie pojawiający się nagle i znikający demon śmierci, tylko kilka batalionów regularnego wojska, z ciężkim sprzętem, umocnionych na wzgórzu 937, otoczonych i broniących się twardo przez kilka dni.

Nigdy nie będę umiał zrozumieć tego, co się stało później. Przez całą tę wojnę mogliśmy tylko marzyć o tym, by mieć wreszcie przed sobą realnego przeciwnika i broniony teren do zdobycia, zamiast kręcić się ślepo pośród kłusujących z ukrycia, nieuchwytnych zjaw. Nawet sajgońskie bataliony biły się, jakby w nie wstąpił diabeł. Trzeciego dnia dotarliśmy do szczytu wzgórza. Oczywiście, zapłaciliśmy za to ciężkimi stratami. Oczywiście, trupów w sraczkowatych mundurach Ludowej Armii Wietnamu było jak zwykle znacznie więcej, ale to już chyba nikogo nie obchodziło, poza rachmistrzami z Białego Domu. Któryś z żołnierzy puścił w obieg nazwę „Hamburger Hill” i chociaż sam widziałem bardziej krwawe starcia, właśnie to wzgórze miało zostać w pamięci jako symbol najgorszych jatek w tej wojnie.

Oczywiście, nie było najmniejszego powodu, by pozostawać na zdobytym wzgórzu. Zwyciężyliśmy, pozbieraliśmy trupy, przeliczyliśmy je, ewakuowaliśmy swoich rannych i wróciliśmy do bazy, by przyjąć i przeszkolić uzupełnienia, zwłaszcza w dwóch pierwszych plutonach kompanii C, moim i Gilberta, które szły w przodzie i najmocniej ucierpiały.

Ale to, co dla nas oczywiste, dla zwykłych cywilów okazało się niepojęte. Nie potrafili zrozumieć, po co kosztem kilkuset ludzi zdobywaliśmy to wzgórze, żeby je zaraz opuścić. Po co ta wojna, na co idą nasze podatki, w jakim celu giną nasi chłopcy. Dość tego, dość, skończyć zaraz, już, za każdą cenę! Nikt już nie chciał słuchać wyjaśnień oficerów. Coś w ludziach pękło, zaczął się amok. Nowi, których przysłano na miejsce zabitych i rannych, nawdychali się już oparów antywojennych rewolt i to, co ze sobą przywieźli, w połączeniu z rozgoryczeniem weteranów, okazało się mieszanką piorunującą.

Tydzień po bitwie Gilbert pokazał mi zabraną któremuś z chłopców gazetkę, jeden z tych dziesiątków papierów wydawanych przez żołnierzy i zapełnianych w połowie dowcipami, a w połowie sprośnościami. Ale ta była czymś nowym. Brzmiała jak propagandowa broszurka komunistów i stanowiła dowód, że ruch antywojenny wcisnął się już do oddziałów, wzywając do jawnego buntu.

Gilbert śmiał się z ogłoszenia, które, niczym list gończy z Dzikiego Zachodu, obiecywało nagrody pieniężne za wykonanie wyroków na „winnych bezmyślnej masakry Hamburger Hill” — Honeycutcie, dowódcy naszego pułku i, wśród innych, także na nas dwóch. Gilbert śmiał się z tego. Ja nie.

\* \* \*

Pułkownik Honeycutt nie śmiał się także. Miał kamienną twarz i wyraźnie się śpieszył, przyjmując mnie pomiędzy jedną pilną naradą a drugą.

— Słuchaj, Russel — zaczął, uciszywszy mnie ruchem ręki, zanim zdążyłem się przepisowo zameldować. — Byłoby o czym pogadać, ale nie mam wiele czasu. Masz dwa tygodnie do końca tury, prawda?

Dał znak dłonią, że nie oczekuje odpowiedzi.

— Zgodzisz się ze mną, że lepiej, żeby cię tu teraz nie było — mówił dalej. — Zresztą wiem, że nie byłeś ostatnio w najlepszej formie. Dałbym ci urlop, gdybym mógł, ale sam wiesz. Natomiast mogę ci zmienić przydział służbowy. I na to się właśnie zdecydowaliśmy. Zdasz pluton sierżantowi i stawisz się do dyspozycji wydziału prasowego dywizji. Będziesz oprowadzać jakąś cholerną dziwkę, która robi program o bitwie w A Szau.

Dzień wcześniej chwyciłbym się takiej okazji rękami i nogami. Teraz nagle odezwała się we mnie jakaś niezrozumiała niechęć do opuszczenia tej okolicy. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że to ma coś wspólnego z Tańczącym Mnichem. Nieoczekiwanie dla samego siebie powiedziałem:

— Szczerze mówiąc, pułkowniku, nie chciałbym, aby ktokolwiek odniósł wrażenie, że zdołał mnie przestraszyć.

— Daj spokój. — Honeycutt najwyraźniej uznał już rozmowę za zakończoną. — Ten fatalny wypadek z Gilbertem nie ma z tym nic wspólnego. Takie rzeczy się, niestety, zdarzają. Nie prosiłeś o zmianę przydziału, to wychodzi od dowództwa.

— Tego też bym nie chciał. To znaczy, żeby ktoś myślał, że tak łatwo jest przestraszyć dowództwo.

Przez chwilę przyglądał mi się, wyraźnie zdziwiony. Wreszcie rzekł, cokolwiek oschłym tonem:

— Dowodzenie armią w takim kraju jak nasz polega na umiejętnym unikaniu kłopotów, a nie na ich stwarzaniu.

Więc, do cholery, Russel, nie udawaj głupiego, bo pomyślę sobie, że starasz się narobić mi kłopotów. Twój przydział był załatwiony wcześniej, sprawa Gilberta nie ma z tym nic wspólnego. Bądź spokojny, zostanie wyjaśniona, winni poniosą karę i tak dalej. Po prostu w dywizji potrzebują kogoś, kto brał udział w bitwie i może się oderwać od codziennych zajęć. Jesteś jedynym z uczestniczących w niej oficerów, który jest na wylocie. Nie mogę wycofać ze szkolenia nikogo, kto będzie potem uczestniczyć w akcjach bojowych. Zresztą, to jest przydział i żadnych dyskusji na ten temat. Masz jeszcze pytania?

Nie miałem.

— Z tego co wiem, zarezerwowali ci hotel w Lonh Tan. To parę mil stąd. No — dodał na pożegnanie o ton cieplejszym głosem — i postaraj się nie palnąć czegoś, żeby znowu nie robili z nas faszystów.

\* \* \*

W dywizji wdrażano właśnie nową strategię kontaktu z mediami. Nowe strategie kontaktu z mediami wdrażano średnio raz na pół roku, ilekroć jakiemuś przemądrzałemu okularnikowi kończyła się tura, a na jego miejsce przychodził następny, podobny do poprzednika jak dwie krople wody. Każdy nowy okularnik zaczynał od stwierdzenia, że już najwyższy czas poprawić obraz wojny i prowadzącej ją armii w krajowych mediach. Zasypywał przełożonych dziesiątkami propozycji, które ci akceptowali z pobłażliwymi uśmiechami, i przez parę miesięcy urabiał się po łokcie, zanim w

końcu dotarło do niego, że prędzej zdoła wzbudzić sympatię i zrozumienie w oficerach politycznych Ludowej Armii Wietnamu niż w naszych własnych korespondentach wojennych. Wtedy z wolna ograniczał się do rutynowej produkcji papierów, czekając na koniec swojej tury.

Okularnik, do którego wysłano mnie z pułku, był właśnie w początkowej fazie cyklu. Przez prawie godzinę tłumaczył mi, że dziennikarze zasadniczo nie mają żadnych uprzedzeń, tylko po prostu potrzebują dobrych historii. A, generalnie, kiedy Goliat bije Dawida, to nie jest żaden „news”. W tym, że ich relacje wypadają tak bardzo stronniczo, nie ma złośliwości, po prostu obracają się przeciwko nam mechanizmy rynkowe, a do końca psują sprawę schematyzm i szablonowość działań, do jakich, niestety, prowadzi wojskowa rutyna.

Krótko mówiąc, byłem jego pomysłem na nieschematyczność. Żadnej drętwej mowy, objeżdżania pobojuwiska z grupą sztabowców i wizyt w wyznaczonych pododdziałach. Okularnik oczekiwał po mnie, że jako nieszablonowy przewodnik, uczestnik wydarzeń, pomogę telewizji poznać psychologiczną prawdę o bitwie i zobaczyć w żołnierzach normalnych, wrażliwych ludzi, kierujących się szlachetnymi intencjami i poświęcających się dla innych. „Psychologiczna prawda”, powtarzał raz za razem. Psychologiczna prawda heroizmu, to miało być właśnie jego dobrą historią. Ja miałem nią być. „A jeśli będziemy dostarczać dziennikarzom dobrych historii”, powtarzał, „takich, które zarazem spełnią ich fachowe oczekiwania i nasze wymogi propagandowe, dziennikarze będą z nich korzystać, i w ten sposób kreowany przez media wizerunek armii i floty ulegnie wreszcie znaczącej poprawie”.

Po odcedzeniu całego tego pustostłowia z naszej rozmowy wynikały trzy rzeczy. Dziennikarka kierująca ekipą nazywa się Amanda Linton, jest wschodzącą gwiazdą swojej stacji i traktuje nas życzliwie, choć oczywiście, jak całe to środowisko, stara się na każdym kroku demonstrować swój dystans do wszystkich struktur państwowych, z armią na czele. Po drugie, żeby podkreślić nieoficjalny charakter mojej pracy, będę mieszkał w hotelu zajmowanym przez cywilów, głównie doradców rozmaitych firm, starających się nauczyć Wietnamczyków przedsiębiorczości i zasad nowoczesnego biznesu. Jest jednak prośba, żebym nosił mundur. Po trzecie, dostanę samochód, stałą przepustkę do sztabu i list polecający do wszystkich ogniw wojskowej i cywilnej administracji, a gdyby trzeba było gdzieś pojechać albo kogoś umówić, to on czeka na mój telefon.

Z samochodu skorzystałem tego samego dnia. W hotelu mieli rezerwację Amandy Linton, ale ona sama jeszcze się tam nie pojawiła. Ponieważ od czasu Tet w najbliższej okolicy nie sygnalizowano żadnej aktywności komunistów, uznałem, że nie popełnię wielkiego wykroczenia, jeśli korzystając z wolnego czasu, udam się na małą wycieczkę w cywilu.

Znalezienie polany, choć teraz musiałem dotrzeć do niej od przeciwnej strony, nie zajęło mi wiele czasu. Dopiero teraz, w świetle dnia stwierdziłem, że właściwie jest to raczej łagodna rynna, spływająca pod nieznacznym kątem od ściany lasu przez przechodzące gładko w uprawne pole zbocze. Siedem wypalonych ognisk zionęło świeżymi, czarnymi plamami w pieniającym się dziko poszyciu. Po mnichu nie było ani śladu.

Zostawiłem łazik w gęstszej trawie na dole zbocza i długo kręciłem się po tym dość odludnym miejscu, nie wiedząc nawet, czego właściwie szukam. Pod wieczór przyjechałem tam jeszcze raz, ale i wtedy nie napotkałem żywego ducha.

Do hotelu było stamtąd niewiele dalej niż do leżącej po przeciwnej stronie wzgórza bazy i wyobrażałem sobie, że tej nocy znowu będę słyszał obłąkańczy puls bębena. Ale chociaż stawałem w otwartym oknie i wytężałem słuch, tym razem noc nie niosła niczego oprócz swych normalnych szelestów, muzyki owadów i odległych ech. Nie zdobyłem się na nocną wycieczkę, by sprawdzić, czy to odległość stłumiła puls *damaru* czy też mnich tym razem nie przyszedł.

Zasnąłem nad ranem, gdy zaduch wreszcie nieco zelżał. Śniło mi się, że znowu przebijam się drużynami mojego plutonu przez ogień zamaskowanych ziemią i pędami bambusa bunkrów. Forsowaliśmy, jedną po drugiej, linie umocnień, przeskakując okopy pełne zeschniętych od starości trupów, które mierzyły w nas z porzewiałych kaemów, ale upragniony szczyt wzgórza 937 pozostawał wciąż tak samo odległy.

\* \* \*

Do południa następnego dnia Amanda Linton wciąż nie pojawiała się w hotelu. Postanowiłem skorzystać z tej okazji, aby wyjaśnić tajemnicę Tańczącego Mnicha. Zameldowałem się telefonicznie okularnikowi, wypytałem obsługę hotelu i jego stałych rezydentów o pobliskie katolickie świątynie, po czym uruchomiłem silnik służbowego łazika.

W trzecim z kolei, odbudowującym się właśnie po zniszczeniach klasztorze, leżącym przy nędznej, polnej drodze, poznałem ojca Phu. Rozmawialiśmy z największym trudem, gdyż jego angielski był wart mojej francuszczyzny, a wietnamska wymowa do cna gubiła sens powtarzanych wielokrotnie, podpieranych intensywną gestykulacją słów. Nie ustawałem jednak, widząc, że habit okrywający filigranową sylwetkę ojca Phu jest identyczny jak habit mojego mnicha.

Tak, *l'abbe* Charles jest mu znany, *naturellement*, każdy tutaj o nim słyszał. Nie, ojciec Karol nie mieszka w tym klasztorze. Jest już stary, *trop vieux*, nie ciąży na nim normalne obowiązki kapłańskie. Dziś ojciec Karol jest *gardien des tombes* — rozumiałem, że pilnuje jakiegoś cmentarza. Parokrotnie powtórzył też słowo *fosse*, które kojarzyło mi się z przecinającym polanę ognisk zagłębieniem. Nie jest *crazy* ani *insense*, zapewnił mnich, tylko po prostu trochę dziwny. On bardzo stroni od ludzi. To wszystko przez to, co przeżył, kiedy był *leprisonnier de guerre*, po Dien Bien Phu. Tak, do Wietnamu przybył gdzieś w czterdziestym ósmym, był w Legii Cudzoziemskiej, w niewoli spędził kilka lat i wyrabiano tam z nim straszne rzeczy. Ojciec Phu kilkakrotnie powtarzał tu słowa *suplicier* i *torturer*.

Ale po traktacie pokojowym, kiedy pozostałym przy życiu francuskim jeńcom zwrócono wolność, postanowił nie wracać do metropolii i złożył śluby. Bardzo pomógł przy ewakuowaniu katolików z północy. Kiedyś nawet szukał towarzystwa amerykańskich żołnierzy, rozmawiał z nimi, ale od kilku lat bardzo zamknął się w sobie. A co właściwie sprawia, że go szukam? Jeśli przybywam od kogoś z jego dawnych uczniów czy znajomych, ojciec Phu spróbuje posłać mu wiadomość, ale nie może zagwarantować skutku.

Koniec końców nie dowiedziałem się ani gdzie można znaleźć ojca Karola, ani dlaczego pali nocą ogniska i odprawia przy nich obrzędy z całą pewnością nie przypominające katolickiej liturgii. Nie dowiedziałem się też, dlaczego właściwie tak zależy mi znalezieniu go, skoro wtedy, w nocy, nie miałem dość odwagi, by wyjść spomiędzy drzew i pokazać mu się na oczy. Ale wiedziałem przynajmniej tyle, że na to ostatnie pytanie nie mógł mi odpowiedzieć nikt poza mną i Tańczącym Mnichem.

— Niech pan go lepiej zostawi w spokoju — prosił ojciec Phu. — On naprawdę nie jest *insense*. Po prostu wiele przeżył.

Amanda sprawiła na mnie raczej miłe wrażenie, choć zdrowy rozsądek uparcie przypominał, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta kobieta mnie nienawidzi i powinienem uważać na każde



wypowiadane przy niej słowo. W wygłaszane z przekonaniem tezy okularnika nie wierzyłem ani w ząb. Może i dziennikarze, jak twierdził, potrzebowali tylko dobrych historii, ale na pewno najlepszą z możliwych byłoby dla nich opisanie porucznika Russela Sieberta jako zakamieniałego militarysty, rozkoszującego się o poranku zapachem napalmu.

Ale rozsądek swoje, a irracjonalne wrażenie swoje. W gruncie rzeczy żaden mężczyzna, jakkolwiek by go ostrzegać, nie uwierzy nigdy, że ładna dziewczyna może knuć coś złego. Zwłaszcza jeżeli dziewczyna nie wydaje się nieprzystępna, a on dawno już nie miał kobiety.

Tak się właśnie składało, że od dawna nie miałem kobiety, a Amanda wydawała się bardzo sympatyczna.

— Porucznik Russel Siebert? To ja jestem tym pańskim zadaniem bojowym — zaczęła rozmowę, gdy wreszcie pojawiła się w hotelowej restauracji. Jej uśmiech miał w sobie coś prowokującego i zarazem obiecującego.

— Zadaniem bojowym? Jakiego rodzaju boje ma pani na myśli?

— Och, doskonale pan wie. — Odczekała chwilę, wygrywając dwuznaczność rozmowy. — Ja będę się starała za wszelką cenę podważyć dobre imię armii i sens tego, co ona tu robi, a pan ma najpierw dawać mi nieustępliwy odpór, a potem, w sprzyjających okolicznościach, śmiałym atakiem przeciągnąć na swoją stronę.

Tutaj powinna się raz jeszcze kokieteryjnie zaśmiać, ale nagle zmieniła ton, a jej sympatyczna buzia przybrała wyraz zamyślenia.

— Tak to panu na pewno przedstawili przełożeni, prawda?

— Oczywiście. To jest w stylu tych paskudnych morderców dzieci, którzy pragną narzucić całemu światu amerykański styl życia i obłędny kult konsumpcji. Tak to przynajmniej zwykli przedstawiać pani koledzy po fachu.

Daj spokój, hamował mnie mój wewnętrzny głos. Będzie cię zwodzić, prowokować i kusić, żebyś się z czegoś zwierzył albo do czegoś przyznał, albo dał jej jakikolwiek pretekst do obsmarowania cię, a do łóżka i tak w końcu z tobą nie pójdzie.

Amanda, nadal zadumana, pokiwała tylko głową.

— Miejmy to już za sobą — zamknęła ten wątek i sięgnęła po kartę. Czekać na słodko—kwaśną wieprzowinę z młodymi bambusami, wyjaśniła mi, na czym jej zależy. W ustach młodej, ładnej dziewczyny brzmiało to szokująco, wręcz cynicznie, ale, może właśnie dzięki temu, wiarygodnie.

Uważała, że przyszłość nie należy do gazet, tylko do telewizji. Za dziesięć, piętnaście lat, wybory będzie wygrywał ten, kto lepiej wypada przed kamerą, a w dziennikach będzie się liczył tylko obraz, bo komentarza ludzie i tak nie zapamiętują — chyba że jakieś złośliwe powiedzonko. Jej kolegom z młodości wydaje się, że robią kariery, wpychając się do wiodących dzienników albo tygodników w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Okularnikowi — nazywała go Marvin — wydaje się, że robi karierę, bo zabłyśnie w służbie prasowej armii i zaraz wezmą go, jeśli nie do Białego Domu, to co najmniej do któregoś z komitetów Kongresu. Gówno prawda, to ona robi karierę. Idzie w górę w stacji, stacja idzie w górę w ramach sieci, a oglądalność całej sieci rośnie z miesiąca na miesiąc.

— Potrzebuję dobrego obrazu, wie pan? Czegoś, co wstrząsa. W czym jest prawdziwy dramat, namiętność, rozdarcie. Bohaterstwo i strach, cokolwiek, byle nie dało się na to patrzeć obojętnie.

Za cztery dni przylatywała ekipa zdjęciowa. Do tego czasu Amanda miała mieć gotowy scenariusz półgodzinnego filmu o ludziach, którzy zdobywali Hamburger Hill. Przy drugim kieliszku francuskiego wina poprosiła:

— Szczerść za szczerść. Dobrze?

— Proszę pytać.

— Jakie uczucie wzbudza w panu Hamburger Hill? Proszę, niech pan powie swoje pierwsze skojarzenie. Co w panu budzi myśl o tej bitwie?

Musiałem się długo zastanawiać. Strach? Nie. Zmęczenie? Poświęcenie? Wreszcie powiedziałem:

— Bezsilność.

Spojrzała na mnie pytająco.

— To wszystko jest nadaremne. To wszystko, co tutaj robimy. Straszne marnotrawstwo. Ludzi, pieniędzy, bohaterstwa. Tak sędzę.

Pokiwała głową, z miną, z której nie potrafiłem wywnioskować, czy ta odpowiedź przypadła jej do gustu czy nie, i zmieniła temat.

\* \* \*

Resztę dnia spędziliśmy na planowaniu *researchu* i wyznaczaniu ewentualnych rozmówców do filmu. Nie kazała sobie opowiadać przebiegu bitwy, tego wszystkiego, gdzie, która drużyna, o której godzinie. Okazało się, że zna to nawet lepiej ode mnie. Zamiast tego prosiła, żebym dzielił się z nią zapamiętanymi obrazami z bitwy, a potem w ogóle z całego mojego pobytu w Wietnamie. Kadry pamięci, jak to nazwała.

— Dobrze — mówiłem. — Spróbuj to zobaczyć. Rozległe pole wysokiej do pasa trawy, ostre słońce. Potworne gorąco, pot dosłownie zalewa oczy. W poprzek zbocza, przez tę sięgającą wyżej pasa trawę przedziera się kilkunastu obładowanych bronią i sprzętem ludzi, w hełmach i kamizelkach przeciwodłamkowych. Idą, zmęczeni, kilometr za kilometrem, zupełnie donikąd i w duchu rozpaczliwie opędzają się przed zwątpieniem w sens tej swojej wędrówki.

Albo:

— Noc, ale nie dająca ulgi od gorąca. Dżungla, zaduch, ani najlżejszego powiewu. Okop pełen żołnierzy, wszyscy są zmęczeni, ale jakoś nie chce się spać. Zresztą nie wolno. Nie można zdjąć hełmu ani odłożyć broni. Więc ludzie rozmawiają ze sobą. Biały z czarnym, chłopak ze wsi ze studentem, który zgłosił się na ochotnika. Nikt nie wie, czy za chwilę jeszcze będzie żył, więc mówi się o wszystkim, tak szczerze, jak nigdy wcześniej i nigdy potem w życiu. O tym, byś mogła zrobić film, o tych nocnych rozmowach w okopie.

Kiwała ze zrozumieniem głową, z półprzymkniętymi oczami, jakby starała się przywołać pod powiekami opisywany przeze mnie obraz.

Wieczorem pojechałem pokazać jej bazę, potem trochę chodziliśmy po mieście i późnym wieczorem zasiedliśmy do kolacji. Po kilku kieliszkach powiedziała, że mile ją zaskoczyłem i że jest we mnie jakaś tajemnica, której nie potrafi rozgryźć. Szczerze mówiąc, spodziewała się jakiegoś ograniczonego prymitywa, a ja jestem mężczyzną silnym, a mimo to wrażliwym, i jeszcze nigdy w życiu nie spotkała nikogo podobnego. Pokażcie mi faceta, który nie lubi słuchać takich kawałków. A potem, już bez dalszych ceregieli, poszliśmy do łóżka.

Amanda okazała się dziewczyną cudownie niewymagającą. Cokolwiek robiłem, zdawała się w pełni usatysfakcjonowana. Gdy ją pieściłem, pomrukiwała cicho z rozkoszy i uśmiechała się jak kot w spiżarni, a jej drobne, różowe sutki pęczniały pod dotykiem mych warg niczym dojrzewające do zbioru owoce. Miała szczupłe palce, delikatne, ale mądre i zdecydowane. Z każdą chwilą oddalałem

się od świata, wszystko stawało się nieważkie, niepotrzebne, w końcu nawet jej pojękiwania i westchnienia zaczęły się stawać coraz bardziej odległe. Pozostał tylko puls łomoczący mi w uszach, kiedy wreszcie zagłębiłem się w jej miękkim cieple. Pozostawał dotyk, smak, poblask słabego światła na naszych ciałach i niezwykle rytm, towarzyszący każdemu ruchowi i każdemu z jej coraz głębszych jęków. Rytm, który popychał mnie głębiej w szaleństwo, ku całkowitej nicości, ostatniemu zapomnieniu, ekstazie.

W końcu, wyczerpany, opadłem obok niej na posłanie, chwytając głęboko parne powietrze nocy. Rytm nie cichł, przenikał mnie nadal, jednostajny, tak odległy, że prawie niedosłyszalny, i nagle, na moment przed zaśnięciem, uświadomiłem sobie, że już od dawna znowu słyszę *damaru* Tańczącego Mnicha. Poderwałem się, nie tłumacząc niczego Amandzie, nawet się nie oglądając, i półnagi, w rozsznurowanych butach, powiewając wciągana w biegu koszulą, wypadłem na podjazd przed hotelem, do zaparkowanego tam łazika.

\* \* \*

Siedem ognisk płonęło w tych samych miejscach, co wtedy, ale tym razem mnich nie tańczył. Siedział nieruchomo, na linii tworzonego przez ognie kręgu, z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Uniesiona ręka z bębenkiem zataczała na wysokości czoła niewielkie kręgi — w miarę, jak się zbliżałem, coraz wolniejsze i wolniejsze. Oddychałem z trudem, zdyszany po biegu od samochodu.

Nie wiedziałem, czego właściwie chcę, co powinienem zrobić. W końcu usiadłem naprzeciwko mnicha. Bębenek zatoczył w powietrzu jeszcze kilka łuków, coraz wolniej, aż w końcu zamilkł.

Ojciec Karol podniósł głowę, ale nie patrzył na mnie. Miałem wrażenie, że spogląda przeze mnie jak przez szybę, nie wiem, czy w ogóle mnie zauważył. Powiedział coś uroczystym tonem, w jakimś szeleszczącym, nie przypominającym niczego języku. Odniosłem wrażenie, że czeka na odpowiedź.

— Przepraszam... — odezwałem się wreszcie, nie wiedząc, jak powinienem się zachować. — Nie rozumiem pana. Czy mówi pan po angielsku?

Twarz, nieruchoma jak ceremonialna maska, drgnęła.

— Nie rozumiesz? Ty nie rozumiesz? — W jego głosie zadrgało zdziwienie. — Daj spokój, zły duchu. Znam cię lepiej, niż sądzisz. Wiedziałem, że przyjdiesz. Nie boję się.

Mówił z dziwnym akcentem, ale nie jak Francuz. Raczej jak Niemiec, twardo. Prawda, tamten zakonnik mówił o nim, że służył w Legii Cudzoziemskiej, więc przecież nie mógł być Francuzem. Chociaż... Musieli przecież mieć tam także swoich, zwłaszcza oficerów.

W każdym razie, przynajmniej w jednej sprawie nie mogłem odmówić ojcu Phu słuszności — ten człowiek był rzeczywiście dziwny.

— Nie ma pan powodu się mnie bać — zacząłem niepewnie. — Po prostu od kilku nocy słyszałem pana bębenek i byłem ciekaw... Nie chciałem przeszkadzać.

Przyglądał mi się długo, aż wreszcie spytał:

— Kim ty właściwie jesteś, chłopcze?

Miałem ochotę odetchnąć z ulgą.

— Porucznik Russel Siebert, 187 pułk piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych. Słyszałem w nocy pański...

— Co tu robisz?

Zastanawiałem się dłuższą chwilę, nim z goryczą w głosie odparłem:

— Prawdę mówiąc, sam chciałbym to wiedzieć. Myślałem, że bronię dobrej sprawy i prawa narodów do życia w wolności. Ale wszyscy zachowują się tak, jakby nikt nie potrzebował mojej pomocy albo jakbym samą obecnością tutaj wyrządzał komuś krzywdę.

Pochylił głowę. Wydawało mi się, że zadrżały mu ramiona, jakby odprężał się po długotrwałym napięciu. Poświata ognisk pełzała po jego włosach i habicie, zamieniała wszystko dokoła w mrowisko tańczących bez chwili wytchnienia żółtych i czerwonych błysków.

— Wybacz, chłopcze — rzekł wreszcie łagodniejszym głosem. — Wziąłem cię za kogoś innego. Szykowałem się tutaj na ważne, bardzo ważne i bardzo trudne spotkanie.

— Nie chciałem w niczym przeszkadzać. Po prostu usłyszałem przypadkiem ten bębenek...

— Nie istnieją przypadki, chłopcze — pokręcił głową. — Nie wierz w to. A już zwłaszcza tego dźwięku nikt nie słyszy bez przyczyny.

Nie miałem na to odpowiedzi.

— Nie wierzysz, prawda? Nie dziwię się. Ale pozwól zapytać: gdzie byłeś wtedy, kiedy pierwszy raz go usłyszałeś? Ile kilometrów stąd? Posłuchaj, to przecież nie jest głośny dźwięk.

Zakręcił bębenkiem i rzeczywiście, teraz wydało mi się oczywiste, że ten dźwięk absolutnie nie mógł przeniknąć do mnie przez kilka mil dżungli. Nie pomyślałem o tym wcześniej.

— Nikt poza mną tego nie słyszał.

Jego oczy lśniły w czerwonym blasku płomieni. Powoli wyszeptał:

— To znak... To dla mnie znak. Oczekiwałem śmiertelnego wroga, a przybył posłaniec. O Boże, wybacz mi, że zwątpiłem... — Mnich zakrył twarz rękami, jego głos ścichł nagle jeszcze bardziej. Trwał nieruchomo, mamrocząc pod nosem jakieś modlitwy. Starłem się mu nie przeszkadzać. Miałem wielką ochotę oddalić się, póki był na to czas. Nie wiem, co mnie powstrzymało. Może po prostu poddałem się nastrojowi nocy, rozświetlonej pełgającym blaskiem.

Gdy wreszcie podniósł głowę, zauważyłem, że płakał. Ale jego twarz była już spokojna, głos mu nie drżał. Zapytał:

— Czy przyglądałeś się kiedyś biegowi strumienia? W jednym miejscu woda płynie spokojnie, a w innym nagle skręca, ściera się z innym strumieniem, pieni się albo tworzy wiry. Czy powiedziałbyś, że to wszystko jest dziełem przypadku?

— Nie — odparłem w końcu. — Dno może być wypiętrzone albo zapadnięte...

— Albo w głębinie walczą akurat ze sobą ryby, tworząc fale. Prawda?

— Tak.

— Wiesz to, bo możesz patrzeć na strumień z góry i sięgać wzrokiem głębiej. Ale wyobraź sobie, że płyniesz po powierzchni, niesiony prądem, twarzą do góry i nie możesz się obrócić. Kiedy jakaś fala pchnie cię na skałę lub omal nie zatopi, nie wiesz, że tam w głębi czatujący drapieżnik właśnie rzucił się na swą ofiarę albo że stało się cokolwiek innego. Co byś wtedy myślał o miotających tobą falach? Że rządzi nimi przypadek, prawda?

— Dlaczego pan... Dlaczego mi to mówisz?

— To pierwsza lekcja, chłopcze. Pierwsza lekcja, jakiej nauczyło mnie życie. Mój Boże, byłem bardzo tępym uczniem. Długo trwało i trzeba było wiele bólu, nim zrozumiałem, że trzeba się odwrócić i spróbować przeniknąć do głębi, zrozumieć, co się tam dzieje, co powoduje fale.

Milczałem, słuchając jak urzeczony słów mnicha. A on opowiadał mi swoją historię. Długą historię. Mówił powoli, urywanymi zdaniami, wpatrując się w płomienie.

— Wydawało mi się, że żyję gdzieś na samym końcu świata. W spokojnym, sennym kraju, z dala

od wszelkich wojen, gdzie tylko w niedziele szło się z książeczką do nabożeństwa do kościoła w sąsiedniej wsi. A potem nagle pojawił się On i świat zapłonął. Zsyłki, Syberia... Śmierć. Całą rodzinę pochowałem w śniegach, ale udało mi się uciec, z armią, na Zachód. Laliśmy za nich krew, bo nic innego nie mieliśmy do zaoferowania... Tam, gdzie wasze armie nie dawały rady, tam posyłały nas, a myśmy ginęli jak durnie. Ale krew, kiedy jest już wylana, to tani towar. Wojna się skończyła i nikt już nas nie potrzebował. Do kraju wracać nie było jak, ziemi mi nikt nie zamierzał dać, a co ja innego umiałem poza prowadzeniem gospodarstwa? Tylko wojować. Poszedłem do legii, co było robić. Połowa z tych, co tu się za Francuzów bili, w tej dżungli, to byli nasi.

Uniósł nagle głowę i wpił we mnie ostry, pałający gorączką wzrok.

— Wy, Amerykanie, jesteście religijni ludzie, nie tak jak te żaby. Wierzysz w Boga, chłopcze?

— Tak.

— Nie. Tak tylko sądzisz. Rodzice nauczyli cię modlić się i chodzić na nabożeństwa, więc jesteś przekonany, że wierzysz... Ale to nie jest wiara. To jest nawyk, przyzwyczajenie. Pewnego dnia stajesz przed czymś, co jest zbyt potworne, aby uwierzyć i aby się pogodzić. I wtedy nagle sobie uświadamiasz, że twoja wiara niczego nie wyjaśnia i przed niczym nie broni. Nie możesz zrozumieć, jak ten dobroduszny, sympatyczny Bóg z twojego katechizmu może na coś takiego pozwalać. I pewnego dnia nagle wyrzucasz go precz, razem ze wszystkimi dotychczasowymi złudzeniami. I pozostaje ci tylko gorycz, pustka, którą rozpaczliwie trzeba czymś zapełnić.

Nie zastanawiałem się od wieków nad tymi sprawami, ale teraz uświadomiłem sobie, że mnich ma rację. Tak. Gdzieś w głębi, nieświadomie, dojrzywałem do odrzucenia wszystkich dawnych wyobrażeń o tym, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe.

— Ze mną było dokładnie tak samo. Nie będę ci opowiadał, co w życiu widziałem i co czułem, bo i tak nigdy tego nie pojmiesz.

— Wiem... Ojciec Phu wspominał, że byłeś na północy, w niewoli. Mówił o torturach... Mnich zaśmiał się gorzko.

— Tortury! Nawet ich nie pamiętam. Chłopcze, ja widziałem, jak torturowano i mordowano całe narody! Widziałem rodziców, którzy przetrwali, bo zabili i zjedli własne dzieci. Przeżyłem piekło, jakiego nikt z was nie potrafi sobie nawet wyobrazić! — Sapał ciężko, jakby każde z tych słów sprawiało mu ból. — A potem widziałem, że to wszystko nikogo nie obchodzi. Że świat nie chce wierzyć, a choćbyś mu podetkał pod nos dowody, zamknie oczy i odepchnie cię precz, zniechęci jeszcze. Widziałem, jak wszyscy się łąsają do zbrodniarzy, jak marzą, by już wreszcie przyszli i wzięli ich wszystkich do obozów! Boże, myślałem, że dostanę obłędu, patrząc na to wszystko...

— A potem, tutaj, znowu spotkałem Jego — mówił po dłuższej przerwie, coraz bardziej chaotycznie. — On zawsze przychodzi wtedy, kiedy już dojdiesz do granicy i nie wiesz, jak dalej żyć. I zawsze ma pod ręką to, czego potrzebujesz. Ja wtedy właśnie zdołałem się obrócić i zajrzeć w głąb nurtu, w to, co naprawdę rządzi zdarzeniami. Dostrzegłem, że tam trwa walka. Żeby naprawdę uwierzyć w Boga, trzeba stanąć twarzą w twarz z tym, który chce zniszczyć każde jego dzieło.

Czułem się pusty, jakby ktoś mnie wydrażył i jakby Tańczący Mnich napełniał mnie teraz swoimi słowami. Chłonałem je, zbierałem w sobie, choć większości wtedy nie rozumiałem. Ogień wirował wokół mnie, zatrałem poczucie czasu i rzeczywistości, jak w narkotycznym transie. A mimo to pamiętam do dziś każde jego słowo, pamiętam, jakim głosem je wypowiedział i jak błyszczały mu oczy.

Wstawał już świt, kiedy poczułem w ręku śliskie od starości drewno i uświadomiłem sobie, że starzec włożył mi w dłoń swoje *damaru*, po czym powiedział łagodnie:

— To cię będzie chronić. A teraz idź. Ja już muszę odpocząć. Ty będziesz za mnie pilnował

grobow i pamięci. Tylko tyle możemy zrobić w tej walce, ale ktoś cię wybrał i musisz temu sprostać. Wróc tu dzisiaj i każ odsłonić tych, po których stąpamy. Niech umarli przemówią. I nie pozwól, żeby zamknięto im usta.

\* \* \*

Wracałem, jakbym budził się z głębokiego snu. Kiedy zatrzymałem samochód przed hotelem, siedziałem w nim jeszcze długo, trawiąc słowa mnicha i coraz bardziej nabierając niechęci do siebie za to, że pozwoliłem mu się tak oczarować. W świetle dnia wszystko wyglądało inaczej niż w rozświetlanej ogniskami nocy. Światu wróciły właściwe proporcje.

Potem mój wzrok padł na otrzymane *damaru*, leżące na siedzeniu obok kierowcy. Gdyby nie ono, trudno by mi było uwierzyć, że naprawdę spędziłem noc, wsłuchując się jak zahipnotyzowany w wywody starego, zwariowanego mnicha z jakiegoś dalekiego kraju, tak obcego, że nawet nie chciało mi się odgadywać jego nazwy.

Otrząsałem się w końcu, schowałem bębenek pod fotel i ruszyłem na górę. Ostatnie słowa Mnicha warte były sprawdzenia, bez względu na wszystkie urojenia, jakimi osnuł na własny użytek fakty.

Spodziewałem się ze strony Amandy wyrzutów, a przynajmniej stanowczego żądania wyjaśnień, dlatego opuściłem ją w środku nocy jak szalenciec, ledwie zdążywszy się ubrać. Jedno wiedziałem na pewno, nie powinienem nawet próbować opowiedzieć jej o Tańczącym Mnichu i dźwięku jego bębenka.

Ale, mimo wczesnej pory, dziewczyny nie było w pokoju. Nie znalazłem jej także w hotelowej restauracji. Żeby nie tracić czasu, postanowiłem zadzwonić do okularnika, by jak najszybciej ruszył sprawę. Poszedłem do recepcji, do telefonu. I tam właśnie spotkałem Amandę.

Nie zdążyła się umalować. Jasne włosy, wczoraj opadające filuternie na jedną z brwi, teraz przewiązała tylko tasiemką. Rozmawiała z kimś podniesionym głosem, wyraźnie podekscytowana, powtarzała pytanie, czy coś jeszcze wiadomo. Zauważyła mnie dopiero wtedy, kiedy odłożyła słuchawkę.

— Nareszcie — rzuciła, ale była zbyt przejęta, aby mi robić wymówki. — Jeszcze jeden telefon i jedziemy do waszej bazy.

— Posłuchaj, Amanda — powiedziałem. — Sekundę, dobra? Do bazy możemy pojechać w każdej chwili, ale chcę, żebyś wiedziała, że mam dla ciebie coś, co może być bombą. Tak jak chciałaś, obraz, na który nie da się patrzeć obojętnie. O kay?

Nie myślałem o tym w taki sposób. Po prostu uznałem, że tak trzeba z nią rozmawiać.

— Tak? Co to ma być? — zapytała raczej chłodno.

— Zobaczysz. — Zabrałem jej spod ręki telefon i zacząłem wykręcać bezpośredni numer do mieszkania okularnika.

— Słuchaj, Russel — odezwała się po chwili zniecierpliwiona. — Może to nie jest aż tak pilne. A przynajmniej powiedz, co dla mnie masz, żebyśmy mogła porównać.

— A co ty masz?

— Nie wiesz?! — zdumiała się. — Naprawdę? W nocy ktoś próbował zastrzelić pułkownika Honeycutta. Podobno rana jest niegroźna, ale to właśnie znaczy, że będą próbować dalej. Wszyscy

korespondenci z całej okolicy szturmują waszą bazę, a warta ma przykazane nikogo nie wpuszczać. Rozumiesz? Muszę mieć parę rozmów na ten temat, proszę, załatw mi to, a zrobię wszystko, co tylko będziesz chciał. — Mówiła szybko, coraz bardziej zirytowana. — Słyszysz mnie? Tylko daj mi pierwszy kontakt, a ja już znajdę kogoś, kto mi o tym opowie do kamery. Doprowadź mnie do któregoś z tych żołnierzy, co noszą czarne chusty. Russel, do kurwy nędzy, słyszysz, co do ciebie mówię?

Słyszałem, ale nie byłem w stanie odpowiedzieć. Stałem przy recepcji jak skamieniały, nie mogąc uporać się z absurdalną w sumie myślą, że to się dzieje za każdym razem wtedy, kiedy widzę się z Tańczącym Mnichem. I że gdyby mu wierzyć, nie może to być przypadek, choć, na miły Bóg, nie miałem nawet cienia pomysłu, co jedno może mieć z drugim wspólnego.

— Kapitan Marvin, słucham — odezwał się w słuchawce zaspany głos okularnika.

\* \* \*

Siedziałem na kępie trawy, niemal w tym samym miejscu co w nocy, i nie mogłem oderwać wzroku od rosnącego z każdą chwilą dołu. Przysłani z dywizji żołnierze narzekali, że posłano ich do takiej głupiej roboty, trochę próbowali się zgrywać, ale szybko stracili na to ochotę. Utyskiwali tylko na upał i narastający smród, zmieniając się przy łopatach.

Patrzyłem niczym zahipnotyzowany, jak wyrrywają ziemi jej tajemnicę. Smród stał się na tyle intensywny, że kierujący żołnierzami porucznik kazał wszystkim obwiązywać sobie twarze chustami, nasączonymi jakąś cuchnącą amoniakiem mieszkanką.

Nie trzeba było nawet głęboko kopać. Spod zwałów błotnistej piasku wyjrzała na światło przegniła stopa. Potem druga. Nogi okryte zbutwiałym płótnem szerokich spodni. Ręce skrępowane ciągnącym się w obie strony sznurem. Skurczony malutki trup przypominał dziecko. Nie można było dokładnie go odsłonić.

Spod pierwszych zwłok wyglądały następne. Trupie twarze, zmienione rozkładem w gładkie, błotniste maski, z ziejącymi w nich jamami, wypełnionymi zgnilizną. A pod nimi następne i następne, zdawało się, że aż do samego środka Ziemi — płatanina poskręcanych straszliwie ciał, na wpół rozłożonych nóg brzuchów i powiązanych z tyłu rąk, pozadzieranych głów zastygłych w okrutnym paroksyzmie, zmieniających się pod dotykiem w lepki szlam.

Nad cmentarnym dołem zapadła teraz cisza. To, co nazwałem w myślach rynną, było zasypanym parowem, wypełnionym po brzegi zabitymi Wietnamczykami. W którymkolwiek miejscu zaczynało się kopać, zaraz odnajdywano grubą, splątaną warstwę trupów. Mogły ich tam być tysiące. Żołnierze odchodzili na bok i wymiotowali, po pięć, sześć razy, samą żołącią. W końcu trzeba ich było zmienić. Ktoś ściągnął z dywizji całą kompanię z łopatami i sprzętem do przesiewania ziemi. Pojawili się ludzie z długimi łątami do pomiarów. Wokół wykopu rozpinano dzielące go na kwadraty sznurki, ktoś szkicował plan ułożenia pierwszej warstwy. W dole zbocza robiło się coraz bardziej gęsto od samochodów.

— Poruczniku? Poruczniku? Wszystko z panem w porządku?

Podniosłem wzrok na stojącego przy mnie podoficera, po raz kolejny tego dnia mając wrażenie, że budzę się z głębokiego snu.

— Wszystko w porządku, poruczniku?

— Tak, dziękuję. Nic mi nie jest.

— Może zejdzie pan na dół, napije się kawy? I tak musi pan się stąd ruszyć, będziemy poszerzać wykop.

Pokiwałem głową i sztywny, jakbym siedział w nie swoim ciele, ruszyłem w stronę zaimprovizowanego parkingu.

\* \* \*

Okularnik pojawił się zaraz po południu. Starał się zachować właściwą miejscu powagę, ale można było zauważyć, że w środku aż się trzęsie z radości. Ten masowy grób miał być, w jego głębokim przekonaniu, punktem zwrotnym w stosunku mediów do naszej obecności wojskowej w tym przeklętym kraju, a on tą właśnie osobą, której nazwisko będzie się z owym zwrotem wiązało. Wypełniony trupami rów miał się stać jego przepustką do wydziałów *public relations* w Kongresie, centralach wielkich koncernów, może nawet w Białym Domu. Byłem więcej niż pewien, że poinformował przełożonych, iż to on sam dowiedział się od miejscowej ludności o miejscu masowej egzekucji.

Nie interesowało mnie to ani odrobinę. Kiedy się zbliżyłem, jakiś stojący obok okularnika major mówił do grupki przywiezionych przez niego dziennikarzy:

— Musieli wpędzać ich do parowu i rozstrzeliwać z pistoletów maszynowych, z góry. Wielu było tylko rannych, zasypano ich żywcem. — Umilkł na chwilę, jakby dawał czas na jakieś pytanie. — Sądzę, że jest ich tu trzy tysiące. Dokładnie tylu właśnie ludzi spodziewamy się tutaj znaleźć.

Dziennikarze słuchali go uprzejmie, ale nie okazywali specjalnego zainteresowania. Odniosłem wrażenie, że wręcz starają się zademonstrować dystans do wszystkiego co mówił, ale byłem skłonny wierzyć, że jestem bardzo przewrażliwiony. Ostatnie słowa majora wywołały jednak pewne ożywienie.

— Skąd możecie to wiedzieć już teraz? Major wyraźnie czekał na te słowa.

— Pół roku temu, w czasie tak zwanej ofensywy Tet, pobliskie miasto zostało na kilka dni opanowane przez dwa pułki północnowietnamskie. Może zwróciliście państwo uwagę, że większość świątyń i budynków publicznych w tej okolicy jest w trakcie odbudowy albo wzniesiono je na nowo. To właśnie ślad tej krótkotrwałej okupacji. Kiedy wyzwoliliśmy miasto, okazało się, że około trzech tysięcy jego mieszkańców zostało uprowadzonych w niewiadomym kierunku przez wycofujące się jednostki...

— To wasza wersja. Źródła w Hanoi podają, że wielu obywateli skorzystało wtedy z okazji, by przenieść się do wolnego kraju, po prostu uciekli wraz z wycofującymi się. Rozmawialiśmy ze świadkami, którzy to potwierdzają.

— Proszę pani, to nie byli pierwsi z brzegu ludzie. Te trzy tysiące stanowili przede wszystkim lokalni urzędnicy, kapłani, personel medyczny, bogaci chłopci... Wietnamczycy z wykształceniem, z górnych warstw społecznych. Tacy w większości popierają władze w Sajgonie. Poza tym od samego początku wojny są oni głównymi ofiarami terroru ze strony komunistów...

W grupie dziennikarzy przyjęto ostatnie słowa z narastającym szumem. Ktoś krzychał:

— A dowody?! Dowody?! Jakie macie dowody, że ci ludzie tutaj to rzeczywiście ci sami, którzy zaginęli pół roku temu?



— Na razie jeszcze żadnych — oznajmił major.

To z kolei skwitowane zostało słabymi śmiechami i starannie zanotowane.

Amanda, tak jak się spodziewałem, także była w tej grupie. Dostrzegliśmy się niemal w tym samym momencie. Odeszła na bok. Teraz była już znowu w pełnej gali, starannie uczesana.

— Poradziłam sobie bez ciebie — poinformowała oschle.

Puściłem to mimo uszu i zapytałem, pokazując w stronę odkrywanego grobu:

— Widziałaś to?

Skinęła głową.

— Znam sprawę.

— Czy to nie jest temat na twój film? Nie o to ci chodziło?

Popatrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby pomiędzy irytacją a zawstydzeniem.

Zaczęła pojednawczo:

— Wiesz, to na pewno ważne. Ale...

— Ale co? Wzruszyła ramionami.

— Musiałabym mieć jakichś świadków. Sam obraz, nawet wstrząsający, nie wystarcza. Musi być jeszcze ktoś, kto go skomentuje.

Czułem ogarniającą mnie złość.

— W porządku. Mam kogoś, kto ci o tym opowie. Chodź ze mną.

— Słuchaj, mam jeszcze dziś trochę pracy...

— To tuż obok, niedaleko. Chodź — niemal siłą zaciągnąłem ją do łazika. Ruszyliśmy, nie oglądając się za siebie, w stronę odbudowywanego klasztoru, gdzie rozmawiałem z ojcem Phu.

Milczała. Widocznie uznała, że nie warto dyskutować z szaleńcem. Zdawałem sobie sprawę, że mogłem na niej robić takie wrażenie. Gdy byliśmy już w połowie drogi, zagadnąłem już spokojniej:

— I co, rozmawiałaś z żołnierzami?

— Mhm.

— I co mówili?

— A nie wiesz?

— Pytam.

— Że wojna jest i tak przegrana. Że w najbliższych tygodniach na pewno zapadnie decyzja o rozpoczęciu wycofywania wojsk. I że trzeba być ostatnim frajerem, żeby dać się zabić jako ostatni.

— A nie zapytałaś ich, czy pomyśleli, co tutaj będzie, kiedy się wycofamy? Ile będzie takich grobów jak ten na wzgórzu?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

— Ty naprawdę wierzysz, że Wietnamczycy z północy byliby zdolni do czegoś takiego?

— A kto, na litość boską, mógł to, twoim zdaniem, zrobić?

Pytanie zawisło w podskakującym na wybojach samochodzie.

— W każdym razie — oznajmiła — chwilowo nie ma żadnej pewności, kto ich zabił. Zaproponuję ten temat kierownictwu stacji. Ale na razie mam zrobić film o bitwie, pamiętasz? A nie szukać śladów zbrodni wojennej...

Nie pamiętam, co chciałem odpowiedzieć. Nagle dostrzegłem wyrwę w drodze i musiałem mocno nacisnąć na hamulec. Podrzuciło nas i szarpnęło do przodu, coś wytoczyło się z kłosem spod mojego siedzenia. Sięgnąłem odruchowo ręką.

To był bębenek Tańczącego Mnicha. Zdażyłem już o nim zapomnieć. Wymijając dziurę w drodze, uniosłem go w prawym ręku, po prostu chcąc pokazać Amandzie przedmiot należący do człowieka, do którego ją wiozłem. Otwierając usta, by to powiedzieć, zakręciłem odruchowo nadgarstkiem i

*damaru* wydało z siebie ten charakterystyczny, klekoczący dźwięk.

Nie od razu zrozumiałem, co się dzieje. Z prawego siedzenia dobiegł mnie jej wściekły krzyk, zakończony urywanym charkotem, przechodzącym w dźwięk przypominający syk węża. Odruchowo wcisnąłem hamulce, zjeżdżając na pobocze.

Kiedy mogłem się obrócić, nie krzyczała już. Siedziała odsunięta ode mnie najdalej, jak mogła, wpatrując się w trzymany przeze mnie bębenek. Jej wzrok był zimny jak ostrze noża, rysy twarzy zmieniły się w jednej chwili, jakby nałożono na nią potworną maskę o wąskich, zaciętych ustach. Maskę pełną nieopisanego zła.

Poczułem, jak całego mnie ogarnia paniczny strach. Chciałem zerwać się, wyskoczyć ze zwalniającego samochodu i biec, biec gdzieś przed siebie, jak najdalej, ale mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Chciałem raz jeszcze zakręcić bębniem, ale i do tego nie byłem zdolny.

— Więc ten stary błazen dał to tobie? — spomiędzy warg dziewczyny dobył się okropny, szeleszczący głos diabła. — Tego się spodziewałem.

Przeniósł wzrok na mnie i zarechotał złośliwie, napawając się moim przerażeniem.

— Nie musisz zawracać biednej dziewczynie głowy i wozić jej do tego błazna. I tak go już nie zastaniesz. Ukąsiła go rano bambusowa żmijka. Znasz te bambusowe żmijki. Takie małe, zielone, pamiętasz? Mówią, że jak kogoś taka ugryzie, powinien spokojnie usiąść pod drzewem i zapalić papierosa. Zanim dopali do połowy, już będzie sztywny.

Milczałem skamieniały z przerażenia.

— Pomyślałeś, Russel, co właściwie ten stary dureń miał z życia? Co? Sześćdziesiąt lat z jednej katorgi w drugą. Chcesz tak i ty? Twoja sprawa. Ale on ci przedstawił propozycję, więc i ja przedstawię swoją. Zapomnij o bzdurach. Myśl o sobie, Russelu Siebercie. Ja cię mogę uczynić wielkim i sławnym. Powiedz Amandzie do kamery, że tych ludzi zamordowali sajgończycy i że sztab floty na pewno o tym wiedział, a CIA może nawet zainspirowało całą sprawę. Pójdź tą drogą, a ja zadbam, abyś na tym dobrze wyszedł. Ja jestem wszechpotężny, nie zauważyłeś tego jeszcze? Ja jestem Księciem Tego Świata, nawet tamten musi to przyznać.

Poruszyła się, zbliżając do mnie. Największym wysiłkiem woli zdołałem poruszyć zeszywniałą ręką. Bębenek zaklekotał miarowo raz i drugi. Cofnęła się nieznacznie.

— Nie próbuj mnie tym straszyć! — zasyczał odrażający głos. — Gdybym chciał cię zniszczyć, już bym to dawno zrobił. Ale wiesz co? Po prostu nie mam powodu. Tak jak z tym starym. Czy on mi szkodził? Pomyśl sam. Chcesz, zostaniesz bohaterem. Tłumy na całym świecie będą się zachwycały twą prawością i odwagą, z jaką wystąpiłeś przeciwko zbrodniczemu reżimowi. A jeśli nie, to co zyskasz? Tylko tyle, że to wszystko przypadnie komuś innemu. O twoich odkryciach pies z kulawą nogą się nie dowie, będziesz się snuł gdzieś po obrzeżach życia, żaloszny, nikomu niepotrzebny wariat. I będziesz bezsilnie patrzył, jak ja wygrywam.

Znowu ten odrażający śmiech.

— Możesz się mnie nie bać, słyszysz? Nie zrobię ci teraz krzywdy. Dla tych, którzy mi się nie podporządkowują, mam znacznie gorszą karę. Karę bezsilności. Muszą szarpać się w rozpacz i patrzeć, jak zawsze, wszędzie, krok po kroku wychodzi na moje. Jak każdy ludzki poryw szlachetności obraca się na moją korzyść. Muszą trawić życie w rozpacz, tłuc głową o mur i przeklinać swego nieudolnego Boga, który nie potrafi im dać niczego poza niewygodami i mętными obietnicami. Jeszcze możesz wybrać, Russelu Siebercie. Ja mogę cię uczynić wielkim i szczęśliwym, a ty nie możesz mi nic zrobić, zupełnie nic.

Moja lewa ręka, od dłuższego czasu poruszająca się rozpaczliwym, owadziim ruchem, natrafiła wreszcie na klamkę. Wypadłem z pochylonego lekko na burtę łazika i omal nie runąłem w trawę, nie

mogąc zmusić zdętwiałych nóg do biegu. Śmiał się, gdy uciekałem, sycąc się moim przerażeniem i bezsilnością. Wiedziałem tylko jedno, że chcę uciekać jak najdalej, na oślep, że chcę znaleźć cokolwiek, czego będę się mógł uchwycić i co da mi siłę, bo nie miałem niczego, zupełnie niczego. Biegłem przez ryżowisko, potykając się co chwila i przewracając. Wstawałem i biegłem dalej, niezgrabny niczym drewniana lalka, przerażony jak nigdy w życiu, wciąż ścigany złośliwym, triumfującym śmiechem, i wciąż nie mogąc pojąć tego, co się stało. Biegłem, ściskając bezsilnie rękojeść bębena, a przed oczami latały mi czarne plamy, jakbym za chwilę miał utonąć.

Potem śmiech ucichł i tylko dobiegały mnie z dala krzyki Amandy:

— Wracaj! Pieprzony wariacie, co ty sobie myślisz? Wracaj tu!

Ale nawet się nie odwróciłem. Szedłem długo, przedzierając się przez zarośla, aż serce uspokoiło się, strach minął i ogarnęła mnie przeraźliwa pustka.

Nie wiem, jak długo trwało, zanim uświadomiłem sobie, że dobiegam się do furty odbudowywanego klasztoru.

Ojciec Phu mówił, że gdy mi otworzono, miałem postarzałą twarz i oczy pełne łez.

*lipiec 1996*

*Jacek Dukaj*

IACTE

*W życiu piękne są tylko chwile.*  
Dżem

# I.

## W Dolinie Czasu

To w Dolinie Czasu — w Dolinie Czasu Podążający Za Cieniem, łowca zwierząt i ludzi, czarownik i znachor, pół Cayuga, pół Francuz, zorientował się, iż ktoś go ściga. Tropiciel jest tropiony. Nastąpiła pora powrotu rzek do źródeł. Jelenie polują na wilki. Ktoś idzie po śladach Podążającego Za Cieniem, ktoś depta zdeptaną przezeń ziemię.

Delikatnie obrysował końcem wielkiego łuku obcy odcisk buta, odcisk buta białego. Co za wielka stopa. Olbrzym. Jaki wielki, taki głupi. Ślepy by dostrzegł takiego tropiciela. Nieregularny ciąg skaz piaszczystej gładzi ciągnął się brzegiem strumienia przez ładnych kilkanaście metrów, równoległe do śladów Podążającego Za Cieniem, specjalnie tu przezeń wczoraj pozostawionych dla pogoni, wówczas zaledwie przypuszczalnej. Teraz to już pewność. Jeden biały.

Podążający Za Cieniem po raz pierwszy zauważył, że ktoś za nim idzie jeszcze na przełęczy. Padlinożercy go ostrzegli: znak na niebie. Nad jarem, gdzie pozostawił truchło karibu, oskórowane i pozbawione co smaczniejszych części mięsa, unosiło się ich pół tuzina. Obserwował je przez chwilę z grani. I wtedy jeden runął nagle w dół jak kamień; a zaraz potem drugi. Reszta pospiesznie jęła się wspinać na wyższy pułap. Cóż to za boski łucznik, zdumiał się Podążający Za Cieniem, nie doczekawszy się huku strzelby.

Zgodnie z zasadą wiecznej podejrzliwości przyjął, iż jest poprzez te dzikie ostępy tropiony. Zaczął zastawiać pułapki; jego tropiciel wpadł w pierwszą z nich: zmusiwszy go do przejścia po odpowiednim podłożu, Podążający Za Cieniem parę mil dalej rozpląnął się w powietrzu: strumień, skała, strumień, kamieniste zbocze — i ani śladu za sobą. Zatoczył szerokie półkole i oto stał nad swym własnym tropem sprzed dnia. Biały olbrzym jest gdzieś w przodzie, bardziej na południowy zachód.

Kucnął, przymrużył lewe oko i ocenił długość kroku mężczyzny: naprawdę wzrostu musi być nieprzeciętnego. Co tu robi? Czemu zapuścił się tak głęboko na terytorium wolnych plemion? Dlaczego za mną idzie? I jak długo? Od samej faktorii nad Erie? To niemożliwe. Jakież mógłby mieć powody? Zemsta? To jest siła, która byłaby w stanie go do tego pchnąć, ludzie większe szaleństwa popełniają z nienawiści, dla nienawiści. Ale — zemsta za kogo?

W Dolinie Czasu nie mieszka żaden szczep, nie jest ona niczym stałym terenem łowieckim, to ziemia neutralna. Na wschodzie, trzy dni drogi stąd, żyją Ludzie—Węże; synowi jednego ze starszych wioski pomógł niegdyś w upolowaniu niedźwiedzia. Zawsze mógłby zwrócić się do nich o pomoc. Choć miał nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Ruszył po śladach własnych i białego. Biegł. Powinien dojść tamtego przed zmierzchem. Znał swój rytm i znał odległość. Skreślił w las; gałęzie siekły go po twarzy, zahaczały o niemal proste łączyisko ukośnie przecinające plecy — pozostawiał za sobą dodatkowy poszept rozbudzonej

puszczy. Ciężka sakwa obijała mu niezgodnie z tempem biegu kręgosłup, mimo podwójnej skóry kurtki czuł twardą krawędź jakiegoś upakowanego w torbie przedmiotu. Był świadomy najmniejszej nierówności gruntu pod miękkimi podeszwami mokasynów; wolałby biec bosy, by nic nie zakłócało intymności jego kontaktu z ziemią: nie pieści się kobiety dłonią w rękawicy. Biali ziemi nienawidzą, okazują jej pogardę; zadziwiająca jest ta łatwość, z jaką wykrzesują z siebie równie skrajne, co absurdalne uczucia. Znał ich, żył z nimi, więc wiedział. Może taki właśnie jest ten olbrzym: ogłupiały, oszalały z pogardy; założył się z kimś, że upoluje Indianina — dwóch, czterech, dziesięciu — to możliwe, takie rzeczy się zdarzają.

Jakieś zwierzę przemknęło obok, równoległe do pohuraganowego zawału — cień ciemny pośród cieni zielonych. Tropiciele wciągnął powietrze przez nos: nic nie wyczuł, wiatr był z nim. Gdzieś daleko rozstukał się dzięcioł, odpowiedziało mu echo. Tropy znikwały, to znów się pojawiały — nie zwracał na nie uwagi, biegł na pamięć.

W Dolinie Czasu rzeczywistość jest silniejsza, nie sposób się jej oprzeć, uległby jej ślepy, głuchy, pozbawiony węchu i czucia. Tu nawet sny są prawdziwsze. Doznania atakują człowieka z bolesną nachalnością. Woda jest sto razy bardziej wilgotna, rośliny i zwierzęta tysiąc razy bardziej żywe, powietrzem można się upić. Trzeba się naprawdę starać, by nie ulec przypadkowemu zauroczeniu przez kamień śródkorzenny, barwę kory, rozedrganie krawędzi liścia, pieśń wiatru. To święte, święte miejsce. Nie przelano tu ludzkiej krwi od niepamiętnych lat. Ale też nigdy dotąd nie powstała tu stopa białego.

W Dolinie Czasu, gdzie wszystko jest nowe i pierwsze — nie zostanę, nie chcę zostać pierwszym mordercą.

Słońce stało dwie dłonie nad granią, gdy Podążający Za Cieniem dotarł do żlebu, za którym kończył się jego stary trop. Zwolnił i zdjął z pleców łuk, wyższy od niego samego. Wspiął się na zbocze i skręcił ku strumieniowi, wybierając drogę na skróty. Szedł teraz powoli, naprzeciw nieregularnym porywom wiatru, wsłuchując się w każdy szept puszczy; przekrzywiał lekko głowę, jakby usiłując pochwycić jakieś zakazane dla zwykłych śmiertelników głosy z sąsiedniego świata — długie, czarne, proste włosy opadały mu w nieładzie na pierś i plecy, dziwnie wyglądał w takiej pozie. Szedł. Ziemia przyjmowała jego stopy miękko, bezgłośnie. Omijały go gałęzie. Oczy jego prawie się nie poruszały: dawno opanował sztukę kontroli postrzegania peryferyjnego, nie umykał mu żaden ruch, a teraz nie wzrok, lecz słuch stanowił zmysł dominujący. Mijał drzewa jak ludzi w zapatrzonym w celebrę tłumie. Teren jał ponownie opadać: Podążający Za Cieniem zbliżał się do strumienia, od przeciwnej, niż poprzednio strony. Jak zawsze, w chwili napięcia, w preludium niebezpieczeństwa — rozswędziały go boleśnie blizny po straconych palcach.

Szum wody na kamieniach. Prześwity śródbrzewe.

Zatrzymał się za wysokopienną sosną; stąd widział strumień i skalny zawał, przez który się on pieniał. Wolna od zarośli przestrzeń szeroka była na jakieś trzydzieści kroków. Na drugim brzegu znajdowała się piaszczysta polana, czarna plama zgaszonego ogniska ściągała spojrzenie do jej środka. Nad wodą unosiły się chmury owadów. Wśród kamieni zawału sunął wąż. Zachodzące słońce różowiło wiecznie zbełtaną powierzchnię potoku.

Instynkt. Padł na ziemię na ćwierć oddechu przed uderzeniem kuli w pień sosny. Posypały się nań odłamki kory. Nie mógł pojąć, co się dzieje. Nie było, nie było najcichszego nawet huku wystrzału. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy: przypadkowy pocisk ze zbyt wielkiej na dźwięk odległości — odpadło po pierwszym zerknięciu na bliznę po kuli na cieple sosny: strzelano z dołu, z drugiej strony strumienia, spod zbocza.

Przypłaszczony do ziemi, wycofał się znad szczytu skarpy, wężowym sposobem bardziej się

wijąc, aniżeli czołgając; od zapachu ściółki przemknęło mu wspomnienie dusznego, upalnego lata z dzieciństwa. Dochodziły go zza strumienia jakieś hałasy, lecz nie mógł się w nie pilnie wsłuchać, nie miał czasu i okazji, musiał uciekać, licząc na to, iż strzelec zajęty jest ponownym nabijaniem broni.

— Zatrzymaj się! — krzyknął po angielsku niewidoczny mężczyzna. — Wróć!

Cóż to za głupiec niesłychany, zdumiał się Podążający Za Cieniem; po natężeniu i nikłym pogłosie krzyku ocenił dzielącą ich odległość na jakieś sto kroków. Wystarczy. Osłonięty od strony strumienia szerokim pniem wiekowego dębu, wstał i wyprostował się, już ze strzałą na cięciwie i łukiem wpołnapiętym, ściskanym w trójpalczastej dłoni. Nie bardzo rozumiał, jakim cudem został spostrzeżony, ale skoro stało się, nie miało to teraz znaczenia — nie myśleć o tym: przeszło, minęło — obojętne. Zastanawiało go natomiast niemalże szaleńcze postępowanie strzelca. Czyżby faktycznie wariat? Opętany olbrzym?

Słyszał go doskonale, jak wspinał się na skarpę nadwodną i przedzierał przez las, nie cichszy od rannego niedźwiedzia.

Blżej i blżej. Tak blisko, że Podążający Za Cieniem odłożył łuk i wyjął zza pasa tomahawk; tamten przebiegł tuż obok. I rzeczywiście. Już słyszał jego oddech. Jęki ziemi ugniatanej tymi wielkimi stopami. Zamarł przyciśnięty do pnia, sprężony niczym drapieżnik przed skokiem.

A potem wszystko się jakoś skotłowało, pomieszało, chaos zapanował absolutny w porządku wydarzeń — i w pamięci tropiciela zapisały się one mozaiką bladych faktów, pozbawionych przyczyny i skutku.

Więc uderzył, trafił olbrzym, tego był pewien, widział obuch tomahawka odskakujący od jego czaszki. Odstąpili, zakręcili się wokół siebie. Któryś z nich krzyczał. Czy Podążający Za Cieniem uderzył po raz drugi? Czy to tamten go zaatakował? Nie mógł sobie później przypomnieć. Ciągłość czasu powróciła w chwili, gdy obaj stali naprzeciwko siebie, o trzy kroki oddaleni, mierząc się wzrokiem; olbrzym celował w Podążającego Za Cieniem z tej swojej strzelby, a sam Podążający Za Cieniem zamarł w pół zamachu tomahawkiem, bojąc się sprowokować mimowolny strzał. Olbrzym dyszał.

— Luis Lavier — sapnął po chwili — nie uciekaj, nie chcę ci uczynić krzywdy. — A wciąż mierzył z biodra do tropiciela, ta jego przedziwna krótkolufa broń (a nie pistolet przecież!) ani drgnęła.

Cayuga zastanawiał się w panice nad czymś innym; w istocie ledwo zarejestrował słowa białego i fakt, że zna on jego francuskie nazwisko. Martwiło Podążającego Za Cieniem, czy aby nie rozgniewał duchów tego miejsca, czy nie zbecześcił Doliny, czy nie dopuścił się świętokradztwa, atakując tu człowieka. Może to dlatego jego cios — wszak śmiertelny — nie wyrządził olbrzymowi żadnej szkody? Czy duchy były przeciw niemu? To niepokojąca perspektywa.

— Nie spodziewałem się ciebie z tej strony, nie rozpoznałem cię. Nie chcę cię zabijać. Jesteś mi potrzebny. Poszedłem za tobą, żeby cię wynająć.

Co mam robić?, myślał tropiciel. Należy się wystrzegać gniewu zmarłych. Niebezpiecznie jest mieć w nich wrogów. Obym tylko ich bardziej nie rozsierdził.

Powoli wsunął tomahawk za pas i uniósł na wysokość twarzy puste dłonie. Łuk leżał pod dębem; nawet nań nie spojrział.

Biały opuścił broń. Spróbował się uśmiechnąć; niezbyt mu to wyszło.

Podążający Za Cieniem zaczął się cofać, powoli stawiał wstecz nogę za nogą. Teraz mógł się przypatrzeć olbrzymowi; jedynie przez porównanie wydawał się on wielki, zbudowany był proporcjonalnie i nie wyglądał na żadnego dziwoląga. Za to ubranie doprawdy miał dziwne i z



dziwnym akcentem mówił. Popatrywał cokolwiek skonsternowany spode łba; długie jasne włosy spięte miał na karku, pozbawionego blizn wysokiego czoła nie znaczyła żadna zmarszczka: młodszy był od Cayugi, młodziej wyglądał.

— Pójdiesz za mną — powiedział bez śladu intonacji pytającej. Uniósł strzelbę. Rozstawił szerzej nogi. Wszystko w nim było groźbą. Czaiła się ona i w lśnieniu tych metalowych przedmiotów, które wisiały mu przy pasie, i na sprzączkach kurtki.

Podążający Za Cieniem na tyle długo żył wśród białych, by przyswoić sobie ich sposób rozróżniania tchórzostwa od ostrożności. Teraz więc tylko powoli postąpił w bok, pochylił się i podniósł łuk. Nie spuszczał oczu z jasnowłosego; a i tamten z niego.

— Uważaj — rzekł olbrzym — ja wiem, jak szybko potraficie tego użyć. A tu i tak nie jesteś w stanie nic uczynić wbrew mej woli i myśli.

Po czym przerzucił strzelbę lekko w bok — swobodnie, lecz złowróźnie szybko — i nacisnął spust. Od dębu odprysnął spory kawał kory. W ciszy. Żadnego huków wystrzału. Cayuga ani drgnął. Lufa na powrót była ku niemu skierowana. Już wiedział, że ta broń ładowania nie wymaga.

I w takim porządku przeszli lasem do skarpy, w dół, przez strumień i na polanę. Podążający Za Cieniem, rzecz jasna, szedł przodem, nie widząc białego mierzącego mu w plecy — choć prawdę mówiąc, słyszał go wyraźnie: mężczyzna po prostu nie umiał chodzić po puszczy. I przez chwilę tropiciel nawet rozmyślał, czy aby nie uskoczyć w bok, nie uciec niespodzianie — lecz aż tak bardzo nie dowierzał zapewnieniom olbrzyma.

Dotarli do wygaszonego ogniska. Tu blondyn kazał Cayudze się zatrzymać, po czym zniknął na moment między drzewami; wrócił z wypchanym czymś workiem, który zarzucił sobie na plecy. Zaskoczył szamana, uśmiechając się doń szczerze. Przełożył w tył strzelbę, zawieszoną na jakimś dziwnym rzemieniu. Spojrzał w niebo. Przypatrzył się tym swoim świecidełkom. Potem rozpoczął rytuał.

## Czary, czary

— Trzymaj się blisko mnie!

Ale przecież w ogóle się nie poruszał; siedział zmartwiał z łukiem przerzuconym przez uda, sakwą pomiędzy nimi, zgarbiony, ze wzrokiem panicznie utkwionym w horyzoncie, starając się ignorować przerażające manifestacje magii olbrzyma. Tak naprawdę było to niemożliwe.

Strumień przebłysnął się gorąco w srebrnołuskiego węża, co miast ślepi posiada wklęsłe zwierciadła; gad zatańczył w górę na ogonie, rozkolebał się niepewnie i skoczył spiralnym łukiem, pozostawiając za sobą suche łożysko potoku, z tysiącem zielono obrosłych, gładko obtoczonych kamieni. Podążający Za Cieniem odruchowo jeszcze bardziej się skulił i pochylił, gdy lśniący potwór ze świstem sunął ponad. Spojrzał potem za nim: wąż pożerał niebo. Wgryzł się w nie śmiertelnie, wbił kły i wsączył jad; przedziwnym sposobem Cayuga widział tę trującą ciecz, jak pędzi pod powierzchnią materii nieboskłonu od horyzontu do horyzontu, coraz cieńszymi i cieńszymi żyłami, niczym szczelinami rzeczywistości, by w końcu rozlać się brudnobrązowo po całej sferze niebieskiej. Dotarłszy do Słońca, jad przebarwił je na zielono; zieleń szybko wyblakła — Słońce się skurczyło, przygasło i zbladło do trupiej bieli. Od tego wszystkiego wichur taki rozszalał się po Dolinie, że gięło i łamało konary grube jak ramię mężczyzny. Tropiciel nieomal oślepnął od podniesionego pyłu i

kurzu. Ogluchł od demonicznego wycia burzy. Stracił z oczu jej ojca, zniknął mu gdzieś olbrzym. Trzęsa się ziemia. Drżał w posadach świat. Podążający Za Cieniem jął się modlić. Słowa wpółwypowiedziane połykał huragan. Gesty niedopełnione zamazywał mrok i zawierucha. A mrok ten się zagęśniał: ziemia, wzorem węża wody, poczęła pożerać zatrute niebo. Czarne szczęki przełęczycy zaciskały się na nim okrutnie powoli — coraz bliżej i bliżej, i bliżej siebie szczyrzyły się wyrastające spośród szczerbiastych dziąseł grani, krzywe kły górskich szczytów, jeszcze przed chwilą tak łagodnych. Cayuga wrzeszczał. Jesteśmy połykani! Nadgryzione Słońce. I nie ma go. Nieba coraz mniej. Ciemność — i huk.

Otworzył oczy w szoku po nastaniu ciszy.

To była jakaś jaskinia. Bardziej to wyczuł, niż zobaczył, bo mrok, w odróżnieniu od hałasu, nie minął.

We wnętrzu ziemi, pomyślał; w boskim żołądku. Grota przełyku. Podniósł się na kolana. Szmer jego ruchu poniosło chłodnym echem.

Święty dym, przemknęło mu; znajduję się pod wpływem jakichś ziół: ta lekkość... wszystko dziwnie lekkie. Nienaturalnie realne; nawet dotyk kamienia boli. Oszłomienie Cayugi było tak wielkie — wpatrywał się w półmrok, macał szaleńczo przestrzeń wokoło, dyszał, niczym z topieli wyciągnięty — że raz i drugi ujrzawszy sylwetkę ludzkiego cienia, nie skojarzył jej z czymkolwiek, zignorował jako plamę bezświatła. Dopiero potem pomyślał: bóg — demon — człowiek — biały olbrzym.

Krzyknął: — Ty! — i po angielsku: — Ty! Ty! Demonie! — i w ojczystym narzeczu: — Rozkazałeś skale mnie pożreć! Pogrzebałeś mnie! Biały Diable! — i znowu po angielsku: — Zabiję cię!

Ale nawet kroku ku niemu nie postąpił.

Cień się rozszczepił, przegęstnił i błysnął nagłym blaskiem, w szybkim jak zwięźnienie źrenicy samozniszczeniu i wyświeceniu sylwetki olbrzymia. Olbrzym dzierżył kulę światła w uniesionej ponad głowę ręce. Poza tym nie zmienił się, także w owym ponurym spojrzeniu spod ciężkich nawisów łuków brwiowych.

— Za mną — rzekł, odwrócił się i ruszył przed siebie, w ustępujący posłusznie mrok.

Podążający Za Cieniem podążał za światłem. Tyle się wahał i zastanawiał, ile czasu zabrało mu podniesienie łuku i sakwy. W rzeczy samej nie miał wyboru.

Grota była olbrzymia. Szli i szli. Żadnych ścian, żadnych nierówności podłoża. Ich dwóch i ich cienie. A jak sprowokują głośniejszy dźwięk, to aż przerażenie bierze od wieloszeptnej głębi oddechu jego echa. Żołądek Ziemi. Ochroń mnie, Duchu Duchów, wyprowadź z Podziemi. Wieczne posłuszeństwo, Duchu Duchów; dary jakie chcesz, ofiary jakie chcesz. Przywróć mnie Słońcu!

Coś przed nimi. Słup. Wielki. W nieskończonej ciemności podstropowej ginie. Podeszli bliżej. To były spiralne schody.

Kość Ziemi. Jęli się wspinać po niej. Wyżej i wyżej, wciąż skręcając za lewą ręką. Liczył stopnie, żeby nie myśleć — źle myśleć podczas bitwy, oddaj się terażniejszości, strach to dziecko czasu przyszłego. Stopień. Stopień. Stopień. Buty olbrzymia migają mu pośród skłębionych cieni na wysokości oczu. Schody były bardzo wąskie, lecz zabezpieczone wysoką, osiatkowaną balustradą, że nie sposób było z nich spaść. Stopień. Stopień. Stopień. Drewno? Kamień? Co to za materiał? Stukał weń końcówką łuku. Wyklął się z tego jakiś specyficzny rytm. Tylko olbrzym fałszował. Szybko szedł. Stopień. Stopień. Stopień. Tysiąc siedemset czterdzieści dwa, tysiąc siedemset czterdzieści trzy... koniec.

Wyszli. Jeszcze jakiś kręty korytarz w skale — i oto już światło dnia, powietrze wielkich

przestrzeni, zapach życia. Podążający Za Cieniem krzyknął i wybiegł na zewnątrz; wyprzedził olbrzyma. Za bardzo się pospieszył, zmysły nie zdążyły go ostrzec — szok powalił Cayugę na kolana.

— Śmieeeeerć!

To nie był jego świat. Już po zapachu powinien poznać. Zły, obcy zapach, zapach niezrozumiały: warkocz woni nieznanych i niebezpiecznych. I dźwięki: wiatr tak nie wyje, wiatr tak nie świszczę, las tak nie szumi. Ale musiał to zobaczyć. Trupioblade, skurczone słońce. Niebo koloru błota. Za małe, za ciasno objęte horyzontem. Krajobrazy, jakie mogą się przyśnić tylko w nocy po Obrządku Noża. Chora, granatowoczarna powłoka puszczy... to nie puszcza, to nie drzewa. Podmienione, skarłałe, spotworniałe. Chmury niczym włosy rozczesane na nieboskłonie. Lecą jakieś monstrualne ptaki... to nie ptaki. W oddali demony wrzeszczą na wiatr. Płonie fioletowym ogniem fragment widnokregu; zmysł, który nie zawiódł go od dzieciństwa, zawodzi Podążającego Za Cieniem teraz: nie potrafi rozpoznać stron świata.

— Śmieeeeeeeeerć!

Biały olbrzym pochylił się nad nim i dźgnął go w szyję srebrnym szponem. Tropiciel zwiotczał, osunął się na ziemię i stracił przytomność.

## Jesteś snem

Nie po raz pierwszy budził się związany; wiedział, że skrępowano mu nogi i ręce, właściwie zanim na dobre się ocknął. Więc nie otwierał oczu. Słuchał.

Rozmawiali po angielsku, ale połowy słów nie rozumiał i domyślał się ich znaczenia z kontekstu; mylił go również ten przedziwny akcent.

— ...musieli je wygasić. Pomijając już destabilizację plazmy, współczynnik absorpcji czaszy skoczył w górę. Poza tym siada cała hydraulika ramion. Są przecieki. Parę dni temu rozsadziło czwarty pierścień cumowniczy. Dekompresja. DeWonte i jego ludzie tną wszystko na kawałki i ładują na te szybowce.

— Czemu? Co z wahadłowcami?

— Zostawili sobie jeden dla bezpiecznej ewakuacji, jako szybowiec komfortowy. Bo i taki z nich pożytek. Niedawno na Piszczelach próbowaliśmy podnieść kilka.

— I co?

— Czworo zabitych. Teraz już nikt ci nie wsiądzie. A na automatykę nie masz co liczyć. Na orbicie jeszcze jakoś to idzie, ale tu... przecież wiesz — kalkulatorów możesz użyć co najwyżej w charakterze świecidełek dla Trupów.

— Chyba się upiję... Charlie, na miłość boską, to były przecież ledwo dwa tygodnie!

— Fitzpatrick zaczyna budować lepianki.

— Fitzpatrick jest wariat.

— Budweiser?

— Nic mocniejszego?

— Niestety.

— Skąd masz?

— Podwędziłem z ostatniego zrzutu.

Coś trzasnęło, rozległ się syk; Biały Diabeł westchnął ciężko.

— Co zrobisz z tym dzikusiem? — spytał ten drugi.

— To tropiciel, geniusz polowania. Rozumiesz, francusko–angielskie pogranicze, Ameryka Północna, osiemnasty wiek. Indianin, ale ojciec biały, żeby się można było w ogóle dogadać. Zastanawiałem się nad Pigmiejami, ale to już przesada.

— Uch... ale cuchnie. Na co ci on?

— A jak myślisz? Wytropi mi Saint–Pierce’a.

— No tak... twoja stara obsesja. Opuściłbyś siebie.

— Przecież to wszystko jego wina!

Dłuższą chwilę milczeli. Podążający Za Cieniem analizował niezrozumiałe słowa i zdania.

— Może lepiej już się zbieraj — mruknął Charlie. — Do Piszczeli jest kawałek.

— Jak tam landrover? Na chodzie?

— Mhm... ktoś go sobie pożyczył. Możesz wziąć tylko tego jeepa. Ej, puszki są teraz cholernie cenne! I nie śmieć mi tu.

Biały Diabeł — rozpoznał go tropiciel po zapachu — złapał Cayugę za ramię i zaczął nim potrząsać i szarpać. — Pobudka, pobudka — mruczał.

Podążający Za Cieniem otworzył oczy.

— Wstawaj, szamanie — uśmiechnął się doń szyderczo olbrzym. — Nastął dla ciebie czas cudów. Trafieś do Krainy Wiecznych Łowów. No, uwolnię cię, jak tylko się przekonam, że nie zamierzasz popełnić jakiegoś szaleństwa.

Cayuga nie odpowiedział. Rozglądał się po wnętrzu. Była to zwykła, niskostropowa chata, wzniesiony z drewna jednoizbowy budynek o paru wąskich oknach i mocnych drzwiach — myśliwska chata obronna. Potem zogniskował spojrzenie na meblach i mniejszych przedmiotach wypełniających pomieszczenie — i skojarzenie mu umknęło. Powtórnie przejrzał na oczy. To drewno — w istocie nie było drewnem, ciałem drzew, jakie znał. Szyby w oknach — tylko przezroczyścieścią przywodziły na myśl szkło. A kiedy zaczął się zastanawiać nad zalegającymi pod ścianami stosami metalu — najróżniejszego kształtu, barwy i stopnia zniszczenia — zupełnie stracił panowanie nad wyobraźnią.

Przypomniął sobie przedśmiertny widok ciemnoniebieskiego pogórza i błotnistej nieba. Krzyknął bezgłośnie na krótkim wydechu.

Drugi z rozmówców — Charlie — niewiele był niższy od Białego Diabła. Siedział przy stole na krześle wykonanym z dziwnego materiału, ubrany jedynie w niemal pozbawioną nogawek, górną część spodni, i bawił się metalicznie połyskującym przedmiotem walcowatego kształtu, pokrytym jaskrawymi malunkami i krzywymi ściegami czegoś, co wyglądało na pismo: Podążający Za Cieniem nie umiał czytać.

— Biedak jest przerażony — ziewnął Charlie.

Biały Diabeł spojrzawszy badawczo tropicielowi w oczy; Cayuga nie odwrócił wzroku, znał ten rytuał. Diabeł — który, pozostawszy w swych myśliwskich spodniach, miał na sobie jedynie bezrękawną, wciąganą najwyraźniej przez głowę, jednolicie czarną, a niemożliwie cienką koszulkę — zaczął grzebać po kieszeniach, w końcu coś wyjął, rozległ się trzask i wyblysnęło mu z dłoni smukłe ostrze noża. Kilkunastoma szybkimi cięciami uwolnił tropiciela.

Podążający Za Cieniem powoli usiadł, wstał i odsunął się od białych. Nigdzie nie dostrzegł swoich rzeczy: był bezbronny. Uniósł na wszelki wypadek puste dłonie.

— Wyzbywam się zemsty na tobie, Biały Diabło — rzekł po angielsku — choć mam do niej wszelkie prawa. Nie chcę z tobą walczyć. Pozwól mi odejść w pokoju. Pozwól mi wrócić do domu, Biały Diabło.

Tamci popatrzyli po sobie; olbrzym schował nóż.

— Cóż — czknął Charlie — pozwól mu wrócić do domu, co, Biały Diable? — rozchichotał się dziko.

Olbrzym w lustrzanym geście pokazał puste ręce. — Nazywam się Anouki Spieglass. Mów mi Anouki. Przykro mi, Luis, ale twój powrót do domu nie jest możliwy. — Też był podпиты, ta powolność wymowy nie wyłącznie z jej staranności się brała.

— Chcę tylko wrócić.

— Wiem. Przykro mi. To niemożliwe.

— Po prostu wrócę.

— To niemożliwe, rozumiesz? Nie—Mo—żli—we.

— Pozwól mi wyjść. Zwróć moje rzeczy.

Włączył się Charlie. — Słuchaj no, mądralo. Jak ci Anouki mówi, że niemożliwe, to niemożliwe. Dokąd chcesz wrócić? Tamtego miejsca już nie ma. Nie istnieje.

— Czy jestem więźniem? Czy mogę wyjść? Charlie zazezował w głąb walca i mruknął:

— Będziesz miał z nim ciężką przeprawę.

Biały Diabeł długą chwilę stał tak w milczeniu. Wreszcie skinął na Podążającego Za Cieniem i ruszył ku drzwiom.

Wyszli na zewnątrz. Był wieczór; poza kątem padania promieni chorego słońca niewiele się zmieniło, niemal ten sam widok Cayuga zapamiętał sprzed śmierci. Gdy się obejrzał, dojrzał powyżej w stromym stoku góry — wcale nie wyglądała jak góra — ów otwór, łono koszmaru, ciemną dziurę, z której wyłonili się na obcy świat. Chata stała o sto kroków od niej; większa niż myślał, były w niej jeszcze inne pomieszczenia z osobnym wejściem. Za nią, częściowo przesłonięty, stał mały, niski, koślawo przysadzisty, metalowy wóz.

Tropiciel wskazał wyciągniętym ramieniem półkę i dziurę w skale.

— Rankiem wejść. Pokaż mi potrzebne czary.

— Teraz jest ranek.

Podążający Za Cieniem spojrział nań obojętnie; nawet w śmiertelnym strachu czy w najwyższej ekstazie miał podobnie puste spojrzenie.

Anouki machnął w stronę horyzontu. — Słońce wschodzi nie z tej strony, co myślisz. Nie świeci w taki sposób, do jakiego się przyzwyczaiłeś.

— Pójdę teraz.

— Chryste Panie, przecież ci mówiłem... Nie; chwilę, zaczekaj, zaraz wracam. — Przerwawszy w ten sposób samemu sobie, zawrócił na pięcie i zniknął w jednych z bocznych drzwi chaty. Tropiciel poświęcił tę chwilę na przyjrzenie się szybom: to nie były szyby. Nie chciał patrzeć na pogórze, granatową niepuszczę; przerażał go sam zapach wiatru.

Biały Diabeł wrócił z sakwą i bronią Podążającego Za Cieniem.

— Teraz ci to zwrócę, ale daj słowo, że mnie wysłuchasz.

Podążający Za Cieniem bez wahania skinął głową. Skrzyżowawszy nogi, usiadł na ziemi, na czarnym poroście — który przecież nie mógł być trawą — a obok złożył swoje rzeczy. Tomahawk i nóż miał na wyciągnięcie ręki. Był gotów wysłuchać olbrzyma. Dobrze jest wiedzieć o przeciwniku jak najwięcej.

Olbrzym ciężko siadł dwa kroki dalej, oparł się o ścianę chaty, jej cień ciął go krzywo przez brodę i pierś. Wyjął z kieszeni spodni i zapalił bryłką metalu papierową tulejkę z jakimś zielskiem w środku.

— Papieros — wyjaśnił. Wydmuchnął dym na wiatr. — Nie będę cię powstrzymywał przed

powrotem, bo wiem, że ci się nie uda; proszę, próbuj. Poczekam na ciebie. Grota Marzeń stoi otworem dla każdego. Widzisz, to miejsce, z którego — jak ci się wydaje — pochodzisz; w którym dotąd żyłeś; świat, którego byłeś częścią... nie istnieje, nigdy nie istniał, nie ma go, to tylko ja go wymyśliłem, wyśniłem tam w grocie, bo potrzebowałem tropiciela, a ta cholerna dziura w górze ma moc przemieniania ludzi w demiurgów... na czas mroku. Wszedłem i wyprowadziłem cię z mego snu. Nie możesz do niego wrócić, tak jak nie możesz się ubrać we wspomnienie minionych dni. A sam jesteś wszak snem. Żyjesz, jeśli można to nazwać życiem, dzięki mojemu wyobrażeniu o idealnym tropicielu. Wytropisz dla mnie pewnego... pewną istotę. Nie oczekuję od ciebie, że wiele z tego zrozumiesz; w każdym razie jesteś poinformowany, wiesz już... Tak...?

— Kim ty jesteś, Anouki Spieglass?

Biały Diabeł zaśmiał się z wysiłkiem; znów zaciągnął się papierosem. Spoglądał gdzieś w bok, w otwartą nieskończoność kosmaru, gdzie Cayuga bał się spoglądać.

— Człowiekiem. Prawdziwym. Z prawdziwego świata. Urodzonym setki lat po czasie, z którego cię wymyśliłem. Mam żonę, mam dzieci. Teraz wszyscy jesteśmy banitami. Wszyscyśmy tu obcy; ty podwójnie — mówił coraz ciszej. — Zginiemy tu, umrzemy pod cudzym słońcem. Jak ryby wyrzucone na brzeg... Kim ja jestem, kim jestem? Uczono mnie, jak przemieniać kamień w powietrze, deszcz w metal... nazwałbyś mnie czarownikiem, Luis, Podążający Za Cieniem... ale teraz, bez moich przyrządów magicznych, szamańskich ingrediencji... Już Charlie jest bardziej przydatny. Charcie–bimbrownik poradzi sobie — mamrotał tak do siebie, zgarbiony, zagapiony pomiędzy stopy; trzęsła mu się dłoń, w której trzymał popielejącego doszczętnie papierosa. — I co z tego, że potrafię obliczyć co do grama masę księżyców? Dla wnuków moich wnuków to będą jabłka na niebie, czy coś podobnego... Jeśli wyrosną w tej glebie jabłonie. W końcu wszystkich nas pogrzebią Trupy. Jezu Chryste, już jesteśmy pogrzebani...!

I rozszlochał się sucho.

## Potwór

Tańczył wokół jego nóg. Lizał mu dłonie. Bezgłośnie; nie skamlał, nie warczał, nie szczekał — w ogóle nie pozostawiał za sobą dźwięków. Był jak żywy obraz strachu w wilczo–psiej postaci. A w Podążającym Za Cieniem miał swego pana.

Zeszli ze stoku jak dwa duchy. Obce niebo lśniło nad nimi tajemnymi układami gwiazd, bladezielone księżyce przyciągały wzrok nieprawdopodobnością swego istnienia. Obcy smak nocy. Obca lekkość kroku. Obcy poszum szeptu wielkich przestrzeni. A ja jestem snem. Potworze, w rzeczywistości dotyku twej sierści zaklęty jest sens mej egzystencji.

Potwór wyczuł i wystawił Białego Diabła na dwadzieścia kroków przed chatą; Podążający Za Cieniem nie widział go, olbrzym leżał rozciągnięty na ziemi za pudełkowatym, metalowym wozem, wspartym na czterech miękkich kołach i z wstawionymi dwoma krzesłami. Na wozie, przed tymi krzesłami, stało kilka blaszanych walców i butelek — błyszcząły w świetle księżyców.

Cayuga pochylił się nad białym i powąchał jego oddech; powąchał puste walce i butelki. Potem zdjął z pleców sakwę i łuk i usiadł przy głazie, tak że jeden z jego cieni padał na zarośniętą twarz Anoukiego. Anouki był nagi, jeśli nie liczyć krótkonogawicowych spodni.

Tropiciel wyjął z mieszka Ziele Spokoju i zaczął je żuć. Potwór rozplątał się w zawieszynie nocy.

Ocknął się Biały Diabeł, gdy pierwszy księżyc zaszedł, a czwarty dogonił trzeci. To jego przebudzenie zaczęło się od niezrozumiałego mamrotania, podczas którego drapał się po szyi. W ogóle — długo i ciężko się budził. Prawdę mówiąc, otrzeźwiał jako tako, dopiero ujrzawszy Podążającego Za Cieniem: usiadł sztywno, przetarł oczy, zagapił się nań.

— Anouki Spieglass — rzekł szaman — wyrządziłeś mi wielką krzywdę.

— Eech... Luis... szybko wróciłeś.

— niesprawiedliwość. niesprawiedliwość. Nie miałeś takiego prawa.

Olbrzym w końcu zorientował się w sytuacji.

Czknął. — Więc przekonałeś się... nie ma wyjścia, nie ma powrotu do domu. Tu jest twoje miejsce... twoje przeznaczenie.

Podążający Za Cieniem wstał. Ruchem głowy odrzucił włosy na plecy. Podeszedł i pochylił się nad Białym Diabłem; amulety i naszyjniki z kłów i pazurów drapieżników kołysały mu się na piersi. W prawej ręce trzymał nóż, długi i szeroki, wykonany z ciemnej, chropowatej stali, na krzywych brzeszczotów zimnobłystnej od księżyców; ręką lewą, o trójpalczastej dłoni, sięgnął po Diabła. — Mój.

Anouki w ślepej panice rzucił się w tył; kopał piętami w ziemię, która wyślizgiwała mu się spod nóg. Szaman nakrywał go swoim cieniem.

— Luis... Podążający... ty nie możesz... — Mój.

Wierznął i kopnął w Cayugę; Indianin obrócił się szybciej, niż pomyślał, i cios przeszedł bokiem. Spieglass przeturlał się, chwiejnie wstał i pognął ku chacie, nisko przygięty do ziemi, pozbawiony wyczucia równowagi. Tropiciele nie pobiegł za nim. Krzyknął w noc. Noc krzyknęła Potworem. Wrzasnął i Biały Diabeł. Przewrócił się w tył. Potwór szczyrzył nad nim oślinione, żółte kły.

Szaman podeszedł, rzucił Anoukiego na wznak i klęknął mu na piersi. Nóż na gardło, ostrze pod grdykę.

Olbrzym dyszał przerażeniem. — Co... co to...

— Miałem kiedyś przyjaciela, wilczego mieszańca — rozwspominał się, cokolwiek nieprzytomnie, Indianin. — Przemierzał ze mną góry, lasy i równiny, tropił dla mnie i walczył. Nie mogę wrócić do twojego snu. Mój sen może wrócić do mnie.

— Ty sam przecież...

— Wszedłem. Mrok. Marzyłem o przeszłości; zasnąłem i śniłem o niej. Grota spełniła moje życzenie.

— To niemożliwe.

— Nie mam tak zimnego serca, by uczynić to człowiekowi. Dopełniłem czarów. Grota zwróciła mi zmarłego przyjaciela.

— To niemożliwe.

— Teraz cię zabiję. Nóż.

— Nie nie nie — nie możesz tego zrobić, nie, nie...! Sam umrzesz, znikniesz... jesteś moim snem, moim wymysłem, kto cię będzie śnił, gdy mnie zabijesz? Zaczynasz się rozpląwać... Nie nie nie!! Nie rób tego! Na miłość boską...! ...po prostu przestaniesz istnieć.

Podążający Za Cieniem zamarł, podniósł wzrok, spojrzał gdzieś poza ciemność. Stracone, stracone, stracone wszystko. Wodo Niezmacona, Czarna Ręko; żony moje — nigdy nie usłyszę waszych głosów, nie dotknę waszej skóry, nie poczuje ciepła waszych oddechów i ciał, nigdy was nie zobaczę. Synowie moi; dzieci moje. Nie ujrzę, jak dorastacie, nie przekażę wam pamięci, doświadczeń i myśli przeżytych lat, nie przekażę wam siebie. Sostro, zawsze smutna sostro moja,

która nie wiesz, kiedy zamilknąć i nie mówić całej prawdy. Nocy Bezksiężycowa, bracie mój; ty jeden rozumiałeś i dzieliłeś ze mną radość tropienia. Osoby, miejsca. Nigdy nie istnieliście. Utraciłem was, by się narodzić. Nie należy wywyższać się ponad siebie. Są bogowie; są bogowie; są bogowie. *Manitou...!*

— Nieee.

— Tak to się dzieje, gdy źli chodzą pomiędzy dobrymi, nieprawi pomiędzy prawymi, a nie sposób odróżnić jednych od drugich. Nie mogę cię zabić, choć powinienem. W mojej jednak jest mocy naznaczyć cię dla przestrogi.

— Ty czerwony dzikusie... krwawy potworze...

— Dla własnej chęci zniszczyłeś świat.

— Skurwysynu... to przecież ja go stworzyłem — i ciebie...

— A kto dał ci prawo?

— A kto daje prawo rodzicom? Czy mordują ich potem dzieci za to, że przyszły na... Nieee!!!

Nakreślił ostrzem noża kolistą linię wokół czaszki; nóż zgrzytał po kości, pozostawiając za sobą strumyki koralowych wybroczyn. Potem wślizgnął klingę pod skórę; przesunął w prawo, w lewo. Białemu krew zalewała oczy. Krzyczał do bólu płuc. Podążający Za Cieniem owinął jasne włosy olbrzyma wokół trojpalczastej dłoni, pociągnął nożem po raz ostatni — i szarpnął. Skóra odeszła z głośnym mlaśnięciem. Anouki usłyszał ten dźwięk i zemdłał.

Huknęło, kula świsnęła Cayudze ponad głową i rozgrzechotała się blacha i szkło na metalowym wozie.

— Następna między oczy! — wrzasnął Charlie.

Stał nagi w drzwiach jednej z przybudówek chaty i mierzył do tropiciela z czegoś, co w mroku nocy wyglądało jak mała strzelba.

— Puść go! Wstań powoli!

Podążający Za Cieniem wstał, wyprostował się. W jednej ręce ociekał mu krwią skalp, w drugiej nóż.

Charlie zatoczył się na ten widok. — Jezu Chryste... Coś ty... Ty...

Góry zagrzmiały, jakby lawina po nich zeszła. Zerwał się wiatr. Zaszumiała odległa niepuszcza. Coś przeleciało po ciemnym niebie, na mgnienie oka przesłaniając seledynowe lico największego księżyca.

Charlie postąpił krok w tył — i wtedy Podążający Za Cieniem pojął, że zaraz strzeli on bez ostrzeżenia po raz drugi: między oczy. Padł na ziemię. Wypaliła strzelba, eksplodując Charliemu w twarz i zabijając go na miejscu. Potwór wgrzyzł się w gardło trupa.

## Słowo: planeta

— Chcę, abyś miał tę świadomość: zastrzelę cię na samo podejrzenie podejrzenia.

— Byłbym ostrożny ze strzelbami.

— Od razu powinienem cię zabić — przekonywał się usilnie Anouki. — W ogóle nie stwarzać, nie wymyślać.

— To prawda.

— Skąd we mnie to okrucieństwo? ...tropicielem, nie oprawcą miałeś być — co ja wtedy



śniłem...?

— Zemstę.

Biały Diabeł spojrział nań dziwnie. Obandażował sobie głowę powyżej czoła cienkim, samoprzylepnym materiałem, na to naciągnął miękką, grubą ciemną czapkę i teraz każde łypnięcie spod tej chorobliwej bulwy zdawało się groźne i złowrogie.

Wóz jęczał, warczał, trzeszczał, huczał i zgrzytał. Samochód. Auto. Jeep. Maszyna. Jechał nie pchany i nie ciągnięty. Trzął się przy tym i podskakiwał na wybojach, aż mu coś we wnętrzu grzechotało. Jechał powoli; Podążający Za Cieniem zrezygnował z zajęcia krzesła obok olbrzyma i biegł spokojnie z lewej strony maszyny; tak naprawdę, Anouki nie bardzo go zachęcał do przełamania lęku, aż tak blisko siebie nie chciał mieć Cayugi.

Szaman biegłby i mimo to. W samej rzeczy — to było jak sen. Ta lekkość... Każdy krok niósł go znacznie dalej, niż powinien; cudowna moc napłynęła do jego mięśni, nabył oto zwierzęcej siły i swobody w ruchach — jakby ktoś odciął mu od kończyn ciągnące je dotąd w dół kamienie. I nawet nie zmieniał tego euforycznego odczucia smak powietrza łykanego teraz haustami, po wkroczeniu do niepuszczy tym bardziej obcy; kojarzył go luźno ze spaloną sierścią, zepsutym tłuszczem, trującymi wyziewami bagien, gorącą, starą skórą.

Niewiele zwracał uwagi na Anoukiego Spieglassa; odpowiadał mu, aby go dodatkowo nie straszyć milczeniem. Tak naprawdę interesowały go niedrzewa. Fascynowała niemożliwość ich istnienia. To jakby zobaczyć oddychające kamienie. Płonącą wodę. Trzy księżycy. Zresztą widział trzy księżycy. Niedrzewa hipnotyzowały go granatem swej liścioskóry. Łagodne zafalowania wici... Gdzie pień, gdzie korzenie, gdzie gałęzie...? Zwierzęce, zwierzęce życie pulsuje w tych stworach.

A samych zwierząt — ani śladu. Na tej planecie fauna istnieje w formie szczątkowej, powiedział mu Biały Diabeł. Planeta. Planeta. Tłumaczył potem długo, co znaczy to słowo. Tłumacząc rzeczy — w jego mniemaniu — tak podstawowe, okazywał swą wyższość, podporządkowywał sobie Cayugę; zwiększał swoje poczucie bezpieczeństwa poprzez tę iluzję zależności. Podążający Za Cieniem naprawdę starał się uwierzyć. Planeta. Kula ziemi w nicości. Wielość planet. Wielość słońc. Wielość światów. Wielość bogów. Wielość wyobrażeń. Lecz czy miało to jakiegokolwiek praktyczne znaczenie? Anouki wyjaśniał: ciężenie... klimat... odległości... Żadnego; dokładnie żadnego. Tropiciele po prostu biegł, zapatrzony w cuda i dziwy, nie myśląc o przeszłości (żony moje...), nie myśląc o przyszłości (inna planeta), by nie oszaleć; by nie zwątpić.

Twardo stąpał w teraz.

W odróżnieniu od Białego Diabła, którego słabość widoczna była coraz wyraźniej. Bezbronny gigant. Lękliwy olbrzym. Rozpłakał się wtedy przed wejściem Cayugi do Groty Marzeń; szlochał nad zwłokami Charliego. Miękki, otwarty jak *squaw*. Podążający Za Cieniem wstydził się za niego. Cóż za ułomny stwórciel.

Jeep jechał krętym, błotnistym szlakiem, wykorzystującym naturalne — choć tak nienaturalne — ukształtowanie gruntu: kamieniste wyjąłowienia, jary, uskoki, długie prześwity śródbrzewnne. Czasami migąła w oddali czerń skudłonego futra Potwora; Biały Diabeł nerwowo oblizywał wargi na ten widok.

Dotarli do bagnistej polany; jeep rzeził, Anouki walił w jego koło manewrowe i kłął, zagapiony w tył, w strugi wyrzucanego w powietrze błota — to Podążający Za Cieniem pierwszy ich spostrzegł. Stali na drugim końcu polany i właśnie się odwracali do źródła hałasu. Ich dwoje; i dwa zwierzęta; i zwłoki; i maszyna. Tropiciele już nałożył strzałę na cięciwę; Czarny Czarnooki wysunął szablę ze skrytej pod obszernym płaszczem pochwy, zaznaczającej się na jego pole równą fałdą załamania materiału.

— Nie! — krzyknął Biały Diabeł, gdy tylko podniósł wzrok i zorientował się w sytuacji.

Bezwłosa kobieta w spodniach odgięła skrzydło swego kapelusza ręką, w której trzymała zapalonego papierosa.

— To Anouki — powiedziała na tyle głośno, że usłyszeli ją przez polanę.

— A tamto dziwo? — spytał Czarny Czarnooki, wskazując Podążającego Za Cieniem jasną stałą szablą o prostej, dwusiecznej klindze.

Takoż i szaman nie był w stanie oderwać od obcego wzroku. Czarna skóra! Może nie czarna, lecz na pewno ciemniejsza od najciemniejszej, jaką w życiu widział. I okulary — wiedział, że to okulary — ale te były jakieś dziwne, przyklejone niemal do twarzy i o szklach tak mrocznych, że aż zwierciadlanych. Dłonie, wielkie niczym łapy niedźwiedzia, czarnoskóry miał obciążone rękawiczkami. Wysokie buty i poły płaszcz zbrunatniały, wielowarstwowo ubłocone ziemną mazią. Przy kobiecie niższej o głowę, nieporównywalnie szczuplejszej, a odzianej w obcisłą koszulkę podobną do Spieglassowej, zdawał się Czarnooki prawdziwą górą, wzruszoną jakimś żywiołem bagna; i olbrzym już nie był teraz olbrzymi.

Ptasionogie stwory o błoniastych, wielokrotnie złożonych skrzydłach, przyciśniętych do długich, węzowych tułowi, skierowały swe liczne szyje — a może ogony? — w stronę zbliżającego się jeepa. Jeśli te giętkie wije zakończone były głowami, to Cayuga ich nie widział; nie dostrzegał tam żadnego zgrubienia, żadnych oczu, żadnych otworów. Łuskoskóra tych zwierząt miała kolor tutejszego błota i tropiciel zrozumiał, iż w bezruchu i z pewnego oddalenia właściwie nie sposób ich dostrzec, choć wszak wyższe były i od człowieka—góry. Nie wydawały najłżejszego dźwięku. Stały i kołysały szyjami/ogonami.

Samochód podjechał do kobiety i mężczyzny, i zatrzymał się; ucichł warkot, Anouki wysiadł. Podążający Za Cieniem, z opuszczonym łukiem i wolną cięciwą, obchodził grupę z lewej strony, z dala od skrzydlatych stworów. Zmieniał się kąt, pod jakim na nie patrzył — widział: na grzbietach miały przymocowane głębokie siodła.

Zacieśnił krzywą obejścia i zwolnił kroku; chciał usłyszeć o czym tamci rozmawiają. Wciąż nie mógł się pozbyć uczucia, iż w istocie jest ofiarą jakiegoś gigantycznego oszustwa, metafizycznej mistyfikacji. Planeta? Jaka planeta? To tylko słowo. Karkołomna konstrukcja myślowa.

— Matthew Lee — przedstawiła Czarnego kobieta. Anouki spojrział na nagą szablę.

Czarny zaśmiał się i sprawnie schował ją do pochwy, pod płaszcz. — Jestem astronomem. To znaczy byłem. Skorzystałem po prostu z zapobiegliwości DeWonte'a. — Klepnął ręką. — Oni tam w „Arce” setkami tkają w transmutatorach miecze, siekiery, kosy; tonami zrzucają nam tu przeróżne żelastwo.

— Lepianki Fitzpatricka...

— To ekstremista.

— Histeryk — dodała kobieta.

— Aż tak źle?

— Twój samochód... zdziwię się, jak dociągnie do Piszczeli.

— Proces postępuje, a?

— Oceniałbym to w skali mikro. Do pewnego progu. Procesory, na przykład, martwe całkowicie. Radio lampowe — jednorazowego użytku. A rewolwery... zaiste, rosyjska ruletka. O ile wiem, osiem, dziewięć strzałów wytrzymują; no, jeszcze są przypadki wyjątkowe...

— Charliego zabił jego własny *stroeppe*, dwudziestka dwójka.

— Charlie nie żyje? — zdziwiła się.

— O, widzisz, masz dobry przykład — kontynuował Czarny. — Odwrotnie proporcjonalnie do

stopnia złożoności, z uwzględnieniem narzutu losowego. Wiesz, co jest bardzo popularne? Wiatrówki, broń pneumatyczna. I kusze samopowtarzalne. Co on robi?

Podążający Za Cieniem kuczał nad trupem leżącym na metalowej, dwukołowej maszynie. Wąchał jego dłoń.

— Anouki? — kobieta dotknęła ramienia Białego Diabła — Kto to w ogóle jest?

— Sen. Wracam z Groty.

— Przecież widzę, że sen. Indianin.

— Tak. Tropiciel. Znajdzie mi Saint-Pierce'a.

— Anouki! On ma twoje włosy!

Czarnooki zachłysnął się; spojrzął na Podążającego Za Cieniem, na zbulwiałą głowę Spieglassa i z powrotem na szamana, na blond skalp u jego pasa. — Chryste Panie...!!

Biały Diabeł był wyraźnie zmieszany. Nie wiedział, co powiedzieć. Pocierał nerwowo wnętrza dłoni.

— Kogoś ty wyśnił...? — szepnęła kobieta.

Biały Diabeł patrzył gdzieś w bok. — Cóż...

Gdyby był do tego zdolny, Podążający Za Cieniem poczułby się zażenowany w imieniu swego stwórcy. Coraz niższe i niższe miał o nim mniemanie. Trafił mu się zarozumiały tchórz na boga.

Kobieta zaciągnęła się papierosem. — Lee, zabij to.

— Ojalika — jęknął malejący olbrzym — ja cię proszę... Nie zwracała nań uwagi. — Lee! Zlikwiduj tę zmorę!

A Groty... Groty trzeba będzie zasypać. Tylko ucieleśnionych id nam tu brakuje. Lee, głuchy jesteś?

Czarny Czarnooki tylko stał i patrzył na szamana. Naraz rzekł:

— On rozumie, co mówimy. Ojalika szarpnęła głową. — Co?

— Tak, tak — pospieszył z wyjaśnieniem Anouk. — Specjalnie wybrałem takiego. To mieszaniec z terenu Kanady. Naprawdę, on mi jest potrzebny...

Spomiędzy drzew po lewej wyskoczył Potwór. Sposzreni nań w panicznym odruchu. A pierwsza oderwała wzrok od zwierzęcia Ojalika, jakoś wyczuła ruch Podążającego Za Cieniem. Wskazała go papierosem: z odległości dziesięciu — dwunastu kroków mierzył do nich z tego swojego ogromnego łuku, którego cięciwę napiął aż poza obojczyk; stalowy grot strzały celował w serce Czarnookiego.

Czarnooki tylko się uśmiechnął. Zacisnął w pięści urękawiczone dłonie.

Biały Diabeł zadyszał się w strachu; wszystko mu się waliło, obracało w rzeczy odwrotne wobec zamierzonych.

— Luis! — krzyknął błagalnie. — Nie rób tego!

Jego skalp powiewa u mojego pasa, pomyślał tropiciel, a on mnie błaga. W duchu splunął swemu stwórcy w twarz.

— Nie zdążysz nas wszystkich zabić — stwierdziła Ojalika.

— Zabiję Czarnego — odezwał się. — Anouki Spieglass się nie poruszy, a tobie, bezczelna kobieto, roztrzaskam czaszkę.

Ojalika przekrzywiła lekko głowę, zmrużyła oczy.

— Dlaczego? Boisz się o własne życie? Okay, rezygnuję z zamiaru likwidacji snów.

— Nie wierzę ci. Masz mord na twarzy. Sposzreniła w dół, na dopalający się papieros.

— Mam mord na twarzy. Cóż. Można to i tak określić. To ja jestem odpowiedzialna za wszystkich ludzi na tej planecie, Luis — tak masz na imię, prawda? To ja dowodzę w tym bagnie. Mogę spełnić wiele twych życzeń. Moja śmierć natomiast sprowadzi na ciebie jedynie zemstę; no,

mam nadzieję, że ktoś będzie chciał mnie pomścić... — mówiąc, wykonała powoli i swobodnie szereg czynności: rzuciła niedopałek w błoto, jeszcze przydepnęła go, pomacała po kieszeniach ciemnych spodni i żółtej kamizelki, wyjęła jakiś czarny przedmiot i skrętem nadgarstka skierowała go ku szamanowi. — Dobra, Luis, strzel albo wyceluj we mnie, to załatwię cię od razu. Wolno, wolno, wolno zluzuj cięciwę. Strzała. Odrzuć łuk. Taak. Biały Diabeł zazezował w bok.

— Ojalika — zachrypiał. — Ta bestia stoi za tobą. — To jego?

— Mój — rzekł Podążający Za Cieniem.

— No to mamy pata. — Przesunęła długopalcą dłonią po gładkim sklepieniu czaszki. — Ale ty od początku nie zamierzałeś strzelić, prawda?

— Teraz podejść do ciebie... — zaczął pospiesznie Czarny Czarnooki, próbując przejąć inicjatywę.

Lecz szaman już zdecydował.

— Nie uczynię wam krzywdy, jeśli nie będę musiał — wyrecytował z kamienną twarzą.

Milczenie zapadłe po tym oświadczeniu trwało tak długo, że mimowolnie jęli się przysłuchiwać własnym oddechom.

Nareszcie ona:

— Okay, Lee. Skoro on nam wierzy.

Czarny obrócił się do niej i czym prędzej zmienił temat.

— Co ty tam masz?

Nie powinien zadawać tego pytania, nie mogła go zignorować; ale zachowała spokój. — Ach, to? Telefon, sam widzisz; oczywiście nie działa. Cóż, Luis, musiałam się ratować podstępem. — Schowała pudełko do kieszeni.

— W ciebie powinienem wycelować. — rzekł tropiciel podnosząc łuk; przedmiot „telefon” jest niegroźny, zanotował sobie w myśli.

— Dziękuję. Lee, niniejszym wprowadzam zarządzenie zabraniające snom wstępu do Piszczeli. Przypomnij mi, żebym przekazała DeWontę'owi, by zrzucił na wejścia do Grot trochę jakiegoś śmiecia bez osłon i spadochronów. Dobra, może w końcu zajmiemy się tym nieszczęśnikiem.

Podeszli na skraj wgłębienia, w którym spoczywała maszyna i zwłoki. Podążający Za Cieniem stał po drugiej jego stronie.

Czarny Czarnooki obejrzał się za siebie, ale Potwór już gdzieś zniknął. Mężczyzna parsknął zirytowany.

Anouki niepewnie zbliżył się do Podążającego Za Cieniem.

— Co ty wyprawiasz? — jął szeptać. — Zabiją cię. A ty mi musisz znaleźć Saint-Pierce'a. Jesteś tropicielem. Rozumiesz? Tropicielem. Siła twego istnienia leży w wyobrażeniu. Inaczej rozpuścisz się równie pewnie, jak po mojej śmierci: musisz wytropić Saint-Pierce'a.

Podążający Za Cieniem go ignorował. Dzielił swoją uwagę pomiędzy obserwację tajemnych ruchów szyi pary zwierząt błoniastoskrzydłych, a próby wychwycenia poszczególnych słów z szybkiej konwersacji prowadzonej przez Ojalikę i Czarnookiego nad zwłokami nagiego mężczyzny oraz zimną i cichą maszyną dwukołową.

— ...wszystkie Trupy...

— ...nie wiem, nie wiem; może ten klan...

— ...szaleć z Harleyem po wykrotach...

— ...jeśli wejdziemy w sojusz...

— ...znaki totemiczne...

— ...cały burdel na tej planecie...

— Chodź. — Biały Diabeł pociągnął Cayugę ku jeepowi. — Chodź, musimy zdążyć przed zmrokiem; nocą w lesie...

Tropiciel wskazał łukiem zwłoki. — Kto zabił?

— Trupy.

— Trupy?

— Autochtoni. Tubylcy. Tutejsza rasa. Chodź, chodź.

— Nie rób tego więcej. — Co...? Czego?

— Nie dotykaj mnie.

Anouki siedział już w samochodzie, a Podążający Za Cieniem zagłębiał się pomiędzy niedrzewia, gdy rozległ się krzyk Ojaliki.

— On nie może wejść do Piszczeli! Słyszysz, Anouki? Zabraniam! Nie zatruwaj mi tej planety jeszcze swoimi kompleksami!

Podążający Za Cieniem potrząsnął głową. Planeta. Niemożliwe. Wszystko kłamstwo.

## Patrz

A zatem dlatego nazywają je Piszczelami. Cóż tak przeżłobiło te skały — woda? wiatr? Sterczą krzywymi żebrami z nagiego bagna na setki metrów; długie, wąskie, strzępiaste. Koloru mokrego popiołu. Wąwozy pomiędzy nimi, śmiertelnie cieniste, złowróźnie głębokie, przykryte są płataniną mostów wiszących i stałych. Samych szczytów Piszczeli nie dojrzysz z tak bliska. A to na nich mieści się fort. Widziałem lśniące maszynoptaki spływające doń z chmur. Widziałem aureole złotych zórz ponad krawędziami skalnych żeber, jak powidoki zachodzącego słońca. Niebosięzne wysokości... Jak oni tam wchodzą? Wlatują — wlatują na tych błonistoskrzydłych zwierzętach; tnie właśnie nieboskłon ich nieregularny klucz. Tu wszystko odwrócone; słowo znaczy rzecz przeciwną; czarne jest białe; mężczyźni jak kobiety, kobiety jak mężczyźni. Mgła unosi się nad ziemią, mgli się odkąd wyszliśmy z niepuszczy; tak, tak, tak dobrze. Mgielne, chwilowe istnienia. Nie mogę na niego spojrzeć, bym nie pomyślał: to mój stwórca. Ale i on nie może spojrzeć na mnie i nie zobaczyć swego skalpu, i nie przestraszyć się; tak jest sprawiedliwie. I dlatego nie patrzy, omija wzrokiem. Przygotowuje się właśnie do zejścia z płaskowyżu na równinę, do Piszczeli; rozładowuje unieruchomiony jeep. Maszyna zdechła mu w połowie stoku. Stoi niebezpiecznie przechylona na lewą stronę. Obracam nad ogniskiem upolowanego podczas marszu skoczka pajęczego; zapach jego palonego tłuszczu jest przyjemniejszy, niż można się było spodziewać po wyglądzie zwierzęcia. Jeśli to zwierzę. Przynajmniej dym jest zwiewny i ulotny, ponieważ taki być powinien. Słońce zapada na wschodzie. Monumentalne, kamienne ostrza Piszczeli wyciągają swe cieniste szpony po brudnej gładzi równiny. Ktoś rzucił się z wiszącego mostu w międzyżebrową czeluść — i pożarł go w locie mrok. Nadciąga noc.

## Słuchaj

— Wysłuchaj mnie, Luis. Podążający Za Cieniem, mój tropicielu. — Trawi go jakaś gorączka, ogień sekretnej żądz; mówi jak zamroczony, jakby rzeczywiście do swego snu i we śnie inwokował. — Ty jeden nie możesz mnie zdradzić, nie możesz opuścić. Ty mi go odnajdziesz, dzięki tobie poniesie karę. To zły człowiek; to nawet nie człowiek. To wampir; drapieżne monstrum, wybryk natury. Wampir. Nie wiesz? Krew wysysa. Wbija zęby, o, i wysysa. — Przekrzywiając nieludzko głowę i naprężając szyję, pokazał jak. — Nieśmiertelny. Olivier Saint-Pierce; za niego się podawał, gdy go pochwycono. Należało go od razu zlikwidować. Ale żywy wampir... taki fenomenalny metabolizm — miałyby się zmarnować? Wykorzystali, a jakże. Dwustuletni lot „Arki”, dwustuletni nasz sen — nieśmiertelny to wszak wymarzony pilot-nadzorca; poza tym w ten sposób na zawsze się go pozbywali nie mordując. Humanisci, myślałby kto... I oto gdzie trafiliśmy! Mimo zabezpieczeń, mimo tych niezliczonych sztucznych niby-inteligencji. Liczyli na jego instykt samozachowawczy. Ale on nawet nie myśli jak człowiek! Specjalnie, specjalnie uszkodził statek, specjalnie sprowadził nas na to cmentarzysko. Bagno. Nasz statek, „Arka”... Łódź śródgwiezdna, żeglujemy po niebie. Nie, ty nic nie rozumiesz. Gwiazdy to wyspy w oceanie mrocznej pustki; okręt nasz... zobaczyłbyś go, ale zaszedł za dnia. Przemierzaliśmy mrok z szybkością myśli przez czas tak długi, iż musiano nas pograć w sztucznym śnie, abyśmy nie pomarli w drodze. Jedynie on, nieśmiertelny... i jego krwiodawcze świnie. To potwór, jak mogliśmy... Tak. Tak. I teraz jesteśmy tu. Bagno. Czy wiesz, że trzymał nas tam na orbicie, uśpionych, przez dziesiątki lat, w nieświadomości katastrofy... i dopiero gdy dosięgła „Arkę” przeklęta moc Bagna i zaczęło się wszystko sypać... Wiesz, ilu zginęło, zanim DeWonte, jako pierwszy, przetrwawszy awarię swego anabiozera, zbudził resztę? Saint-Pierce to morderca; on ma mord w swojej naturze; to potwór. Jest tu. Trupy go kryją. Na nas pasożytuje; nie zabija — pasożytuje... — Anouki zwolnił tempo monologu — ...dopada, obezwładnia samotnego w puszczy... — Zapatrzył się w przeszłość; tak, to wspomnienie upokorzenia: ten żar nie spełnionego samozniszczenia. — ...Pije, pije, pije, pije... Aaaaarchch...! — Skoczył w ognisko. — Boże, Boże mój!!

## Podążający Za Cieniem struga flet, by zaprzyjaźnić się z nocą

Szaleńca mam za boga. Myślą wariata stworzony. Mmmmm. Oby noc polubiła dźwięki, które zrodzi to drewno. (Niedrewno). Oby noc.

Poszedł. Wróci ze zwierzętami i najnowszymi wieściami o Zjadaczu Krwi. Będzie polowanie. Będę tropił. To dobrze. Niech się dzieje nieuchronność.

...A gdybym go zabił? Czy rzeczywiście... rozsunąłbym się w niebyt mgłą poranną? To nierealne — jak wieczorna opowieść starca. Lecz — jak mogę się bać, będąc zaledwie snem? A wszak byłem nim od... od — zawsze.

Ale teraz wiem. Oto co czują wojownicy przed zdecydowaniem się na krok w przepaść. Zwątpienie. Zwątpienie we wszystko.

— Spytałem Ziemię Pod Ziemią — a było to świtem po najeździe Piór, gdy nie stanęły jeszcze stopy pogrzebowe mych rodziców — po co żyć. Spytałem: po co, po co? Odrzekł: — Jutro spadnie deszcz; czuję to. Rozpęta się burza. Martwy — nie poczujesz jej zapachu.

Wtedy stanowiło to argument nie do zbiccia. Lecz teraz? Teraz wszystko jest podważalne.

Być może z wyjątkiem chłodu nocy. I blasku gwiazd. I woni zgaszonego ogniska. Na krew

potępionych, czyżby cała realność mego bytu zawierała się w zdolności do odbierania złudzeń?! Przygniata mnie cielesność. Nawet we śnie nie można się wyrzec siebie. Cała moja wiara, logika długich przemyśleń, przekonania głębsze od instynktów — nie znaczą nic w porównaniu z wrażeniem dotyku gładkiego, wilgotnego drewna. (Niedrewna). Musiałbym wykłuć sobie oczy, odciąć uszy, zmiążyć nos, wyrwać język i obdrzeć się ze skóry. W oceanie anonimowego bólu zanurzony — wówczas dopiero, być może...

Ale znowu wyje gdzieś za Piszczelami demon nocy; a ja zapamiętam to wycie, i ten jeden skowyt przeważy pamięć dziesiątek wiosen i zim w Krainie Strumieni. Która nie istnieje. Która była wymysłem Białego Diabła.

Bogowie, bogowie, i wy, Duchy Przeszłości — wierzę, wierzę, wierzę, że słyszycie mnie. Oooooooooo—uuuuuuuuuooo—ooo! Wierzę, wierzę, wierzę, że wysłuchacie mnie. Jeśli nie życie, to odbierzcie mi chociaż pamięć, gdyż nie mogę, nie potrafię nie wierzyć w ten świat.

Teraz będę grać; powiedzcie nocy, że.

## II.

### Trop

— Wysoki?

— Wysoki.

— Jak ubrany?

— Był nagi.

— Włosy?

— Zero.

— Znaki szczególne?

— Teraz tak.

— Jak to było, przez lewy policzek?

— Aha. Takim, o, kamieniem. Zresztą nawet nie widziałem, czym walę. Ale dostał. Poczułem.

Miękko weszło. Kość policzkowa, bok twarzy. Tak jakoś.

— Uważaj sobie!

— *Sorry.*

— Luis, nie słuchasz?

— Kto to?

— Sen; mów dalej.

— Niby co? Wrzasnął, uciekł, tyle go widziałem.

— Powiedział coś?

— No co ty, wylatuje goły z krzaków, i z zębami na człowieka; to według ciebie, jak rozbudowane konwersacje można z gościem prowadzić? Ile to wszystkiego było, pięć sekund? Skacze, szarpanina, upadamy, kamień, wrzeszczy i ucieka. Koniec. Akurat najdłużej to się przypatrzyłem jego dupie, jak sadził między drzewa. Zresztą zaraz się rozmył; tu nocą, choć oko wykol...

— Dobra, dobra. Luis! Luis! Nie chcesz go o coś zapytać? Podążający Za Cieniem podniósł się znad domniemanych śladów stóp Zjadacza Krwi, które pieścił koniuszkami palców swej okaleczonej dłoni, po czym obrócił się do Białego Diabła i Poparzonego. Od kilku dni nie nosił swej kurty — nazbyt nasiąkała tutejszym dżdżem — pozostawiając ją w sakwie przy siodle daka, i teraz widok straszliwej plątaniny blizn i prymitywnego, krwawego tatuażu, pokrywającej pierś szamana, a niczym nie przesłoniętej, jeśli nie liczyć naszyjników z kłów i szponów nie istniejących, prześnionych zwierząt oraz paru amuletów i talizmanów — widok ten uderzył w Poparzonego niczym słowa śmiertelnej obrazy. Zbladł. Sięgnął ręką gdzieś w powietrze, zaraz cofnął ją. Spojrzał na Anoukiego, ale ten miał już doświadczenie i wiedział, kiedy patrzeć w bok. Poparzony wrócił zatem wzrokiem do Podążającego Za Cieniem; za drugim razem zobaczył więcej: skalp, tomahawk, wielki nóż,



skołtunione włosy z niepokojącymi skrzącymi czerwoną, świeże szramy na czole, całkowicie obcą w swym wyrazie twarz, złe oczy. Dzikość w każdym geście. Najpierw trwa przez długie minuty w nieludzkim bezruchu, aż nagle rozbucha się zamasyście.

W tym jarze, zalesionej wklęsłości gruntu o łagodnych zboczach, jak odcisku stopy giganta (ślady, ślady; rzecz tropiciel: każda rzecz jest śladem innej) panował półmrok głębszy i cięższy, aniżeli w lasach prześnionych. Wszystkie gesty, drobne poruszenia okazywały się tu wielocieniste, pozostawiały za sobą ciemne echa niedowidzeń. W cieniu można zobaczyć więcej, niż istnieje w rzeczywistości: w cieniu jest wszystko, o czym pomyślisz, czego pragniesz, czego się boisz.

Kiedy szaman postąpił ku niemu pierwszy krok, Poparzony uskoczył za swego daka i sięgnął niewprawnie po bułat.

— Anouki!

Biały Diabeł zaśmiał się sztucznie, poprawiając czarny materiał czapki na oskalpowanej czaszce.

— Spokojnie, przecież nic ci nie robi.

Tylko ich trzech; i trzy daki. Wokoło niepuszcza. Strach Poparzonego nie był sierotą.

— Opowiedz mi o jego strachu — rzekł Podążający Za Cieniem. — On był przerażony, prawda? Bał się bardziej od ciebie. Tak?

— Może — sapnął Poparzony. — Tak mi się wydaje.

— Widziałeś jego zęby? Widziałeś, czy ma kły?

Poparzonemu wszystko to coraz mniej się podobało. Zgadząc się wskazać miejsce incydentu, nie wiedział o szamanie; przyłączył się on do nich dopiero w powietrzu. Teraz Poparzony marzył już tylko, by wsiąść na daka i odlecieć. Nie był żadnym tam awanturnikiem: był profesorem informatyki.

— Nie, nie, nic nie widziałem. Słuchajcie, ja już muszę się zmywać.

Wskoczył na daka, oglądając się nerwowo za siebie, na Indianina.

Indianin podszedł do swojego wierzchowca, odpiął od siodła łączysko, kołczan. Poparzony przeraził się. Gwizdnął. Szyje jego daka przygięły się do ziemi, rozłożyły nieprawdopodobnie szeroko półprzeźrocyste skrzydła — zwierzę zaczęło biec; wypatrzywszy jakoś prześwit śródbrzwy skoczyło, rozłopotowało się i mozolnie i ciężko wbiło ponad niepuszczę.

Podążający Za Cieniem przerzucił sobie kołczan przez plecy, ugiął próbnie łączysko. — Pobiegnę.

— To on?

— Nie wiem.

— Ale jak myślisz? Powiedz. On?

— Nie wiem.

— Mógł wyłysieć. Mógł sobie sam skórę na głowie wydepilować.

— Zobaczę. Leć za mną, sprawdzaj wieczorami: dwa ogniska obok siebie, trzecie wskazujące kierunek. Spirala leć.

— Nie zabij go. Poczekaaj na mnie. Ja... ja chcę...

Ale Podążający Za Cieniem już biegł. Od razu wszedł w rytm podróży. Jar, daki i Biały Diabeł zniknęli za jego plecami po kilkunastu oddechach. Świat przesłoniły mu niedrzewa.

Wkrótce bez reszty zapamiętał się w biegu. Rytm był wszystkim. Wciąż czuł się bezprawnie lekki; biegło mu się zaiste zwierzęco. Po tropie zwierzyny. Nie zadeptywał go, biegł obok. Rzadko bywał zmuszony przystanąć, zastanowić się — miękka, odkształcająca się ziemia Bagna stanowiła wymarzone podłoże dla tropiciela. Poparzony został napadnięty wczorajszym popołudniem, strata wynosiła trzy czwarte bagiennego dnia, czyli więcej jak jeden dzień prześniony.

Tak naprawdę mocno wątpił, czy to rzeczywiście Zjadacz Krwi. Już go sobie w myśli odegrał

rytuałem Prośby Myśliwego z tych wszystkich pokutniczych opowieści Białego Diabła, jakich musiał wysłuchiwać na każdym postoju; i ów Zjadacz Krwi z myśli szamana utoczony nie wyskoczyłby tak z krzaków na ofiarę w panicznym ataku — i nie uciekłby. Któż to zatem był? I czy faktycznie krwi pragnął?

Biegł. Tropił. Lekko mu się biegło. Dobrze mu się tropiło. Szczęśliwy czuć się powinien.

...Biegł. O zmierzchu musiał się zatrzymać, po ciemnej nocy śródleśnej tropić nie sposób. Zapalił przyrzeczone ogniska, zasnął. Biały Diabeł nie pojawił się.

Rankiem zjadł trochę suszu, który kupił mu on w Piszczelach, napił się wody ze strumienia — smakowała śmiercią — pomodlił — i pobiegł dalej. Koło południa odnalazł go Potwór. Biegli razem.

...Coraz bliżej. Tamten kluczył bez celu, często się zatrzymywał. Na trzy dłonie przed zachodem Podążający Za Cieniem natrafił na jego odchody, jeszcze ciepłe. Założył cięciwę na łuk, poprawił kołczan.

Niedługo potem zwierzyna wyprowadziła ich z niepuszczy na czarną od gęstego porostu równinę, daleko, niemal na horyzoncie, przecinaną szeroką żyłą rzeki koloru chorobliwej żółci; tego się Cayuga nie spodziewał: wyjście na teren odkryty to lekkomyślny manewr ze strony kogoś, kto ma powody podejrzewać pościg. Czyżby Zjadacz Krwi był aż tak głupi? Istota, która żyje setki i tysiące lat? Niemożliwe.

...Zobaczył ją. Siedziała na kamienistym pagórku, patrzyła ku rzece. Dwadzieścia strzałów z łuku, jeśli nie dalej. Potwór pognał odciać drogę jej ucieczki z drugiej strony. Podążający Za Cieniem skierował się zaś prosto naprzeciw wiatrowi.

Teraz już nie miał nawet jak się kryć: pędził ku Nagiemu, chcąc jak najbardziej się zbliżyć, póki patrzy on w innym kierunku. Zresztą i tak już mu nie ucieknie. Nie może. Został upolowany.

Zmierzchało i równina wyglądała jak o prześnionej jutrzence. Po brudnym niebie rozsmagały się strzępy niechmur. Coś wyło w straszliwej dali.

Podążający Za Cieniem otworzył szeroko usta, by zbezdźwięczyć oddech. Porosty łaskawie amortyzowały i wytłumiały jego stąpnięcia. Widział już smugi zaschniętego błota na umięśnionych plecach Nagiego.

Coś go ostrzegło. Co? Przychylni bogowie, szept ruchu, niewyciszony instynkt. Obejrzał się. Szczeka mu opadła ze śmiertelnego zdumienia.

Wtedy szaman, w pełnym pędzie, sięgając już po strzały — ułożył sobie z twarzy przerażającą maskę wściekłości, dzikości i grozy, i wydał ścinający strach w myśli okrzyk wojenny Cayugi. Dzięki temu Nagi pozostał w bezwolnym bezruchu te pięć susów dłużej. Potem jednak poderwał się, skoczył w dół i pobiegł ku rzece.

Podążający Za Cieniem, stanąwszy na opuszczonym szczycie pagórka, wstrzymał oddech i wypuścił za Nagim, jedną po drugiej, trzy strzały; strzelał w nogi, grotów nie zatrzał, nie chciał zabijać. Pierwsza nie trafiła, druga przebiła udo, trzecia przecięła skórę na biodrze Nagiego. Tropiciel odetchnął i zszedł z pagórka. Obawiał się o celność, wciąż nie przyzwyczał się do wszechlekości Bagna. Ale dobrze poszło. Nagi leżał dziwnie skręcony na prawym boku, wystawiając na światło zachodzącego (wschodzącego) słońca zmasakrowaną połowę twarzy. Krzyczał z bólu i w irracjonalnym geście obydwoma rękami ścisnął brzuch. Interwencja Potwora okazała się niepotrzebna.

Podążający Za Cieniem podszedł do zwierzyny, sprawdził czy upływ jej krwi nie jest śmiertelny — nie był — po czym ogłuszył ją szybkim, krótkim ciosem tomahawka.

## Teraz powiesz mi wszystko

— Teraz powiesz mi wszystko, by uniknąć bólu.

Związał go tak, że i w bezruchu pił cierpienie. Oddychał z wysiłkiem. Patrzył na Podążającego Za Cieniem załamionymi oczyma. Błyszczały od tych samych promieni seledynowych księżyców, które pełgały na klindze szamańskiego noża. Cayuga pytał i ciął. I Nagi — gdy nie wrzeszczał opętańczo — mówił; mówił bez przerwy, słowo nakładało się na słowo, nie mógł przestać. A Podążający Za Cieniem go po prostu nie rozumiał. Podążający Za Cieniem nie znał tego języka, nigdy wcześniej go nie słyszał. Początkowo traktował to jako wybieg, lecz po trzeciej utracie przytomności przez przesłuchiwanego — uwierzył. Zapalił ogniska; czekał. Potwór, podniecony zapachem świeżej krwi, krążył na granicy mroku. Nagi coś tam bełkotał po swojemu, zamknięty w bólu, nie docierały doń ciepłe, senne tony muzyki płynącej z fletu Indianina. Tropiciele grał. Na falach melodii myślało mu się łżej. Kim jest Nagi? Człowiekiem z naniebnej „Arki”? Czemuż zatem nie mówi po angielsku, oni wszyscy znają ten język. Czyżby był Trupem? Czy tak wyglądają Trupy? Poparzony by go przecież rozpoznał. Więc kto, kto to jest?

Grał.

Rozłopotala się noc, zaszumiło; coś wyciemniło wielkie fragmenty nieba. Wylądował Anouki z dakiem Cayugi. Tropiciele zgasili dwa odleglejsze ogniska. Kiedy wrócił, zastał Białego Diabła pochylonego nad Nagim.

— Coś ty mu zrobił?

— Przesłuchiwałem.

Olbrzym odwrócił blade oblicze, połknął powietrze wielkim haustem. — Niewiele widać powiedział.

Podążający Za Cieniem kopnął Nagiego w przestrzelone udo. Nagi rozszwargotał się na nowo. Szaman spojrzał pytająco na Spieglassa.

— Po jakiemu to?

Skonsternowany Anouki wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam.

— To kto to jest? Nie wampir?

— Skąd!

— No to co z nim?

Biały Diabeł, rozżalony, machnął ręką. — Ja chciałem Saint-Pierce'a, nie jakiegoś dzikusa; cholera, przecież on gdzieś tu musi być, nie mógł przepłynąć morza...

Podążający Za Cieniem przekrzywił głowę, posmakował lekko kwaśną ciemność nocy. Po chwili klęknął. — Przepraszam — szepnął zwierzynie i dobił ją jednym pociągnięciem noża.

Biały Diabeł zwymiotował.

Szaman spojrzał nań z wyrzutem. — Nie należy bez potrzeby zadawać bólu. — Potem opuścił wzrok i zobaczył, jak Nagi rozsnuwa się w rzadką mgłę zapomnianego snu.

W powietrzu

Lecieli, prześlizgując się po szczytach słupów wstępującego powietrza, skrzydła ich daków prawie się stykały; stanowili dla siebie nawzajem dwuwymiarowe figury mroku.

Wiatr masował im twarze. Istnieje zapach i dźwięk wielkich przestrzeni, i oni czuli ten zapach, słyszeli ten dźwięk. Noc bardzo się rozrzedziła.

Czemuż o tym nie pomyślałem?, zapytywał się Podążający Za Cieniem. Czemuż nie przewidziałem, że i Zjadacz Krwi może wejść do Groty? Że wyśni własnych Nieistniejących? To było poniekąd oczywiste. Miał czas; miał mnóstwo czasu, dziesiątki lat. Zapewne rozsiał po planecie (planecie! — bogowie, wybaczcie mi) wielu podobnych fałszywych wampirów, którzy, zagubieni, włóczą się po tym świecie, nic nie rozumiejący, a głodni, głodni ludzkiej krwi — doskonale w ten sposób zacierając trop i uniemożliwiając wszelki zorganizowany pościg za prawdziwym Zjadaczem. Jest ich akurat tylu, by jednocześnie nie wpływać ujemnie na populację zwierzyny Zjadacza. I zapewne nie wszyscy są tak charakterystyczni. Kogo tropić? Za wiele ich; po przejściu stada ślad się zaciera, gmatwa, nakłada. Trzeba czekać niewątpliwej identyfikacji przez ofiarę — lecz jeśli zacznie/zaczną je zabijać? Należałoby wówczas sprawdzać wszystkie zabite. Niemożliwe, niemożliwe. Te przestrzenie...

Czemuż o tym nie pomyślałem?, zapytywał się Anouki Spieglass. To jego królestwo, myśmy intruzami, dopiero co spadliśmy zeń z nieba i prawdę mówiąc, niewiele rozumiemy, a on, wieczny, w swym nieskończonym sprycie, przez ów czas niepodzielnego panowania na pewno przygotował się na wszelkie okoliczności, zabezpieczył wielokrotnie. Ale przecież ja — muszę — muszę — muszę go dopaść! Jest jakiś sposób, ja to wiem! I cóż z tego, że Trupy go kryją; bogiem im zapewne, królem... Trupy! Spróbujmy od tej strony. Gdyby udało się je przekonać... Gdzież miało odbyć się to spotkanie? Co mówiła Ojalika — Dwurożnik? Lewy czy prawy dopływ? ...Niech Ojalika włączy do traktatu warunek wydania nam Saint-Pierce'a, niech zażąda...

Nowa gwiazda — jasny punkt — krótka kreska wyjarzyła się wtem ogniście w ciemnej dali. Czerwieniejąc, sunęła po ostrym łuku w dół. Huk dobiegł ich dopiero po jakimś czasie, gdy zniknęła już za cieniami gór; wybuchł nagle tępym, niskim grzmotem, który przetoczył się przez noc na powietrznej fali. To DeWonte zamknął właśnie kolejną Grotę.

## Szaman i Trupy

Ojalikę Otak bolały dziąsła. Podejrzewała początek szkorbutu. Ssała teraz nieprzerwanie witaminowe cukierki. Lecz podobne lecznicze ekstrakty stawały się na rynku Piszczeli coraz droższe, zwiększał się popyt, zmniejszała podaż — i Ojalika obawiała się, że może nadejść taki dzień, kiedy nie będzie jej na nie stać. Zbezzębnieję — wykrzywiała się na wiatr — skóra mi się pomarszczy, przywiędną mięśnie, rozsuszysz się twarz latami komputerowo modelowana do skończonego piękna; będę wyglądać jak oni. W tej fiolce, pod witaminizatorami, na samym dnie krył się jeszcze jeden, bynajmniej nie antyszkorbutowy cukierek. Bardzo słodki; bardzo kuszący; nie do zapomnienia. Dla odróżnienia miał czarną barwę.

— Na moment. Podała Lee lornetkę.

Murzyn zdjął odbłaskowe okulary i uniósł Zeissa. Po chwili zmarszczył brwi.

— Co oni robią?

Ojalika naciągnęła rękawiczki, strząsnęła z wojskowych butów wszechobecne błoto, wzruszyła ramionami. Obejrzała się na wejście do najbliższego namiotu, gdzie Imator wypruwał wnętrzości starożytnemu magnetofonowi. — Będzie coś z tego? — spytała, przerzucając językiem landrynkę w drugi policzek. Imator nie raczył nawet odpowiedzieć. Wróciła wzrokiem do wzgórza totemu.

Ten przerażający tropiciel Anoukiego nadal konwersował ze starszą klanu za pomocą szerokich, powolnych, niemal rytualnych gestów. Z tej odległości — bez mała kilometra — nie sposób było dostrzec, o czym właściwie dyskutują. Ludzie nie mieli jednak możliwości zbliżenia się, sami wyznaczyli tak szeroką strefę neutralną, w obawie przed lotnymi włócznie tubylców. Pięciosobowa grupka siedząca w kucki ciasnym okręgiem u stóp monumentalnego totemu, widziana z sąsiedniego wzniesienia, zdawała się nie więcej, jak miejscowym zwichrowaniem i nieregularnym wypiętrzeniem nagiego gruntu. Indianina można było rozpoznać jedynie na skutek różnicy wzrostu pomiędzy nim a jego interlokutorami — sięgała ona dwóch metrów. Wiatr uderzył Ojalikę w twarz i rozmrugała się; Lee oddał jej lornetkę, odwróciła głowę.

Od pałatki oznaczonej emblematem Korpusu szło ku niej dwóch wojskowych w panterkach, goglach bitewnych (działają? — zdumiała się przelotnie), z samopowtarzalnymi kuszami przy biodrach i wystającymi sponad barków rękojeściami tytanowo—plastikowych mieczy. Rozpoznała porucznika Sebeto i pułkownika Jeslitochcewa. Za nimi dreptał wyraźnie skonfundowany Spieglass, w tej swojej czarnej kominiarce. (Oskalpowany, skrzywiła się). W zsiniałych dłoniach ścisnął kubek parującej kawy.

Uśmiechnął się do Ojaliki przepaszająco, odsuwając się od żołnierzy.

Jeslitochcew zakaszłał sucho.

— Pani gubernator...

— To już?

— Co?

— Bunt.

Pułkownik, ruchem starego, zmęczonego człowieka, ściągnął gogle, przejechał dłonią w rękawicy po krótkich włosach.

— Nie chciałbym, żeby tak to się odbywało — powiedział cicho.

— Przykro mi. Nie dam ci tej satysfakcji.

Milczeli. Anouki chleptał kawę. Jeslitochcew patrzył ponuro ponad kobietą na wzgórze totemu; huśtał w opuszczonej lewej ręce ciemne gogle. Ojalika przyglądała się Imatorowi, uderzając nerwowo lornetką o udo.

— Bądźmy szczerzy — sapnął Sebeto. — DeWonte to nadzieja ocalenia; pani — dogorywanie i degeneracja w strachu...

— Zamknij się — warknął Jeslitochcew.

— Co tym razem wam zaoferował? — spytała spokojnie. — Pomysł z bazami na księżycu upadł, gdy się okazało, że nie sposób podnieść czegokolwiek z powierzchni planety, a upraw z „Arki” nie da się odtworzyć. Ile wam zajmie połapanie się w tym nowym wariactwie?

— No i po co ten sarkazm? Niczego pani nie zmieni. Ludzie pójda za DeWontem. Myśli pani, że znaczą teraz cokolwiek regulaminy? Wszystko bardzo się uprościło. A poza tym — jest pani kobietą.

Uniosła brwi w szczerym zdumieniu.

— I cóż z tego?

— To prymitywny świat.

— Wrócił czas wojowników, co?

— Dla *homo sapiens* to stan naturalny. Ale nie w tym rzecz. Jedno jest ważne: ludzie pójda za

DeWontem. Nie mówię, że ja osobiście go popieram. Lecz nie mogę działać wbrew opinii ogółu, to tylko spotęgowałyby chaos. Ja również czuję ten ciężar odpowiedzialności, pani gubernator.

— Powiedz mi... powiedz: dlaczego właśnie DeWonte?

Jeslitochcew spojrzał w górę, w niebo — jakby rzeczywiście mógł dojrzeć „Arkę”.

— To jego twarz pierwszą widział każdy po przebudzeniu z wiecznego snu.

— A więc — przypadek.

— Wszyscyśmy unoszeni falami entropii.

— Ojalika — mruknął Lee, nie odwracając się. — Oni tu idą.

Obejrżeli się. Szaman i dwa Trupy schodzili ze wzgórza totemu.

— Co jeszcze było w tej kapsule, którą dostarczył wam goniec? — spytała, unosząc do oczu lornetkę.

Stojący krok za nią Jeslitochcew na powrót włożył gogle, po czym rzekł sucho:

— DeWonte przerywa zamykanie Grot. Poza tym informuje o wykryciu przez *Sentinele*, orbitujące poza strefą wpływu Bagna, sztucznego obiektu na stacjonarnej drugiego księżycy. Przypuszcza, że to Saint-Pierce go tam umieścił.

— W pamięci „Arki” nie ma takiej operacji.

— W pamięci „Arki” nie ma wielu rzeczy.

— Prawda? Nikt nie wie, co DeWonte robił przez te dwie doby od swego przebudzenia do otworzenia pozostałych anabiozerów.

Żołnierze za jej plecami wymienili czarne, wyłupiaste spojrzenia.

Sen i Trupy byli już w połowie drogi między wzniesieniami. Ojalika prowadziła ich wiernie rozbłyskami zeissowskich szkielek. Trupy, ponad dwukrotnie wyższe, znacznie szczuplejsze i przez to naturalnie przygarbione, wyglądały jak flankujące ofiarę modliszki. Ich upiorne postaci — właśnie przez tę swoją uniwersalną ohydę — były niemalże anonimowe; nie nosili żadnych ubrań ani ozdób. Mogła zamknąć oczy, równie dobrze by ich widziała, jaskrawo wymalowanych na wewnętrznej stronie powiek: ta brzydota wżera się w mózg niczym narkotyku. Stanowi w istocie nową wartość, przesuwa ci w umyśle skalę piękna, otwiera drzwi koszmarom dotąd niewyobrażalnym. Skóra obwisła, sflaczała, rozmiękła i zwrzodzona wielokrotnie. Twarz jak twarzy senne spotwornienie, wszystko po dziesięciokroć skarykaturowane; ohyda, ohyda — utoczono ich z błota chorób i teraz się w spojrzeniu rozłaza, rozpuszczają, dezintegrują w powrocie do jednokomórkowej magmy. Choroby, tylko one, jakieś straszliwe zarazy i plagi sekretne, ich ogień wściekły — to on stanowi żywiołowych istot.

Znowu powrócił — i zapewne niejednym raz jeszcze powróci, przywołany przystającą myślą — ten obraz, scena ciężko odbita w plastycznym piasku pamięci: szaman i Trupy, tanecznie przykucnięci, w zamkniętym kręgu tajemnicy, jednak obcy; i oto szaman rytualnym gestem unosi dłoń ku niebu, a tamci odpowiadają mu synchronicznymi poruszeniami patykowatych ramion — i rozumieją się, bez wątpienia znaleźli jakąś wspólną im wszystkim mowę — zjednoczeni dzikością swych serc. Ojalika tego nie pojmowała i usilnie starała się wytłumaczyć sobie ów fenomen, odwołując się do coraz dziwniejszych teorii.

Weszli na wzgórze i zatrzymali się w odległości wystarczająco dużej, by nie przytłaczać ludzi swym wzrostem; sen podszedł jednak bliżej.

— Ty, kobieto; ty możesz powiedzieć: tak; możesz powiedzieć: nie.

— Ja.

— Klan Strachu złoży przysięgę. Wy złoście przysięgę. Pokój na prawach równowagi. Krew za krew. Granicę stanowi prawy dopływ.

— Powiedzieli ci to? — Zerknęła na Imatora, semantyka ze specjalizacją ksenologiczną, bezradnego bez swej, martwej teraz, aparatury, który podszedł do grupy, jeszcze ze śrubokrętem w ręku.

— Zarzucasz mi kłamstwo?

— Spokojnie, Luis.

— Nie jestem Luis.

Porucznik Sebeto nie wytrzymał smrodu Trupów i odwrócił się, przesłonił nos urękawiczoną dłonią. Zdegustowana Ojalika posłała mu zimne spojrzenie.

— A Saint-Pierce? — wyrwał się Spieglass. — Lu... Podążający Za Cieniem, oni na pewno wiedzą...

Jeslitochcew westchnął ciężko.

— Będę tropił — rzekł szaman i na powrót zwrócił się do Ojaliki: — Nim słońce opadnie na ich dłoń, rozpocznie się ceremonia przysięgi pod totemem. Przygotujcie się.

— Dlaczego oni tu z tobą przyszli?

Stali i gapili się z wysokości tymi swoimi mętnymi, rozlanymi po potwornych obliczach ślepiami.

— Wiedzą, że mówię prawdę. — Uniósł rękę.

Lewy Trup pochylił się lekko. — *Tja krif. Dd-lemunyea-hh.*

Jeslitochcew, ciemno zapatrzony w masakrę na piersi tropiciela, postąpił krok ku Ojalice.

— Może byłoby lepiej, gdyby przysięgę złożył DeWonte — rzekł cicho i z niejakim zmieszaniem.

Ojalika jakby go nie słyszała.

— Podążający Za Cieniem, pójdiesz za mną. — Skinęła na sen.

Odeszli poza namioty. Trupy czekały w bezruchu. Imator próbował zmusić je do podjęcia rozmowy; bezskutecznie. Pozostali przyglądali się ohydrom w milczeniu.

Ojalika zatrzymała się za wrakiem unieruchomionej na zawsze ciężarówki, ograbionej przezornie ze wszystkiego, co przenośne, nawet szyb.

— Powiedz mi... wytropisz go?

— Wiem, gdzie mieszka. Powiedzieli mi.

— Naprawdę?

— Mieszka w Twierdzy.

— Mhm... przewidujesz jakieś kłopoty?

— On jest bogiem. Bogów się nie sprzedaje.

— Mhm... Ale tak czy owak — będziesz go tropił.

— Jestem, kim jestem.

— Skąd to znasz? — Co?

— Nic. Kiedy go już dopadniesz... powstrzymaj Anoukiego. Poślę Lee, dopilnuje. Ja muszę z Saint-Pierce'em porozmawiać.

— Po co?

— On wie. — Co?

— Wszystko. Bagno jest jego.

— Chcesz władzy. Biały Diabeł chce zemsty.

— Powiedz, czego ty chcesz.

Szybkie, ostre zdania. Ojalika uciekała wzrokiem, lecz sen patrzył bezlitośnie.

— Powiniennem cię wtedy zabić. W tobie jest demon.

# Twierdza

W miejscu, gdzie Pazur załamuje się w strome, urwiskowe zbocze, odrasta odeń masywny, kamienny filar; na jego szczycie mieszka bóg Klanu Miłosierdzia. Nie można tam dakiem wylądować. Nie można tam podejść od południa, wschodu ani zachodu. Można tam podejść od północy, ale na północy czekają Legiony.

— Co?

— Legiony.

— A cóż to takiego, u licha?

Podążający Za Cieniem zmilczał.

Lee wzruszył ramionami.

W trzasku wirtualnych płomieni ogniska noc szyfrowała tajemne ostrzeżenia.

Biały Diabeł przyglądał się poprzez dym, jak tropiciel zatruwa groty strzał.

— Skąd wzięłeś tę truciznę?

— Zrobiłem.

— Jak? Z czego? Skąd wiesz, że dla nich też jest zabójcza?

— Każdy świat ma swoje trucizny, swoje leki.

Czarny Czarnooki zapalił fajkę. Rozciągnięty leniwie pod czerwonożółtym poncho obserwował zaciemnianie kolejnych gwiazdozbiorów przez przepływające chmury; w myśli nazywał te obce mu konstelacje. Młot. Statek. Akcelerator. Prezerwatywa. Ptak. Karabin. Włosy. Nie rozumiał polecenia Ojaliki, by towarzyszyć szaleńcowi i jego snowi w tym śmiertelnym pościgu za wampirem — lecz teraz naszło go niespodziewanie straszliwe podejrzenie, iż uczyniła to, by uchronić go przed zemstą DeWonte'a, który wszak zapowiedział swe rychłe zniebozstąpienie.

— Ojalika... — odezwał się Anouki i Lee drgnął. — Czemu ona nosi ze sobą ten telefon?

Lee zaśmiał się.

— Ma wciąż nadzieję, że znajdzie takie miejsce, gdzie on zadziała. Nie wierzy w Bagno. Mówi: to niemożliwe, to nie ma sensu. Wierzy w naukę.

Potwór: nadbiegł, zawył. Szaman poderwał się na nogi. Nóż. Tomahawk. Potwór wył na południe, na Pazur tnący krzywym cieniem gwiazdoskłon. Poderwali się i ludzie. Lee podniósł szablę, wyciągnął ją z pochwy. Anouki, oblizując wargi, przeładował remingtona. Daki w nagłym strachu rozłopotały się bezsilnie na uwięzi długich rzemieni. Cayuga drapał blizny po odrąbanych palcach.

— Widzisz to?

— Co?

— To na niebie.

Tropiciel schował nóż, czym prędzej założył na łączysko cięciwę, pozbierał strzały. Potem skoczył w ognisko i zdeptał je. Czarny Czarnooki — teraz bez okularów — wycofał się wolno za pień powalonego niedrzewa; na klindze jego pałasza rozzielenił się blask księżyców.

Sen zaintonował jakąś jękliwą pieśń; Anoukiemu od tego nieludzkiego dźwięku przebiegł dreszcz po plecach.

Potwór warczał ostrzegawczo.

— Co to jest? Co to jest?!

Spadły na nich z nocnych wysokości, wynurzyły się z mroku niepuszczy — Legiony.



— Na miłość boską... co to jest?!!

Lee wypadła z ręki szabla. Nie miał teraz czasu naciągać rękawic; wytarł wilgotne wnętrza dłoni o płaszcz, pochylił się niepewnie, podniósł broń. Nagle ciężka. Zaklął modlitewnie. Słyszał krzyki rozpanikowanego Anoukiego. Ryki ze strony przeciwnej. Spojrzał. Smok. Nie uwierzył. A jednak — nadal smok. Ryczy. Miota się po polanie. Skrzydła jak chorobliwe błony nocy. Owadzio szybki. Skórę ma czarną i tylko cieniem go widać. Sen, niczym dobrze naoliwiony automat, w niemożliwym tempie szyje doń z łuku zatrutymi strzałami. Potwór wgryza się wściekle w smoczy ogon. Lee krok za krokiem wstecz. Wtedy — harpie. Spomiędzy gwiazd. Białopierśne erynie o orlich skrzydłach. Ich pazury — wszędzie dookoła. Siecze Lee z rozpaczliwych zamachów; raz, drugi, trzeci; traci równowagę, rzuca go w prawo — Lee garbi się, przykłęka, podpira... pazury drą i szarpią jego płaszcz na plecach. Przewraca się, przetacza. Kątem oka: smok, smok ponad wszelką wątpliwość, smoczy stuprocentowo. A tu harpie. Więc wstaje. One nurkują z ciemności, starając się w przelocie rozdrapać go na strzępy. Lecz usiekl już trzy spośród nich. Cztery. W jednym z obrotów dostrzega Spieglassa walczącego z czymś, co wygląda jak sześcioreki goryl; Spieglass nie jest w stanie obrócić remingtona lufą ku stworowi, tamten ma po prostu zbyt wiele łap. Smok zaś kona od sekretnej trucizny szamana, już tylko niezdarnie próbuje zedrzeć z siebie strzałę; Potwór dogryza się do jego tętnicy i płynie gęsta, gorąca smocza krew. Tymczasem niepuszcza rodzi kolejne monstra. Co to jest? Biegną, lecą, skaczą, wiją się, przepoczwarzają. Grzmi remington. Wyje sen. Warczy Potwór. Szał. Noc. Noc to usprawiedliwia.

...Potem wytarł klingę; wyszczerbiła się lekko. Nie mógł jej unieść wyżej jak do pasa, a ręka drżała mu przy tym tak, że czubek ostrza pałasza latał na pół metra we wszystkie strony. Znał to zmęczenie mięśni, chociażby z rehabilitacji poanabiozyjnej, lecz teraz, w kontekście owej specyficznej psychicznej bezwoli, jaka go niespodziewanie dopadła, nazwał je od nowa: zmęczenie walką. Depresja pobitewna.

Idąc przez polanę — nagle tak cichą — potknął się kilkakrotnie o rozplywające się powoli w mgłę truchła; wreszcie jedynie grzązł w nich po kolana. Sny. To sny. Legiony Saint-Pierce'a. I wtedy pomyślał: Luis! Obejrzał się. Podążający Za Cieniem stał nad pośmiertnie ze sobą splecionymi zwłokami Anoukiego Spieglassa i sześciorekiego goryla, i nucił coś cicho. Lee powlókł się do daków (dwa były martwe), zaczął szukać bandaży; myślał: „Co on teraz robi? Wie. Wie: wkrótce... umrze. Przestanie istnieć. Ile czasu mu pozostało?”. I po chwili: „Koniec polowania”.

Obwiązując rozsiekany bark, krzyknął przez nocną polanę, powleczonej trupią mgłą:

— Co teraz? Szamanie...? Co teraz?

Podążający Za Cieniem, nie odwracając się, wskazał tomahawkim wysoką ciemność. — Twierdza.

## Słońce wschodzi; słońce zachodzi

Rankiem po walce świat jest jak wyjałowiony; tropiciela przygniata wspomnienie niedawnego niebezpieczeństwa, w porównaniu z nim każdy obraz, każdy dźwięk zdaje się blady i nijaki. Pod wieczór wszystko zaczyna odzyskiwać naturalne proporcje i walka odchodzi w przeszłość dalszą, miesza się z pamięcią dni z minionych miesięcy i lat.

Zachodzi/wschodzi słońce. Nawet w Bagnie jest w tym piękno. Nawet tu. Podążający Za Cieniem

chłonie to piękno, ponieważ poza nim nic już mu nie pozostało. Siedzi na nagim stoku pod masywem Pazura i stara się nie patrzeć na konającego Potwora, nie słyszeć jego błagalnego skomlenia: zwierzę czuje, że to śmierć. Utrata realności istnienia boli. Już widać przezeń odległe głązy. Ale szaman nie może mu pomóc, rozemglenie się Potwora to preludium jego własnego końca, to samo go czeka. Więc już tylko słońce, tylko ono.

Kilkadziesiąt kroków od tropiciela wylądowały trzy daki, ale nie spojrzął, bo i po co?

Ojalika pomogła Lee zejść z jego wierzchowca; Murzyn zatoczył się. Prócz posiekanego barku, który prymitywnie obwiązał sobie podartą na pasy koszulą, wykrwawiał się z nowej rany na prawym biodrze; nie mógł ustać. Zrobił pół kroku i usiadł; ale siedzieć też nie był w stanie i skończył rozciągnięty jak długi w cieniu daka, który od woni ludzkiej krwi rozkolebał szaleńczo swymi szyjami/ogonami. Ojalika, odziana w jakieś przedziwne, połyskujące mokro, bufiaste ubranie, pochyliła się nad nim zaniepokojona.

— I jak?

— Nic, nic...

— No co, boli?

— Daj spokój.

— Żeby chociaż morfina...

— Masz?

— Nie.

— Och.

— Lee...

— Kurwa mać.

Z zaciśniętymi wściekle wargami podeszła do Podążającego Za Cieniem; Indianin siedział ze skrzyżowanymi nogami, z łukiem przez uda, zagapiony w słońce. Obok konał dematerializujący się Potwór. Wytrzeszczyła nań oczy. Dopiero kolejne przekleństwo Lee zza pleców otrzeźwiło ją.

— Co, Luis, byłeś tam? Luis? Powiedz.

Ale milczał. Nie istniała dla niego. Wiatr poruszał jego włosami, amuletami, skalpem przy pasie. Słońce — tylko ono.

— Luis, do cholery!

— Pieprzony Indianiec — jęknął Lee. Potrząsnęła szamanem. Nic.

— On też umiera — rzekł Lee. — Zostaw go. To już nie ma sensu. Przegraliśmy, DeWonte wygrał. Pogódź się z tym, zanim cię to zeżre... Daj mu umrzeć.

— Nikt mi tu nie będzie zdychał!

— Sztuką jest wiedzieć, kiedy się poddać.

— Co za banały mi tu sadzisz!

Zachichotał: — Banał, w odpowiedniej chwili powtórzony, potrafi odzyskać zatarte piękno starożytnej mądrości.

— Wariat.

— Ojalika...

Przeraził ją ton jego głosu; wróciła do Murzyna. Usiłował się podnieść na łokciu. Zdjął ciemne okulary, jakby zdzierał sobie z twarzy skórę. Przyklękła. Patrzył jej w oczy. Usiłowała go objąć, podtrzymać, ale był zbyt ciężki, zbyt wielki. Coś wybulgotał wraz z krwią.

Potem: — Ojalika... ja...

— Tak.

No i skonał.

Nie uwierzyła. Chwilę jej zeszło na wtrząsaniu weń życia. Lecz nie ożył. Wtedy spostrzegła, że ma jego krew na ubraniu. Wstała. Wściekłość w oczach.

— Ty skurwysynu — wysyczała — Jak mogłeś mi tak zdechnąć? Tylko ty mi zostałeś! Jak mogłeś mnie zdradzić?! Wszyscyście tacy sami!

Zaczęła go kopać. Martwe ciało przyjmowało to z całkowitą obojętnością. Kopała więc i kopała. Nagle czyjaś dłoń na ramieniu. Odskoczyła. Podążający Za Cieniem.

— Nie bezcześcić zwłok.

Okłęła go w języku, którego nie znał. Otarł pot z twarzy, zerknął na Potwora, już nie bardziej realnego od niedokończzonej myśli.

— Nareszcie oprzytomniał, co? — sarknęła Ojalika.

— Cicho, cicho.

— A szlag by cię trafił! Miałeś sprawdzić Twierdzę, a nie...

— Sprawdziłem. Po chwili ona: — I co?

— Dawno pusto. Nie ma go. Przewidział nas.

To ją złamało ostatecznie. Usiadła na ziemi, plecami do Lee.

Niewyraźnie, kalecząc słowa: — Tylko on jeszcze... Jeślibyśmy Saint-Pierce'a schwytali... wszystkie jego tajemnice, władza nad Bagnem... Cholerny DeWonte, skrytobójca pieprzony...

Przysiadł obok.

Gdyby tak spojrzeć na nich ze szczytu przeciwległego do łańcucha gór wzgórze — a nie ma tam nikogo, by spojrzeć — stanowiliby zaledwie dwie małe, jasne plamki na tle matowej czerni porostu i szaro—szarej mozaiki głazów, kamieni i żwiru, na stoku masywu zwieńczonego wśród chmur złowrogim grotem Pazura. Daki niemal wtopiłyby się w zbocze. Potwór rozemgliłby się do postaci lekkiego zafalowania powietrza. Kąt biegu odszczytowego spojrzenia uniemożliwiłby natomiast rozpoznanie zwłok Lee.

Ojalika odplynęła; bardziej niż do Luisa Laviera, mówiła do jego wyobrażenia we własnej głowie.

— A wiesz, że lecąc tu, wymyśliłam sposób na utrzymanie cię przy życiu? Lee od razu powiedział mi o Anoukim. Pomyślałam sobie: jeśli go teraz nie dopadniemy, niech Luis tropi go dalej, już dla mnie, teraz ja będę w niego wierzyć, będzie moim tropicielem... Ale po co, po co to wszystko?

— A co się zmieniło? Będę go tropił.

Nie zwróciła uwagi na niepojętą zmianę jego postawy — jeszcze przed momentem ni słowa by nie rzucił za swym życiem.

— Lee umarł.

— Ach.

Jakoś zlągodniał. Uleciała zeń dzikość bezwzględne drapieżcy.

— Tak nie można. Co bogowie zabierają, tego człowiek nie zatrzyma; co bogowie dają, trzeba brać.

— Odpierdol się.

— Życie jest życiem, jakiegokolwiek by było. Każdy moment jest tyle samo wart. Bezczyność to śmierć.

Wreszcie oprzytomniała. Spojrzała na niego.

— A tobie co się stało? Już nie wszystko ci jedno? Do czego ty mnie przekonujesz?

Gestem przejętym od ojców, którzy przejęli go od swoich ojców, a ci od swoich, i tak aż po niepamięć pramacierzy — wskazał zapadającą za horyzont bladą kulę słońca.

— Czy widzisz piękno tej chwili? Czyż nie jest ono warte każdego czasu? Czy nie usprawiedliwia i tłumaczy wszystkiego? — Przekazał jej jedyną uniwersalną mądrość, jaką świadomie poznał.

— Sen mi to mówi — odrzekła, nie wiedząc, co odrzec.

— Sen. Ulotność chwili i trwałość chwili to ja. Uwierz we mnie.

Obejrzała się na Lee.

— Tym się różnimy, mój drogi śnie, że moja pamięć nie jest wybiórcza.

On obejrzał się na Potwora, którego już nie było.

— Różnimy się jedynie sposobem magazynowania teraźniejszości.

— Ty nauczyłeś się żyć wyłącznie nią. No ale ty musisz: tylko w niej istniejesz.

Jeszcze nie rozumiała, że sama również jest już zaledwie snem.

— Uwierz we mnie — powtórzył, spoglądając kontrolnie na swoje dłonie, czy aby nie zaczęły tymczasem zatracać swej cielesności.

Zapaliła papierosa, żeby się przekonać, jak bardzo trzęsą się jej palce.

— A cóż mi ma do zaoferowania takie życie? Po raz drugi uczynił magiczny gest.

A chwila była taka:

Czerń i fiolet, i żółć, i biel. Obce kolory w obcej ich konfiguracji. Lico nieba w wojennym malunku. Lecz to wszystko się porusza, zmienia, płynie; tam zmagają się ze sobą w śmiertelnym wyścigu zahoryzontalne wichry, tysiącodcieniowe chmury zanurzone w ich zimnym nurcie suną nad ziemią szybciej od myśli... — ale to tam, w nieopisywalnej odległości, tam to pędzi i mknie; stąd zaś widziane, zdaje się zgoła wisieć w koronie gwiazdy, rozedrgane mocą światła: rozczesane obłoki, mgły ponad możliwość podniesione, przejrzywające wiśniowo od bliskości słońca powietrze, samo słońce nad wyraz w tym Bagnie słoneczne. Tak daleko. A jednak żyje. Przestrzeń żyje. Czuć jej oddech w niezmiennej perspektywie zmiennych obrazów. Jak się przesłaniają wzajemnie skrzydlate potwory w godowej walce wyżej cmentarnej niepuszczy; jak raz i drugi rozpióropuszy się żalobnie popiół i dym ze stożka niewidocznego wulkanu; jak cień po cieniu cwałują po przebarwionej równinie grupki kościstych zwierząt. A słońce coraz bardziej rozedrgane, rozmywają się w chmurnej zawieszynie jego kontury; coraz mocniej słoneczne w swym zejściu pod ziemię. Chwchchchchwch... — tchnienie wieczornej pustki. Obejmować wzrokiem przestrzeń, jakich w całym swoim życiu nie przemierzysz. Czuć na skórze wietrzny dotyk dali najdalszych. Istnieć. Tak. Tak. — Zachód słońca.

## Dwa groby

Spoczęli obok siebie, a gdzieś w okolicy krążył zapewne i duch ducha Potwora. Podążający Za Cieniem z Białym Diabłem spędził nieporównanie więcej czasu aniżeli z Czarnym Czarnookim, lecz wiedział, że to murzyna zapamięta jaśniej, ostrzej i wyraźniej. Różni byli, jak barwy w ich imionach, i to Lee był wojownikiem. Szaman złożył jednak wraz ze Spieglassem jego skalp. Szacunek należał się mu jako stwórcy. Bóstw się nie ocenia.

Początkowo zamierzał ciała spalić, lecz zabroniła. Wiele się będzie musiała nauczyć. Prochy spalonych rozwiewa wiatr, odtąd są oni obecni w każdym miejscu i każdym czasie. A groby tylko tu i teraz. Plemię odejdzie i nie wróci; nie zabierze cmentarza ze sobą. Po cóż wzmacniać dni minione, niech nie rosną w siłę naszym kosztem. Jeszcze tego nie rozumiała.

Na północ, powiedziała, na północ. Tam bezludzie. Lećmy. Wierzę, wierzę w ciebie. Ona się boi tego demona, De—Wonte'a; to dlatego. Strach przetrwa wszystko. Teraz już nikim nie dowodziła. Teraz już nic od niej nie zależało. Teraz to był jego żywioł.

Rzekł: — Zachód. Potem zabijemy daki.

Zmilczała.

### III.

#### To już ostatnia kartka

Muszę gęsto i drobno pisać. To trudne. Kiedy właściwie ostatni raz przed Bagnem zmuszona byłam pisać ręcznie? Nie pamiętam nawet. Teraz jednak wiem, że w odręcznym zapisie więcej się przekazuje aniżeli samą treść, zawartą w ciągach liter i kombinacji ich kombinacji; patrzę na poprzednią stronę mego dziennika i widzę ów dzień — dzień przed dniem przedwczorajszym — w którym pokryłam ją mozaiką zdań wyekstraktowanych z minionych myśli. Czy muszę je czytać, by przypomnieć sobie nastrój tamtego wieczoru? Nie. Ale to ja — a ktoś obcy? Bo i dla kogo ten dziennik? Prawdą jest, że i najbardziej sekretne pamiętniki chorobliwych introwertyków pisane są przecież z podświadomą intencją przeczytania ich przez kogoś całkowicie obcego; w rzeczy samej niczego, ale to niczego nie pisze się i nie tworzy dla samego siebie. Ciekawam więc, w czyje ręce trafi ten notatnik? Ty — ty — cóż sobie o mnie, o nas myślisz? Jak sobie nas w głowie malujesz? Już teraz jesteśmy legendą. Dziki Sen i Szalona Ojalika. Szaman nieistniejącego szczepu, tropiciel wampira na obcej ziemi, pod obcym słońcem. Demoniczna jego *squaw*, była pani gubernator, zdetronizowana despotka o sercu z lodu. Och, słyszałam pieśń o nas. Jesteśmy legendą. Co za historia. Niemal czuję ten czas biegnący wstecz, decywilizujący nas w szalonym tempie; dziczejemy tu, na Bagnie, my wszyscy; ludzie. Niedługo bogów sobie utoczmy na obraz i podobieństwo naszych lęków i marzeń. Nie uwierzyłabym, gdyby mi ktoś coś podobnego wcześniej zapowiedział. Wszak to absurd. Nie można zapomnieć własnych korzeni. A jednak. Gdy ostatnią zimą — oś tej planety jest bardziej nachylona względem płaszczyzny orbity, aniżeli początkowo sądziłam — gdy ostatnią mroźną zimą mijaliśmy Piszczele ze strony Wierchów, ponownie ujrzałam nad horyzontem złote łuny słonecznych refleksów bijących od luster komunikacyjnych. Samych luster z dołu nie widać, jedynie te błyski. Pamiętam, jak nadzorowałam montowanie owych metalowych zwierciadeł, drewniano—sznurowych konstrukcji, na których się obracają; pamiętam pierwszą wiadomość, jaką przekazaliśmy Morse'em za ich pomocą „Arce” *vi a* satelity: *Brak potwierdzenia możliwości komunikacji radiowej. Kontynuować ewakuację statku. Zaprześcić eksperymentów z transmutatorami, niebezpieczeństwo zbyt duże. Nie przerywać nasłuchu z kierunku Słońca. DeWonte natychmiast, powtarzam: natychmiast ma przybyć na powierzchnię planety. Diana.* Pamiętam słowo w słowo; wspomnienia minionej chwały... „Diana” to było moje imię kodowe, jako dowódcy i tymczasowego gubernatora Bagna. A teraz — co i komu komunikują zwierciadła z Piszczeli? Przecież nikogo już nie ma na orbicie. Z kim oni rozmawiają? Stałam i odczytywałam kolejne słowa z układów błysków i zmrocznień nadmiejskiej łuny. ...*urodzaj... cofnij plagi... ześlij ratunek...* To była modlitwa; oni w ten sposób wznoszą w kosmos modły. Do kogo? Do „Arki”? Do Ziemi? Przygnębia mnie to bardziej aniżeli nędza mego własnego położenia. Jak nisko i jak szybko może człowiek upaść. Ten regres... aż dreszcz przebiega. Co mi wtedy powiedział Jeslitochcew? *Jest pani kobietą... To prymitywny świat.*

Nie rozumiałam go. Co ma do rzeczy płeć? Sama zapomniałam o przeszłości swego gatunku. Okres, w którym płeć istotnie nic nie znaczyła dla piastowanej funkcji czy zawodu, stanowi w historii *homo sapiens* jej niewielki ułamek, w rzeczywistości ogranicza się do ostatniego wieku, półtora — w porównaniu do tysiącleci klasycznego podziału obowiązków pomiędzy kobiety i mężczyzn i dominacji tych ostatnich. Awans społeczny kobiet jest nierozzerwalnie związany z postępem; wynika z niego: tradycyjne przewagi płci silniejszej w rozwiniętym, technicyzowanym, skomputeryzowanym społeczeństwie, gdzie jedyną wartością jest informacja, a zatem produkt intelektu, nie mięśni — straciły zupełnie na wadze; wszystkie międzypłciowe różnice niweluje technosfera: gdy zabić można myślą, nikt nie zważa na wzrost, wagę i siłę. Ja przyjąłam ten stan za naturalny, z podobną naiwnością, z jaką dziecko uważa swych rodziców za nieśmiertelnych i niezwyciężonych. Tymczasem nic bardziej mylnego. Wystarczy odjąć nam wszystkie te komputery, maszyny... wyjąć ze środowiska — a stajemy się tym, czym zawsze byliśmy: kochankami, służącymi, niewolnicami, kucharkami... matkami. Czuję, czuję, jak rośnie we mnie to niemożliwe, nierealne, senne życie: mogłabym je zabić w swym ciele jednym zawieszeniem wiary w istnienie Luisa. Czy można zejść w ciążę z własną myślą? Czy może zejść w ciążę kobieta chirurgicznie bezpłodna? Ja nawet nie pamiętam, jak przebiega naturalny poród, wszak i sama zrodziłam się z łona maszyny. W Bagnie gniją i fundamenty rzeczywistości. Rozkład dosięga także logiki. Cud cudowny, a jakoś ohydny pod tym niebem koloru błota. Tu wszystko zapada w śmierć i brzydotę i cień. Luis mnie uczy terażniejszości. Jego filozofia jest obroną przed nieszczęściem czającym się za każdym dniem, każdą godziną, chwilą. *Carpe diem*. Być może on widzi tu piękno, ja już nie. Mam lusterko. Boję się w nie spojrzeć. Wyglądam jak własna babka. Boże mój; wstręt po prostu w sobie budzę. Jak można tak żyć? To wegetacja. On zabrał mi fiolkę z trucizną; któreś nocy wygadałam się głupio. Mówi, że mnie kocha. Biedny dzikus. Któreś innej nocy trzymałam już nóż na jego gardle. Tak wydało mi się łatwiej, prościej, niż zabić zaniechaniem wiary. Co mnie powstrzymało? Strach przed samotnością. Samotności boję się nawet bardziej niż DeWonte'a. Zresztą DeWonte najprawdopodobniej przestał już mnie ścigać. Nie ma po co. Nie jestem w stanie mu zagrozić. Machnął ręką na Saint-Pierce'a: nikt nigdy go nie złapie. Złapali natomiast parę tych jego wampirzych podróbek; coraz więcej ich wypuszcza — teraz, gdy ludzie nie mają powodu bać się Trupów, to one spełniają rolę straszaka i powstrzymują zapaleńców z Piszczeli od sportowych eskapad, lekkomyślnych łowów na nieśmiertelnego Zjadacza Krwi, jak nazywa go Luis. Choć ta taktyka działa przecież także przeciwko niemu: coraz trudniej mu dopaść jakiejś ofiary. Nie rozumiem tego. Aż dziw, że jego ofiarami nie staliśmy się my właśnie, zwłaszcza, że — jak zarzeka się Luis — idziemy bezustannie jego tropem choć ja, jako żywo, żadnego tropu nie dostrzegam. Luis mówi, że go dogonimy; że Zjadacz Krwi w końcu się zmęczy. Ale co innego może mówić? Musi tropić, takie jest jego przeznaczenie, jego los, sens istnienia, przyczyna stworzenia. Ileż to już lat takiej błędnej wędrówki po Bagnie za niewidocznym, zgoła mitycznym wampirem? Och, ja go widziałam; spotkałam się z nim, jako dowódca wyprawy, przed zapadnięciem w anabiozyjny sen, jeszcze wewnątrz Układu Słonecznego. Skłonił się, ucałował mi dłoń. Kabotyń, pomyślałam. Uśmiechał się, miał uśmiech niczym inkwizytor. Spojrzał — i poczułam się obnażona do nagich kości mych grzechów. Pamiętam jego słowa: „Miłych snów, Ojaliko, miłych snów”. Żadnego akcentu; i głos też jakiś pusty. Specjalnie przypatrywałam się jego ustom: nie miał kłów. Nie wtedy, w każdym razie. Pamiętam każdą minutę tego ostatniego dnia. Szaleństwo meldunków do wszystkich możliwych ośrodków dowodzenia w Układzie. Tłok na łączach. Ludzkość ryczy w kosmos nieustanną paplaniną każdej stacji radiowej, telewizyjnej, każdej bezprzewodowej rozmowy telefonicznej. Tam to jeszcze był dom, bo mogliśmy oglądać na żywo walkę o tytuł mistrza wszechwag, odbierać serwisy informacyjne dziesiątek sieci, śledzić notowania

giełdowe. A teraz? Nie jestem w stanie pojąć tego milczenia Ziemi. Czasze radioteleskopów „Arki” wciąż trwają zapewne wycelowane w kierunku Słońca. Nie odebraliśmy ani echa szumu. A przecież powinny do nas docierać sygnały opóźnione zaledwie o parę lat, szliśmy z podświetlną. No, trzeba dodać ten czas, przez który przetrzymał nas na orbicie Saint–Pierce. Ale mimo wszystko... to milczenie — przeraża. Były co prawda problemy z kalibracją systemów i programami astrograficznymi, były tam w nich jakieś niezgodności — ale Słońce zlokalizowaliśmy bez problemu, Lee potwierdził. Więc co się dzieje? Czy Saint–Pierce może odpowiedzieć i na to pytanie? Złapiemy go, złapiemy, szepcze mi Luis. On zawsze będzie tak.

## Głos i głos

— Lubisz dzieci?

— Jesteś w ciąży?

— ...

— Tak??

— Luis...

— Nie używaj tego imienia, mówiłem ci; to nie jest moje imię, nie ma Luisa.

— Ty nie istniejesz. Rozumiesz to? Nie istnieje Podążający Za Cieniem.

— Nie rozumiem. Póki co, jestem równie realny jak ty. — A myślisz, że ja pojmuję mechanizm funkcjonowania Grot? To zaprzecza logice. Ale jednak — dzieje się. Wbrew fizyce, wbrew... wszystkiemu. Jesteś snem. Boję się; sama chwilami o tym zapominam.

— To dobrze.

— Tak, to dobrze... nic już wówczas nie podważa mocy twego istnienia.

— Pragniesz mojej śmierci?

— Chwilami. Swojej również.

— Swojej możesz pragnąć, ale dla mnie te twoje pragnienia są niebezpieczne. Marzy ci się śmierć ojca twego dziecka?

— Nic mi się nie marzy. Co najwyżej przeszłość. A tego dziecka ja nie chcę. Zresztą ono również jest niemożliwością. Nie myśl o mnie jak o jednej ze swoich squaw.

— Nie potrafię inaczej.

— Wiem. Przepraszam.

— Ty jesteś złą kobietą. Ale to nie twoja wina... Nie śmieję się!

— Chryste Panie, co za idiotyzmy. Tylko się powiesić. Ja — w ciąży. Mam rodzić jak jakieś... zwierzę. Brzuch mi urośnie. Krew, cierpienie. Co za ohyda. Jak zwierzęta. Dziczejemy, dziczejemy.

— ...

— Dlaczego ty nigdy nie wymawiasz mego imienia? Pogardzasz mną? Co ty w ogóle czujesz? Nic z tego nie rozumiesz, ale ty nie musisz rozumieć, nie tak funkcjonuje twój umysł. Co ci się... śni?

— Nie tobie znać moje sny.

— Przeszłość, prawda? Przeszłość nie istniejąca... Dorzuć do ogniska.

— ...Nie zamartwiaj się tak; złapiemy go i znowu zdobędziesz władzę.

— Nie opowiadaj mi tu bajek.

— Jesteśmy na jego tropie. Wiem to. Idziemy za nim. On ma swoje stałe trasy. Stopniowo



poznaję ten schemat. Złapiemy go.

— Taa, na pewno.

— Ta żółć żalu, gniewu i rozgoryczenia po utracie. Wypluj ją. Ona cię zatruwa.

— Mówisz jak Lee.

— Lee był mądrym człowiekiem.

— Był wierny. Nie zdradził. Zginął w mojej obronie.

— Na bogów, jesteś kobietą, zatem zachowuj się jak kobieta, a nie jak wojownik; to odpychające.

— Najpierw musiałbyś mnie tego nauczyć.

— ...

— Patrz: włosy mi odrastają.

— To dobrze.

— *Squaw* ma wyglądać jak *squaw*, co? Znam to, znam. Swoją drogą miałam przecież gwarancję wiecznej depilacji... Ech, Bagno wszystkiemu da radę. Może i tobie palce odrosną; palce czy włosy, co za różnica, wszystko bezsens...

— ...

— Powiedz mi — jesteś szczęśliwy?

— Tak.

— Naprawdę??

— Powiedziałem.

— Ale...

— Cicho.

— ...

— Ojalika?

— Mhm?

— Ja lubię dzieci.

## *Argentina, Argentina* czyli Człowiek Z Obrzyнем

To było polowanie; a w jego trakcie — polowania pomniejsze. Teraz, na przykład, tropili wiejohydę, jak ochrzciła zwierzę Ojalika. Paskudnie wygląda, wspaniale smakuje. Tropili ją od rana, kiedy to na jej ślad natrafił przypadkiem Podążający Za Cieniem. Dawno już nie jedli świeżego mięsa. Cięży Ojaliki nie było jeszcze widać, ale szaman co i raz powtarzał, jakiego to odżywiania się przez matkę wymaga dziecko w jej łonie; zwłaszcza nie istniejące, dodawała ona. Nienawidziła tego obcego embrionu w swym ciele; brzydziła się nim. Od wieku — wieku przed startem „Arki” — rodzą cieleśnie wszak tylko analfabetyczne, zagłodzone matki środkowej Afryki i dzikiej Amazonii, cywilizacja uwolniła kobiety od niewoli macierzyństwa, owego przymusu cierpienia. Zezwierzęcam się, intonowała nieustannie swą mantrę Ojalika. Zdradził ją własny organizm, niby genetycznie i chirurgicznie niezdolny do zapłodnienia. Nienawidziła, nienawidziła tego dziecka; a wraz z tą nienawiścią rosła w niej niechęć i odraza do wyśnionego cudzym marzeniem jego ojca, niemożliwego Cayugi, dzikusa w jej ramionach, ciepłego ciała przy jej ciele.

— Ktoś śpiewa.

— Mhm?

Uniósł kaleką dłoń, przekrzywił głowę, znieruchomiał; w takich chwilach nie wierzyła w jego człowieczeństwo.

— Posłuchaj.

Oparła się o niedrzewo, posłuchała. Faktycznie: coś, jakby echo echa ludzkiego głosu, płynęło cichym strumieniem poprzez półmroczną niepuszczę. Z której to strony? Tu słuch zawodzi. Tylko Podążający Za Cieniem, tylko on, kierowany tym swoim zwierzęcym instynktem nigdy się nie myli, nie jest zdolny do pomyłki. Spojrzała: patrzył ku północy.

— Tam — szepnął.

Nowe polowanie. W niepamięć poszła wiejohyda. Teraz maszerowali na północ, ku głosowi. Luis pierwszy. To on był tropicielem, on wskazywał ścieżki, wybierał drogi; on przewodził, nawet nie próbując udawać, że w jakikolwiek sposób liczy się w tej kwestii z jej zdaniem. Ona zawsze z tyłu. Patrzyła na jego plecy i wzbierały w niej czarne, gorące myśli.

Śpiewak prał w strumieniu swoją koszulę.

— Argentiina, Argentiinaaaa... — zawodził smętnie, klęcząc na kamienistym brzegu, przeciwległym do tego, na którym czaili się w gęstych acz karłowatych zaroślach Luis Lavier i Ojalika Otak.

Ojalika powstrzymała podnoszącego się już szamana. — Widzisz? To po lewej? Obrzyn. Strzelba taka. Uważaj.

Podążający Za Cieniem nie miał specjalnie wysokiego mniemania o broni palnej; podług niego używali jej jedynie samobójcy i głupcy. Ale nałożył strzałę na cięciwę; wstał z uniesionym łukiem.

Śpiewak, nie zmieniając pozycji, ze wzrokiem opuszczonym na praną koszulę, zawołał:

— Podążający Za Cieniem! Ojalika! Podejdźcie, podejdźcie! Ojalika zmartwiała. Zmrużyła oczy: usiłowała dojrzeć skryte we własnym jego cieniu oblicze mężczyzny — nie udawało się jej. W końcu również wstała; szaman przechodził już po gładkich kamieniach na drugą stronę strumienia, łuk nadal miał wzniesiony, choć nie napięty.

Przyskoczył do nieznanego i odkopał odeń obrzyna.

— Kim ty jesteś?

Tamten, wyjąwszy wpierw koszulę, podniósł się, odgarniając znad czoła długie, jasne włosy. Uśmiechał się do Ojaliki pozostałej na drugim brzegu.

— To sen! — krzyknęła.

Podążający Za Cieniem odstał, naprężył cięciwę. Grot strzały nakierowany był nieruchomo prosto w serce nieznanego. Ojalika Otak skojarzyła sobie przelotnie tę scenę ze sceną z polany z nagim trupem Isaaka — kiedy to było, ile lat temu? Czas, mój Boże, czas; on mnie morduje.

— Na pewno? — rzucił Cayuga przez ramię.

— Nie było go na pokładzie „Arki” — odparła.

— Kim ty jesteś? — powtórzył tropiciel do Człowieka Z Obrzynem.

— A kimże ty jesteś? — Mężczyzna przerzucił skręconą w mokrą linę koszulę przez bark, rozchlapując wokół zimne krople.

— Kto cię wyśnił? — zapytała Ojalika.

— Nie znacie ich.

— Znam wszystkich — warknęła. — Saint–Pierce? On?

— Zabijecie Saint–Pierce’a. Ty go zabijesz. — Wskazał Podążającego Za Cieniem.

— O czym ty mówisz?

— Kto cię wyśnił?

Człowiek Z Obrzynem zaśmiał się. Miał przyjemny śmiech, ale Ojalikę i tak zirytował. Przeskoczyła po kamieniach na drugą stronę wody, raz tylko się nieco zachwiałszy. Sakwy z całym dobytkiem jej i szamana pozostały w krzakach.

Podniosła dubeltowy obrzyn, sprawdziła: załadowany brenekami. Zatrzasnęła go i opuściła, odwiódłszy kurki. Szyderczo wykrzywiona podeszła na trzy kroki do blondyna, nie zasłaniając jednak przy tym Podążającego Za Cieniem. Palec na osłonie. Kiedyś była gubernatorem tej planety.

— Ty mi powiesz wszystko, kochany, powiesz mi, co tylko wiesz; sen czy nie sen, wolałbyś chyba zachować flaki wewnątrz, co?

— Zrób sobie przysługę i nie naciskaj spustu, okay? Różnie to bywa.

— Mów. Jesteś snem?

Spojrzał w niebo, wydał wargi.

— Z Groty wyszedłem na ten świat. Jak on, mam swoje cele. Właśnie wypełniam jeden z nich. Sam śnię. Sam marzę. Sam nienawidzę mych stwórcy. To chcesz wiedzieć? — Potarł oko grzbietem dłoni, zniechęcony. — Lepiej już idźcie; i tak musicie się pospieszyć, żeby zdążyć przed nim.

— Przed kim?

Podążający Za Cieniem wiedział.

— Przed Zjadaczem Krwi. Ojalika nic z tego nie rozumiała.

— Przecież to on jest twoim stwórcy, nie?

— Nie.

— Dlaczego mówisz o nim w liczbie mnogiej? Co to ma być, *pluralis maiestatis*?

Człowiek Z Obrzynem machnął ręką.

— Opuść ten łuk, Podążający. Po co to? Ja nic wam nie zrobię. Pamiętasz jednookiego kusznika? Opuść to. Ty, właśnie ty, powinieneś mnie pojąć. Jesteś snem o demonie zemsty człowieka. Ja jestem snem o duchu opiekuńczym ziemi. Czy możesz się sprzeciwić zawziętości swego polowania? Czy możesz się sprzeniewierzyć swym upodobaniom? Czy jesteś w stanie odwrócić swą pamięć? Potrafisz okłamać samego siebie? — Rozwinął koszulę, roztrzepał ją głośno. — Podążający Za Cieniem. Ojaliko. Zegnaj, Ojaliko. Idźcie już.

— Dokąd? — spytał szaman, z łukiem jednak opuszczonym i strzałą w kołczanie.

Blondyn wskazał za powalone piorunem niedrzewo. — Po moich śladach. Wstecz moją drogą. U jej końca — u jej początku... tam się z nim spotkacie.

Ojalika splunęła mu pod nogi.

— Manipulujesz nami, oto co robisz.

Człowiek Z Obrzynem sponurzał się coraz bardziej; początkowo niemal radosny, teraz zdawał się wcieleniem goryczy i depresji.

— Zejdźcie mi z oczu — wyszeptał. Wtem obejrzał się za siebie, otworzył szeroko usta. Coś widział, coś chciał zobaczyć — lecz niczego i nikogo za nim nie było. Padł na kolana, uderzył pięścią w kamienistą ziemię, pociekła krew. — Alicjo! — krzyknął z rozpaczą w niepuszczę. — Alicjo! Ja tego nie chciałem, ja nie chciałem!!

Ojalika, skonsternowana, spojrzała pytająco na Podążającego Za Cieniem.

— Miłości prześnione... — zanucił Cayuga. Ocknąwszy się, zerknął na kobietę. — Oddaj mu broń — mruknął.

— Ty w ogóle pojąłeś coś z tego, co on napłócił? — spytała, rzuciwszy strzelbę na piasek. — Co za jednooki kusznik?

Niechętnie wspominał. — To było jeszcze za Spieglassa. Zaatakowały nas jednej nocy trzy sępowniki. Widziałas je kiedy? Nie mieliśmy szans. Naraz wyłazi skądś ten z samopowtarzalną kuszą; faktycznie miał jedno oko. No i załatwił gady: raz, dwa, trzy. Potem uciekł. Chciałem go tropić, ale Biały Diabeł się uparł.

— Ten z jednym okiem. Chudy, wysoki?

— Raczej niski, ale ani chudy, ani gruby.

Zmarszczyła brwi. — Nie było takiego na „Arce”. Mówił coś?

W odpowiedzi spojrzenie puste jak zawsze.

— Weź rzeczy. Musimy się pospieszyć.

Tymczasem Człowiek Z Obrzynem śpiewał cicho błagalną piosenkę ze swej nieistniejącej przeszłości:

— Argentina, Arrr-gentinaaa...

## Zejsście w mrok

Być może — ale tylko być może — on mówił prawdę i dzisiaj nareszcie dopadniemy Saint-Pierce’a. Być może — ale tylko być może — Saint-Pierce wyzna mi teraz wszystko, co wie o Bagnie. Być może — a to już jest naprawdę mocno wątpliwe — da mi owa wiedza władzę, dzięki której odzyskam pozycję i stanowisko. (Lecz nie urodę). Być może... Marzę, nic innego; śnię na jawie. Szlag by to. No, Luis, szybciej, szybciej! Chcę się już rozczarować i w końcu mieć to za sobą. Nic gorszego od fałszywej nadziei.

Jeśli z kimś się ścigali, to ze słońcem. Tędy, tędy, tędy — prowadził Podążający Za Cieniem. Wyżej i wyżej, po zboczu góry, wstecz po śladach owego snu. A słońce coraz niżej i cienie coraz dłuższe i niebo coraz ciemniej błotniste i wiatr już zimny. Dokąd tak gnamy? Do Groty, nigdzie indziej: tam zrodził się Człowiek Z Obrzynem. Musi się tu gdzieś w stoku znajdować wejście do niej. Ile ich tak naprawdę jest na tej planecie? Jeszcze za czasów Ojaliki zlokalizowano czternaście snotwórczych jaskiń, DeWonte zamknął nie więcej jak siedem — lecz ile ich później odnalazł? Nie wiadomo.

Szli już po nagim zboczu, niedrzewa pozostawili za sobą; kamienistą ziemię porastały tu jedynie jakieś krwistoczerwone krzaki o elastycznych kolcach, wystrzeliwujących drobne zadziory w stronę każdej większej masy poruszającej się w promieniu kilku metrów. Ten łańcuch górski ciągnął się szeregiem strzępiastych, skalno-lodowych wypiętrzeń z północnego wschodu na południowy zachód setkami i setkami kilometrów, kroił im horyzont zębatymi ostrzami w poprzek spojrzenia. Bagno, pomyślała Ojalika, — jeszcze niedawno musiało przechodzić okres geologicznych niepokojów: nie zdążyła się dobrać erozja do tych gigantów. Jakies kościste monstrum przeleciało pod obzartymi burzą niskimi chmurami, zniknęło za przełęczą; od niepuszczy, położonej poniżej i za plecami wspinających się, szedł głęboki poszum roślinnego oddechu. Przestrzenie, przestrzenie.

Z początku wzięli to za jamę jakiegoś większego zwierzęcia. Ale nazbyt łatwe było podejście doń. Podążający Za Cieniem zajrzał. A tu i mrok nazbyt głęboki. Więc wszedł. Ojalika ciężko westchnęła, obejrzała się za siebie, na jasny świat, bo tak czynili w podobnych sytuacjach bohaterowie filmów, które za młodu oglądała — i wstąpiła w ciemność. Odwiedziła już kiedyś Grotę (jak dawno temu to było...) i pamiętała tunel prowadzący do schodów; powiedzieli jej:

Wszystkie Groty są takie same. Toteż tunel po prostu rozpoznała. Podążała za dźwiękami pozostawianymi dla niej przez Cayugę; i tak zablądzić tu nie sposób, te korytarze nie mają żadnych odgałęzień, rzadko i łagodnie zakręcają. Nie zablądziła i ona.

Szła jedyną możliwą drogą. Wilgotna ciemność dookoła, kamień w dotyku. Cayuga coraz dalszy, coraz gorzej słyszalny; już schodzi zapewne. W dół. W mrok. Szła, szła, szła. Bardzo pospolite, szare i płytkie miała teraz myśli. Bolały ją nogi. Przemieszczało się dziecko w jej brzuchu. Skaleczyła się o ostry występ, syknęła; przystanęła i zlizwała krew. Prześwietlił jej myśli wyblakły obraz z dzieciństwa: zabawy nad oceanem, piasek, wiatr, mewy, żelastwo z wodorostami wyrzucone przez przyływ na białą plażę — wyciągnęła rączkę, zagrzechotała łańcuchem i przecięła skrzepem rdzy skórę na wewnętrznej stronie dłoni. Uśmiechnęła się do siebie Ojalika w ciszy czarnego tunelu. Poczwała, jak poruszył się jej luźno umocowany w dziąśle ząb. Z masochistyczną radością nacisnęła nań koniuszkiem języka. Uśmiechnęła się szerzej.

— Bezzębna staruszka, — szepnęła.

— Prawdziwa — odparł mrok. Mrok był mężczyzną i mówił ciepłym basem.

Nie mogła uciec. Był wszędzie wokół niej. Otworzyła usta do krzyku — boleśnie świadoma, że nadal, nawet teraz, dokonuje plagiatu bohaterek tamtych filmów — i mrok wcisnął się jej do gardła. O czym myślała? Czyje były te myśli i jakie ich znaczenie? W owej chwili bowiem — w owej chwili tylko one jej pozostały. A to niewiele.

## Zjadacz Krwi

Wtedy wchodził, teraz schodzi. Jest w tym jakaś symetria; ale jest i chaos, i on przeważa. Grota Marzeń. Miejsce początku. Kolejna niemożliwość Ojaliki. Kolejna tajemnica. Nie mógł Podążający Za Cieniem zrozumieć jej bezsilnego gniewu. Są, są na świecie tajemnice. W jej świecie jednakże — w jej świecie nie było na nie miejsca. Nie wierzyła w Groty, jak nie wierzyła w śmierć Lee. Uważał to za przejaw pychy.

Aby zadośćuczynić objawionej jego umysłowi symetrii przeszłych zdarzeń, zaczął liczyć stopnie tych schodów. Jął nawet stukać w nie końcówką łączyska, jak stukał wówczas — lecz rytm dziś przezeń wybijany nie był tamtym rytmem. Dwa tysiące pięćset czterdzieści dwa, powiedział sobie — i dotknął stopą skalnej podłogi jaskini. To przypomniało mu o Ojalice.

Obrócił się i przekrzywił głowę, nasłuchując. Cisza zupełna jak ten mrok. Ojalika powinna schodzić tuż za nim; ostatecznie mogła się trochę oddalić, lecz i tak słyszałby już jej kroki na spiralnych schodach. Tymczasem nie słyszał nic prócz swego oddechu i serca. Zaswędziały go blizny popalcowe. Sięgnął po strzałę — absurdalny gest: do kogóż miałby strzelać w tych ciemnościach? Tutaj był ślepcem. Mógłby zapalić lampę naftową lub pochodnię — zaraz poprawił się: lampę niosła w swym worku właśnie Ojalika — lecz zapaliwszy ową pochodnię, sam stałby się doskonałym celem, a zobaczyć, zobaczyłby niewiele więcej. Cóż zatem ma począć? Zawołać ją? Z powrotem wspiąć się na górę?

Nagle zrozumiał: nie dość szybko byliśmy.

Zrozumiał: Zjadacz Krwi.

Zrozumiał: nie ma Ojaliki Otak.

Uczynił cztery odmierzone kroki wstecz, dalej od schodów, twarzą skierowany ku najniższemu

stopniowi; odłożył na bok sakwę. Sięgnął do pasa po ostatni liść Ziela Spokoju, włożył go sobie do ust, zaczął żuć. Czekał. To umiał, w tym był dobry.

A jednak został zaskoczony. Pół oddechu: szum z wysokości, szum narastający, spadający prosto na niego — uskoczył. Coś łupnęło miękko o skałę. Jakaś ciecz opryskała Podążającego Za Cieniem; zlizął ją z policzka. Nie rozpoznał tego smaku, a powinien.

— Indianinie! — poniósł się obcy głos spod ciemnego sklepienia. — Indianinie! Śnie! Ja wiem, że tam jesteś!

Cayuga podszedł na oślep do roztrzaskanego na kamiennej posadzce przedmiotu. Tym przedmiotem było jej ciało. Wiedział o tym, zanim dotknął ciepłej miazgi jej głowy, zanim przesunął trójpalczystą dłoń po nieruchomym jej ramieniu. Potem spojrział w górę, jakby rzeczywiście mógł dostrzec Zjadacza Krwi. Tam był tylko mrok.

— Indianinie! Daj słowo, to i ja dam!

Dać słowo — na co? Dać słowo — że czego nie zrobię? Słowo moje — na jednej wadze z jego słowem?

Podążający Za Cieniem wrócił na swoje miejsce, usiadł, skrzyżował z sobą nogi, z nimi skrzyżował łuk. Milczał. Żuł ziele. Miał zamknięte oczy. Był szamanem, znał się na czarach.

Nad Bagnem w tym czasie zaszło słońce, weszła „Arka” — drobny, jasny punkt, gwiazda pośród gwiazd.

W Grocie Marzeń zaś niewiele się działo. Cisza. Ciemność. Śmierć.

Podążający Za Cieniem.

Zjadacz Krwi.

— Czy wiesz, gdzie jesteś? — szeptał mrok. — Czy wiesz, kiedy jesteś? Czy wiesz kim, czym jesteś? Czy wiesz, czy w ogóle jesteś?

Szaman żuł ziele.

— Co z tego rozumiesz, a co wydaje ci się, że rozumiesz? — Osaczał go wytrwale mrok. — W co jedynie uwierzyłeś? W co uwierzyć nie możesz? Pomyśl, Indianinie, pomyśl.

Z zamkniętymi oczyma.

— Ja będę mówił, a ty myśl. Opowiem ci historię. Wysłuchaj jej, nie odwracaj uwagi. Podążający Za Cieniem. Luisie Lavier. Śnie. Ja cię rozumiem, tropicielu.

Cichy odszept:

— Pokaż się.

Naraz jasność przebijająca czerwono przez powieki. Uniósł je.

— Ja — rzekł, mrok stając się światłem.

Człowiek. Mężczyzna. Taki zwykły, taki przeciętny. Ani niski, ani wysoki; ani gruby, ani chudy. Ani się uśmiechał, ani ponurzał. Normalne ubranie ludzi z „Arki” miał na sobie. Lewa jego dłoń była małym słońcem, roztaczała blask wprost oślepiający; malowała po jego prawej wielkie, tłuste skrzydło głębokiego cienia, przemieszczające się razem z nim: podchodził. Szedł wyrównanym krokiem; ani się spieszył, ani zwlekał.

Tak, tak; ale to przecież jednak nie człowiek, rzekł sobie Podążający Za Cieniem. To Zjadacz Krwi.

Światło bijące z przedmiotu w ręce Zjadacza Krwi stworzyło także drugi cień: ten za szamanem. Wydarło z ciemności także drugiego nieczłowieka: trupa Ojaliki Otak.

Tropiciel nie raczył wstać. Cóż mógł mu Zjadacz Krwi uczynić, coż mogło dotknąć zjawę rozsnuwającą się mgliście w niebyt? Jest pora na życie i jest pora na śmierć, to są rzeczy naturalne, zwykle jak kamień omszały i dźwięk przelatującej pszczoły. Od dnia, w którym przestał być dzieckiem, Podążający Za Cieniem zdawał sobie sprawę, że nadejdzie taka chwila, kiedy to będzie musiał zapaść w sen, z którego się już nie obudzi; akceptował to — tak naprawdę właśnie świadomość nieodwracalności upływu czasu czyni człowieka dorosłym. Więc bał się zaledwie ewentualnego bólu umierania. Chciałby i jego się nie bać, lecz posiadał jedynie umiejętność panowania nad tym strachem. A jasnej oczywistości nieuchronności śmierci nigdy nie kwestionował, tak jak nie podnosił pięści na bogów, ani nie sprzeciwiał się zmarszczkom na swej twarzy. Trzykroć w swym dotychczasowym życiu przygotowywał się do odejścia; ostatnim razem czynił to poprzez odcieleśniające zapatrzenie w zachodzące nad Bagnem słońce — i długą chwilę zajęło mu wówczas wyjście z tego stanu, a potem ponowne rozbudzenie w sobie chęci życia, kiedy zorientował się w propozycji ratunku ofiarowywanej mu przez Ojalikę. To nie takie proste. Niełatwo to zrozumieć osobie, która nie doświadczyła podobnej bliskości śmierci — a nie chodzi tu o śmierć od nagłej strzały, skrytobójczego ciosu, kłów niedźwiedzia. Nawet nie o śmierć wojowników, godzących się z przeszłością przed wyruszeniem na bitwę — bo oni jednak idą na bitwę, będą walczyć, nie ma w tym pasywności i nie ma nieuchronności. Chodzi o senną, leniwą śmierć ludzi starych. O taką śmierć, kiedy siadając zimnym rankiem w otworze tipi, patrzysz na świat niczym na piękny malunek i niczego po tym dniu się nie spodziewasz, niczego nie oczekujesz, z wyjątkiem śmierci właśnie; bo na nią czekasz jak na wizytę starego przyjaciela, z którym rozstałeś się tak dawno, że nawet nie pamiętasz, jakie było to rozstanie, w zgodzie czy w gniewie, i nie wiesz, co przyjaciel powie, jak się zachowa, ujrawszy się po latach — jest to jedyny rodzaj lęku, jaki ma do ciebie dostęp, taki łagodny niepokój, nic poważniejszego; czasami wypatrujesz gościa z niecierpliwością, a czasami po prostu wolisz, żeby przyszedł w inny dzień, jutro, pojutrze. Uśmiechasz się w myśli, uczestnicząc w dyskusjach, w których mowa o przyszłym miesiącu, roku. Lubisz ciszę, bo cisza oddala cię od terażniejszości, pozwala na zanurzenie się we wspomnienia, bezpieczne swą niezmiennością; lubisz bezruch, lubisz ciepłą stagnację. Nie jest cię w stanie nic poruszyć, zranić — bo nie istnieje dla ciebie przyszłość, w której rzecz takowa posiadałaby jakiegokolwiek znaczenie, a poza tym nie chcesz, by przyjaciel zastał cię nie przygotowanego. Twój spokój niewiele się różni od spokoju dziecka zamkniętego w łonie matki. To nie są uczucia motywowalne rozumowo.

Podążający Za Cieniem miał tę pewność: umrze. Zjadacz Krwi utracił nad nim wszelką władzę, nawet ową najpierwotniejszą władzę strachu.

Nieczłowiek zatrzymał się nad krwawą miazgą zwłok swej ofiary, kula sztucznego światła w lewej dłoni płonąła mu bezlitosnym ogniem wrzącego lodu.

— Mówię. To było tak. Lecieliśmy; leciałem: oni spali. Czas. Jego wina. Najpierw nieomal zabił mnie samego. Potem „Arkę”. Samotny, traciłem swą nieśmiertelność. Mimo niewyobrażalnej prędkości statku — to były lata i lata. Świnie to tylko zwierzęta; nie jest ważna krew, ważna jest ofiara. A czasu nie pokonasz. Słuchasz mnie, słuchasz? To dobrze. Słuchaj. „Arka”. W jednej czwartej drogi pomiędzy Słońcem a Trójcą, układem docelowym, z którego zarejestrowali ową emisję sztucznie modulowanego szumu — w jednej czwartej... tam, wtedy, było coś... czas... nieregistrowalna wcześniej czarna dziura, nagle, niespodziewane zawirowanie czasoprzestrzeni; nie wiem. Ledwo musnęło „Arkę”. Wystarczyło. Zrykoszetowało ją w nieskończoność: w pustkę,

pomiędzy gwiazdy. Nic nie mogłem zrobić, zniszczenia były zbyt duże; wyczekiwałem przelotu w pobliżu jakiegoś obiecującego układu, by resztką mocy silników skrócić w bok, zahaczyć oń, wyhamować w polu grawitacyjnym... to było Bagno. I po cóż miałem ich budzić? Sam zstąpiłem na planetę. Słuchasz mnie? Podążający Za Cieniem? Rozumiesz moje słowa?

Śmierć. Śmierć. Zapaść w nią jak w sen. Powoli, spokojnie. Tak dobrze.

— Mówię. Żyję tu znacznie dłużej, aniżeli oni to sobie wyobrażają, setki lat. Tyle trwało, nim obudził się DeWonte. Ale nie ten czas najważniejszy. Oni nie pojmują Guillnaque, Bagna. Nic nie wiedzą; wszystko, co ci o nim powiedzieli, to nieprawda. Wymyślają to sobie, żeby wyjaśnić niemożliwe. Nie potrafią żyć z tajemnicą — zaśmiał się sucho. — A jak niby ja z sobą samym żyć miałem w mrokach średniowiecza? Akceptacja rzeczywistości to sztuka. Ja to umiem, ty to umiesz; ale nie oni. Kalekie dzieci. Zrozumieć Guillnaque. Już, dzisiaj, jutro; szybko, szybciej, nie ma tajemnicy, nie ma tajemnicy; rok to wieczność. Nawet jakoś zabawny ten zapał. Chaos nie istnieje, wszystko ma swoje miejsce, wszechświat pracuje podług niezmiennych algorytmów. To też wiara, to też religia, choć oni myślą inaczej. Nauka. Ja przecież byłem przy narodzinach tego przesądu; nauka... A do końca połowa jej wyznawców nie uwierzyła we mnie; ja jestem z innej mitologii. Co za bzdury. Spadli tu z hukiem i w miesiąc wytłumaczyli sobie, co ja poznawałem wiekami; nigdy nie lubiłem fanatyków. Bardzo skutecznie się oślepiają. Nie zobaczą oczywistości. Nie chcą. Guillnaque oszukuje ich na własne życzenie. To *IACTE*. Słuchasz mnie? Słucha, ale nie słyszy. Ma własną rzeczywistość.

— Mówię. Taka jest moja prawda. Kto zbudował te schody? Trupy, jak oni je nazywają — a więc Trupy może? Widzisz przecież, że wysokość stopni i długość skrętu nie odpowiada ich sylwetkom. Któż zatem? W proporcjach i rozmiarach są idealne dla ludzi. Ale przecież były tu przed DeWontem, były tu przede mną. Nie zadali sobie w ogóle takiego pytania, zbyt trudne byłoby wymyślenie odpowiedzi na nie. Co zrobili z wynikami badań tutejszej flory i fauny, co powiedzieli na ten dualizm ewolucyjny? Jak wytłumaczyli fakt, że mogą jeść tutejsze zwierzęta i rośliny? Konwergencja? Akurat! A Trupy? Też pominęli milczeniem? A sztuczne kratery na księżycach? Satelity wysokoorbitowe? Brak łączności z Ziemią? Podążający Za Cieniem? Słuchasz mnie? To ważne.

Głos Zjadacza Krwi. On mówi, ale ja umieram. To już niedługo. Już niedługo będzie tak mówił.

— Luis...? Czy wyjaśnili kiedykolwiek — to?

Obrócił małym słońcem w górę, w prawo. Światło skupiło się w szeroki stożek, uderzyło w niedosiężne sklepienie Groty. Podążający Za Cieniem mimowolnie zamrugał, z powrotem zanurzony w mroku, choć nie tak całkowitym; Zjadacza Krwi widział już tylko półcieniami, Ojalikę w ogóle.

— Popatrz. Spójrz na nich — rzekł nieczłowieczy morderca. Spojrzał, bo i dlaczego nie miałby spojrzeć? A potem nie był już w stanie odwrócić wzroku. Światło Zjadacza Krwi padało na owalny fragment sklepienia Groty, łukowato przechodzący w krzywą ścianę. Lecz nie dotykało samej skały. Skałę krył bursztynowy kobierzec miękkiej lawy, łagodnie rozpraszający promienie w ciepłą aureolę. Właściwie wyglądała ona, jakby sam z siebie emanował takim miodowym blaskiem. Tu, w ciemnym wnętrzu twardego ciała ziemi, sprawiała doprawdy niesamowite wrażenie. Żywica, pomyślał Podążający Za Cieniem, żywica kamienia.

— Nie widzisz — skostatował Zjadacz Krwi. Drugą ręką sięgnął gdzieś w głąb osobistego mroku, wyjął zeń jakiś przedmiot i rzucił nim w Cayugę. Tropiciele schwycił go złudnie powolnym, sennym ruchem zmęczonego tancerza. Nie widział, co trzyma w dłoni. Zjadacz Krwi skierował więc światło na niego. Szaman zamrugał, ciężko oślepiony. Słyszał stateczne kroki zbliżającego się mordercy; światło złagodniało, Indianinowi wracał wzrok.



Na brudnej skórze rozwartej pięści Podążającego Za Cieniem spoczywał romboidalny odłamek bursztynowej lawy naskalnej. Zaskakująco lekki, przyjemnie ciepły (czy aby nie ciepłem ciała Zjadacza Krwi?), w tak drobnym fragmencie promienną jasność wampirzego słońca rozpraszał w niewielkim stopniu: szaman doskonale widział wewnątrz lawy. Jak w prawdziwym bursztynie, także w tym znajdowały się głęboko zatopione owady. Cztery; najprawdopodobniej tego samego gatunku; w ukośnym szeregu, w równych od siebie odstępach. Niewielkie, wielkości ludzkiego kciuka. Owady, pomyślał odruchowo Podążający Za Cieniem, ponieważ mnogością drobnych odnóży i domniemaną twardością organicznej okrywy przywodziły na myśl insekty; nie sposób było jednak wyróżnić w ich ciele głowy, tułowia czy odwłoku, nie mówiąc już o oczach i otworze gębowym.

Zjadacz Krwi wsunął swą rękę z wyciągniętym na wprost palcem w poziomy słup białego światła.

— To właśnie są prawdziwi, pierwotni mieszkańcy Bagna.

Podążający Za Cieniem dumiał wciąż jeszcze o czym innym. Zastanawiał się mianowicie, zanurzony w uspokajająco powolnym nurcie swych myśli, w jakiż to sposób zdołał morderca odłupać ów kawałek podsufitnej żywicy, wszak bursztynowa lawa znajdowała się dziesiątki dziesiątków metrów ponad podłogą Groty i daleko od spiralnych schodów.

— To oni zbudowali *IACTE* — ciągnął Zjadacz Krwi. — Są częścią pierwotnej flory i fauny Guillaque. Rozumiesz mnie, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje słowa?

Podążający Za Cieniem obracał w dłoni ciepławy niebursztyn.

Zjadacz Krwi przykucnął sześć kroków przed szamanem, słońce opadło wraz z nim, światło uderzyło prosto w źrenice Indianina, który przesłonił twarz poziomo uniesionym przedramieniem.

Zjadacz Krwi wrócił do intymnego szeptu:

— Owo zawirowanie czasu, o które otarła się „Arka”, peryferie niemożliwej czarnej dziury... po wzajemnym przesunięciu gwiazd na sferze niebieskiej obliczyłem wartość uskoju. Ponad sto szesnaście tysięcy ziemskich lat, Luis. Sto szesnaście tysięcy lat. Gdy dowlekleśmy się nad Bagno... wiedziałem z całą pewnością, że już dawno zostało skolonizowane. Jednak nie rejestrowałem żadnych radiowych szumów, ani z niego, ani z samej Ziemi; ani z jakiegokolwiek innego kierunku, żeby być precyzyjnym. Cóż, pomyślałem sobie, mogłem się spodziewać zmiany sposobów komunikacji. Ale gdy wylądowałem na Bagnie... — Zjadacz Krwi westchnął. — Trupy. Już wiesz, kim oni są, prawda, Luis?

Niebursztyn w dłoniach; obrót za obrotem; i jeszcze raz, i jeszcze — zmaterializowana mantra.

— Wciąż zapominam jaki dzikus z ciebie. Ewolucja, Podążający Za Cieniem, ewolucja; nie oświecili cię? Sto szesnaście tysięcy lat; Bagno; *IACTE*. Tak musiało się stać. Już rozumiesz, skąd te schody?

Szaman odezwał się po raz pierwszy:

— Co to jest: *IACTE*?

Być może Zjadacz Krwi uśmiechnął się; ani ciemność, ani światło nie dały na to najmniejszego znaku.

— Maszyna. Organizm. Bóg. Słowo. Idea. Myśl. Rzecz. Zwierzę. Generator Chaosu, Moderator Entropii, Akcelerator Probabilistyczny. *IACTE: In'tdessivy ste Accelerattorio Cheaoss dlio Trieprhob'bilyvy sa Entrophy*, jak go zwali w dawno zapomnianym języku rytualnym długowieczni kapłani Trupów. To dlatego Bagno jest Bagnem. To dlatego żadne bardziej skomplikowane urządzenie nie może tu działać. To dlatego tak dzikie i szybkie mutacje się tu rodzą. To dlatego nie burzy praw wszechświata funkcjonowanie Grot Marzeń. Jeśli Anouki Spieglass był twoim ojcem — on spełnił rolę bogini płodności. *IACTE*. Rozumiesz mnie, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje

słowa?

## Chwile przeszłe, chwile przyszłe

— Taka jest moja legenda, w którą czasami wierzę, a czasami nie, utkałem ją sobie bowiem z faktów, domysłów, snów i wyobrażeń oraz legend cudzych; taka jest moja legenda: była wojna. Mieszkańcy Guillnaque walczyli, może z sobą, może z jakimś najeźdźcą z zewnątrz; zwykłem sobie podstawiać do tej roli ludzi, ale, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to nazbyt prawdopodobne. Mam duże kłopoty z w miarę precyzyjnym ustaleniem wieku danego przedmiotu czy zdarzenia na Bagnie. A więc walczyli. I zrozumieli, że nieuchronna eskalacja zbrojnych zmagających doprowadzi do całkowitego zniszczenia Guillnaque, a zapewne i tragedii na znacznie większą, gwiazdną skalę. Wiem, że broń, jaką dysponowali... widziałem ją: nawet dla mnie cuda, dla ciebie potęgi i myśla niewyraźalne. Mieli urządzenia, twory służące do odwracania biegu strumienia czasu, przepowiadania przyszłości i przeszłości, podróży wskroś możliwości, wywoływania przypadku, spalania przestrzeni, gaszenia i zapalania gwiazd... Ale zrozumieli, że każdy atak z ich strony ostatecznie obróci się, zwielokrotniony przeciwko nim samym, i że jedynym wyjściem jest obrona totalna, to znaczy taka, w obliczu której także wróg nie tylko, iż nie będzie mógł atakować, ale nawet nie będzie chciał. Zatem stworzyli *IACTE*, który zawiera w sobie wszystkie te maszyny, dysponuje wszystkimi ich mocami, a prócz tego posiada własne specyficzne zdolności, wynikające nie tylko ze skrzyżowania i spotęgowania zapożyczonych. Widziałem go, w każdym razie jego część. Istnieje w więcej niż czterech wymiarach. Jego obroty, ruch — wynurzają go i na powrót zabierają z naszej przestrzeni. On między innymi wpływa na wysokość funkcji falowej dowolnego obiektu we Wszechświecie, z mocą wprost proporcjonalną do odległości odeń. Przejście tunelowe, ta czarna magia fizyki kwantowej, dopuszczająca w zgodzie z doktryną ich wiary w logikę — niemożliwe; przejście tunelowe zezwala na twoje istnienie tutaj i teraz, „śnie”, ponieważ nie ma takiego czasu i miejsca, w którym wartość twojej funkcji falowej wynosiłaby zero. A chociaż w tym przypadku jest to liczba ekstremalnie niska, *IACTE* jest w stanie dowolnie ją zwielokrotnić i uczynić jak najbardziej prawdopodobne — konieczne — zaistnienie na Bagnie konkretnego, wymyślonemu przez Spieglassa Indianina, Indianina pamiętającego jako swą naturalną przeszłość — marzenia Anoukiego. A propos — ja piłem i jego krew, wiedziałeś o tym? To ja jestem praprzyczyną jego obłądzenia, a więc poniekąd i twoim stwórcą. Wiedziałeś?

Nie.

— Teraz *IACTE* pracuje zaledwie ułamkiem promila swej mocy, lecz i w tym stanie uśpienia zdołał zneutralizować „Arkę” oraz uczynić bezsilnymi kolejnych najeźdźców; bo to przecież był najazd, nic innego, drugi, a może nawet trzeci najazd człowieka na Guillnaque.

Podążający Za Cieniem włożył w poziomy słup światła ściskany w spoconych dłoniach ułamek niebursztynu.

— Ta rzecz...? Oni...

Próbował zrozumieć magię, ale jedyne co zrozumiał, to to, iż Zjadacz Krwi jest dalece potężniejszym szamanem, daleko bardziej szalonym.

— Oni — przytaknął morderca niedoartykułowanemu pytaniu Cayugi: — Nie oczekuję, że pojmiesz tę logikę przyszłości. Ale wiem, iż zaakceptujesz prawdę. To nie są ludzie, widzisz, to w

żadnym razie nie są istoty ludzkie. Uznaj je za demony obcych słońc, obcych planet. Wiesz, co to planeta?

Słowo.

— Żyją?

— Nie wiem. Tak ich zastałem, zatopionych w zimnej, organicznej lawie. Na powierzchni zaś ani śladu po nich, jak również po florze i faunie ich świata: *IACTE*, przybycie ludzi, czas... Tylko w Grotach. I rzadko w której widać ich tak na pierwszy rzut oka, zamrożonych na powierzchni kamienia. Więc istnieje jakiś związek pomiędzy nimi a kreatywnymi mocami Grot Marzeń; być może tak naprawdę to ich snem jesteś, Luis, być może oni wcale nie umarli. Chociaż lubię myśleć o Grotach jako o cmentarzach; ale to moje prywatne ksenonekrofiliczne zboczenie.

Wtem ujrzał Podążający Za Cieniem siebie samego z zewnątrz: rozmawiał ze Zjadaczem Krwi, prowadził z nim dialog; Zjadacz Krwi nagiął jego wolę, zbezczeszczona będzie śmierć. Źle się dzieje. Cisnął niebursztynem w wampirze słońce. Morderca westchnął.

— Nie wypieraj się mnie — szeptał szorstko. — To ja jestem twą zwierzyną.

— Zamilknij.

— Myślisz, że dlaczego ci to wszystko mówię? Dlaczego się z tobą spotkałem? Polowałeś na mnie latami. Myślisz, że dlaczego posyłałem pod Piszczele moje sny, te skretyniałe potwory? Sądzisz, że chodziło o krew? Już powiedziałem: ważna jest ofiara. A ja mogę sobie wyśnić w Grotach dowolną liczbę ofiar.

— Dość!

— Chciałem ich rozeźlić, sprowokować; ale rozczarowali mnie. Tylko ty jeden mnie ścigałeś, ty jeden tropiłeś, ty jeden szedłeś po mych śladach, marzyłeś o mej śmierci; ty jeden prowadziłeś łowy.

— Moje życie trwa już tysiące lat. Nie było takiego czasu, w którym by na mnie nie polowano. Jestem zwierzyną. Ty jesteś łowcą. Rozumiesz, Podążający Za Cieniem? Pojmujesz moje słowa?

— Nie!

— Ja ci daruję wieczne życie. Wieczne życie, Luis. Będziesz mnie tropił. Będziesz mnie tropił przez Bagno. Słyszysz? Ja wierzę, wierzę, wierzę w ciebie.

Nieprawda. Kłamstwo. Niemożliwość.

— Nie umrzesz, Luis.

— Umrę!

— Nie umrzesz. Nie umrzesz. Spójrz na mnie. Złagodził blask swego słońca i skierował jego promienie również na siebie.

— Morderco — wysyczał Podążający Za Cieniem.

— Co?

— Widzę krew niewinnej na twojej twarzy.

Zjadacz Krwi długo milczał.

— Ale to już się stało — rzekł wreszcie cicho, acz stanowczo. — Już się dokonało i należy do przeszłości. A teraz jest inna chwila; i teraz daję ci szczęście. Szczęście w nieskończoności chwil przyszłych. Potrafisz to zaakceptować; wiem. W gruncie rzeczy pochodzimy z tego samego świata.

Zjadacz Krwi przemówił tymi słowami do najpierwotniejszej logiki szamana; i zgodnie z tą logiką miał rację. Lecz popełnił błąd, rozszerzając promień światła swego ręcznego słońca i tym samym wyjmując z mroku ciało Ojaliki. Już nie byli sami w tej chwili.

— Morderco — powtórzył Podążający. Za Cieniem, rozciągając usta w okrutnym, dzikim uśmiechu. I Zjadacz Krwi pojął, iż przegrał batalię o obłąd Cayugi.

Ponieważ jednak nigdy nie przegrywał zupełnie i do końca, rzekł mu w odpowiedzi, podnosząc

się i wyprostowując:

— A zatem pochwyć mnie i zemścij się. Mnie naprawdę można zabić.

— Dobrze.

## Chwila ostatnia: śmierć

Podążający Za Cieniem krzyknął w mrok i mrok krzyknął Potworem. Potwór skoczył na Zjadacza Krwi i przegryzł mu gardło. Zjadacz Krwi zwałił się na kamienną posadzkę jak mokra skórzana kukła. Słońce wypadło mu z dłoni, potoczyło się po skale. Potwór przyniósł je w pysku i położył przed Podążającym Za Cieniem: była to kula wściekle fosforyzującego roślinnego mięszu w plastikowej obójmiej, identyczna z tą, którą oświetlał Grotę jego narodzin Biały Diabeł. Szaman podniósł ją, wstał i podszedł do rżęzącego Zjadacza Krwi. Wciąż widział Ojalikę.

— Dlaczego? — spytał modlitewnym głosem. — Dlaczego ją zabiłeś?

Zjadacz Krwi łapał się rozdygotanymi dłońmi za poszarpane szczękami Potwora gardło, ciemna ciecz bulgotała mu pomiędzy palcami, wytrzeszczał oczy na Cayugę, usta w bladej twarzy miał jak drugą krwawą ranę.

— Jaaa... — zacharczał — jestem... waaampirr...

Podążający Za Cieniem zrozumiał; pochodzili z tego samego świata.

— Aaaachhleee... dlaczrr.. czcz... tyyyy...

Cayuga w milczeniu wskazał jej ciało.

— Była w ciąąąą.... ciężyyyy... cz—czy to dlategggo...?

— Wiedziałeś.

— Ocz—czywiiiśśśśschrr... piłeeem jej kr'w...

— Umrzyj już.

Długo to trwało. Podążający Za Cieniem przysiadł na piętach przy głowie konającego; głaskał w zamyśleniu brudną sierść Potwora, Potwora rozsuwającego się w miękki mrok, na powrót w mgłę niebytu, z którego został wymarzony. Podążający Za Cieniem był bardzo spokojny. Myślał teraz o śmierci i o Człowieku Z Obrzynem.

Już nie biła krew z szyi jej Zjadacza; nie powinien żyć.

— Nie, to nie dlatego — odezwał się nagle w zimną przestrzeń jaskini szaman.

Konający tchnął coś w ciszę; jakieś pytanie.

Zbliżywszy swe wargi do ucha martwego Saint–Pierce'a, Podążający Za Cieniem szepnął mu konfidenjonałnie: — Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. — A ponad Zjadaczem Krwi widział ohydne zwłoki Ojaliki Otak.

Potem sprawdził puls i oddech zwierzyny, odciął jej głowę i rozbił na miazgę. Ciało kobiety pozostawił nietknięte.

Wspiał się razem z Potworem po spiralnych schodach; wyszli z tunelu w gwieździstą noc nad Bagnem. Potwór był już tylko bladym powidokiem samego siebie.

Indianin usiadł na stoku. Orzeźwiający, chłodny wiatr wiał mu w twarz znad niepuszczy. Księżyce seledyniły się na czarnym nieboskłonie, ścigała się z nimi szybka, bo bliska gwiazda „Arki”. Potwór, coraz mniej i mniej realny, wył do nich niemo.

Podążający Za Cieniem uśmiechał się do siebie z jakimś sennym samozadowoleniem. Wyjął

swój, zapomnianą nocą wyrzeźbiony z niekremna flet i zaczął na nim cicho grać w ciepłą ciemność.  
Był teraz szczęśliwy.

*sierpień 1994 — czerwiec 1995*

## Od redaktora antologii

*Postanowiliśmy zrobić wyjątek i wśród opowiadań science fiction zamieścić tłumaczenie pracy naukowej, gdyż dotyczy ona spraw, które my wszyscy zaliczamy do domeny pisarzy fantastów. Zdumiewająca jest bowiem szybkość, z jaką nauka wkracza na pola dotąd zastrzeżone dla science fiction. Praca została napisana jasno i zrozumiale nawet dla laika, dlatego postanowiliśmy zamieścić jej tłumaczenie, zamiast czekać latami, zanim te wyniki trafią do Czytelnika, przemielone i poprzekręcane przez popularyzatorów nauki.*

*Dziękujemy Markowi S. Huberathowi za wyszukanie tej publikacji w piśmiennictwie oraz przetłumaczenie jej na język polski. Pozostawiliśmy w oryginalnym brzmieniu przypis nr 1 umieszczony przez Redakcję „Przyrody Wszechświata” (gdzie w najbliższym numerze również ukaze się to tłumaczenie), gdyż zawiera on sporo podstawowych informacji o surwiwalistyce.*

*Jednocześnie wyrażamy podziękowanie Redakcji „Przyrody Wszechświata”, właścicielowi praw autorskich, za wyrażenie zgody na udostępnienie tego tekstu miłośnikom science fiction.*

*Kraków, luty — czerwiec 1988*

*Marek Huberath*  
*Matthias S. Egberath<sup>a)</sup> Sandy H. Trouchoille<sup>b)</sup>, Ava Boobocq<sup>c)</sup>*

# Kilka uwag do definicji istoty żywej



# Część II<sup>1,2,3</sup>

Słowa kluczowe: istota stacjonarnie żywa, istota stabilnie żywa, przeżywalność, model istoty typu „cebula”<sup>4</sup>, łódź podwodna.

## Streszczenie

Autorzy proponują rozwinięcie i uzupełnienie definicji istoty żywej na podstawie modelu istoty typu „cebula” [2] uogólnionego na przypadek powstania istoty żywej typu N+1. Jako środowisko „n”=„4” (ale zarazem równe „1”) wybrano w przedstawionym eksperymencie głębiny wodną, w uzupełnieniu do wyników poprzedniej pracy [2], gdzie jako „n”=„4” (różne od „1”) wybrano przestrzeń kosmiczną.

## Wstęp

Pionierskie prace Mahnhardta, Ślezięgi i Kushaeva, definiujące istotę żywą, zapoczątkowały w latach sześćdziesiątych surwiwalistykę [4,6,10]. Obecnie wydaje się to oczywiste, że zdefiniowanie życia jest znacznie trudniejsze niż określenie istoty żywej, więc rezygnuje się z niewygodnej definicji życia–procesu i zastępuje się ją wygodną definicją istoty żywej<sup>5</sup>.

Mahnhardt i Koffemueller [7] przekonująco uzasadnili, że nie ma sensu wprowadzanie definicji istoty żywej bezwzględnie. Wygodniej jest posługiwać się definicją istoty żywej stabilnie lub żywej stacjonarnie.

Za Kushaevem i in. [5], istotę nazywamy żywą stabilnie, jeżeli jest zdolna przeżyć w zadanym środowisku przynajmniej jeden cykl metaboliczny, to znaczy okres od posiłku zawierającego kompletny zestaw substancji niezbędnych do przeżycia, przez strawienie ich w organizmie aż do momentu ich wydalenia. Niektórzy autorzy uważają, że okres ten należy ograniczyć jedynie do momentu przyswojenia kompletu niezbędnych substancji, zaniedbując dalsze losy resztek [9].

Również za Kushaevem i in. [5], istotę nazywamy żywą stacjonarnie (w oryginalnej pracy Kushaeva: „stacjonarnie dla istnienia gatunku”), jeśli potrafi przetrwać w zadanym środowisku do momentu wydania potomstwa. Według Mahnhardta i Koffemuellera [7], definicje te należy traktować statystycznie, w odniesieniu do zbioru wszystkich osobników gatunku. Zgodnie z powyższymi warunkami, istotę nazywamy żywą, jeśli większość osobników jej gatunku spełnia w danym

środowisku kryteria Kushaeva. Mówi się wówczas: „istota żywa stabilnie statystycznie” lub odpowiednio „istota żywa stacjonarnie statystycznie”. (Znaczy to na przykład, że człowiek jest statystycznie żywy na pokładzie samolotu, mimo że niektóre z nich rozbijają się, grzebiąc załogę i pasażerów.)

Celem naszej pracy jest wzbogacenie powyższych definicji wnioskami z przedstawionych eksperymentów. W szczególności proponujemy rozwinięcie modelu istoty typu „cebula” przedstawionego przez nas w innej pracy [2].

W obliczeniach przyjęto ciśnienie wody 52 atm oraz temperaturę 8°C.

## Materiały i metody

W badaniach wykorzystano okręt podwodny „Threshold” o wyporności 56001, prędkości 25/39 w. (w ukł. SI 46.3/ /55.6 kmh1) o maksymalnej głębokości zanurzenia 275 m, uzbrojony w 16 wyrzutni rakiet typu „Threeteeth”. Pokrycie kadłuba miękkiego okrętu było wykonane ze stali STY 80, natomiast sztywnego kadłuba ciśnieniowego ze stopu QTZ-12A [8]. Odległość między powłokami obu kadłubów w punkcie A wynosiła 127 cm. Podczas eksperymentu na pokładzie okrętu znajdowały się 132 osoby, w tym 28 oficerów.

Zastosowano sondę wgłębną SW-3 o masie 16 kg, skonstruowaną w Instytucie Chemii Pirotechnicznej, Gif-sur-Jeanette, opisaną w pracy Trouchoille i in. [13]. Działanie sondy przebiegło wieloetapowo:

- (i) wstępne przywarcie adhezyjne i magnetyczne;
- (ii) trwałe przytwierdzenie do powierzchni klejem dwuskładnikowym, chemoutwardzalnym Bi-Chrome otrzymanym od firmy Du Pont;
- (iii) przewlekłe trawienie elektrolityczne powłoki zewnętrznej;
- (iv) zakotwienie wzmocnionego korpusu sondy w powłoce wytrawionej elektrolitycznie;
- (v) odpalenie wzbogaconego uranem  $^{238}\text{U}$  (dla zwiększenia masy) rdzenia większego;
- (vi) otwarcie wzmocnionego korpusu sondy przez odpalenie rdzenia mniejszego pod kątem  $90^\circ$  do kierunku uprzedniego odpalenia rdzenia większego.

Etap (II) trwał 32 minuty, etap (iii) prawdopodobnie około 12 godzin. Użyte stroje pletwonurkowe wyprodukowała Acquabite. Stwierdzono znakomitą przydatność i trwałość lakieru Emal w badanych warunkach.

Eksperyment rozpoczęto w temperaturze 22 °C (zbliżonej do pokojowej) i stanie morza 3°B, zakończył się on zaś najprawdopodobniej w temperaturze 8°C oraz przy stanie morza około 5°B.

Czujnik sonograficzny CS-2 [1] zamocowano zgodnie z punktami (i) oraz (ii) procedury dla sondy SW-3. Zapis sonograficzny uruchomił się po impulsie dźwiękowym przekraczającym 130dB (punkt (v) działania sondy SW-3). Czas zapisu wyniósł 4 godziny.

## Eksperyment

#### a) Przygotowanie wstępne

„Threshold” przybył do X z wizytą przyjacielską. Autorzy, zwiedzając go, rozpoznali miejsce zakotwiczenia, dostępność okrętu od strony morza oraz rozplanowanie pomieszczeń wewnętrznych. Ponadto określili najkrótszą drogę od okrętu przez akwen portu.

Późnym wieczorem (godz. 22.30) maja<sup>6</sup> po zaktywowaniu do działania sondy SW-3 oraz czujnika CS-2 autorzy wyruszyli pontonem z kamienistej zatoki na południowy wschód od portu X. Aby zmniejszyć możliwość przypadkowego wykrycia, co mogłoby zakłócić przebieg eksperymentu, ponton oraz kombinezony nurkowe i butle z powietrzem sprężonym pomalowano czarnym, matowym lakierem wodoodpornym „Emal”.

Morze było wystarczająco spokojne. Już o godz. 23.40 osiągnięto niestrzeżony falochron portu wojennego X. Ponton zabezpieczono i ukryto wśród betonowych bloków falochronu.

Dalszą część drogi przebyto, płynąc bezpośrednio nad dnem, tak aby światła latarek nie były widoczne z powierzchni. M.S.E. oraz S.H.T. holowali sondę SW-3, A.B. zaś czujnik CS-2. Zapórę z sieci stalowych, zabezpieczającą obszar portu, udało się pokonać bez przecinania, gdyż A.B. odkryła szczelinę wysokości ok. 80 cm pomiędzy zagłębieniem kamienistego dna a dolnym krańcem sieci (prawdopodobnie fragment stoku dennego osunął się lokalnie już po zainstalowaniu zapory).

Dotarcie do okrętu wymagało pokonania dwóch systemów alarmowych. Dzięki refleksowi S.H.T. udało się uniknąć uruchomienia czujnika typu DPPCh, połączonego z miną denną małej mocy. Kadłub zacumowanego „Thresholda” osiągnięto około godz. 0.20. Od spodu był obficie pokryty wodorostami. Punkt A wybrano w pobliżu stępki, poniżej kiosku w bezpiecznej odległości od wyrzutni rakiet „Threeteeth”.

Wstępne przywarcie adhezyjne sondy SW-3 (i) nastąpiło błyskawicznie, pierwsza zaś próba przywarcia czujnika CS-2 nie powiodła się z powodu grubej warstwy wodorostów. Udało się to dopiero w punkcie oddalonym od A o 75 cm. Autorzy asystowali zacumowanym elementom do momentu zakończenia fazy (ii) eksperymentu. Powrót odbył się bez przeszkód, chociaż nie był łatwy z uwagi na zużyte baterie latarek podwodnych.

#### b) Przeprowadzenie eksperymentu

Przebieg eksperymentu właściwego odtworzono z zapisów czujnika CS-2. Trawienie zewnętrznej powierzchni kadłuba „Thresholda” trwało około 12 godzin i zostało zakończone, zanim okręt opuścił X. Zakotwienie sondy SW-3 (iv) trwało 8 minut (według zapisu sonograficznego czujnika CS-2). Następnie mikrofony czujnika CS-2 wyłączyły się. Działał jedynie jego zegar kwarcowy. Po 16 godzinach 31 minutach, gdy „Threshold” osiągnął głębokość 240 m, mechanizm wykonawczy uruchomił się.

Najpierw nastąpiło odpalenie ładunku wybuchowego wstrzeliwującego rdzeń większy sondy (v) do wnętrza okrętu, powodując przebicie kadłuba sztywnego, po 4 sekundach zaś otwarcie korpusu sondy SW-3 przez wystrzelenie rdzenia mniejszego dla przebicia jak największej liczby grodzi (vi). Zapis sonograficzny zawiera wyraźne odgłosy wdzierających się do wnętrza okrętu ogromnych mas wody, co potwierdza poprawne zadziałanie mechanizmu sondy (v), a następnie odgłosy pęknięcia kolejnych grodzi wodoszczelnych (vi) oraz świadczy o równomiernym wypełnianiu się wnętrza wodą, z wyjątkiem przedziału torpedowego. „Threshold” osiadł poziomo na głębokości 512 m. Przedział torpedowy uległ zmiążdżeniu dopiero po osiągnięciu dna.

c) Odzyskanie zapisów eksperymentalnych Prasa ujawniła zatonięcie „Thresholda” dopiero w 21 godzin po opuszczeniu X [12]. Podano dość dokładną pozycję okrętu, znajdującego się w pobliżu wybrzeża X. Ułatwiło to odzyskanie CS-2. Zgodnie z rutynowym programem działania CS-2 [1], po

zakończeniu zapisu dźwiękowego czujnik oddalił się od wraku „Thresholda”, a następnie pozostał pasywny przez 28 dni, więc znacznie dłużej niż trwała akcja wydobywania szczątków „Thresholda”. W 29 dniu, chemicznie wydzielając tlen, czujnik uzyskał pływalność dodatnią i wypłynął na powierzchnię. Jego nadajnik został zlokalizowany i odzyskany przez ekipę ISS UMH pod kierunkiem M.S.E. Po numerycznym odfiltrowaniu odzyskanych danych metodą FasTraFo, opracowaną przez Hsieng i in., [3], osiągnięto zadowalającą jakość zapisu.

## Wyniki

W naszej pracy prezentujemy rezultaty analizy uzyskanych danych. Kompletnie protokoły eksperymentu oraz taśmy sonograficzne zostaną zamieszczone w Biuletynie Informacyjnym IS UMH, 1986–1990.

Metoda FasTraFo-00 pozwoliła wyodrębnić z zapisu głosy większości załogi. W każdym analizowanym przypadku udało się wyliczyć czas przeżycia, jako upływający od całkowitego wypełnienia wodą danego pomieszczenia, tzn. od momentu zaniknięcia odgłosów wlewającej się strugi wody [1]. Oczywiście, procedura objęła pomieszczenia, w których nie pozostały bąble sprężonego powietrza. Obecność bąbli łatwo było odróżnić dzięki nie milknącym głosom znajdujących się w nich członków załogi.

Na podstawie analizy zapisu dźwiękowego ustalono położenie 103 członków załogi w momencie wykonania eksperymentu. Ich dokładną lokalizację przedstawia Tabela 1.

Istnienie bąbli sprężonego powietrza stwierdzono w pomieszczeniach B oraz F. Wyniki uzyskane dla osób tam zlokalizowanych będą przedmiotem oddzielnej publikacji poświęconej badaniom przeżywalności w warunkach anoksji. Warto wyróżnić pomieszczenie C, przedział torpedowy, który pozostał hermetyczny, zmiążdżeniu zaś uległ dopiero, gdy „Threshold” opadł na dno. Dla osób tam zgromadzonych czas przeżycia liczono od momentu zmiążdżenia przedziału, jako że po zmiążdżeniu pomieszczenia C nie uformował się w nim bąbel powietrza. Wynik dla pomieszczenia C został dołączony do pozostałych wyników, jako nie dający statystycznie istotnego odchylenia od średniej. Jasno stąd wynika, że krótki czas przebywania w atmosferze zubożanej stopniowo w tlen nie ma istotnego znaczenia dla czasu przeżywalności.

Tabela 1. Lokalizacja członków załogi okrętu „Threshold” bezpośrednio po etapach (v) oraz (vi) eksperymentu. Oznaczenia pomieszczeń według Rys. 1<sup>7</sup>. Położenia pozostałych osób oznaczono na Rys. 1 znakiem x.

Pomieszczenie Liczba osób

A 28  
B 17  
C, D 12  
E 10  
F 7  
G,H 5

I,J 2

Na podstawie uzyskanych danych wyznaczono średni czas przeżycia w środowisku wodnym jako

(244±63) s, licząc od wypełnienia wodą pomieszczenia do ustąpienia ostatnich drgawek agonalnych rejestrowanych metodą sonograficzną.

Duża wartość odchylenia standardowego wynika prawdopodobnie z błędów w określeniu warunków rozpoczęcia eksperymentu dla każdego konkretnego pomieszczenia.

Wyznaczona przez nas wartość czasu przeżycia człowieka w głębiny wodnej (w ciśnieniu zewnętrznym 24 do 52 atm) jest znacznie krótsza niż czas trwania typowego cyklu metabolicznego [5,9], a więc, oczywiście, i czas trwania typowego cyklu rozmnażania i wychowania [11].

## Dyskusja

Przeprowadzony eksperyment wymownie dowiódł, że człowiek w głębiny wodnej nie jest ani istotą stabilnie żywą, ani żywą stacjonarnie. Środowisko wodne („1A” według modelu „cebuli” [2]) jest niemal identyczne z zawartym wewnątrz jego tkanek („1” lub „2”). Skutki powrotu do „środowiska poprzedniego” (według „cebuli”) okazały się identyczne ze skutkami przejścia do „środowiska kolejnego” (przestrzeni kosmicznej), co wynikało z eksperymentu przeprowadzonego przez autorów w kosmosie [2]. Identyczne, znacząco tu letalne.

Powyższe wnioski pozwoliły nam zaproponować nowy model opisujący dotychczasowy rozwój topologii organizmów żywych. Otóż wyodrębnienie organizmu z otoczenia nazwaliśmy w naszym modelu błoną, choć w ogólności może nim być także skóra, blachy okrętu podwodnego, czy pancerz statku kosmicznego. Proponowany model<sup>8</sup> opisuje topologię rozwoju istot żywych, dzieląc go na następujące etapy:

### Etap 1

Występują istoty żywe typu 1 (o topologii typu 1) — prokaryoty: prabakterie i praglony swobodnie poruszające się w środowisku „1” (praoceanie). Z dobrym przybliżeniem (ciecz powiązana wewnątrz siecią dynamicznie zmiennych wiązań wodorowych), środowisko wewnątrz istot typu 1 jest identyczne z zewnętrznym. Istoty wyodrębnia z otoczenia błona typu 1–1 (tu: błona komórkowa).

### Etap 2

Pojawiają się istoty typu 2, które wchłonęły do swego wnętrza istoty typu 1, a jednocześnie powstrzymały się przed ich strawieniem. Wchłonięte istoty typu 1 mogą opuszczać wnętrze istoty żywej typu 2. Istotę typu 2 wyodrębnia z otoczenia błona typu 1—1. Środowisko wewnątrz istoty żywej typu 2 („1”) jest identyczne ze środowiskiem zewnętrznym — praocean=„1”. (Był to etap wchłaniania praglonów przez niektóre z prabakterii i tworzenia obiektów żywych opartych na symbiozie. Przykładem obecnie żyjących istot, których rozwój zatrzymał się na etapie 2, są porosty. W nich oba symbionty mogą rozłączyć się i funkcjonować oddzielnie.)

### Etap 3

Środowisko zewnętrzne zostaje zmodyfikowane do stanu „1A” (różniącego się od wnętrza żywych istot typu 2). Błony ulegają modyfikacji do 1—1A. Kontakt istot typu 1, zawartych wewnątrz istot typu 2 ze zmienionym otoczeniem, jest ograniczony, ich egzystencja zaś na zewnątrz obiektu typu

2 bardzo utrudniona. W trakcie tego etapu istoty wchłonięte pozbywają się organów niekoniecznych do egzystencji. Wreszcie stają się organami istoty typu 2. (Praglony stały się chloroplastami, które utraciły zdolność do egzystencji poza komórką żywą, choć zachowały autonomię genetyczną, mitochondria stały się nieodłącznymi składnikami komórki zwierzęcej czy roślinnej [11]).

#### Etap 4

Istoty typu 2 łączą się zewnętrzną błoną (skórą) wyodrębniającą istotę typu 3 z otoczenia (etap fauny z Ediakara: organizm wielokomórkowy; kolonia dość luźno powiązanych ze sobą komórek). Na etapie 4 zatrzymały się np. stulbie. Modyfikacja środowiska nie jest konieczna (analog Etapu 2).

#### Etap 5

Modyfikacja środowiska zewnętrznego do „2a” (lub błony do 3–2A) utrudnia istotom typu 2 opuszczanie wnętrza istoty typu 3. (Komórki przestają odwracalnie opuszczać organizm wielokomórkowy, pogłębia się ich więź i specjalizacja. Przykładem takich istot są wyższe wodne wielokomórkowce, jak np. ryby czy ośmiornice).

#### Etap 6

Zmiana środowiska zewnętrznego na „3”, wykluczająca samodzielną egzystencję istot typu 2 poza istotami typu 3. Istota typu 3 zostaje otoczona błoną typu 2–3. Wewnątrz zawiera ona środowisko 2, niezbędne dla jego organów powstałych przeciw z istot typu 1. Przykładem może być opuszczenie środowiska wodnego przez eukaryoty — rośliny wyższe, zwierzęta, nas — istoty typu 3 i rozpoczęcie życia na powierzchni lądu, w środowisku powietrznym = „3”. (Według paleontologów, czas trwania tego etapu wyniósł 109 lat).

#### Etap 7

Powstanie istoty typu 4 (statek, samolot, okręt podwodny, pojazd kosmiczny), wyodrębnionej z otoczenia błoną typu 3–3 (poszycie statku, samolotu czy innego pojazdu). Istoty typu 3 mogą opuszczać istotę typu 4. Czas trwania etapu 7 jest rzędu KHat. Funkcyjnie odpowiada on Etapowi 2 i Etapowi 4.

#### Etap 8

Modyfikacja środowiska otaczającego do „3A” (czyli samolot w powietrzu, okręt na pełnym morzu). Swoboda opuszczania obiektu typu 4 przez obiekty typu 3 zostaje ograniczona. Może się zdarzyć, że pilot, który wysiadł w powietrzu bez spadochronu, nie roztrzaska się o ziemię, gdyż wylądował w kopie siana; pasażer zaś za burtą na pełnym morzu konsekwentnie odmawiający podjęcia na pokład — nie utopi się, lecz gdzieś dopłynie). (Etap 6 jest analogiem Etapu 3 i Etapu 5.) Wydaje się, że czas jego trwania można rozsądnie przybliżyć na 101 lat, choć nie został jeszcze zakończony.

#### Etap 9

Zmiana środowiska zewnętrznego na „4”, w którym nie mogą już przetrwać istoty typu 3 (przestrzeń kosmiczna, głębina wodna), chociaż nie da się wykluczyć adaptacji wtórnej niektórych istot do środowiska poprzedniego („2”). Istota typu 4 (statek kosmiczny, okręt podwodny zanurzony) zachowuje się jak istota żywa, ponieważ pobiera energię z otoczenia (baterie słoneczne) oraz potrafi się reprodukcować (można zbudować statek kosmiczny w przestrzeni).

Można przewidzieć późniejszą modyfikację istot typu 3 (załogi) zawartych wewnątrz istoty 4 i

utrata zdolności ich do egzystencji poza istotą typu 4 (odwapnienie, następnie utrata kości, a więc ograniczenie zdolności poruszania się załogi po wielu pokoleniach lotu kosmicznego). Etap 9 już się rozpoczął, lecz analogicznie do etapu 6, czas, jaki upłynie do zakończenia formowania się istoty żywej typu 4 może trwać nawet 109 lat. Podobny proces może wystąpić też u załóg okrętów podwodnych (choć jest to jakby mniej prawdopodobne), zatem model obejmuje również przypadek gdy środowisko „2” = środowisko „4”.

Proponowany model poprawnie tłumaczy fakt, że człowiek stanowi istotę żywą jedynie na powierzchni Ziemi, w głębinie wodnej zaś, jak pokazał nasz eksperyment, oraz w przestrzeni kosmicznej [2] nie spełnia definicji istoty żywej. Oznacza to, że w środowisku „4” człowiek może jedynie spełniać rolę organu, lepiej lub gorzej uformowanej istoty żywej typu 4, jaką jest statek kosmiczny lub okręt podwodny z nietkniętą powłoką oddzielającą człowieka od środowiska „4”.

W kosmosie za istotę żywą należy uznać cały statek kosmiczny z załogą. Człowiek może pełnić rolę ośrodkowego układu nerwowego (ale mogą go w tym zastąpić komputery pokładowe) lub nośnika informacji konstrukcyjnej, podczas budowania nowego statku kosmicznego bezpośrednio w przestrzeni (byłby wtedy analogiem chromosomu w komórce żywej, niosącego informację, jak skopiować lub jak zmienić, gdy został przypadkiem zmutowany, proces produkcji nowej istoty typu 4). Niestety i w tej roli człowiek może zostać zastąpiony przez komputer, więc w końcu może mu przypaść ledwie rola ogólnego organizatora i detektora zjawisk nieprzewidzianych, czyli analogu hormonu.

Należy oczekiwać zmian adaptacyjnych, głównie utraty umiejętności niepotrzebnych na pokładzie statku, jak zdolność do samodzielnej lokomocji (chodzenia) czy samodzielnego przyjmowania pokarmów (jedzenia) analogicznie do redukcji zaszłej w chloroplastach czy mitochondriach komórkowych. Niewykluczone, że istota typu 4 zapewni zaspokojenie także innych potrzeb załogi.

Frapujące jest pytanie, czy może istnieć środowisko „5”, a zatem czy pojawią się w ewolucji wywodzące się z Ziemi istoty typu 5. Autorom nasuwa się sugestia, że środowiskiem „5” może być materia wnętrza gwiazdy, którą mogłyby penetrować jedynie pierwociny istot żywych typu 5: statki kosmiczne otoczone barierą pól elektromagnetycznych czy innych — jeśli takie istnieją i zostaną odkryte — by odciąć oddziaływanie naładowanych i obojętnych cząstek wnętrza gwiazdy (błoną typu 4–5).

Dla istoty żywej typu 4, w pełni uformowanej po miliard letniej ewolucji, napotykanne gwiazdy będą jedynym, a przynajmniej bardzo efektywnym źródłem energii. Przebywanie w ścisłym pobliżu gwiazdy, a szczególnie wewnątrz niej, zapewni tej istocie dostatek pożywienia. Wreszcie wymusi to kolejny etap ewolucji i utworzenie istoty typu 5 przebywającej zwykle, a może kiedyś stale, wewnątrz gwiazdy.

W Dodatku zamieszczamy ogólny opis sekwencji etapów, które prowadzą do utworzenia się istoty żywej o topologii typu  $N+1$  z istniejących już istot typu  $N$ <sup>8</sup>.

Powtórzmy szczegółowy wniosek z naszej pracy: człowiek nie jest istotą żywą w ogólności, w niektórych zaś środowiskach ma tyle swobody, ile chloroplast czy mitochondrium wewnątrz komórki.

## Dodatek

Proces tworzenia się istoty żywej o topologii typu  $N+1$  z istot żywych typu  $N$  (Rys. 2) dla dowolnej ewolucji.

### Etap I

W środowisku „ $n$ ” przebywają istoty żywe typu  $N$ , zawierające w sobie środowisko „ $n-1$ ”, wyodrębnione zaś z otoczenia błonami typu  $(N-1) - (N)$ .

### Etap II

Wytwarza się dodatkowa błona typu  $(N) - (N)$ , otaczająca jedną lub więcej istot typu  $N$ , która wyodrębnia z otoczenia nowo powstałą istotę typu  $N+1$  (komplikacja struktury topologicznej mogła nastąpić przez wchłonięcie istoty typu  $N$  przez uprzednio równoważną jej topologicznie inną istotę typu  $N$ ). Możliwe jest opuszczanie i wchodzenie do wnętrza nowo powstałej istoty typu  $N+1$  przez istoty typu  $N$ .

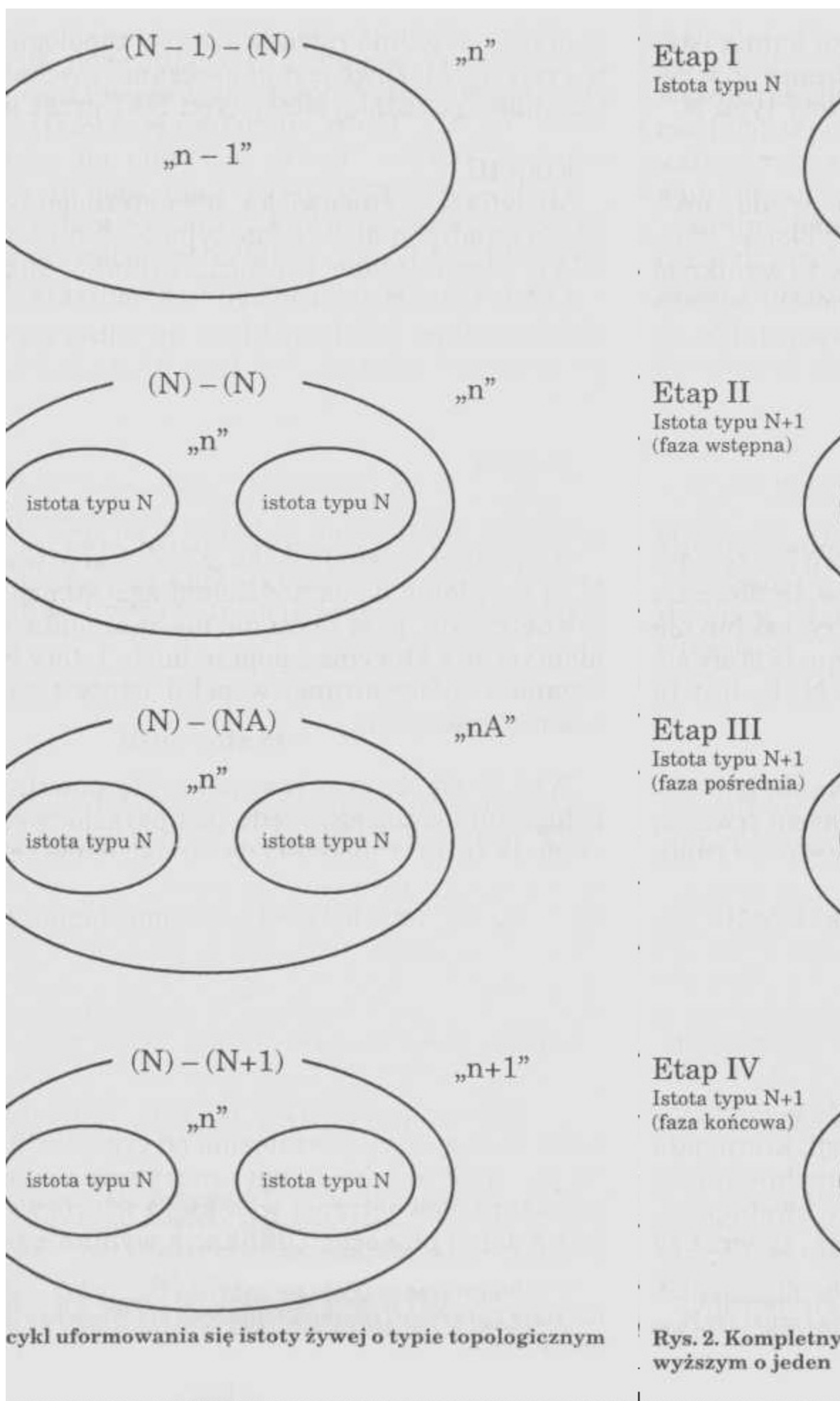
### Etap III

Modyfikacja środowiska zewnętrznego od „ $n$ ” do „ $nA$ ”. Błona wyodrębniająca istotę typu  $N+1$  staje się błoną  $((N) - (NA))$  o ograniczonej przepuszczalności. Może to wynikać z dwóch faktów: środowisko „ $nA$ ” w jakiś sposób zagraża obiektom typu  $N$  lub też błona utrudnia im wydostanie się na zewnątrz, gdyż nie jest to w interesie istoty żywej typu  $N+1$ .

### Etap IV

Istota żywa typu  $N+1$  znajduje się w środowisku „ $n+1$ ”, z którego wyodrębnia ją błona typu  $(N) - (N+1)$ . Wewnątrz niej znajduje się środowisko „ $n$ ”. Zawarte w nim istoty typu  $N$  są niezdolne do samodzielnej egzystencji w środowisku zewnętrznym, przy czym nie ma znaczenia, czy jest lub nie identyczne z którymś z poprzednich. Istoty typu  $N$  stały się organami uformowanej w pełni istoty typu  $N+1$ . Jest to zakończenie cyklu.





Wydaje się, że czas trwania cyklu powstawania istot topologicznie wyższego rzędu jest określony

czasem trwania etapu IV (utruty zdolności do samodzielnej egzystencji istoty żywej typu N, poza istotą typu N+1. Dla istot typu N=1 wyniósł ok.  $10^9$  lat, dla N=2 prawdopodobnie ok.  $0.5 \cdot 10^9$  lat. Rozumując przez analogię, należy się spodziewać, że dla wszystkich zaszłych ewolucji istot żywych gdzieś we Wszechświecie,  $N_{\max}$ , czas istnienia Wszechświata podzielony przez średni czas trwania procesu wytwarzania się nowych topologicznie typów istot żywych zawrze się między 8 a  $12^{10}$ .

Uważamy, że w miarę wzrostu N następuje ujednoczenie istot żywych niezależnie od typu ewolucji, która dała im początek (dla N=1), więc niezależnie od zupełnie różnej struktury wewnętrznej wynikłej z ich rozwoju ewolucyjnego na danej planecie. Unifikacja wynika z tego, że wraz ze wzrostem N na ogół następuje ekspansja przestrzenna ciągu ewolucyjnego powodująca wtargnięcie do środowisk wspólnych dla coraz większych części Wszechświata. (Dla ewolucji zapoczątkowanej na Ziemi: „n”=„1”, „2”, „3”, to lokalne środowiska na planecie, „n”=„4” — przestrzeń kosmiczna, „n”=„5” to może materia wnętrza gwiazdy.)

Definiujemy zatem liczbę nu, która dla danej ewolucji oznacza przestrzeń międzyplanetarną, wspólną dla Wszechświata (u-unity). Wówczas dla ewolucji ziemskiej będzie  $n=4^{11}$ .

## Podziękowania

Autorzy chcą wyrazić gorącą wdzięczność prof. Ebensoe Wordluff za udostępnienie wyników nie publikowanych badań metod szybkiego dziurawienia poszycia okrętów podwodnych z zastosowaniem wybuchów, a także owocną dyskusję i życzliwe uwagi w trakcie przygotowania manuskryptu.

## Komentarz<sup>12</sup>

Profesor Kushaev: Autorzy, proponując model powstawania istoty żywej typu N+1 pominęli ważny etap, który powinien zostać oznaczony według terminologii modelu ETBn jako la. Jest nim ścisłe połączenie się obiektów typu N przed wytworzeniem się błony typu (N)—(N). Analogią tego procesu jest łączenie się organizmów jednokomórkowych w kolonie przed powstaniem organizmów wielokomórkowych (dla N=1). Ponadto wydaje się słuszne przyjęcie dla istot żywych typu 1, że środowisko w ich wnętrzu jest „1”, a więc w tym szczególnym przypadku „n”, a nie „n—1”. Wynika to zresztą z opisu według modelu ETB.

Ponadto wyznaczenie fundamentalnej stałej  $NETB=10$  wynika prawdopodobnie z przyjęcia przez autorów dalszego trwania gwiazd — dostarczycieli energii — na  $10^{10}$  lat, co mogło być obarczone dużym błędem. Inne dane sugerują, że  $NETB$  może osiągnąć nawet wartość 20.

Doktor Egberath: Nie wydaje się, aby ścisłe łączenie się istot typu N było koniecznym etapem utworzenia istoty typu N+1. Przykładem jest tworzenie się istot typu N+1=4. W tym przypadku ludzie wsiadający na statek nie muszą być ze sobą połączeni, np. trzymać się za ręce, chociaż zauważa się grupowanie istot typu 3 przed uformowaniem się w istotę typu 4 (np. grupowanie się pasażerów

oczekujących na zaokrętownienie lub łączenie się w brygady budowniczych wznoszących statek). Zdaniem autorów, modyfikacja modelu powinna co najwyżej objąć stwierdzenie: Etap 4 może być poprzedzony fazą przestrzennego grupowania się istot typu N (jednakże nie jest to niezbędne — można bowiem wsiadać na statek pojedynczo, a nie grupami)<sup>13</sup>. Poprawka dla istot typu N=1 jest słuszna. Nasze wyznaczenie fundamentalnej stałej Nmax wynika z założenia, że czas trwania etapów I—III wynosi od  $0.1 \cdot 10^9$  do  $1 \cdot 10^9$  lat.

Profesor Kushaev: Przykład z trzymającymi się pod rękę podróżnymi nie wydaje się sensowny, jednakże uczyniona poprawka modelu wyjaśnia moje wątpliwości i czyni model ETB bardziej kompletnym. Autorzy nigdzie w tekście pracy nie podali estymowanego czasu trwania etapów I—III, przy podanym zaś w dyskusji założeniu wyznaczona wartość NETB wydaje się poprawna<sup>14</sup>.

## Literatura

1. A. Boobocq, S.H. Trouchoille, *Journal of Technical Survivalistics*, 62, 322–331, 1985.
2. M.S. Egberath, S.H. Trouchoille, A. Boobocq, *Survival Journal*, 615, 633–648, 1986.
3. Mary Hsieng, Norio Huyama, Inorio Yayama, Noberto Fiumici, Samuel Singh, *Journal of Sonography*, 5, 1205–1220, 1981.
4. Yu. Kushaev, *Zeitschrift der Geistwiss., Geistliche Serie*, b. 10, h.4, 102–112, 1960.
5. Yu. Kushaev, Egor Vodoedov, Gav. Pokoiko, Mykhailo Pyszczel, Franija Fyłozofow, Marina Matchugina, *Doki. Akad. Nauk, Serya Perejy–tye*, S, 12–16, 1979.
6. H. Mahnhardt, *Z. Geistwiss., Geistliche Serie*, b.10, h.2, 65–74, 1960.
7. H. Mahnhardt, M. Koffemueller, *Zeitschrift fur Weiterleben*, 12 37–52 1977
8. *Mary's Warships' Yearbook' 1988*, p.683.
9. Wolfram Śłęzięga, *Survival J.*, 60, 12–23, 1984.
10. Wolfram Śłęzięga, Manuelo Kohlengruber, Juan Hubenbauer, H. Mahnhardt, *Z. Geistwiss., Geistliche Serie*, b. 12, h.2, 61–66, 1961.
11. J. Stahlinger, *Chemistry of Life*, Montana Press, Hamburg–Berlin–Paris–New York, 1982.
12. *Time*, 15, 1988.
13. S.H. Trouchoille, A. Boobocq, M.S. Egberath, *J. Techn. Survivalistics*, 66, 772–783, 1987.

## Posłowie

Przełomowy rok 1989, który wyzwolił w Polakach niespotykane pokłady energii i przedsiębiorczości, przez dziesięciolecia powstrzymywane przez „jedyną słuszną” politykę spod znaku sierpa i młota, zapoczątkował istnienie wielu prywatnych oficyn wydawniczych. Niemal z dnia na dzień złamano monopol państwowych wydawnictw, a to za sprawą szybkości produkcji, komercyjnego podejścia do książki i wypełnienia czytelnicznych nisz stosami poszukiwanych przekładów literatury zachodniej. Jak wiadomo, każdy kij ma dwa końce i już po paru latach ta radosna działalność wydawnicza spowodowała chaos na rynku książki. Wydawcy, którzy przetrwali ów burzliwy okres, okrzepli, mają ustaloną markę i swoje miejsce na kurczącym się rynku.

Te zmiany spowodowały wiele pozytywnych i negatywnych zjawisk w sztuce pisania, wydawania, promocji i sprzedaży książki. Wielu autorów nadal czekałoby w kolejce u wydawców — dzisiaj Sapkowski, Ziemiakiewicz, Kres czy Kołodziejczak i Lewandowski mają w dorobku po kilka książek. Nie zabrakło zwykłej grafomanii, ale na normalniejącym rynku, gdzie popyt reguluje podaż i trzeba się liczyć z konkurencją, kończą się czasy wydawania literackich miernot z tzw. klucza czy według zasług. Może trudniej dzisiaj o debiut książkowy, ale też autor dobrze sprzedających się książek może wyżyć tylko z pisania. Nowe wydawnictwa umożliwiły realizację marzeń czy zawodowych planów przez ludzi spoza kręgu wydawniczych bossów. Ludzi takich jak ja, którzy przed 1990 rokiem nie mieli co pukać do drzwi redakcji państwowych wydawnictw z pomysłem na antologię polskich opowiadań fantastycznych, napisanych specjalnie do niej. Nawet gdyby któryś wydawca wyraził zainteresowanie, to wieloletni cykl wydawniczy już w zarodku zdusiłby drugą (obok oryginalności) cechę i siłę tejże antologii — szybkość jej wydania pozwalała autorom błyskawicznie reagować na zdarzenia najnowszej historii i uprzedzać, prorokować na podstawie dostrzeganych symptomów, to, co może się zdarzyć w najbliższej przyszłości. Bo fantastyka, nie oszukujmy się, służy — parafrazując znane wojskowe porzekadło — do opisywania rzeczywistości. Taka jest, w przeważającej większości utworów, polska współczesna fantastyka.

Pierwsze *Wizje alternatywne* wydał późną jesienią 1990 roku białostocki „Arax”. I chociaż zapomniał o autorskich honorariach (owa energia i przedsiębiorczość Polaków nie zawsze szła w parze z uczciwością), to antologia znalazła się na rynku i została ciepło przyjęta przez czytelników. Zawierała kilka ciekawych opowiadań i kto wie, czy nie była pierwszym ważnym głosem polskich fantastów na zmieniające się realia życia w naszym kraju. Z miejsca narodził się też pomysł następnej antologii, tyle że tematycznej. *Czarna msza* miała być, w zamyśle kilku autorów, reakcją na rosnący wpływ kleru katolickiego na życie społeczne i polityczne w Polsce. Z tych zamiarów niewiele pozostało w antologii, właściwie tylko tytuł. Krzykliwie manifestowany antyklerykalizm przerodził się w domowych zaciszach pisarzy w poważne wypowiedzi na tematy wiary, nadziei, religijności, sacrum. Antologia ukazała się latem 1992 roku nakładem poznańskiego „Rebisu”, którego jednym z właścicieli był Tadeusz Zysk.

Rok później, w trakcie Polconu w Waplewie, gdy wiadomo już było, że nakład antologii się rozszedł, Tadeusz wyraził zainteresowanie kolejnym tomem, który miał być powrotem do założeń

pierwszych *Wizji*, a przede wszystkim szerokiej, niereglamentowanej tematyki opowiadań. Do pracy zabrałem się na początku 1994 roku, ale pisarzy, z którymi zwykle współpracowałem, zastałem raczej w słabej formie. W ogóle cały rynek autorski opanował jakiś rodzaj rezygnacji czy raczej chęć przetrzymania trudnego okresu. Wszyscy wyrazili oczywiście zainteresowanie i gotowość współpracy, ale mijał czas i kolejne terminy nadsyłania prac, a opowiadania nie napływały. Te, które otrzymałem, były albo słabe, albo nie wytrzymały krytyki i wreszcie sam autor się wycofywał. Przez dwa lata napłynęły może trzy w miarę dobre teksty. I tak aż do końca 1995 roku trwał stan permanentnej rekrutacji i poszukiwania dobrych historii.

Ten okres, a zwłaszcza rok 1994, był chyba najsmutniejszy dla polskiej fantastyki. Wychodziło mało książek z polską fantastyką (czy nawet z polską prozą w ogóle), wydawcy nie byli nią zainteresowani, żaden z prywatnych potentatów wydawniczych w polską literaturę nie chciał zainwestować. Jednocześnie rynek książki zaczął wykazywać pierwsze objawy „zmęczenia” falą przekładów literatury popularnej. Wzrost cen książek znacznie zmniejszył popyt, zaczęła się liczyć literatura wyższych lotów, triumfy święciły serie wydawnicze „Salamandra” Rebisu, „Kameleon” wydawnictwa Zysk i S-ka czy „Biblioteka Bestsellerów” Muzy. Zaczęto też szukać, czy raczej wracać w stronę rodzimej twórczości. Jesienny bestseller, *Krew elfów* Andrzeja Sapkowskiego, dla nielicznych był sprawą oczywistą, dla większości wydawców i księgarzy objawieniem. Rozległy się oczywiście głosy, że to jednorazowy sukces, trudny do powtórzenia, ale kolejne sukcesy SuperNOWEJ, nie tylko w dziedzinie fantastyki, przekonały, że tak nie jest. Rok po spektakularnym sukcesie pierwszej powieści Sapkowskiego odbyła się jednoczesna promocja czterech polskich książek fantastycznych — kontynuacji *Krwi elfów*, powieści Oramusa i Ziemkiewicza oraz zbioru Dębskiego. Trzy z nich doczekały się dodruków, na oczywisty więc fakt zapotrzebowania na polską fantastykę, czy w ogóle polską literaturę, nie można już było przymykać oczu.

Za NOWĄ poszli inni, chociaż nadal bardzo ostrożnie, przez co tracą dystans do wydawnictwa Mirosława Kowalskiego. Tadeusz Zysk zwrócił uwagę na dwóch autorów, którzy obok Sapkowskiego najbardziej zaznaczyli się w polskiej fantastyce przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych — Marka S. Huberatha i Jacka Dukają. Pierwszy zadebiutował już zbiorem opowiadań, drugi wkrótce przedstawi zbiór dwóch minipowieści. NOWA inwestuje w Ziemkiewicza, sięgnęła też po Żerdzińskiego, wschodzącą gwiazdę polskiej sf. Wszyscy ci autorzy, bardzo w ostatnich latach aktywni, znaleźli się w niniejszej antologii i bezsprzecznie stanowią aktualnie ścisłą czołówkę polskich autorów science—fiction. Nieco inaczej ma się sprawa z fantasy, który to gatunek ze swoją specyfiką rozciągania każdej historii w niekończące się serie powieściowe, rzadko daje znać o sobie krótką formą literacką. Sapkowski zarzucił chwilowo pisanie opowiadań, Kres umieszcza w prasie jakieś opowiadania, ale zwykle są to zwiastuny większych całości. Podpisał zresztą umowę na cykl sześciu powieści z wydawnictwem Trickster.

Pozostali autorzy piszą mniej, słabiej pukają w drzwi wydawców, z których większość nadal się nie nauczyła, że autorów warto poszukać samemu, a nie czekać na pocztę. Ingot, pisarz wiele lat po debiucie literackim, dopiero teraz wydał w Rebisie swą pierwszą książkę *Inquisitor*. Lewandowski znalazł przytulne gniazdko przy małej oficynie S.R., ukierunkowanej na fantastykę, w tym i polską. Już wkrótce wydadzą Komudę, powieść Jabłońskiego, którą tu przedstawiam we fragmencie, wydali Kołodziejczaka. Ten ostatni doczeka się też powieści w NOWEJ. Po kilkuletnich przygodach z kabaretami powrócił do fantastyki Marcin Wolski. I to ożywienie, mówiąc językiem gospodarczym: koniunktura, jest znakiem, że polska fantastyka złapała przed wejściem w nowe tysiąclecie wiatr w żagle.

Odczułem to osobiście, gdy pod koniec 1995 roku rozesłałem wici do kilku autorów,

przypominając się z antologią. Jej punktem wyjścia miała być minipowieść Huberatha z historią alternatywną, rzecz rozwinęła mu się jednak w powieść i ostatecznie przysłał mi krótkie opowiadanko, stanowiące nie prozę właściwie, a naukowy żart. Huberath, wytrawny naukowiec, postanowił zakpić tu ze swych kolegów fizyków, prezentując pseudonaukowy tekst, napisany w napaśzonej formie, pełen wykresów i odnośników. Przypomina trochę archaiczną fantastykę sprzed półwiecza, gdy takowe dywagacje często zaśmiecały amerykańskie magazyny pulpowe.

Aktywny ostatnio pisarsko Rafał Ziemkiewicz, który w moich obu poprzednich antologiach był gwiazdą pierwszej wielkości, również zmieniał opowiadanie w trakcie naboru. Początkowo przysłał opowiadanie *Czerwone dywany*, oscylujące tematycznie wokół interesującej go polityki, opisujące Europę Zachodnią w niedalekiej przyszłości, zniewieściałą i ograniczoną demokratycznymi zasadami i prawami, które w zetknięciu z falami osadników z byłej Jugosławii mogą być gwoździem do trumny zachodniej cywilizacji. Opowiadanie pasowało do serii kilku innych i dało w sumie tytuł zbiorowi Ziemkiewicza, który ukazał się ostatnio nakładem NOWEJ. W zamian zaoferował opowiadanie *Tańczący Mnich* drążące (pod przykrywką wojny wietnamskiej, odkrywania masowych mogił w okolicach Hue) temat mediów, pobłażliwego i pobieżnego traktowania przez nie faktów, poszukiwania jedynie sensacji, opisywania zbrodni, ale bez dociekania dlaczego do nich doszło. W opowiadanie, rozgrywające się w dalekim Wietnamie, wplecione są losy Polaka, rzuconego przez wir historii na kraniec świata. Rafał, pisząc o ogólnym zobojętnieniu, także dzięki mediom, które bez chwili przerwy atakują nas coraz nowymi okropnościami z wojen, zamachów, katastrof czy klęsk żywiołowych, pisze o takim sprawiedliwym i jeszcze nie obojętnym na niedole innych człowieku, skazanym na bezsilność, która jawi się tu nową bronią Szatana. Bronią, którą sami mu do ręki włożyliśmy.

Drugim autorem, który towarzyszy mi w antologiach od samego początku, jest Mirosław P. Jabłoński. Podobnie jak w przypadku pierwszych Wizji, przesłał fragment powieści, znanej mi pod roboczym tytułem *Elektryczne banany*, którą właśnie wydaje S.R. jako *Ostatni kontrakt Judasza*. To bardzo przewrotna powieść, iskrząca się niewymuszonym humorem, napisana lekko i sprawnie, dająca ironiczny obraz ewentualnej przyszłości staruszki Ziemi, podzielonej na małe państewka, enklawy i miasta, zgodnie ze strefami wpływów gospodarczych wielkich korporacji. To korporacje przemysłowe podzieliły u Jabłońskiego naszą planetę między siebie, a korporacje to właściwie wielkie organizacje przestępcze. W owych państewkach tworzą się całkowicie nowe obyczaje, powstają prawa pochwalające najbardziej wyuzdane pomysły, brak jest jakiegokolwiek moralnego autorytetu. I właśnie o całkowitym upadku kultury i sacrum jest to powieść. Niech nikogo nie zmyli jej lekka fabuła i żartobliwy ton, bo mówi ona o rzeczach ważkich i smutnych.

Andrzej Drzewiński jest obok Huberatha drugim naukowcem, dla którego fantastyka jest odskocznią od pracy zawodowej w świat, gdzie można trochę swawolniej poeksperymentować, aczkolwiek na bazie uznanych praw fizyki. Drzewiński rzadziej też zapuszcza się w rozważania natury społecznej, jego opowiadania reprezentują zwykle tradycyjną klasyczną sf. *Ósmy dzień stworzenia* to takie właśnie opowiadanie, osadzone w polskich realiach; mamy tu podróż w czasie, problem pętli czasu, rozdwojenia osobowości i światów alternatywnych.

Maciej Żerdziński, autor publikujący w latach dziewięćdziesiątych znakomite teksty w „Nowej Fantastyce”, to obok Sapkowskiego, Dukaja, Huberatha największe odkrycie ostatnich lat. Autor, który swoją twórczością potwierdza, że poprzez fantastykę można mówić o sprawach ważnych, że SF to nie tylko kosmoloty rozjeżdżające wszechświat. W przejmującym *Naskórku Boga* Żerdziński porusza się wokół spraw wiary, poszukiwania śladów boskości.

Na koniec Jacek Dukaj. Pisarz, którego debiut odbił się szerokim echem zarówno wśród

krytyków, jak i czytelników, tym bardziej że był dziełem bardzo młodego człowieka. Po kilku pierwszych opowiadaniach, które znamionowały narodziny w Polsce wielkiego talentu pisarskiego, nadszedł dla Jacka trochę gorszy okres, opowiadania publikowane w „Fenixie” wskazywały, że ich autor znalazł się na twórczym rozdrożu, poszukując własnego stylu. Jednocześnie dochodziły z Tarnowa wieści, że Dukaj dużo czyta i jeszcze więcej pisze, że powieści pisane tymczasem do szuflady mają po parę tysięcy stron. Potem przyszedł czas cięcia tego dorobku, czego efekt mieliśmy okazję poznać w postaci znakomitej powieści *Irrehaare*. Z dwóch opowiadań, które wybrałem do antologii, pierwsze — *Ziemia Chrystusa* — przeleżało u mnie dwa lata, będąc jednym z tekstów, które zakwalifikowałem do zbioru jeszcze w 1994 roku. Trochę jest podrasowane, w teologiczne rozważania wpleciono zajmującą historię odkrycia i próby opanowania alternatywnej Ziemi, gdzie punktem rozczepienia historii był fakt nieukrzyżowania Chrystusa. To, co mnie w Dukaju zdumiewa, to jego wielka pomysłowość i szczodre obdarowywanie czytelnika wciąż nowymi pomysłami i ideami. Tam, gdzie ktoś inny wykorzystałby pomysł do napisania serialu, wyciśnięcia zeń ostatnich soków, tam Dukaj dorzuca jeszcze kilka rozwiązań, zamyka sprawę definitywnie słowem „koniec” i rzuca się w wir nowych spraw. *Ziemia Chrystusa* z pomysłem wielu alternatywnych Ziemi, których historia rozeszła się z tą nam znaną w ważnych lub mniej ważnych punktach, aż się prosi o cykl. Ta szczodrość widoczna jest też w *IACTE*. Czegóż my tu nie mamy? Wampira pilotującego statek z liczną hibernowaną załogą, planetę, gdzie powoli wysiada technologia, groty snów, w których można tworzyć fantomy rodem z nocnych koszmarów, fantom indiańskiego szamana tropiącego owego wampira, i tak dalej, i tak dalej. Wielkie bogactwo, choć pobrzmiwają tu echa licznych lektur, choćby Lemowskiego *Solaris*. I lemowska jest też miłość Dukaja do tworzenia nowych słów, eksperymentowania językiem. Całość, biorąc pod uwagę szybką akcję, daje wybuchową mieszankę.

*Wizje alternatywne 2* są, myślę, nie ostatnią antologią polskiej fantastyki. Jak zauważył pewnie uważny czytelnik, większość wybranych opowiadań ma dużą objętość, już nie opowiadanie, a jeszcze nie powieść. Takich tekstów nie ma w Polsce gdzie publikować, czasopisma ich nie przyjmą, bo za duże, na samodzielną książkę są zaś za małe. A dobry pomysł czasem trudno zamknąć w krótkiej formie. Dlatego myślę, że wkrótce spotkamy się z polską nowelą fantastyczną w kolejnej antologii.

Wojtek Sedeńko

---

a) Institute of Survival Science, Martin Hacker University, La Bamba CA.

b) Institute of Chemie Pirotechnice, Gif-sur-Jeanette.

c) MDHW — Hoechstschle, Bueberachtm Katzensingen

<sup>1</sup> Redakcja „Przyrody Wszechświata” postanowiła przybliżyć polskiemu czytelnikowi najnowsze osiągnięcia surwiwalistyki (ang. *Survival Science*, polska nazwa jest propozycją Redakcji). Zamieszczona praca przedstawia fascynujące wyniki uzyskane przez grupę pracującą na Uniwersytecie Martina Hackera, La Bamba, CA. Pierwsza część pracy (cytowana w Literaturze z numerem 2) opisuje analogiczny eksperyment przeprowadzony w przestrzeni kosmicznej. Oba eksperymenty pozwoliły na sformułowanie rewolucyjnego modelu Egberath—Trouchoille—Boobocq (zwanego w piśmiennictwie światowym ETB) oraz jego abstrakcyjne uogólnienie (model ETB”). Redakcja składa podziękowania panu Markowi S. Huberathowi za dostarczenie egzemplarza „Survival Journal”, zeszyt 2, 1988, gdzie powyższa praca została zamieszczona (przyp. red.).

<sup>2</sup> Praca niniejsza stanowi sprawozdanie z rocznego etapu badań prowadzonych w ramach Programu Badań nad Przeżywalnością PBP.3.2.4.4 oraz Centralnego Programu Przemysłu Lakierów CPPL III/2/27a.



<sup>3</sup> Obecny adres autorów, pod który należy kierować korespondencję: Instytut Surwiwalistyki, Uniwersytet M. Hackera, La Bamba, CA.

<sup>4</sup> W oryginale *plant of onion type* (przyp. red.).

<sup>5</sup> W piśmiennictwie światowym powszechnie stosuje się określenie „roślina typu N” (*N—type plant*) lub „roślina uogólniona” (*generalised plant*), dla uhonorowania eukaryotów, które jako pierwsze w historii Ziemi wynalazły tę drogę rozwoju swojej struktury topologicznej. Redakcja uznała jednak, że w języku polskim nazwanie człowieka „uogólnioną rośliną typu 3”, rakiety kosmicznej zaś „rośliną typu 4” zabrzmiałoby niepotrzebnie śmiesznie. W naszym tłumaczeniu konsekwentnie stosuje się określenie „istota żywa typu N” jako poważniej brzmiące (przyp. red.).

<sup>6</sup> Zgodnie ze zwyczajami Instytutu Surwiwalistyki Uniwersytetu M. Hackera, dokładne daty oraz miejsca przeprowadzania kolejnych eksperymentów zostaną zamieszczone w Aneksie do Biuletynu Informacyjnego IS, UMH, podsumowującym pięcioletni program badań za okres 1986—1990. Prawdopodobnie Aneks zostanie odtajniony w 50 lat od daty opublikowania Biuletynu (przyp. red.).

<sup>7</sup> Rysunku 1 nie zamieszczono w dostępnym tekście publikacji, prawdopodobnie z uwagi na możliwość naruszenia tajemnicy wojskowej (przyp. red.).

<sup>8</sup> W piśmiennictwie został nazwany „model Egberath—Trouchoille—Boobocq” albo „model ETB” (przyp. red.).

<sup>9</sup> Model ten stanowi najnowsze osiągnięcie surwiwalistyki. W literaturze został już nazywany ETB” (przyp. red.).

<sup>10</sup> W literaturze przyjęło się nazywać  $N_{\text{mał}}$  „wielką” albo „fundamentalną” stałą Egberath—Trouchoille—Boobocq dla Wszechświata i oznaczać  $N_{\text{,Tli}}$  (przyp. red.).

<sup>11</sup> Jest to tzw. mała stała Egberath—Trouchoille—Boobocq, oznaczana  $n_{\text{CTB}}$ . W literaturze pojawiają się słabo argumentowane sugestie, że porozumienie jest możliwe tylko między cywilizacjami, dla których liczba topologiczna  $n_{\text{ETn}}$  jest równa (przyp. red.).

<sup>12</sup> Komentarz zawiera wyniki interesującej dyskusji pomiędzy autorami pracy oraz jednym z recenzentów, prof. Yu. Kushaevem (przyp. red.).

<sup>13</sup> Poprawka Kushaeva do modelu ETB” stałą się podstawą do wprowadzenia przez dr. Abela Oxera tak zwanej wielkiej liczby przestrzennej  $h_{\text{ETB}}$ . Według Oxera, wielką liczbą przestrzenną  $h_{\text{ETB}}$  dla Wszechświata nazywamy takie  $N$ , dla którego istoty żywe typu  $N$  wypełnią całą objętość Wszechświata bez reszty. Oznacza to, że w następstwie cały Wszechświat stanie się istotą żywą. W odróżnieniu od pozostałych liczb modelu ETB”, nie wiadomo, czy  $h_{\text{LTB}}$  jest określona. Jej postulat wynikł z faktu, że dla rosnącego  $N$  zwykle wzrasta objętość istot żywych typu  $N$ .

Jeżeli  $n_{\text{ETB}}$  jest stałą charakterystyczną dla danej ewolucji istot żywych, to w odróżnieniu od niej,  $N_{\text{ETB}}$  oraz  $h_{\text{ETI}}$  (jeśli istnieje) są stałymi fundamentalnymi dla Wszechświata (przyp. red.).

<sup>14</sup> Wprawdzie w dyskusji prof. Yu. Kushaev wycofał się ze swojego zarzutu, ale obecnie uważa się, że wielka liczba  $N_{\text{ETB}}$  dla Wszechświata może wynosić od 9 do 15 (przyp. red.).